

Przez świat

Tom XXIII

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2019

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Krzysztof Batycki, Tomasz Cukiernik, Maciej Czerski, Renata Czerska, Agnieszka Dąbrowska, Milena Dąbrowska, Ewa Flak, Jarosław Kociel, Anna Kolmas, Radomir Kolmas, Rafał Robak, Beata Rujner, Anna Szymkiewicz, Tomasz Szymkiewicz, Jagoda Watrak, Piotr Wiland, Walenty Zajkowski

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. inż. Marian Kowalewski, prof. AWF w Warszawie

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Piotr Kocząg

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-734-6 (tom XXIII)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2019

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2019

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 15,50, ark. druk. 13,125, zlec. red. 107/2019

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życiowego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów

i Turystów), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przezroczą z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malesja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod zmiennym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów – **OSOTT** www.travelbit.pl/osott

W historii polskiego ruchu globtroterskiego (trampingowego) bardzo ważną rolę (można wręcz powiedzieć, że zasadniczą) odegrało zorganizowanie, w roku 1985, ogólnopolskiego spotkania globtroterów o otwartej formule. Organizatorem przedsięwzięcia był Andrzej Urbanik (lekarz i podróżnik z Krakowa), który wymyślił nazwę i zasady imprezy. OSOTT (Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów) okazał się interesujący dla podróżników, żeglarzy, alpinistów, baloniarzy, lotniarzy i pletwonurków, słowem dla wszystkich, którzy poznawali świat podróżując „lądem, morzem i powietrzem”. W kolejnych latach na OSOTT przyjeżdżać zaczęło coraz więcej podróżników i ten sposób powstała ogólnopolska społeczność trampingowa, która odegrała ogromną rolę w rozwoju ruchu globtroterskiego (trampingowego) w Polsce.

W czasie OSOTT prezentowane są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem. Organizowane są także konkursy na najlepszą podróżniczą fotografię oraz relacje z podróży.

W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone zarówno dla doświadczonych podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich eskapadach. Słowem, to znacznie więcej niż festiwal podróżniczy.

Nie wiadomo do końca, gdzie tkwi fenomen OSOTT-u. Być może w niepowtarzalnej formule. Kilkuset uczestników spotkania przez trzy dni jest cały czas ze sobą. Mieszkają w tym samym hotelu, wspólnie spożywają posiłki, do późnych godzin nocnych wspólnie wędrują, oglądając pokazy przezroczy bądź multimediiów. Tworzą się grupy wyjeżdżające razem na wyprawy, nawiązują przyjaźnie, a zdarza się że i miłości – jest już kilkanaście OSOTT-owych małżeństw. OSOTT wyłamuje się z często powtarzanego schematu festiwali podróżniczych, gdzie jest grupa prezydentów i widzowie. W przypadku OSOTT wszyscy są na równych prawach. Wszyscy zachowują się „normalnie” bez gwiazdorstwa i to nadaje wspaniałą atmosferę imprezie.

Od roku 2013 OSOTT organizowane jest w Rzeszowie w ramach współpracy z Uniwersytetem Rzeszowskim oraz Miastem Rzeszów – patronami są Rektor UR i Prezydent Miasta.

Udział w OSOTT możliwy jest dla mieszkańców miasta, bowiem impreza ma otwarty charakter. Tak więc, na ile pojemność sali pozwoli, organizatorzy zapraszają Rzeszowian i mieszkańców Podkarpacia do wspólnej podróży przez świat.

OSOTT

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów

**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXV OSOTT 2019,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 8–10 listopada 2019.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:

www.travelbit.pl/osott

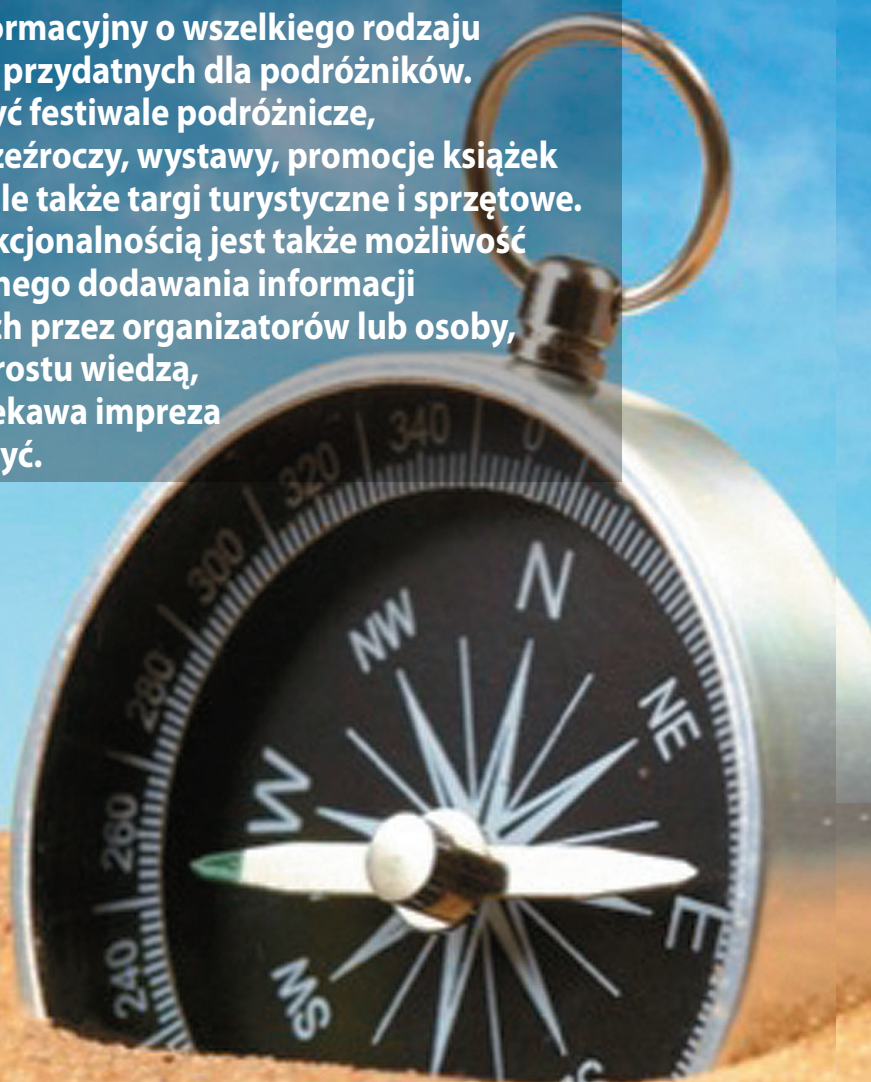


Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.





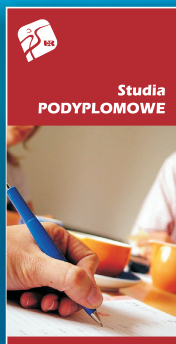
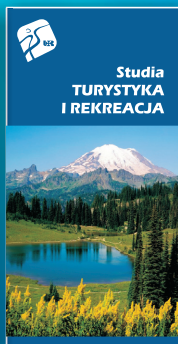
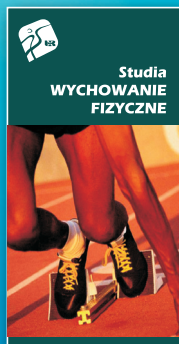


Instytut Nauk o Kulturze Fizycznej

Uniwersytet Rzeszowski

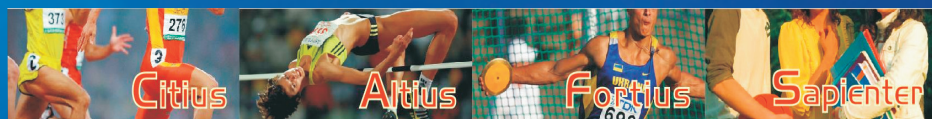
35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 972 18 61

<http://wf.ur.edu.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy do Instytutu Nauk o Kulturze Fizycznej!

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XXIV książki „Przez świat”

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2018–2019. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 maja 2020. Relacje będą oceniane pod kątem zawartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznanne fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.

Islandia i Grenlandia jachtem



Termin: 8 września – 3 października 2018 r.

Całkowity koszt wyprawy: 10 700 zł, w tym 1950 zł samolot i 6950 zł za 20 dni rejsu

W firmie Natango ze Szczecina (natango.pl) wykupiłem dwa 10-dniowe rejsy z Islandii na Grenlandię. Kapitanem kilkunastoosobowego jachtu żaglowego OCEAN_A był Andrzej Górąjek. Do miejscowości Aqureyri na północy Islandii, skąd wypływaliśmy, trzeba było dostać się na własną rękę. Na jachcie wszyscy załoganci pełnili zarówno wachty w kambuzie, jak i przy sterze.

Trasa: Pyrzowice – Keflavik – Reykjavik – Aqureyri – wyspa Grimsey – Sautharkrókur – Dalvik– wyspa Hrisey – Grenivik – Aqureyri – rejon jeziora Mývatn – Aqureyri – fiord Scoresby (Grenlandia) – Ittoqqortoormiit – Húsavik – Aqureyri – okolice Geysir – Keflavik – Pyrzowice

RELACJA Z PODRÓŻY

8 września

O godz. 16.30 samolotem WizzAir poleciałem z Katowic do Keflaviku. Bilet kosztował 1600 zł z dodatkowym bagażem 20 kg. Cztery godziny lotu. Cztery butelki wina 187 ml na pokładzie za 54 zł. W wypożyczalniach na lotnisku w Keflaviku wszystkie auta były zarezerwowane. Z lotniska odebrał mnie Polak – Kamil, z którym byłem wcześniej umówiony. Zapłaciłem 2 tys. ISK (70 zł) za przejazd 50 km do Reykjaviku (jak na Islandię to bardzo tanio). Nocleg u Berghthora z coachsurfingu.

9 września

Rano zarezerwowałem telefonicznie łóżko w pokoju 16-osobowym w hostelu Kex – 4600 ISK zapłacone kartą. Autobusem nr 6 za 460 ISK podjechałem pod hostel. Po-

tem poszedłem zwiedzić stare miasto. Informacja turystyczna znajduje się w budynku ratusza. Althing – budynek parlamentu wygląda jak urząd małego miasta. Później spacer wzdłuż wybrzeża, port, zielony kopiec z wysuszonymi rybami na szczycie, bulwar.

10 września

Nie chcieli mi telefonicznie zarezerwować noclegu w Aqureyri bez podania numeru karty, więc zrezygnowałem, ale zapewnili, że nie będzie problemu z miejscem. Rano darmowa kawa w hotelu, a potem autobus do Mjódd (dalekobieżny dworzec autobusowy) – 460 ISK. Udało mi się niestandardowo wymienić pieniądze w kasie autobusowej – 200 EUR = 26 000 ISK. Toaleta na dworcu kosztowała... 200 ISK (prawie 7 zł!). Bilet autobusowy z Reykjavíku do Aqureyri – 9600 ISK. Przejazd do Aqureyri trwał ok. 6,5 godziny. Po drodze piękne widoki.

Aqureyri to małe, klimatyczne miasteczko turystyczne. Liczne możliwości wycieczek na oglądanie wielorybów. Noc w pokoju 6-osobowym w Hostel Backpackers Aqureyri kosztowała 3400 ISK. W informacji turystycznej kupiłem mapę okolicznych gór za 500 ISK. Kiedy przyszedłem do portu, jacht OCEAN_A już był zacumowany przy brzegu.

11 września

Pobudka o godz. 5 i wyjście w góry Glerárdalur na trekking. W planie szczyt Sulur o wysokości 1213 m n.p.m. Szlak oznakowany żółtymi palikami wiedzie przez wulkaniczną ziemię, wodospady, strumyki, pola. Niestety, pogoda fatalna, siąpi deszcz i coraz bardziej gęsta mgła, zatem bez szans na widoki, a można jeszcze zgubić szlak, więc zdecydowałem o odwrocie. I tak wszystkiego było 5 godzin. Pranie w hotelu 900 ISK.

O godz. 16 zaokrętowanie na 23-metrowym jachcie OCEAN_A. Poza kapitanem Andrzejem Górakiem i mną załogę stanowią jeszcze cztery osoby.

12 września

Wypłynięcie z portu Aqureyri o godz. 6 rano. Płyniemy przez fiord, gdzie podziwiamy kilka wielorybów. Obok dwa inne statki z turystami. Miałem pierwszą wachtę jako sternik jachtu – z kapitanem i wachtę w kambuzie – robiłem cały dzień posiłki dla załogi. Już we fiordzie były spore fale – do 2 m i mocno kołysało jachtem. Potem przez ocean podobnie. Pogoda ładna, słońce, temperatura 6°C. Dopiero o godz. 20 wpłynęliśmy do portu na islandzkiej wyspie Grimsey, gdzie mieszka około 30 osób, głównie rybaków, w tym Polka – Ola z Siemianowic Śląskich, która wyszła za Islandczyka i pracuje w jedynym na wyspie barze. Piwo – 40 zł. Zapowiada się niezbyt korzystna pogoda na dalszą żeglugę na Grenlandię.

13 września

Rano spacer na północny kraniec wyspy. Przez nią przebiega koło podbiegunowe północne. Malownicze klify, maskonury, lotnisko, elektrownia na ropę. Marek wypróbował swojego drona. Na godz. 14 zamówiliśmy zestaw miejscowych przysmaków do spróbowania. Cały obiad z maskonura lub wieloryba kosztuje 4600 ISK. Starter – 2500 ISK, w tym mięso wieloryba z kandyzowaną cebulą, smażony dorsz i maskonur z dżemem. Dodatkowo Ola przyniosła nam do spróbowania plastry z gęsi, suszonego dorsza z masłem oraz rekina.

Wyżywamy wieczorem, ale nie wiadomo, czy dopłyniemy do Grenlandii, gdyż z uwagi na pogodę być może trzeba będzie zawrócić.

14 września

Płynęliśmy całą noc przez Morze Grenlandzkie, ale z uwagi na północy wiatr nie na północ w kierunku Grenlandii, tylko na zachód od Grimsey. Rano kolejny odczyt najnowszej prognozy pogody potwierdza najgorsze. Na całej naszej planowanej trasie będzie bardzo silny sztorm, a nawet połączą się dwa sztormy – i to na drodze do i z Grenlandii. Kapitan podjął decyzję o rezygnacji z Grenlandii i płyniemy na Islandię. Przez trzy godziny miałem chorobę morską. Było 5 w skali Beauforta. Po południu wpłynęliśmy do fiordu Skagafjörður. Po drodze skalista wysepka Drangey. Dopiero przed samym zmrokiem ok. godz. 20.30 wpłynęliśmy do portu w małej miejscowości Sautharkrókur, gdzie zostajemy na noc.

15 września

Rano poszliśmy zobaczyć miasteczko Sautharkrókur. Do portu co jakiś czas podejżdżał samochód z miejscowymi, bo byli ciekawi, kto przyłynął. Czuliśmy się jak małpy w zoo. Sytuacja powtarzała się w innych osadach. Czyste miasteczko, ładna pogoda. Próbowaliśmy dostać się w kierunku gór Tindastoll, ale wszędzie ogrodzenia, gdzie trzymane są owce i nie ma jak przejść. Zrezygnowałem z gór i wróciłem na jacht. Po południu wszyscy poszliśmy na basen z wodami termalnymi – 900 ISK/os. bez ograniczeń czasowych, ale czynny do godz. 16. Dostępny jeden większy basen z ciepłą wodą i dwa baseniki z wodą o temperaturach 39 i 41°C. Poza tym wanna z bardzo zimną wodą. Na basenie spotkaliśmy Polaków, którzy pracują w rzeźni. O godz. 23 wypływamy z portu.

16 września

Po północy było widać na horyzoncie zorzę polarną, ale dość słabo. Około godz. 2 w nocy, kiedy wypływaliśmy z fiordu Skaga, zaczął się sztorm. Rzuciło jachtem na wszystkie strony – 8–9 st. w skali Beauforta, momentami nawet 11 st.! Dwa razy miałem chorobę morską, nieprzespana noc. Mdliło mnie, jak jachtem rzucało na burty, a kiedy kołysało dziób-rufa – nie. Planowo po 6–7 godzinach rejsu mieliśmy dopłynąć do Siglufjörður. Jednak ok. godz. 9 dostaliśmy przez radio ostrzeżenie o jeszcze cięższych warunkach u wejścia do fiordu. Poinformowano nas, że się lekko uspokoi dopiero po godz. 14. Fale miały 3–3,5 m w porywach do 4,5 m. Wiatr 30–50 węzłów, w porywach ponad 60 węzłów. Sztormowali ocean – prędkość spadła do 1–2 węzłów (2–3,5 km/godz.), ale płynęliśmy we wszystkie kierunki, a nie do celu – w zależności od fali. Na wysokości fiordu ok. godz. 13.30 morze lekko się uspokoiło i zdecydowaliśmy, że płyniemy dalej do następnego fiordu – Eyja. Tu już było nieco spokojniej, ale nadal rzucało. Złe warunki pogodowe były przewidywane, ale wszystko przyspieszyło o ok. 3 godziny, dlatego nie zdążyliśmy przed pogorszeniem pogody, jak było w planach. Do portu w Dalvík dopłynęliśmy ok. godz. 20, czyli po 21 godzinach, choć mieliśmy być w morzu maksymalnie 7 godzin. Wieczorem piękna pogoda wokół fiordu, wysokie ośnieżone góry.

17 września

Po śniadaniu poszliśmy na spacer w góry. Rano było słońeczko i można było zrobić kilka ładnych zdjęć. Szliśmy najpierw przez Dalvík, a potem wzdłuż nieczynnego

wyciągu narciarskiego. Później pogoda się trochę popsuła, wiał wiatr i padał drobny deszcz. Z góry były piękne widoki na miasteczko, port, fiord i wyspę Hrisey oraz ośnieżone góry po drugiej stronie fiordu. W Dalviku jest muzeum z ekspozycją o najwyższym człowieku Islandii, który miał 2,34 m, ale czynne jest tylko w soboty w godz. 14–17. Marek, zrobił na obiad dorsza, którego złowiła poprzednia ekipa w okolicach wyspy Grimsey.

18 września

Po śniadaniu przepłynęliśmy z Dalviku na wyspę Hrisey – niecała godzina rejsu. Potem spacer po miasteczku, gdzie mieszka kilkadziesiąt osób. Jest tu restauracja, sklep czynny 3 godziny dziennie i basen za 950 ISK. Padał deszcz.

19 września

Przepłynęliśmy z Hrisey do miejscowości Grenivik – ok. 1 godzina rejsu. Padał deszcz i totalnie nie było tam co robić. To mała miejscowość niemająca nic do zaoferowania. Zdecydowaliśmy, że po obiedzie wracamy do Aqueyri – 3 godziny rejsu.

20 września

Rano wynajęliśmy toyotę avensis za 15,6 tys. ISK za dzień. Pojechaliśmy w rejon jeziora Mývatn. Najpierw zatrzymaliśmy się w okolicach wodospadów Gothafoss – wstęp bez opłat. Druga atrakcja to pola geotermalne Hverir – niesamowite kolory, dymy, jednak fatalna pogoda – deszcz. Potem pojechaliśmy w rejon wulkanu Krafla. Napadało sporo śniegu i jakiś turysta stanął wypożyczonym autem na wzniesieniu i zablokował drogę. Trzeba było zjechać w dół tyłem. Następnie w ostro padającym śniegu – na twarzy było czuć, jakby wbijały się szpilki – szliśmy w górę w śniegu do krateru Viti (za darmo). W środku jezioro kraterowe, ale przy tej pogodzie widok średni. Z góry ledwo było widać pobliską elektrownię geotermalną. Cali przemoczeni wróciliśmy do auta. W restauracji kupiłem tylko kawę za 500 ISK, bo ceny obiadu zaczynały się od 130 zł, a hamburgery były po 60 zł. Stamtąd postanowiliśmy jechać do wodospadów Dettifoss. Krajobraz księżycowy – wszędzie czarna ziemia. Szybko skończyła się droga asfaltowa i dalej była gruntowa. Po obejrzeniu wodospadów w fatalnej pogodzie wracamy przemoczeni. Tymczasem napadało śniegu i okolica robiła się biała. Kolejnym etapem była „błękitna laguna północy”, czyli naturalne baseny Mývatn, wstęp 5000 ISK. Okazało się, że bank wziął 177 zł zamiast ok. 150–160 zł. Zupa dnia tu kosztuje 40 zł, a gulaszowa 50 zł. Za darmo tylko woda z cytryną. Gorące źródła, ale padał śnieg we wrześniu, otwarte do godz. 23. Powrót samochodem około 1,5 godziny do jachtu w Aqueyri.

21 września

Wyokrętowanie z jachtu. Zastanawiałem się, czy płynąć na drugi rejs. Pogoda ma być dobra. Kapitan zgodził się na 2000 zł zamiast standardowej ceny 5000 zł (ostatecznie zapłaciłem 450 euro). Jedyne problem z przebukowaniem biletu lotniczego WizzAir z 25 września na 2 października – dodatkowy koszt 348 zł, ale nie chciała przejść płatność kartą płatniczą.

22 września

Rano przyjechali kolejni załoganci – 6 nowych osób. Udało mi się zapłacić za zmianę powrotnego lotu dopiero po zainstalowaniu aplikacji WizzAir na telefonie. Po południu spacer wzdłuż wybrzeża Aqureyri. Wypłynęliśmy o godz. 22.20.

23 września

Nawet w miarę dobrze się spało w koi na oceanie – było dość spokojnie, lekko bujało. Cały dzień ładna pogoda, ale i tak trudno się umyć pod prysznicem. Minęliśmy wyspę Grimsey, potem kuter rybacki, następnie była skała w oceanie, ale minęliśmy ją dość daleko i nie było jej dokładnie widać. Około godz. 23 mogliśmy natomiast podziwiać zieloną zorzę polarną. Najpierw była na całym niebie, a później przed jachtem. Co ciekawe, jak już nie było widać zorzy gołym okiem, to po zrobieniu zdjęcia było ją dobrze widać na zdjęciu.

24 września

W nocy ok. godz. 2–4 pogorszyły się warunki morza i zaczęło mocno rzucać jachtem. Było 7–8 st. w skali Beauforta. Po nocnej wachcie w godz. 4–8 rano byłem tak wykończony po nieprzespanej nocy, że nie miałem nawet ochoty na śniadanie i od razu poszedłem spać. Wstałem dopiero na obiad ok. godz. 16. Znowu zaczęło mocniej bujać jachtem. Temperatura na zewnątrz 1°C. Około godz. 20, czyli dokładnie wtedy, kiedy zapadł zmrok, wpłynęliśmy w strefę występowania gór lodowych. Kapitan – poza tym że cały czas kontrolował radar – dodatkowo kazał patrzeć załodze przed dziób jachtu, czy nie widać gór lodowych. Bardzo trudne warunki pogodowe – deszcz, dziób jachtu rzucał się na wodę i podskakiwał na przemian. Od fal odbijało się dziobowe światło zielone z prawej strony i czerwone z lewej. Fale uderzały w jacht i rozbryzgiwały się na pokładzie i na przednich szybach.

25 września

Dopiero o godz. 5, czyli na chwilę przed świtem, morze uspokoiło się. Około godz. 8 byliśmy już w fiordzie Scoresby. Wciągnęliśmy na maszt małą flagę Grenlandii. Z Islandii płynęliśmy łącznie 59 godzin. We fiordzie kilka gór lodowych. Na kotwicowisku w Ittoqqortoormiit rzuciliśmy kotwicę i po posiłku kapitan ribem, czyli pontonem z silnikiem zawiózł wszystkich załogantów do osady, gdzie mieszka ok. 400 Inuitów. Dostaliśmy od kapitana dwie racje do ewentualnego odstraszenia niedźwiedzi polarnych, które pojawiają się w osadzie i są bardzo niebezpieczne. Byliśmy w sklepie artystycznym – bardzo drogo, w sklepie z pamiątkami, w markecie, gdzie można kupić strzelby, u policjanta, który wbił nam pieczątki do paszportu, na lotnisku helikopterowym, skąd rozpościera się piękny widok na fiord i góry. Wszyscy jeżdżą tu quadami. Nie ma problemu z robieniem zdjęć. Po godz. 16 przypłynął po nas kapitan. Na kotwicowisku stał też jacht z RPA, który odpłynął wieczorem. Piękna pogoda, ludzie otyli.

26 września

Rano tankujemy olej napędowy. Podpływamy rufą pod nabrzeże i jacht tankuje paliwo z 6000-litrowej beczki przywiezionej spychaczem na nabrzeże. Zatankowaliśmy 2 tys. litrów. Kosztuje 5,1 DKK/l (ok. 2,60 zł). Potem poszliśmy jeszcze do osady. Kupi-

łem widokówkę za 10 DKK. Powrót na jacht i popłynęliśmy podziwiać góry lodowe we fiordzie. Podpłynęliśmy do pierwszej góry lodowej i próbowaliśmy się na nią dostać za pomocą riba. Niestety jest bardzo śliska oraz ostra i nie ma możliwości zejścia. Potem płyniemy jachtem do kolejnych czterech gór lodowych. Mają przedziwne kształty, niektóre mają bruzdy, co oznacza, że orały dno, a potem się obróciły do góry nogami. Od jednej z gór oderwał się mały kawałek lodu i wpadł do wody. Na szczęście, nie wywołało to dużej fali. Z daleka widzieliśmy opuszczoną wioskę Inuitów Igterajivt i pięknie ośnieżone góry przy brzegu.

Kapitan sprawdził prognozę pogody, z której wynikało, że za dwa dni będzie załamanie pogody na oceanie. Zapadła decyzja, że wracamy od razu. Z powodu mojego niezadowolenia z obrotu sytuacji, miałem wtedy wypowiedzieć słowa: „jak Andrzej mówi, że spier..., to nie dyskutujemy, tylko spier...”. O godz. 23.20 wypłynęliśmy w drogę powrotną na Islandię, mimo że w planach na następny dzień mieliśmy lodowiec Milano i Roma oraz opuszczoną wioskę Ûnarteq.

27 września

W nocy bardzo spokojny ocean. Trzeba było tylko ominąć dwie duże góry lodowe, które pojawiły się na zaplanowanej trasie jachtu. Obie zostały wykryte przez radar. Cały dzień bardzo dobre warunki na oceanie, brak fali, lekki wiatr. W nocy znowu zielona zorza polarna.

28 września

W nocy trochę rzuciło jachtem, ale prawdziwy armagedon (najgorszy sztorm na całej trasie) zaczął się ok. godz. 6 rano. Silny sztorm ok. 9–10 w skali Beauforta, nawet do 12 stopni (wiatr 67 węzłów). Woda morska nie tylko regularnie zalewała przednie szyby i pokład, ale wdarła się do nadbudówki przez przewody wentylacyjne i okno dachowe, zalewając całą podłogę. Łącznie trwało to 12 godzin. W efekcie, z powodu niekorzystnego w dodatku kierunku wiatru, nie dało się wpłynąć na wyspę Grimsey. Kilka razy halsowaliśmy na północ od wyspy. W pierwotnych planach mieliśmy tam dotrzeć ok. godz. 8 rano, ale ostatecznie kapitan zdecydował, że popłyniemy do Húsavíku. Sztorm skończył się ok. godz. 18. Cały dzień bez picia i jedzenia. Ostatecznie do portu Húsavík wpłynęliśmy o godz. 23. Powrót z Grenlandii zajął nam 50,5 godziny. W Húsavíku od razu na jacht weszła celniczka i trzeba było wypełniać papiery.

29 września

W końcu dobrze się wyspałem. Niestety w Húsavíku fatalna pogoda, pełne zachmurzenie, zimno i pada deszcz. W związku z tym cały dzień zostajemy na jachcie i gramy w karty.

30 września

Zrobiła się ładna pogoda i słońce, choć zimno. Z Piotrkim poszliśmy wypłacić pieniądze z bankomatu (prowizja 175 ISK przy wypłacie 4000 ISK), by zapłacić opłaty portowe za dwa dni, czyli 4000 ISK. Potem spacer po mieście. Także tutaj spotykamy Polaków. Kapitan naprawił tłumik w silniku i pompę. Są tu dwa czy trzy muzea, ale wstęp do muzeum wielorybów kosztuje aż 1900 ISK. Odwiedziliśmy tylko protestancki kościółek. O godz. 16.30 wypłynęliśmy do Aqureyri.

1 października

Po spokojnym nocnym rejsie o godz. 5 rano dopłynęliśmy do Aqueyri. Kapitan rozdał uczestnikom rejsu opinię o każdej z osób. Posprzątaaliśmy kajuty. Piotrek wynajął volkswagena golfa z oponami z gwoździami z pełnym ubezpieczeniem za 190 EUR za dzień. O godz. 9.30 wyjechaliśmy z Aqueyri. Na początku mocno padał śnieg i droga była totalnie biała, potem na przemian był mały deszczyk i ulewa. Po południu dojechaliśmy do Geysir – to gejzer, skąd wzięła się nazwa dla tego zjawiska przyrodniczego. Bez biletu wstępu. Wybucha co kilka minut. Po obu stronach drogi góry, wulkaniczne, czarne skały. Druga atrakcja to wodospad Gullfoss. Jest naprawdę imponujący, ale deszcz zniechęca do wszystkiego. Następny wodospad – Öxarárfoss, gdzie woda spada z czegoś na kształt góry stołowej. W czasie jazdy zarezerwowałem na komórce przez booking.com najtańszy możliwy hostel w Keflaviku. Łóżko w pokoju wieloosobowym ze śniadaniem w hostelu Start kosztowało 7700 ISK. W całym hotelu pracują sami Polacy.

2 października

Na śniadanie szwedzki stół. Poszedłem na ponad 3-godzinny spacer na wybrzeże. Ładna pogoda, ale wieje wiatr. O godz. 14 wróciłem do hotelu po bagaż i pojechałem autobusem nr 55 na lotnisko. Wylot do Polski liniami WizzAir o godz. 19.35.

3 października

O godz. 1 w nocy, czyli 50 minut przed czasem, przylot na lotnisko w Pyrzowicach.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przekraczanie granicy

Islandia, nie będąc członkiem Unii Europejskiej, jest w strefie Schengen, natomiast przy wpłynięciu na Grenlandię trzeba mieć paszport.

Zdrowie i bezpieczeństwo

Nie ma żadnych specjalnych niebezpieczeństw zdrowotnych. Islandia jest bardzo bezpieczna dla turystów, także w nocy. Na Grenlandii największym niebezpieczeństwem są białe niedźwiedzie.

Waluty

Na Islandii obowiązuje korona islandzka, a na Grenlandii – korona duńska. Na Islandii w niedzielę nie ma gdzie wymienić pieniędzy, bo mogą to robić tylko banki, a te w niedziele są zamknięte. Ale niemal wszędzie można płacić kartami płatniczymi.

Noclegi

Poza dojazdem do Aqueyri wszystkie noclegi spędziłem na jachcie. Hotele i hostele na Islandii są makabrycznie drogie. Najtańszy hostel w Keflaviku, jaki znalazłem, kosztował ponad 250 zł za łóżko w pokoju wieloosobowym. Za nocleg w pokoju wieloosobowym w hostelu w Aqueyri zapłaciłem ok. 105 zł.

Jedzenie

Ceny w marketach czy w restauracjach na Islandii są kilka razy wyższe niż w Polsce. Wodę można pić z kranu. Bułka – 155 ISK, chleb tostowy – 300 ISK, chleb zwykły

– 700 ISK, batonik mały – 39 ISK, napój pomarańczowy 0,5 l – 159 ISK, wódka 0,5 l – 4000 ISK (130 zł), piwo Lech 0,5 l – 400 ISK (13 zł), piwo Łomża 0,33 l – 300 ISK (10 zł). Kawa w podręcznym barze kosztuje 300 ISK, w normalnym 1400 ISK. W Ittoqqortoormiit na Grenlandii jest jeden market z równie wysokimi cenami.

Komórki i Internet

Na Islandii w restauracjach i hotelach Wi-Fi jest powszechnie dostępne i bezpłatne. Nie ma problemu z zasięgiem telefonów komórkowych i nie płaci się za roaming – tak jak w krajach UE, czyli dzwoniąc do Polski, ceny są takie same, jak byśmy dzwoniли w granicach Polski. Widokówka kosztuje 99 ISK, a znaczek do Polski – 225 ISK. Na Grenlandii bardzo wysokie ceny połączeń telefonicznych i internetowych.

Pogoda i różnica czasu

Na Islandii we wrześniu niemal codziennie padał deszcz, a od połowy miesiąca – śnieg. Temperatura ok. 0–5°C. Bardzo wietrznie. We wschodniej Grenlandii temperatura była podobna, ale ładną pogodę zapewniał wyż grenlandzki. Naszą jesienią różnica czasu między Polską a Islandią wynosi dwie godziny, które należy odjąć.

Język

Bez problemu można dogadać się po angielsku.

Transport

Na Islandii jest mnóstwo wypożyczalni samochodów, jednak ceny są kosmicznie wysokie. A do tego dochodzi cena paliwa (benzyna 95 – 232 ISK = ok. 7,5 zł). Mimo to w sezonie letnim może być problem z wynajęciem samochodu i dlatego dobrze jest zarezerwować auto wcześniej przez Internet. Na trasie dookoła Islandii alternatywą są autobusy, ale te nie jeżdżą w interior, chyba że w ramach wycieczki. Bilet na autobus w Reykjavíku kosztuje 460 ISK.

Agnieszka Dąbrowska
Krzysztof Batycki

Inflanty estońskie, łotewskie i polskie



Termin: 29 czerwca – 8 lipca 2018

Choć w minionych latach udało mi się przepłynąć Bałtyk kajakiem w poprzek (patrz tom XIX *Przez świat*), a wcześniej – samotnie objechać go rowerem prawie dookoła, to spośród kilkunastu moich wypraw nad Bałtyk właśnie ta, zrealizowana wspólnie z Agnieszką, stała się najważniejszą.

Założenia były proste: zabieramy ze sobą ekwipunek biwakowy i wyruszamy samochodem z Radomia (ja) i Warszawy (Agnieszka), przez Litwę, na Łotwę i do Estonii. W planie mieliśmy odwiedzenie miejsc, w których byłem kiedyś sam, a które pragnąłem pokazać Agnieszce, oraz takich, w których jeszcze żadne z nas nie było. Noclegi: namiot i śpiwory w bagażniku dawały nam poczucie niezależności od udogodnień cywilizacji, choć założyliśmy, że nocować będziemy w hotelach i pensjonatach. Gdy ja prowadziłem samochód, Agnieszka każdego kolejnego dnia szukała w Internecie, w swoim telefonie komórkowym, miejsca na bieżący nocleg. I zawsze takowe udawało nam się znaleźć, najczęściej dzięki stronie internetowej booking.com

RELACJA Z PODRÓŻY

29 czerwca

Po pracy wyjechaliśmy z Warszawy, zamierzając dotrzeć ok. godziny 1 w nocy do Goldyngi (łot. Kuldīga). I plan prawie udało się nam zrealizować, gdyby nie jeden, drobny szczegół: gdy dojechalismy na miejsce, rzeczywiście była godzina 1... czasu polskiego. A na Łotwie 2. Drobiazg. Na szczęście błąd w moich szacunkach odkryliśmy jeszcze na Litwie i zdążyliśmy powiadomić o przewidywanym opóźnieniu właścicielkę kwatery. Ta szybko znalazła rozwiązanie: klucz dla nas zostawiła w otwartej skrzynce pocztowej.

Na miejsce dotarliśmy o zmierzchu, to jest o godz. 2 czasu lokalnego. Goldynga jest położona już na tyle na północ, że na przełomie czerwca i lipca panują tam „białe noce”.

„Białe noce” występują pomiędzy 55 równoleżnikiem a kołem podbiegunowym, w czerwcu i lipcu (za kołem podbiegunowym jest to już dzień polarny). Podczas ich

trwania Słońce chowa się poniżej horyzontu, jednak czyni to około północy i – w zależności od momentu lata oraz szerokości geograficznej – na nie dłużej niż 4 godziny. Sprawia to, że zmierzch przechodzi w świt i nie następuje okres całkowitych ciemności.

Noc spędziliśmy w Vintage Anna Apartment przy Baznicas iela w Goldyndze. Było to dwupokojowe mieszkanie, schludnie i urokliwie urządzone w tzw. „stylu Vintage”, znajdujące się w z zewnątrz odrapanej, zabytkowej kamienicy, w samym sercu Starego Miasta, przy cichej, mało uczęszczanej uliczce. Parkowanie samochodu w okolicy jest bezpłatne.

30 czerwca

Goldynga była drugim najważniejszym, po stołecznej Mitawie, miastem Księstwa Kurlandii i Semigalii – niewielkiego państwa, władanego przez dynastię Kettlerów, powstałego w wyniku pokonania Zakonu Krzyżackiego, przez cały okres swego istnienia związane zależnością lenną z Koroną Polską.

Historyczna zabudowa Starego Miasta zachowała się do naszych czasów w bardzo dobrym stanie. Centrum pełne jest urokliwych kamieniczek, malowniczych uliczek, kawiarni i restauracji oferujących przysmaki lokalnej kuchni.

Przez centrum miasta wije się niewielka rzeka o nazwie Aleksupite, która wpada do Windawy. Z kolei na całej szerokości Windawy, na odcinku przepływającym skrajem Goldyngi, rozciąga się zapierający dech w piersiach wodospad. Choć ma on zaledwie 2 metry wysokości, to jego szerokość – przeszło 100 metrów – naprawdę robi wrażenie. Co więcej, woda na jego szczycie jest na tyle płytka i płynie na tyle wolno, że z jednego brzegu na drugi da się przejść po dnie.

Chyba najbardziej interesującą osobą pochodzącą z Goldyngi był książę Jakub Kettler. Przez wielu historyków uważany za najpotężniejszego władcę Kurlandii i Semigalii, w wielu miejscach miasta został upamiętniony przez mieszkańców (pomnik, tablica pamiątkowa, pamiątki z jego podobizną dostępne w wielu sklepach).

Miasto opuściliśmy późnym popołudniem. Ponieważ właścicielki nie było akurat w Goldyndze, opłatę za pobyt (40 EUR) zostawiliśmy na stole w salonie, a klucze w skrzynce pocztowej.

Wieczorem dotarliśmy do Rygi.

1 lipca

W Rydze spędziliśmy dwie noce. Pierwsza była niestety wybitnie nieudana. Nocowaliśmy w Baltic Hostel przy Merkela iela 1. Choć rezerwację mieliśmy na dwie noce (58,40 EUR za dwie osoby), to po pierwszej uciekliśmy – w hostelu było brudno, mimo zakazu palenia wszystko było przesiąknięte dymem tytoniowym, okno w naszym pokoju nie domykało się, toteż z przebiegającej wzdłuż kamienicy ruchliwej ulicy przez całą noc dobiegał gwar. W cenie pobytu oferowane było śniadanie, które zwyczajnie nie jest w obiekcie podawane. Obsługa pobrała z mojej karty płatniczej opłatę za obydwie noce. Prośby o zwrot opłaty za drugą noc do dziś zostały bez odpowiedzi. Było to pierwszy raz, gdy zostaliśmy w ten sposób oszukani w Europie.

Zwiedzanie miasta połączyliśmy z poszukiwaniami nowego, normalnego miejsca na spędzenie drugiej nocy. Zamiast „normalnego” miejsca znaleźliśmy elegancki hotel – trochę po to, by wynagrodzić sobie poprzednią noc. Radisson, na rogu ulic Ba-

rona i Lacplesa, w samym centrum XIX-wiecznej części miasta. Za 52 EUR mieliśmy do dyspozycji apartament składający się z sypialni, salonu z aneksem kuchennym (w pełni wyposażona kuchnia) i łazienki. Jedna ze ścian sypialni i salonu w całości była przeszklona, oferując malowniczy widok na XIX-wieczne kamienice. Dodatkowo zapłaciliśmy 7 EUR za pozostawienie samochodu na dobę na hotelowym parkingu przy sąsiedniej ulicy (w centrum miasta i przyległych dzielnicach parkowanie jest wszędzie płatne).

Ponad wszelką wątpliwość Ryga należy do najpiękniejszych europejskich metropolii. Przez Stare Miasto wiją się dziesiątki krętych, wąskich uliczek, przy których wznoszą się liczne, średniowieczne, renesansowe i barokowe kamieniczki, kościoły o niebośiężnych wieżach (niektóre dostępne do zwiedzania, oferujące ze swego szczytu zapierający dech w piersiach widok na miasto). W wyniku bombardowań podczas II wojny światowej powstało kilka dodatkowych placów, których nie powinno być w obrębie średniowiecznej tkanki urbanistycznej. Jednak i one zostały przez władze miasta rozsądnie zagospodarowane – powstały na nich głównie tereny zielone, jak też znalazły tam swoje miejsce „ogródki” pobliskich restauracji i stragany z jedzeniem czy pamiątkami. Z Dźwiną, nad którą położona jest Ryga, mieszkańcy miasta mają podobny problem, jak do niedawna warszawiaczy z Wisłą czy szczecinianie z Odrą. Miasto nie tyle leży „nad” Dźwiną, co raczej „obok” niej – w czasach radzieckich wybudowano na nabrzeżu „autostradę”, skutecznie oddzielającą miasto od rzeki. Także próżno tu szukać bulwaru do spacerowania, na wzór gdańskiego, krakowskiego czy toruńskiego.

Stare Miasto otoczone jest pięknym, ogromnym parkiem, utworzonym w XIX w. na miejscu dawnych fortyfikacji miejskich, wokół wypełnionej wodą fosy. Po fosie można pływać łodziami wiosłowymi, wypożyczanymi na miejscu.

Naokoło parku, na przestrzeni wielu kilometrów, rozciąga się XIX-wieczna Ryga – regularny, szachownicowy układ ulic, szczelnie wypełnionych monumentalnymi, przebogato zdobionymi kamienicami we wszystkich możliwych stylach architektonicznych, wśród których zdecydowanie dominuje secesja. Niektóre przewodniki podają, że nawet 1/3 zabudowy została wzniesiona w tym stylu i że jest to największe skupisko secesyjnej architektury w Europie. Z własnego doświadczenia wiem, że dwa dni to za mało, by chociaż obejść w całości historyczną część Rygi, nie wspominając już o zwiedzeniu przebogatych zbiorów licznych muzeów.

2 lipca

Wczesnym popołudniem opuściliśmy stolicę, udając się na północ.

Po drodze zwiedziliśmy skansen nad jeziorem Juglas (Latvijas Etnografiskais brīvdabas muzejs, bilet wstępu – 4 EUR). Muzeum jest ogromne, na rozległym terenie, porośniętym lasem, znajdują się setki obiektów: wiejskie chałupy, budynki gospodarcze, wiatraki, zabytkowy kościół, karczma. Jeden dzień nie wystarczy, by odwiedzić je wszystkie.

Wieczorem dojechaliśmy do Haapsalu w Estonii – najważniejszego punktu naszej podróży, gdzie spędziliśmy 3 noce.

3, 4 lipca

Ja sam byłem tu już trzeci raz. Agnieszka po raz pierwszy.

Miasteczko doskonale pamięta czasy średniowiecza, gdy ziemiami dzisiejszej Łotwy i Estonii władał Zakon Kawalerów Mieczowych, a później stały się one terenem zmagania o dominację wielkich mocarstw „Północy”, zwłaszcza Polski i Szwecji. Centrum miasta stanowi średniowieczny zamek biskupów, którzy niegdyś sprawowali władzę na tym obszarze. Zamek, choć w stanie ruiny, w większości zachował się do naszych czasów: mieści niewielkie muzeum, do zwiedzania dostępne są piwnice i wieża, z której roztacza się wspaniały widok na wybrzeże (niestety, były akurat niedostępne, ze względu na trwający remont), a dawna katedra do dziś pełni funkcję sakralną, choć nie należy już do kościoła rzymskokatolickiego, lecz do ewangelicko-augsburskiego. Świątynia jest również miejscem wielu wydarzeń kulturalnych, jak koncerty czy wystawy.

W XIX w. miasteczko zaczęło się przekształcać w kameralny kurort wypoczynkowy. Sprzyjały temu zwłaszcza piękna, dzika przyroda, malownicze wybrzeże, tak bardzo modne w tamtych czasach romantyczne ruiny zamku i niewielka (jak na imperium rosyjskie) odległość od Tallina i Petersburga. Powstały liczne pensjonaty i domy wypoczynkowe, wybudowano promenadę wzdłuż wybrzeża – wszystko to zachowało się do dziś. Mieszanka wpływów skandynawskich i rosyjskich w tutejszej architekturze, głównie drewnianej, z dodatkiem silnych wpływów niemieckich, tworzy niepowtarzalny urok całej miejscowości.

Pośród kilku muzeów, obok zamku, najbardziej zwraca uwagę XIX-wieczny dworzec kolejowy. Po pierwsze – ze względu na swoją piękną, oryginalną architekturę – podobno najdłuższy w Europie, drewniany, zadaszony peron. Po drugie – historię: jego uroczystego otwarcia dokonał osobiście car Mikołaj II. A po trzecie – zbiory muzealne. W roku 2004 linia kolejowa została zlikwidowana, jednak na miejscu pozostał zabytkowy tabor, w tym kilka parowozów. Wśród eksponatów znajdujących się w pomieszczeniach dworca dominują pamiątki po kolejnictwie, jednak znaleźliśmy tam również oryginalny telefon „Tulipan”, pochodzący z Radomskiej Wytwórni Telefonów.

Na uwagę zasługuje ławka Czajkowskiego, powstała w latach II wojny światowej pomnik, upamiętniający pobyt słynnego kompozytora w Haapsalu. W sposób pośredni upamiętnia ona jeszcze jedno, doniosłe wydarzenie: właśnie na niej poprosił Agnieszkę o rękę, a ona zgodziła się mi ją oddać.

Do sławnych gości miasteczka zalicza się także car Piotr Wielki, którego pobyt upamiętnia tablica na budynku, w którym nocował.

Wszystkie trzy noce spędziliśmy w kameralnym, przytulnie urządzonym pensjonacie Villa Marienholm, znajdującym się pośrodku długiego, wąskiego półwyspu (Väike-Viigi 10, cena za dwie osoby – 65 EUR za noc – po zniżce w związku z rezerwacją na ostatnią chwilę). Z balkonu mieliśmy widok na Bałtyk, a z okna sypialni – na zamek.

5 lipca

Około południa udaliśmy się do Tallina – najlepiej zachowanego, średniowiecznego miasta nad Bałtykiem, które swoim urokiem wręcz zmusza każdego odwiedzającego do wielogodzinnych spacerów. Blisko połowa okazałej Starówki do dziś otoczona jest świetnie zachowanymi, średniowiecznymi fortyfikacjami. Na ścianie barbakanu wisi tablica upamiętniająca ucieczkę we wrześniu 1939 r., z tutejszego portu, polskiego

okrętu podwodnego „Orzeł”. Z kolei po przeciwnej stronie Starego Miasta każdy może sobie usiąść na ławeczce Fryderyka Chopina, ufundowanej przez Ambasadę Polski, na której widnieje cytat C.K. Norwida.

Obok pełnego poniemieckich, średniowiecznych, renesansowych i barokowych kamienic Starego Miasta znajdują się, stanowiące swoisty kontrast, dawne XIX-wieczne przedmieścia, zdominowane przez drewnianą zabudowę, charakterystyczną dla północnych terenów Rosji. I choć dziś także i one znajdują się w centrum miasta, to w dużej mierze zachowały charakter pochodzący z minionej epoki.

Noc spędziliśmy w schludnie urządzonym Zair Apartments (ul. Kopli 28, cena za dwie osoby – 65 EUR), w charakterystycznym dla wspomnianych przedmieść Tallina piętrowym, drewnianym budynku, oddalonym o zaledwie kilka minut spaceru od Starego Miasta.

6 lipca

Przed wyjazdem ze stolicy zwiedziliśmy jeszcze Muzeum Morskie, mieszczące się w poniemieckim, betonowym hangarze wodnosamolotów, otwarte w 2012 r. Wśród bogatych zbiorów dotyczących tematyki morskiej, w tym kilkunastu statków, na szczególną uwagę zasługuje okręt podwodny „Lembit”. Jeden z dwóch okrętów podwodnych Estońskiej Marynarki Wojennej, zachowany w doskonałym stanie, w całości udostępniony do zwiedzania.

Wieczorem, po niemal całym dniu spędzonym w muzeum, dotarliśmy do Dorpatu (est. Tartu). Noc spędziliśmy w oddalonej o kilka km od miasta wiosce, w Ilmatsalu Motell (Järve tee 15, cena za noc dla 2 osób ze śniadaniem – 42 EUR). Standard motelu był średni, jakkolwiek nie dawał powodów do istotnych narzekañ – widać, że właściciele się starają (trwał remont części obiektu, który nie powodował żadnych niedogodności dla gości). Ponadto z okna mieliśmy śliczny widok na pobliskie stawy.

7 lipca

Dorpat to drugie co do wielkości miasto Estonii. Uznawane za intelektualną i kulturalną stolicę państwa, tętni życiem i jest pełne zabytków, zgromadzonych zwłaszcza w obrębie Starego Miasta. Choć jego zabudowa została poważnie zniszczona w czasie II wojny światowej, to odbudowane zostało w sposób, który pozwolił mu nie utracić uroku zabytkowego, historycznego miasta.

Związki miasta z Polską od stuleci były bardzo wyraźne. Prawa miejskie nadał mu król Stefan Batory, a na istniejącym od blisko 400 lat uniwersytecie studiowało wielu Polaków.

Wczesnym popołudniem wyruszyliśmy z Dorpatu w kierunku Polski. Po drodze zatrzymaliśmy się na krótko w przygranicznym łotewskim miasteczku Valga. Tam znaleźliśmy tablicę upamiętniającą króla Stefana Batorego.

Naszym kolejnym przystankiem było miasteczko nieopodal Rygi, o niewiele mówiącej nazwie Salaspils. Jest ono znacznie lepiej znane w Polsce pod historyczną, niemiecką nazwą – Kirchholm. Na miejscu słynnej bitwy pomiędzy zjednoczonymi siłami Rzeczypospolitej i Księstwa Kurlandii i Semigalii a Szwedami, wznosi się pomnik upamiętniający to wydarzenie.

Dla kontrastu, po przeciwnej stronie szosy znajduje się drugi pomnik – upamiętniający Henryka Wrede – szlachcica, który w czasie bitwy uratował życie szwedzkiego króla, oddając mu własnego konia, na którym król ratował się ucieczką.

Wkrótce po godz. 23 dotarliśmy do Suwałk. Niestety, po raz kolejny booking.com nas zawiódł. Choć kilka godzin wcześniej zarezerwowaliśmy nocleg w hotelu „Apartamenty-Europejska” przy ul. Wojska Polskiego 102 i nawet otrzymaliśmy e-mail z potwierdzeniem naszej rezerwacji (!), to po dotarciu na miejsce okazało się, że przez błąd recepcjonistki nasz pokój został już wynajęty komuś innemu. Niestety, pracownicy hotelu, oprócz słowa „przepraszam”, nie pozwolili nam odczuć, że jesteśmy ich godnymi szacunku gośćmi i z problemem znalezienia noclegu o północy pozostawili nas samym sobie. Nie znając Suwałk, nie zdołaliśmy znaleźć żadnego wolnego miejsca do przenocowania (była noc z soboty na niedzielę, w środku sezonu urlopowego) i po całonocnej jeździe, nad ranem, dotarliśmy do Warszawy.

Podsumowując kwestię noclegów: w przypadku Łotwy i Estonii śmiało można sobie pozwolić na wyjazd bez wcześniejszej rezerwacji, nawet w środku letniego sezonu. Również wybór cen i standardu pozostaje niemały (my wybieraliśmy miejsca w średniej cenie i o dość dobrym standardzie). Jeszcze większą swobodę daje podróżowanie z namiotem po kempingach. Jak nauczyło nas doświadczenie, dobrze jest każdą rezerwację potwierdzać telefonicznie, w dniu przyjazdu, a przed jej dokonaniem – dokładnie czytać ogólnie dostępne w Internecie opinie na temat obiektu.

Nie zawsze w pełni zrozumiałe pojęcie „Inflanty” najlepiej odnosi się do dzisiejszych Łotwy i Estonii. Były to ziemie władane w średniowieczu przez Zakon Kawalerów Mieczowych (później – część Zakonu Krzyżackiego), a następnie obiekt zmagający wielkich mocarstw „Północy”, w tym Polski. Od czasów ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej aż do I wojny światowej – pod panowaniem Rosji, w okresie międzywojennym niepodległe Łotwa i Estonia, później część ZSRR, a ostatecznie – od roku 1991 znowu niepodległe kraje.

Do I wojny światowej wiodąca rola w większości miast przypadała niemieckiemu mieszczaństwu (mówiąc w uproszczeniu – potomkom Krzyżaków). „Rozkwit” lokalnej świadomości narodowej (Łotyszy i Estończyków) nastąpił dopiero w połowie XIX wieku, a na dobre – po ukształtowaniu się nowego porządku po rewolucji październikowej (1917 r.). Ślady niemieckiej obecności wyraźnie widoczne są po dziś dzień w niemal wszystkich miastach i wielu miejscach na prowincji w postaci architektury (kamienice, kościoły, dwory czy pałace), niemieckich nazw, cmentarzy, tablic pamiątkowych.

Dostępne dla każdego ślady silnych związków z Polską większości odwiedzonych przez nas ziem opisaliśmy powyżej.

Łotwa i Estonia są członkami Unii Europejskiej, sygnatariuszami traktatu z Schengen. Na granicach nie odbywają się regularne kontrole graniczne, do ich przekroczenia obywatelom Unii Europejskiej potrzebny jest jedynie dowód osobisty. Polskie prawo jazdy i ubezpieczenie OC samochodu jest wystarczające. Zakup paliwa na licznych stacjach benzynowych nie stanowi problemu, jakkolwiek w Estonii było ono wyraźnie droższe niż w Polsce i na Łotwie.

Obowiązującą walutą jest euro, wymiana złotych w kantorze czy wypłata gotówki w bankomacie nie stanowi problemu.

Ubezpieczenie w polskim ZUS-ie obejmuje obydwa kraje, podobnie jak całą Unię. Dokumentem ułatwiającym załatwienie wszelkich formalności na wypadek choroby jest Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego.

Ceny na Łotwie są porównywalne z tymi w Polsce. Z kolei w Estonii jest już nieco drożej, jednak zaznaczyć należy, że byliśmy w tym kraju jedynie w bardzo turystycznych i dość zamożnych miejscach. Można zatem domniemywać, że na prowincji i w miastach mniej turystycznych powinno być taniej.

Choć dominującymi językami są, odpowiednio, łotewski i estoński, to około 1/3 mieszkańców obu krajów to Rosjanie. Także wśród Łotyszy i Estończyków, zwłaszcza pokoleń średniego i starszego, znajomość rosyjskiego jest powszechna. Wśród języków obcych znanych pokoleniu młodszemu dominuje z kolei angielski.

Większość napisów, oprócz języków narodowych, jest także po rosyjsku i angielsku, czasem także i po niemiecku, rzadziej po fińsku czy szwedzku.

Milena Dąbrowska
Agnieszka Dąbrowska
Krzysztof Batycki



Skrzydlate Azory

Termin: 11–27 maja 2018

Czym jest portugalski Azor?

Azor, jaki jest w Polsce, każdy widzi. Natomiast każdy azor w Portugalii posiada parę skrzydeł. Mogłoby się wydawać to dziwne, gdyby nie fakt, że po portugalsku Azory (açores – wym. asorysz) to po prostu jastrzębie i to właśnie od tych ptaków pochodzi nazwa archipelagu.

Geografia, ludność

Na Azory składa się 9 wysp, położonych niemal pośrodku Atlantyku, rozrzuconych na przestrzeni 650 km. Z racji dużych odległości między nimi nie są one ze sobą dobrze skomunikowane. Promy między wyspami kursują tylko latem i kosztują od 30 do 100 EUR, przy czym jeden prom płynie w jedną stronę, drugi z powrotem, więc podróż może trwać nawet dwa dni, samoloty zaś kursują kilka razy w tygodniu, jednak również są drogie (50–120 EUR). Ceny biletów na promy i samoloty są niższe dla osób poniżej 30. roku życia.

W związku z powyższym mieszkańcy każdej z wysp stanowią odrębną społeczność, w niewielkim stopniu oddziałując na społeczności sąsiednich wysp.

Największa z wysp archipelagu – São Miguel – ma niespełna 750 km² i liczy niecałą ćwierć miliona mieszkańców. Ja i Agnieszka byliśmy na wyspie o nazwie Terceira – trzeciej co do wielkości w archipelagu. Dlaczego akurat na niej? Bo tu, od półtora roku, mieszka i pracuje Agnieszki siostra – Milena.

Jak dotrzeć na Azory?

Tanie linie lotnicze oferują regularne połączenia z Lizbony oraz z Porto na Terceirę – do portu lotniczego w Lajes. „Bezpośredni” bilet z Polski na Azory, z co najmniej jedną przesiadką, jest dość drogi (ceny zaczynają się od 300 EUR) i z reguły konieczne jest spędzenie nocy w Lizbonie. Ponieważ moi rodzice mieszkają w Lizbonie, mieliśmy komfort noclegów w dowolnym terminie. Kupiliśmy dwie pary niezależnych biletów lotniczych w obie strony: jedną relacji Warszawa–Lizbona, drugą: Lizbona–Terceira.

ira. Od 11 do 16 maja byliśmy w Lizbonie, z kolei od środy do środy (16–23 maja) na Terceirze i od 23 do 27 maja znowu w Lizbonie. O terminie pobytu na Azorach zdecydowała cena – loty w środy były najtańsze.

Podsumowując: najlepszym sposobem dotarcia na Azory wydaje się nam podróż z krótkim pobylem w Lizbonie. Dobrym pomysłem jest też obrać sobie za cel tylko jedną wyspę, chyba że ma się dużo czasu na korzystanie z promów lub możliwości finansowe na korzystanie z samolotów.

Azory, jako część Portugalii, należą do Unii Europejskiej i znajdują się w strefie Schengen. By tam się dostać, obywatelom UE potrzebny jest jedynie dowód osobisty. Obowiązującą walutą, podobnie jak w całej Portugalii, jest euro.

11–16 oraz 23–27 maja

Ja i Agnieszka gościliśmy w Lizbonie u moich rodziców, zwiedzając miasto i jego okolice.

16–23 maja

W dniu naszego przylotu do Lajes Milena odebrała nas z lotniska. To, jak i późniejsze podróże, ułatwił fakt, że dysponuje ona samochodem. Choć Terceira ma niespełna 30 km średnicy, to posiadanie samochodu znacznie ułatwia zwiedzenie wyspy. Komunikacja zbiorowa na wyspie istnieje, jednak połączeń nie ma zbyt wiele i autobusy kursują rzadko. Dobrym pomysłem przemieszczania się jest również rower, jednak należy liczyć się z pewnymi niedogodnościami. Wyspa jest dość górzysta – najwyższy szczyt wznosi się ponad kilometr nad poziomem morza. Choć lokalne drogi nie są zbyt uczęszczane, to są kręte i często wąskie, toteż rowerzyści muszą być bardzo ostrożni. Na Azorach bardzo często pada deszcz, więc niezbędny jest strój przeciwdeszczowy.

Na cały tygodniowy pobyt, wynajęliśmy dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze typowej dla Portugalii kamieniczki, w centrum Angra do Heroísmo, przy Rua do Rego (175 EUR / 7 nocy / 2 osoby, co było ceną niską). Tu właśnie, od kilku miesięcy, mieszkała Milena. Budynek ma swój wyjątkowy urok. Wzniesiony został na początku XX w. Frontowa elewacja (a co za tym idzie i cała kamienica) ma zaledwie kilka metrów szerokości, toteż budynek ciągnie się w głąb podwórza długą oficyną, wzdłuż której znajduje się wąziutkie, długie, wybetonowane podwórze. Z okien naszego „apartamentu” rozciągał się widok: z jednej strony na dachy, z drugiej partery sąsiednich kamienic.

Opisywanie w sposób chronologiczny wszystkich miejsc, które odwiedziliśmy, wydaje się nam mało praktyczne – wyspa jest na tyle mała, że przez tydzień okrążyliśmy ją samochodem wielokrotnie – toteż lepiej chyba omówić ją tematycznie. Ze względu na niewielkie odległości, dysponując samochodem, nie trzeba jakoś szczególnie starannie planować podróży i nawet odwiedzając kilkakrotnie sąsiadujące ze sobą miejsca, nie nałoży się zbyt wielu kilometrów.

Tu zaznaczyć trzeba, że tydzień intensywnego zwiedzania to za krótko, by zobaczyć wszystkie godne uwagi miejsca.

Przyroda

Ze względu na deszczowy i ciepły klimat (temperatury w lecie wynoszą ok. +22°C, zimą rzadko spadają poniżej +15°C) wszystkie wyspy (z wyjątkiem położonej na połu-

dniu Santa Maria) porasta bujna, zielona roślinność, co stanowi kontrast dla żółtawej, wypalanej słońcem w lecie i jesienią Portugalii kontynentalnej. Z powodu górzystego ukształtowania terenu na Terceirze co krok znajdują się punkty widokowe – z każdego z nich widać bujną, zieloną roślinność, liczne góry i pagórki, a z niemal każdego – ocean, a czasem, w oddali, na horyzoncie – sąsiednie wyspy. Przez lasy, pokrywające głównie centralną część wyspy, przebiega łącznie 8 oznakowanych pieszych szlaków turystycznych.

Najbardziej spektakularnym dziełem przyrody na wyspie jest wulkan, który nie zapadł się po erupcji (jeden z trzech takich znanych na świecie). Do ogromnej groty (Algar do Carvão), posiadającej elektryczne oświetlenie, prowadzą wybudowane przez człowieka schody. Ogromna jaskinia robi niesamowite wrażenie (bilet wstępu – 6 EUR).

Oprócz Algar do Carvão, na wyspie znajduje się jeszcze kilka innych wulkanów, tworzących kalderę, oraz kilkadziesiąt innych grot wulkanicznych i tuneli powstałych w wyniku wypływu lawy, które można pokonać pieszo (otwarta dla zwiedzających jest Gruta do Natal).

Zwracającym szczególną uwagę wulkanem tworzącym kalderę jest Monte Brasil, położony w samym mieście Angra do Heroísmo. Tworzy on półwysep o średnicy przeszło kilometra, połączony z wyspą jedynie wąskim pasem lądu, który w XVI w. został przez Hiszpanów w całości otoczony fortyfikacjami, zachowanymi do dziś. Część twierdzy zajmuje jednostka wojskowa, większość natomiast pokrywa ogólnie dostępny od świtu do zmierzchu rezerwat przyrody, przez który przebiega szlak turystyczny; znajdują się na nim liczne punkty widokowe.

Wyjątkowym miejscem jest położony dokładnie pośrodku wyspy rezerwat Furnas do Enxofre. Kilkusetmetrowej długości ścieżka prowadzi pomiędzy szczelinami znanymi jako fumarole, z których, z głębi ziemi, co chwilę wydobywają się siarkowe wyziewy. W okolicy unosi się specyficzny zapach siarki, co dodatkowo potęguje wrażenie, jakby człowiek znajdował się u bram piekieł.

Na wybrzeżu znajdują się liczne, naturalne „baseny” – niewielkie (kilku bądź kilkunastometrowej średnicy) zatoki. Dzięki częściowemu oddzieleniu od otwartego oceanu, fale w nich są nieporównywalnie mniejsze z tymi na otwartych wodach, jak również temperatura wody w nich – szczególnie w słoneczne dni – jest nieco wyższa. Niektóre z takich basenów zostały wyposażone w profesjonalną „infrastrukturę kąpielową” – betonowe schody z barierkami prowadzące do wody, parkingi dla samochodów, sanitariaty, lokale gastronomiczne w pobliżu. Umożliwiają one kąpiele w oceanie niemal przez cały rok – nawet w zimie temperatura wody rzadko spada znacznie poniżej 20°C.

Architektura

Na wyspie znajduje się przeszło 30 miejscowości, położonych w większości na wybrzeżu, w tym jedynie dwie większe miasta – Angra do Heroísmo oraz Praia da Vitória. Dominuje w nich tradycyjna, często zabytkowa zabudowa typowa dla Portugalii i jej kolonii – wąskie kamieniczki z charakterystycznymi ozdobami, wznoszące się przy wąskich, krętych uliczkach, z reguły pnących się pod górę, w głąb wyspy, lub opadających ku oceanowi.

Największym miastem, skupiającym przeszło połowę mieszkańców wyspy, jest Angra do Heroísmo. Znajduje się w nim kilka muzeów, posiadających bogate zbiory, w znacznej części pochodzące z czasów kolonialnych, wspaniale prezentujące bogatą historię wyspy. Pełne zabytków centrum wpisane jest na listę UNESCO. Wart spaceru jest także betonowy falochron, na którym znajdują się murale wykonane przez załogi cumujących tu statków, upamiętniające ich wizyty, m.in. Fryderyka Chopina.

Mieszkańcy

Izolacja wysp położonych na środku oceanu sprawiła, że – po pierwsze – wytworzyły się na nich społeczności odrębne od tych w kontynentalnej Portugalii, a po drugie – wiele tradycji i zwyczajów, które na kontynencie już zanikły, na Azorach nadal są kulturowane.

Spośród tradycji religijnych na szczególną uwagę zasługuje kult Ducha Świętego. Niegdyś żywy w całym kraju, do dziś zachował się jedynie na opisywanych wyspach. Praktycznie w każdej tutejszej miejscowości wznosi się przynajmniej jedna kolorowa kaplica poświęcona Duchowi Świętemu, otoczona pieczołowitą opieką przez okolicznych mieszkańców. Większość kaplic pochodzi z XIX lub początku XX w. Każda z nich jest centralnym punktem uroczystości ku czci swego patrona, odbywających się w okresie wielkanocnym. Mieliśmy zaszczyt i przyjemność uczestniczyć w dwóch. W ich trakcie odbywają się procesje, koncerty i inne występy artystyczne, miejscowości są przystrojone, na ulicach wystawione są liczne stragany. Uczestnicy uroczystości częstowani są chlebem (rozdawane są całe bochenki), serem, oliwkami, marynowaną fasolą i winem.

W większości miejscowości okresowo odbywają się imprezy z udziałem byków. Powszechne są biegi uliczne z udziałem byków, korridy i tourady. Dwóch pierwszych nie mieliśmy (nie)szczęścia doświadczyć na żywo, natomiast oglądaliśmy touradę. A dokładniej mówiąc – bezerradę, dla młodszych uczestników. Zabawa polega na tym, że na arenę o średnicy kilkunastu metrów, zwykle okrągłą, wpuszczany jest młody, niewielki byk, a kilkunastoletni chłopcy ganiają się z nim, przebiegając z jednej strony areny na drugą. Przy ścianach wymurowane są liczne podesty, umożliwiające uczestnikom ucieczkę przed bykiem na zewnątrz areny.

Przed areną kupić można było lokalny przysmak – bifanę, czyli bułkę z rewelacyjnie przyprawioną wołowiną na gorąco (przeciętna cena: 2,5 EUR).

Jedzenie

W każdej większej miejscowości można znaleźć sklep spożywczy, jak również restaurację. Lokale gastronomiczne spotyka się także na wybrzeżu, w sąsiedztwie punktów widokowych i kąpielisk. Produkty żywnościowe są takie same jak w kontynentalnej Portugalii, jednak restauracje, oprócz ryb i owoców morza, mają w ofercie liczne dania z wołowiny (wypas bydła jest ważną częścią lokalnej gospodarki). W Angra do Heroísmo znajduje się nawet międzynarodowy sklep spożywczy.

Przysmakiem lokalnych kawiarni (podobnie jak wszystkich kawiarni Portugalii) są babeczki z Betlejem (pastéis de Belém) oraz lokalne babeczki Donas Amelias.

Turystyka

Azory stają się coraz bardziej popularnym kierunkiem podróży. Ze względu jednak na ich dużą odległość od lądu oraz zmienną pogodę są odwiedzane wyłącznie przez prawdziwych miłośników przyrody i spokoju. Rząd azorski pracuje nad polityką zrównoważonego rozwoju w dziedzinie turystyki, żeby unikalny klimat wysp i ich w dużej mierze endemiczną przyrodę zachować w możliwie niezmienionym stanie dla kolejnych pokoleń (co nie udało się np. na Maderze).

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Zanzibar wyspa zapachów



Termin: 4–15 listopada 2018 r.

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek, Wiesiek

Trasa lotnicza: Warszawa – Hurghada – Zanzibar (Enterair) 1809 PLN

Koszty podróży: 3730 PLN/os. (razem z pamiątkami)

Kursy walut: 1 USD = 2292 TZS, 1 USD = 3,78 PLN

Czas: +2 godz. w stosunku do Polski

Bezpieczeństwo: Turysta może czuć się bezpiecznie

Wizy: Można kupić na lotnisku za 50 USD

Język: W miejscach turystycznych angielski

Pogoda: 28–30°C

Elektryczność: 220V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „Zanzibar”

Koszyk podróżnika: Butelka wody 1,5 l – 1500 TZS, coca – cola 1,75 l – 3000 TZS, chleb tostowy – 2000 TZS, puszka kukurydzy, fasoli lub groszku – 2000 TZS, mleko 1l – 2500 TZS, ser żółty 1 kg – 15 000 TZS, jajka 10 szt. – 4000 TZS, twaróg – 1200 TZS, ziemniaki 1 kg – 1500 TZS, ryż biały 1 kg – 2500 TZS, makaron 3000 TZS, cebula 1 kg – 1500 TZS, ogórki 1 kg – 1500 TZS, pomidory 1 kg – 2600 TZS, główka sałaty – 1200 TZS, mango 3 szt. – 1000 TZS, banany 1 kg – 1300 TZS, pomarańcze 1 kg – 4000 TZS, jabłka 1 kg – 5000 TZS, gruszki 1 kg – 6000 TZS, arbuz – 4000 TZS, batonik Snikers, Mars – 1800 TZS, Nutella 350 gr – 9000 TZS, dżem 400 gr – 3000 TZS, kurczak 1 kg – 15 000 TZS, wino (butelka) – 15 000 TZS, piwo w restauracji 0,5 l – 4000 TZS (alkohol na wyspie jest trudno dostępny, najłatwiej znaleźć w Stone Town), obiad na ulicy – 6000 TZS, w restauracji – 10 000 TZS, kanapka cheeseburger – 4500 TZS, frytki – 4500 TZS, kawa cappuccino – 4500 TZS, papierosy – 4500 TZS, benzyna 1 l – 2390 TZS, diesel 1 l – 2410 TZS, gaz 1 l – 1830 TZS.

RELACJA Z PODRÓŻY

4 listopada • Bytom – Warszawa – Stone Town

O godz. 1.30 wyruszyliśmy z Bytomia do Warszawy, przed godz. 5.00 byliśmy na miejscu na parkingu „Parklot” przy lotnisku Okęcie (ul. Szyszkowa 48). Tu zostawiliśmy samochód na 12 dni, koszt to 124 PLN. Potem podwieziono nas na lotnisko, wszystko w cenie parkingu. O godz. 8.25 mieliśmy odlot na Zanzibar (z międzylądowaniem w Hurghadzie). Ponieważ teraz kontrole są bardziej restrykcyjne, trzeba zapewnić więcej czasu na odprawę. Kolejki są długie, więc warto przyjechać wcześniej, aby uniknąć nerwowej atmosfery. My lecieliśmy czarterem z TUI, liniami Enterair. Rodziny z dziećmi, wózki, płacz, tupanie nóżkami, wymuszający lament, usteczka w podkówkę i roszczeniowe „no ja jestem przecież z dzieckiem...”, zapowiadał armagedon. W samolocie jednak dzieci poszły szybko spać, a większość pasażerów umilała czas wędrówkami do toalety. Myśleliśmy, że to wycieczka z ewidentnym zapaleniem pęcherza. Linie Enterair to zdecydowanie tanie linie. Boeing 737, którym lecieliśmy, to wąskokadłubowy samolot pasażerski, jest mały, ciasny, catering płatny, np. pierogi z mięsem i ruskie za 6 szt. 20 PLN, napoje małe 6 PLN. My przygotowaliśmy swój prowiant, więc warto o tym wcześniej pomyśleć. Napełniliśmy puste butelki wodą z poidelka i uzdatniliśmy magnezem.

Po 4,20 godz. byliśmy w Egipcie, tu prawie 40 minut trwało tankowanie samolotu, a potem jeszcze 5,20 godz. lotu na Zanzibar. Około godz. 19.25 miejscowego czasu byliśmy na wyspie. Po wyjściu z samolotu uderzyło w nas ciepłe, wilgotne powietrze. Przeszliśmy do hali przylotów, która jest mała i w trakcie remontu. Najpierw wykupiliśmy wizę za 50 USD/os. płatne kartą kredytową, gotówki nie przyjmują. Następnie trzeba z wypełnionym wnioskiem wizowym podejść do okienka straży granicznej tu od ręki wyrabiają i wklejają wizę do paszportu. Wszystko odbywa się w przyjaznej i wesołej atmosferze, przeplatane polskimi słówkami i zwrotami. Jak się potem okazało, język polski jest tu dosyć powszechny. Z lotniska odebrał nas kierowca z hotelu „Rumaisa” (Funguni, 3442 Malindi, Stone Town), gdzie mamy pierwszy i jak się okazało nie ostatni nocleg. Hotel czysty, pokoje wyposażone w moskitiery, na łózkach są poukładane „słynne” ręczniki w łabędzie i kwiaty. Należy wspomnieć, że większość budynków w 400 tys. Stone Town nie ma standardowych adresów.

5 listopada • Stone Town

Pospaliśmy do oporu, czyli do godz. 8.00 (czyli 6.00 w Polsce, a co, na wakacjach jesteśmy...). Słońce wschodzi tu o 6.00 rano i zachodzi o 18.30 wieczorem. Głód wygonił nas z łóżek, więc poszliśmy na śniadanie. Jadalnia umiejscowiona jest na tarasie z zapierającym widokiem na... dachy, część portu i na kontenery Maersk. Wielka ściana kolorowych kontenerów, która z każdym dniem malała i odsłaniała widok na miasto. Śniadanie to zestaw z Nutelli, masła orzechowego, dżemu, i ciepłych różnych potraw, typu: jajko na twardo, placki z ryżu, potrawka z wołowiny, zupa z fasoli. Codziennie prawie samo. Do tego zawsze świeży sok, owoce, kawa i herbata masala. Najedliśmy się i poszliśmy zarezerwować noclegi na następne dni. Hotel znajduje się prawie w centrum, skąd wszędzie mieliśmy blisko, więc nie było sensu szukać innego. Ponadto Zanzibar to wyspa wielkości 90 km x 40 km, więc wszędzie można dostać się w 2 godz. Za noclegi zapłaciliśmy 20 USD/os. Pierwszy nocleg kosztował 22,5 USD/os. + transfer

z i na lotnisko. Wynegocjowaliśmy kilka godzin dłużej ostatniego dnia z uwagi na późny lot do Polski. Potem poszliśmy wymienić pieniądze. Polecono nam kantor „Suma”, który znajduje się niedaleko targu. Kurs to 1 USD = 2292 TZS. Wprowadzono nas do środka i przyniesiono kupę pieniędzy w nominałach po 5000 i 10 000 TZS. Trzeba również pamiętać, że dolary starsze niż z 2006 r. są niewymienialne w Afryce Wschodniej. Na całym Zanzibarze można płacić zarówno w TZS, jak i USD.

Następnie udaliśmy się na zwiedzanie Stone Town, które w roku 2000 zostało wpisane na listę UNESCO. Stare miasto stanowią wąskie uliczki z domami zbudowanymi z rafy koralowej. Krok za krokiem przemierzaliśmy ten rejon, co rusz robiąc zdjęcie. Po zabytkowych dzielnicach i labiryntach uliczek Stone Town można błąkać się przez wiele godzin. Każdy zakręt przynosi – dawny pałac, perską łaźnię, kamienną rezydencję z rzeźbionymi drzwiami i balkonami lub szkołę pełną dzieci. Tyle tu ciekawych zdarzeń, ludzi, kolorów, zapachów, dźwięków. Spędziliśmy tutaj kilka godzin, gubiąc się i odnajdując wciąż w innym miejscu. Zazwyczaj wyjście z płataniny uliczek znajduje się albo na promenadzie albo przy głównej ulicy. Promenada jest miejscem spotkań popołudniowo-wieczornych. Tu odbywa się słynny nocny market w Parku Forodhani, gdzie głównie sprzedaje się owoce morza. Po wieczornej modlitwie, gdy zapadnie już zmrok nocny targ wypełnia się kolorowym tłumem, i zasnuwa się parującym dymem znad rozgrzanych grilli. Na ustawionych wzdłuż alejek stołach można skosztować tuńczyka, barakudę, doradę, marlina, kraby, ośmiornice, kalmary, langusty, krewetki, leżą też ostre kulki kaczori, miskaki, samosy, czapati, na koniec można wszystkie przysmaki popić pysznym sokiem z trzciny cukrowej wyciskany z długich łodyg na specjalnej prasie. Podobny nocny targ, ale dla miejscowych znajduje się naprzeciwko targowiska Darajani, można się tam zaopatrzyć w owoce morza za ułamek ceny.

Ponieważ rozpoczął się przyptyw, postanowiliśmy zażyć naszej pierwszej kąpieli w Oceanie Indyjskim. Woda ciepłutka, przejrzysta, piasek mięciutki, raj na ziemi. Popluskaliśmy się, pooglądaliśmy popisy tutejszej młodzieży skaczącej do wody na głowę i poszliśmy szukać jakiejś restauracji, która żywiłaby nas przez resztę dni. Znaleźliśmy Ma Shaa Allah Cafe, która znajduje się tuż obok słynnego Lukmaan Restaurant przy Mkunazini Rd. Są to dwa miejsca oblegane przez miejscowych i turystów, gdzie za niewielkie pieniądze można zjeść dobry i solidny posiłek. Można wybierać z karty, zazwyczaj indyjskie potrawy, jak również skorzystać z bufetu za 10 000 TZS/talerz. Popróbowałismy też ulicznego jedzenia, ale tutaj wracaliśmy najczęściej.

6 listopada • Nungwi

Po śniadaniu udaliśmy się na przystanek, skąd odjeżdżają busy i dala-dala do Nungwi. Jeździ tam nr 116. Przejazd kosztuje 3000 TZS/os. Po prawie 2 godz., z uwagi na remont drogi, dojechalismy na północ wyspy. Nungwi to najbardziej znany kurort, gdzie znajduje się najwięcej hoteli dla turystów. My wjechalismy do osady i mieliśmy możliwość zobaczyć to miejsce od tej zwykłej, codziennej strony. Każda wieś to zazwyczaj takie same pustakowe domki, pokryte blachą falistą, z oknami skleconymi z desek, kartonów itp. Obok bawią się dzieci, kozy, psy, kwitnie życie towarzyskie. Brakuje utwardzonych dróg, wszystko tonie w pyłe i piasku z plaży. Przeszliśmy przez wioskę docierając do przepięknej plaży i oceanu, który cofnął się o jakiś kilometr w głąb.

Był odpływ, który odkrywa dno oceanu i jego drobniutki piasek. Przeszliśmy po plaży co chwila zaczepiani przez naganiaczy, którzy chcieli nam coś sprzedać. Królują Masa-jowie, którzy przypływają z kontynentalnej Tanzanii, stanowią atrakcję samą w sobie, zajmują się handlowaniem i oferują pamiątki. Idą spokojnie i zaczynają swoje „Hello my friend”, potem po polsku „jak się masz”...i zaczyna się opowiastka. Czasem fajnie, czasem natrętnie, ale jak już starali się mówić po polsku to słuchaliśmy, pytaliśmy, bo dobrze było się czegoś o wyspie i życiu dowiedzieć.

Idziemy w kierunku 14-metrowej latarni morskiej, którą można obejrzeć tylko zza ogrodzenia. Przy plaży znajdują się ekskluzywne hotele z bungalowami, gdzie nocleg kosztuje około 500 USD. Jest basen, zejście do plaży, molo w głąb oceanu z barem. Super. Wszędzie gotowi do pomocy pracownicy. Po godz. 12 zaczyna się przypływ. Jest to ciekawe zjawisko, bo woda małymi strumyczkami wraca na brzeg, potem szerszą rzeką, a następnie przemienia się w niewysokie fale. Takie tsunami, ale niegroźne. Codziennie od wieków tak samo. Cykl życia wyznacza ocean i księżyc. Rano kobiety wychodzą w głąb uprawiać algi, które potem sprzedają do koncernów kosmetycznych i farmaceutycznych, woda wraca i rybacy wypływają na połowy, obsługują turystów spragnionych nurkowania lub budują tradycyjne łodzie rybackie Dhow.

Wyspę od północy otacza rafa koralowa. Odwiedziliśmy miejsce, gdzie znajduje się szpital dla żółwi (wstęp 20 000 TZS/os.) Są tu hodowane i leczone, można je nakarmić i z nimi popływać. Dzisiaj na termometrze było ponad 30°C, byliśmy zmęczeni upałem, który potęgowany był wilgotnością. Chłopaki usiedli w jednej z knajpek i skosztowali lokalnego piwa, a potem zażyliśmy relaksującej kąpieli w oceanie. O godz. 16.45 złapaliśmy busa powrotnego do Stone Town. Tutaj nie ma rozkładów jazdy. Busy jeżdżą często i zatrzymują się na żądanie pasażera, gdzie popadnie. Wieczorem zjedliśmy obiad w barze niedaleko portu, zamówiliśmy kurczaka z frytkami za 8000 TZS.

7 listopada • Paje

Dziś wyruszyliśmy do Paje. Najpierw trzeba podjechać z centrum Stone Town jakimkolwiek busem do Fuoni, a następnie autobusem nr 340 do Paje (2000 TZS/os.). Trzeba zwracać uwagę na napisy na szybie i pytać ludzi. Każdy pomoże. Tak więc z Fuoni jedziemy do Paje. Po 1,30 godz. byliśmy na miejscu. Zatrzymaliśmy się przy głównej ulicy i dalej pomiędzy domami z pustaków doszliśmy do plaży. Miejsce słynie z hodowli alg, tutaj są duże plantacje, na których pracują okoliczni mieszkańcy. W trakcie odpływu woda cofa się o kilkaset metrów odsłaniając na kilka godzin miniaturowe poletki wodorostów. Algi używane są głównie w przemyśle kosmetycznym jako baza do kremów, balsamów, peelingów czy past do zębów, a także w przemyśle spożywczym wykorzystywane są do produkcji żeli i galaretek. Są obecnie jednym z głównych tutejszych produktów sprzedawanych za granicę. Zanzibar plasuje się na trzecim miejscu na świecie pod względem eksportu alg, zaraz po Filipinach i Indonezji.

Tutejsi mieszkańcy wypływają również na połów ryb, zbierają duże muszle i sprzątają ocean. Tak właśnie, sprzątają! Jest to jedno z tych nielicznych miejsc, gdzie ekologia jest propagowana. W wodzie sporadycznie można znaleźć jakiś plastik, śmieć. Wysypisko śmieci poddawane jest naturalnemu recyklingowi, najpierw kozy, kury, psy i koty wyjadają co można organicznego. Potem ludzie palą resztę. Niestety pla-

stik też. Plusem jest jednak brak zalegających folii i innych śmieci na poboczu dróg lub w rzekach.

Popływaliliśmy w najcieplejszej otwartej wodzie w życiu. Było to dla nas szokujące doznanie, ale bardzo przyjemne. Jakże byłoby fajnie, gdyby Bałtyk był takim morzem, do którego bez bólu można wejść. Ponadto nieprawdopodobnie piękna okolica, staliśmy urzeczeni tym krajobrazem. Błękit, turkus i granat w różnych dodatkowych odcieniach. Mieliśmy tylko nadzieję, że nasze zdjęcia oddadzą piękno tego miejsca. Wróciliśmy do miasta i udaliśmy się do hinduskiej knajpy.

8 listopada • Mangapwani

Chmury nadciągnęły nad miasto i zaczęło padać. W kategorii miejscowych to tylko shower, a my że leje. Zaczęli tłumaczyć, że lać będzie od marca do maja i to wtedy są ulewy. Teraz miasto normalnie funkcjonuje, a potem zapada w letarg i czeka na koniec pory deszczowej. Drogi zamieniają się w rzeki, wszystko wymywa, wypłukuje, trzeba łątać, naprawiać. Przy okazji pora deszczowa załatwia sprzątanie. Poza tym wszechobecny grzyb w budynkach i na elewacjach uderza ze zdwojoną siłą. W sklepikach w starym mieście zapach stęchlizny i grzyba jest trudny do wyplenia. Czasem aż zatykający, dlatego na co dzień okna są otwierane na oścież, wietrzą, suszą, aby nagrzać mury. Tak więc stoimy pod drzewem i czekamy na koniec ulewy, a naganiacz szuka dla nas busa nr 145 do Mangapwani za 1000 TZS/os. Pojechaliliśmy w końcu w dwójkę, bo Mirek i Wiesiek zrezygnowali. Po paru kilometrach okazało się, że deszcz ustał i dalej była już słoneczna pogoda. Busikiem dotarliśmy do końca, czyli ronda z drzewem, gdzie powiedziano nam, że to już... Wyszliśmy i dotarliśmy do hotelu, potem na plażę, gdzie był ogromny statek osiadły na brzegu, wokół trwały naprawy łodzi i sieci. Hm... a gdzie jaskinia? Dotarliśmy do Slave of Chambers, gdzie przetrzymywani byli niewolnicy. Wzniesiono tu monument. Potem kazano nam wrócić 2 km, które okazały się być dosyć krótkie i koło sklepu Pomelo (buda z desek i byle czego przy drodze) skręcić w prawo. Tu zaczynały się poletka i suszarnie malutkich rybek. Pytałam o jaskinię koralową i drogą w lesie dotarliśmy do placu, gdzie stał budynek z zadaszaniem i punkt informacyjny. Tam podszedł do nas przewodnik i poinformował, że nas oprowadzi (wstęp 10 000 TZS/os.). Weszliśmy do jaskini i zaczął nam opowiadać o niewolnictwie na Zanzibarze i o historii wyspy. Potem powiedział, że kiedyś można było dwoma wyjściami dojść do morza lub wsi. Dziś już tylko do wsi. Poprosiliśmy, aby nam pokazał drogę i razem pokonaliśmy kilkaset metrów podziemnej trasy. Ścieżka wymagająca, śliska i pnąca się do góry kominem. Wąskie gardło stanowiło wyjście z jaskini, gdzie trzeba było się wspiąć po śliskich ścianach. Super atrakcja. Po jakimś czasie przyjechał bus pełen turystów, a przewodnik poprosił nas, aby nie mówić im o możliwości przejścia takiej trasy. Zrobił to tylko dla nas.

Wróciliśmy do miasta, i udaliśmy się na Darajani Market. Przed przyjazdem na wyspę czytaliśmy o tym targowisku i jego atrakcjach, m.in. smrodzie. Faktycznie główne wejście jest dla ludzi o mocnych żołądkach. Smród rozkładu dżwiga do góry śniadanie. Jarek dzielnie wszedł, a ja uciekłam. Weszłam bocznym wejściem, gdzie było już o wiele znośniej. Po jednej stronie są ryby, a potem przechodzi się do działu mięsnego, krowie żołądki, rogate łby, tusze, ogony. Hardcore!!! Tasakami rąbią mięso, kości odpry-

skuja, krew się leje, flaki i wnętrzności spadają na ziemię, gdzie czekają koty. Wszędzie pełno wody i much. Wśród tego wszystkiego kilku turystów w eleganckich ubraniach z zatkanymi nosami. Jedna z takich pań, trzymając się za nos, wyraziła swoje emocje po polsku: „ja pierd..., ale smród”. Po wyjściu z hali można od razu wejść w targ przypraw i nawąchać się cudownych aromatów kardamonu, kolendry, cynamonu, trawy cytrynowej. Dużo sprzedawców oferujących różne zestawy, paczuski, mydełka, olejki, herbatki. Dalej można przejść do kramów z owocami i warzywami, odzieżą, martwymi kurczakami. Istny miszmasz. Można tak chodzić godzinami i wciąż ciekawe rzeczy znajdować. Handel na targu to domena mężczyzn, którzy doglądają towaru, ważą, pakują, liczą.

Zjedliśmy w miejscowej knajpcie curry wołowe z ryżem, zupę z fasoli, curry z bananów, sałatkę. Zapłaciliśmy 12 000 TZS/2 os., do tego po szklance soku z trzciny cukrowej za 700 szylingów. Jedzenie uliczne to zazwyczaj szklane gabloty z samosami, kluskami z nadzieniem. Są to zazwyczaj frytki z „recyklingu”, czyli to, co nie zejdzie na bieżąc jest przetwarzane w kluski, omlety, nadzienia, odgrzewane z ostrym sosem chili. Frytki obecnie stanowią obok ryżu podstawowy dodatek do dań. Sterty upieczonych kąsków leżą i czekają na kupujących, po czym odgrzewane w głębokim oleju lub podawane na zimno stanowią posiłek. Na straganach można kupić małe szaszłyczki, mocno doprawione kuminem, niestety jakość jest średnia, bo na pięć patyków większość stanowiły duże kości. Zupy to zazwyczaj gęsta fasolówka z małymi kawałeczkami papryki lub pomidora. Niedoprawiona, gęsta breja. Jedzenie na Zanzibarze to pomieszanie wpływów arabskich, hinduskich i afrykańskich. Pomimo wielu lat kolonii brytyjskiej nie zachowały się tu nawyki picia herbaty i jedzenia ciasteczek. Chleb jest tu dostępny tylko w wersji tostowej. Nie znaleźliśmy piekarni, oprócz podstawowych placków w typie indyjskim lub afrykańskim.

9 listopada • Prison Island

Dziś wycieczka na Prison Island. Łódką za 40 USD/4 os., pokonujemy w 25 min 4 km w jedną stronę, dopływając na miejsce. Tutaj trzeba zapłacić 8500 TZS/os. za wstęp do żółwi olbrzymich. Jest to miejsce, gdzie skolonizowano żółwie, które sprowadzono w roku 1919 z Seszeli (w liczbie 4 sztuk). Gady mają na skorupach wymalowane cyfry, które określają ich prawdopodobny wiek. Przewodnik pokazał nam najstarszego (podobno 194-letniego) osobnika z uszkodzonym „domkiem”. Żółwie można było nakarmić i pogłaskać. Zwierzęta są spokojne i łagodne, najczęściej wędrują lub śpią pochowane pod skarpami. Obecnie jest ich tutaj około 40. Można tu też spotkać małe antylopy dik-dik i pawie. Miejsce jest urokliwe, warto spędzić tu czas na nurkowaniu czy opalaniu. Kiedyś był tu szpital, obecnie znajduje się tutaj kurort i restauracja, ale nie zauważyliśmy większego ruchu w interesie. Zazwyczaj turyści przybywają zorganizowanymi wycieczkami z przewodnikami z miasta na godzinkę. Jest to wpisane w objazdówkę z biur podróży. My pochodziliśmy jeszcze po plaży, bo był odpływ, i mogliśmy zobaczyć przepiękne czerwone rozgwiazdy i piaszkowe kraby, które wychodzą na popołudniowe łowy.

W drodze powrotnej fotografujemy z łodzi „Dom Cudów”, dawny pałac sułtana, który najciekawiej prezentuje się właśnie z tej perspektywy. Po powrocie do miasta udaliśmy się na drugą stronę targowiska Darajani, ale tu już nie ma takiej atmosfery

i ciekawych kadrów. Dotarliśmy do części miasta, gdzie architektura jest nowoczesna, szklana, zabudowania wysokie, zadbane. Nieopodal w knajpce zjedliśmy obiad, popijając pysznym sokiem z mango, za 8000 TZS/talerz. Następnie kupiliśmy na niedzielę bilety do Dar Es Salaam za 70 USD/os. w dwie strony. Potem udaliśmy się do starej portugalskiej fortecy. Kiedy przechodziliśmy przez umieszczoną w murach bramę, od razu słychać było nawoływania kobiet ubranych w tradycyjne barwne chusty, proponujących tatuaże z henny, zrobienie warkoczyków lub zakup ciuchów albo pamiątek. Tuż obok znajduje się amfiteatr, gdzie odbywają się koncerty oraz pokazy filmów. Wieczorem popływaliśmy w oceanie. Na miejscową plażę przychodzą również zawodnicy lokalnych drużyn piłkarskich, ćwicząc biegi, sprinty, wymyki, przewroty, pompki, przysiady. Zauważyliśmy, że jest tu dużo boisk do gry w piłkę nożną. Najlepsza pora na grę w piłkę to 2 godziny przed zachodem słońca. Wtedy każde z boisk zajęte jest przez dzieci i młodzież. Słońce zachodzi tutaj błyskawicznie. W ciągu kwadransa jest już ciemno. Wieczorem poszwendaliśmy się po pamiątkarskim szlaku, wypatrując co ciekawszych eksponatów.

10 listopada • Jozani National Park

Od rana leje jak z cebra. Czekamy do godz. 10.00, a potem idziemy w kierunku Darajani, na światłach w lewo na przystanek w kierunku Fuoni. Po tylu dniach mamy już obeznane kierunki i przystanki, z których wiemy, gdzie trzeba się ustawić, aby dotrzeć w planowane miejsce. Najpierw zapłaciliśmy 500 TZS/os. za dale-dale do Fuoni, potem jedziemy 310-ką do Jozani National Park. Wstęp do parku wynosi 10 USD/os. + datek dla przewodnika. Ten oprowadził nas po lesie deszczowym, opowiadał o roślinach i pokazał nam małpy, które są główną atrakcją wyspy. Występuje tutaj gereza trójbarwna mająca ubarwienie rudo-biało-czarne. Małpki przyzwyczajone są do obecności człowieka, ale ignorują nas kompletnie. Oczywiście, będąc w ich pobliżu, nie wolno wyciągać z plecaka nic do jedzenia, by ich nie kusić i nie drażnić. Gerezy trójbarwne żywią się głównie liśćmi. Oprócz tego chętnie jadają młode pędy, kwiaty, nasiona i niedojrzałe owoce. Żołądki gerez nie produkują odpowiednich enzymów, które potrzebne są do strawienia cukrów zawartych w owocach dojrzałych. Przewodnicy więc pilnują, by któremuś z turystów nie przyszła do głowy próba karmienia małpek np. bananami. Stada gerez składają się z kilkudziesięciu osobników. W grupie znajduje się kilka dorosłych samców oraz dwa razy więcej samic i sporo młodych. Chętnie dokazują, skaczą z konara na konar, bujają się na gałęziach, bawią się i iskają. Żyje tu około dwóch tysięcy tych małpek. Kolejne kilkaset poza parkiem, ale w jego okolicach. Každy z nas ustrzelił jakąś fotkę.

Po wyjściu z lasu przeszliśmy przez ulicę, aby udać się do lasów namorzynowych. Trzeba przejść około 2 km pylistą drogą. Spacerując kładkami wśród lasów można znaleźć ciekawe formacje roślinne, słone mokradła, trawiaste polany i namorzyny. Jest bezpiecznie, nie ma krokodyli, które zazwyczaj lubią takie miejsca. Na Zanzibarze nie występują żadne groźne zwierzęta oprócz... komara.

Po powrocie do miasta udaliśmy się do restauracji hinduskiej, gdzie zamówiliśmy po talerzu z bufetu i popróbowaliśmy różnych specjałów. Dzień zakończyliśmy kąpielą w oceanie. Jest to dla nas cały czas frajda wchodzić do tak ciepłej wody (niezależ-

nie od pory dnia), a do tego spokojnej, bez gwałtownych porywających fal. Na brzegu i plaży mnóstwo miejscowych i turystów, którzy w promieniach zachodzącego słońca spędzają czas na rozmowach, pływaniu, jedzeniu. Tutaj „pole-pole” (czyli powoli-powoli) rzeczywiście ma znaczenie. Zegarki są tu niepotrzebne, czas mija własnym tropikalnym rytmem...

11 listopada • Dar es Salaam

O godz. 4.50 pobudka. Mieliśmy mieć śniadanie, ale okazało się, że szef kuchni nie dojechał. Poszliśmy do portu, o godz. 6.00 zaczęła się odprawa promowa, a o godz. 7.00 wypłynęliśmy w kierunku stałego afrykańskiego lądu do Dar es Salaam. Nie kołysało zbyt mocno, więc szybko usnęliśmy, katamaran spokojnie przemierzał 52 km zatokę. Po 2 godz. byliśmy na miejscu. W porcie mnóstwo ludzi, naganiaczy, taksówkarzy, każdy coś oferuje, namawia. Wyszliśmy do miasta i, jak się okazało, niedziela to dzień niepracujący. Wszystko pozamykane, na ulicach bardzo mało ludzi i samochodów. Mijamy katedrę św. Józefa, kościół luterański, i udajemy się na targowisko rybne (Kivukoni Fish Market), skąd szybko wychodzimy, jest tam brud, smród, bagno i odpadki. Musieliśmy bardzo uważać, aby nie poślizgnąć się i nie wpaść w tę breję. Wyszliśmy stamtąd i powolnym krokiem udaliśmy się w kierunku ronda Samora Avenue, gdzie znajduje się pomnik upamiętniający Askarysów (tubylczych żołnierzy afrykańskich) walczących dla Wielkiej Brytanii w czasie I wojny światowej. Tego dnia było dosyć pochmurno, więc przynajmniej upał za bardzo nie doskwierał. Odwiedziliśmy stary dworzec kolejowy, który został zamknięty z uwagi na budowę nowego. Obecnie jest tu komenda policji. Mirek z Wieśkiem odłączyli się i poszli do pobliskiego parku, a następnie do hinduskiej restauracji. Ja z Jarkiem autobusem dojechalismy w pobliże Stadionu Narodowego, mogącego pomieścić 60 000 widzów. Tego dnia stadion był pusty, a w pobliskiej hali odbywał się mecz siatkówki pomiędzy miejscowymi dziewczynami a Filipinkami.

Stanowiliśmy atrakcję w autobusach, bo chyba rzadko turyści zapuszczają się w te miejsca. Wróciliśmy do miasta i znów zaczęliśmy szukać dworca kolejowego, z okien autobusu widzieliśmy dziesiątki starych wagonów, ale dostęp do nich był utrudniony. Doszliśmy w pobliże dworca zastępczego, trzeba było przeprowadzić negocjacje z żołnierzami, aby nas wpuścili do środka. Okazało się to budą, bez rozkładu jazdy. Nic więcej oprócz torów ze starymi pociągami. Zrobiliśmy kilka zdjęć i poszliśmy dalej w kierunku portu. Po drodze oglądaliśmy miasto, które obudziło się do życia. Sklepiki zostały otwarte, knajpki normalnie funkcjonowały, więc zjedliśmy drobną przekąskę, którą stanowiły frytki w omlecie. Dalej wólczyliśmy się uliczkami, trafiając do hinduskiej dzielnicy. Wciąż kierowaliśmy się do restauracji, gdzie koledzy mieli czekać na nas. W końcu podwiózł nas tam Pakistańczyk, który poopowiadał nam o swoim kraju. Zjadłam masala dosa, która była potwornie ostra. W pobliżu znajduje się ciekawa świątynia hinduistyczna (Shree Santan Dharma Sabha Temple). Wolnym krokiem wróciliśmy do portu, gdzie już rozpoczęła się odprawa na Zanzibar. Tu trzeba wypełnić karty wyjazdowe i wjazdowe, jeśli na kontynencie przebywało się dłużej, to trzeba mieć tzw. żółtą książeczkę. My byliśmy tylko kilka godzin, więc nie mieliśmy z tym problemów. W porcie zauważyliśmy banery ostrzegające przed żółtą febrą i malarią. O godz. 16.00 katamaran ukołysał nas do snu, więc droga znowu szybko nam minęła. Po przy-

pląnięciu do portu spotkaliśmy parę Polaków z Wrocławia podróżujących na motorze dookoła Afryki.

12 listopada • Kizimbari

Rano wykupiliśmy za 12 USD/os. wycieczkę na „Spice Farm Big Body”. W cenie był przejazd samochodem w dwie strony, degustacja orzecha kokosowego, degustacja owoców i obiad. Wstęp 3 USD/os. Gdyby zrobić to samemu, to do farmy można dojechać dale-dale nr 511. Tam miejscowy chłopak oprowadzał nas po plantacji i pokazywał różne przyprawy i drzewa. Tak więc można zobaczyć, powąchać, nacierać się do woli. Wiemy już jak rośnie cynamon, kardamon, imbir, kurkuma, pieprz, mango, jack fruit, wanilia. Można było powąchać olejki z egzotycznych roślin, kupić przyprawy. Był pokaz wspinania się na drzewo palmowe za pomocą sznurka. Potem otrzymaliśmy korony i krawaty z liści palmowych i wyglądaliśmy jak z ekipy króla Juliana z Madagaskaru. Zaprowadzono nas do bungalowu, gdzie na matach podano obiad w postaci ryżu z przyprawami i curry z ziemniakami. Do tego smażona ryba i szpinak. Wszystko smaczne i dobrze doprawione.

Należy wspomnieć, że miejscowi oczekują napiwków od turystów, za obsługę, za widowisko artystyczne w postaci tańca na drzewie, tak więc, koszty rosną, ale zawsze warto wspomóc miejscowych. My zwyczajowo dawaliśmy 10 000 TZS. Wróciliśmy do miasta pooglądaliśmy z zewnątrz Blue Mosque i poszliśmy do hotelu trochę się schłodzić i odpocząć. Wieczorem wyszliśmy na obiadokolację, a potem snuliśmy się po Stone Town. Dzień po dniu odkrywamy to miasto na nowo. Znajdujemy kolejne sklepiki z różnymi artykułami. Dzisiaj wygląda to tak, jakby była nowa dostawa towaru (wszelakiego), od gąbek, mleka, oliwy po cement, jajka. Przez wąskie uliczki przeciskają się poterzy, którzy ciągną lub pchają platformy na dwóch kółkach załadowane towarem. Pokrzykują, aby zrobić im miejsce, do tego wciskają się rowerzyści i motocykliści, przeemykają kobiety i dzieci, wychodzące z meczetów i szkół koranicznych. Wciąż się coś dzieje, gotuje się jedzenie, pieką placki, frytki, obierają orzeszki ziemne, przebierają fa-solkę. Ciągłe ktoś coś robi. Można tu podążać śladami Freddiego Mercury’ego, które chyba nie są zbyt autentyczne. Zorganizowane pod turystów. Samych domów, gdzie się urodził, jest kilka... Freddie spędził tu podobno najmłodsze lata swojego dzieciństwa, potem wyjechał i zdobył sławę w UK.

13 listopada • Matemwe

Po śniadaniu ruszamy dale-dale nr 118 do miejscowości Matemwe na wschodzie wyspy. Tutaj wykupujemy wycieczkę ze snurkowaniem w pobliżu wyspy Mnemba. Koszt wyprawy to 18 USD/os. W cenie mamy łódkę, przewodnika, owoce i wodę mineralną. Do Mnemba trzeba płynąć ok. 30 minut. Nam zajmuje to trochę dłużej, bo jest odpływ i łódka wolno płynie na płyciźnie. Po pokonaniu rafy otaczającej brzeg Zanzibaru wypływamy na głębokie wody. Widoki zapierające dech. Woda jest ciemnogatowa, a na horyzoncie mieni się cieniutką linią turkusową. Do tego błękit nieba daje niesamowite wrażenie wielu odcieni niebieskiego. Dopłynęliśmy w pobliże wyspy Mnemba. Jest to teren prywatny, gdzie nie można zejść na plażę, a jedynie podplływać tylko do wyznaczonej boi. Co jakiś czas podplływają łódki z patrolem i pouczają, że należy trzymać się wyznaczonego obszaru. Wstęp na wyspę tylko na zaproszenie, a noc-

leg kosztuje ok. 1200 USD. Pierwsze wejście do wody trwało ok. godziny. Mieliśmy maski z rurkami, przewodnik pływał z nami, pokazując ciekawe okazy wodne i miejsca z kolorowymi rybkami. Potem podpłynęliśmy w pobliże łachy piasku, która na naszych oczach w parę minut została zakryta wodą. Wciąż zachwycaliśmy się pięknem okolicy, tym bardziej że pokazało się kilka delfinów. Woda ciepłutka, czysta, dno piaszczyste. Po kilkunastu minutach wróciliśmy w rejon nurkowania i znów weszliśmy do wody. Zobaczyliśmy płaszczkę, niebieskie jeżowce, rybki ze słynnej bajki „Gdzie jest Nemo”, morenę, rybę kamień i motyla (butterfly fish). Byliśmy bardzo zadowoleni z tej 5-godzinnej eskapady. Wróciliśmy do Matemwe, a potem do Stone Town.

14 listopada • Kidimni

Dzisiaj postanowiliśmy wykorzystać ostatnie godziny i pojechać do miejscowości Kidimni, gdzie znajdują się warsztaty wytwarzające drzwi z egzotycznego drewna. Kucharz z naszego hotelu mieszka w okolicy, gdzie je robią. Zadeklarował się, że z nami pojedzie i pokaże to miejsce. Po 40 min dojechalśmy busem nr 232 na miejsce. Były to dwie budy przy drodze, gdzie rzemieślnicy ręcznie wycinają wzorki w drewnie. Drzwi są przepiękne i prawie niezniszczalne. Stanowią wizytówkę Stone Town, a ich bogata ornamentyka ma też społeczne znaczenie. Wyrzeźbiony ananas na drzwiach ma oznaczać gościnność domu, ziarenka pieprzu, laski wanilii to dom handlarza przyprawami, wzory geometryczne miały oznaczać, że dom należał do księgowego, łańcuch otaczający framugę świadczył o tym, że dom należał do handlarza niewolników. Drzwi kosztują ok. 1500 USD, pracuje nad nimi przez prawie miesiąc kilka osób.

Po powrocie do miasta zwiedzamy katedrę anglikańską (5 USD/os.) stoi ona dokładnie w miejscu, gdzie dawniej był największy targ niewolników. Można tu zejść do piwnic, gdzie przetrzymywano niewolników przed sprzedażą. Na tyłach katedry znajduje się pomnik mający upamiętniać czarne karty historii Zanzibaru. Jest to betonowe zagłębienie w ziemi, w jego wnętrzu można dostrzec pięć postaci mających na szyjach ciężkie żelazne łańcuchy. Następnie zjedliśmy obiad i dokonaliśmy ostatnich zakupów pamiątek. Wróciliśmy do hotelu, wzięliśmy prysznic i spakowaliśmy plecaki. Hotel zapewnił nam transfer na lotnisko, tak więc jeszcze po drodze mogliśmy ostatni raz pooglądać inną część miasta. Lotnisko to hangar z otwartą przestrzenią. Po odprawie przeszliśmy do hali odlotów, gdzie zobaczyliśmy polską wycieczkę raczącą się piwem i innymi trunkami. Na do widzenia żegna nas napis po polsku „do miłego zobaczenia”... O godz. 22.15 odlecieliśmy do Egiptu. Po 5,20 godz. lotu byliśmy Hurghadzie, tutaj znowu tankowanie i dalszy 4,20-godzinny lot do Warszawy.

15 listopada • Stone Town – Warszawa – Bytom

O godz. 7.30 byliśmy w Warszawie. Przywitały nas szare chmury i temperatura 3°C. Odebraliśmy bagaże, a potem podjechalśmy na parking po samochód. Po 3,10 godz. docieramy do Bytomia.

PODSUMOWANIE

Tak naprawdę 950-tysięczny Zanzibar to nie tylko znana nam wszystkim rajską wyspa, ale cały archipelag. Na północy leży Pemba Island, na południu nieco mniejsza

Mafia Island, a poza nimi w okolicy znajduje się jeszcze kilka innych wysepek. Cały archipelag leży u wschodnich wybrzeży Tanzanii, kilka stopni na południe od równika. Zanzibar ma około 90 km długości i 40 km szerokości. Plaże o białym, drobnym piasku ciągną się kilometrami i naprawdę wyglądają jak z wakacyjnych folderów. Zanzibar to nie jest miejsce, do którego przyjeżdża się, żeby się wypaść...

CIĘKAWOSTKI

- Przeciętne wynagrodzenie wynosi na Zanzibarze od 100 – 150 USD miesięcznie. Pracując dla rządu, zarobki są znacznie wyższe, ok. 500 USD. Bardzo trudno o taką posadę. Edukacja jest do poziomu szkolnictwa wyższego, najlepiej zarabiają inżynierowie. Wyrwanie zęba kosztuje ok. 4000 TZS, a leczenie 5000 TZS. System emerytalny umożliwia pobranie całości świadczenia na raz lub pobieranie przez kolejne lata. Na emeryturę można przejść w wieku 50 lat i można dostać jednorazowo równowartość 10 000 USD lub 200 USD miesięcznie.

- Ciekawostką jest tu noszenie popsutych zegarków na rękę jako biżuterii i oznaki zamożności. Kobiety stroją się w kolorowe chusty, które błyszczą od mieniących się kamyczków i nitów wplecionych w tkaniny. Ponadto żółta biżuteria, podrobione torebki, okulary, duże smartfony dodają szyku i elegancji. Wiele kobiet stylizuje się na arabskie piękności, część przyjmuje hinduskie wzornictwo. Mężczyźni ubierają się przeciętnie, a młodzież lubi odzież sportową (dominują koszulki angielskich klubów piłkarskich).

- W Afryce bardzo często rzeczy odradzają się w nowych zaskakujących wcieleniach. Puszka po coca-coli staje się ciężarówką zabawką, plastikowe butelki związane sznurkiem – kamizelką ratunkową, stara płyta CD – światłem odbłaskowym na rowerze, zużyte opony – sandałami. Ta pomysłowość i cierpliwość Afrykanów do przedmiotów nieustannie zdumiewa. Tu drugie życie dostają niepotrzebne nikomu kawałki metalu, zardzewiała blacha falista, felgi samochodowe, zepsute odtwarzacze DVD, elementy starych lodówek. Mężczyźni siedzą cały dzień na ziemi, mając w ręku jedynie proste narzędzia: młotki, dłuta, obcęgi, ostro zakończone gwoździe i kawałki szyn kolejowych, na których prostują blachę, nadają jej nowe kształty i wzory. Tak powstają foremki do chleba czy ciasta, ażurowe klosze i świeczniki, które po pomalowaniu złotą czy srebrną farbą nagle pięknieją. Metalowe felgi za sprawą zmysłu praktycznego tutejszych „złotych rącek” stają się małymi okrągłymi kuchenkami węglowymi, na których kobiety każdego dnia rano gotują herbatę. Z grubszych kawałków metalu zręczne dłonie tworzą garnki, woki, wielkie łyżki cedzakowe przeznaczone do wyławiania frytek z gorącego oleju i przenośne grille, znad których w lokalnych barach pod chmurką w porach posiłków unosi się aromatyczny dym przypiekanych szaszłyków, kassawy i słodkich ziemniaków.

- Kolejna ciekawostka to dala-dala, lokalne busy wożące mieszkańców po całej wyspie. Można spotkać dwa rodzaje – starsze, tradycyjne to półciężarówki z ławkami na pace, podczas gdy nowsze to po prostu niewielkie autobusy (około 18 miejsc). Każda dala-dala ma z przodu na szybie numer i nazwę miejscowości, do której kursuje. Nie ma żadnych rozkładów jazdy. Poza nielicznymi wyjątkami w zasadzie nie ma też przy-

stanków, zatrzymuje się na żądanie pasażerów. W Stone Town główny przystanek dała-dała znajduje się niedaleko dużego targu Darajani. Za przejazd płaci się u konduktora, który powinien posiadać widoczny identyfikator.

- Drzwi zanzibarskie są jednym z najdoskonalszych przykładów mieszania się kultur suahili, arabskiej i indyjskiej. Do dzisiaj w zakładach stolarskich powstają nowe drewniane drzwi, mające zdobić ściany frontowe domów czy hoteli. Podobno policzono je w roku 1980 i okazało się, że w Stone Town znajduje się około ośmiuset zabytkowych drzwi. Kolejne liczenie w późniejszych latach dało wynik zaledwie pięćset sześćdziesiąt, a teraz podobno jest ich niecałe trzysta. W dawnych czasach drzwi robione były z birmańskiego drewna tekowego, które charakteryzowało się dużą twardością, odpornością na wilgoć, zagrzybienie i insekty. Jego tańszym odpowiednikiem był tek afrykański. Dzisiaj używa się tu głównie drewna z drzew mango lub mangrowców.

- Islam jest na Zanzibarze dominującą religią (około 90 % mieszkańców to muzułmanie) i choć wydaje się prezentować swoją wakacyjną bardziej zrelaksowaną twarz, wciąż wywiera silny wpływ na życie codzienne i obyczaje mieszkańców Zanzibaru.

Korea Południowa – Japonia 2018



Termin wyjazdu: 23 czerwca – 23 lipca 2018

Trasa: Seul – Hohoe – Busan – Okinawa – Zamami – Kyoto – Nara – Tokyo

Uczestnicy: Dwie osoby dorosłe i dwoje dzieci (7 i 10 lat)

Przełot: Bilet na trasie Warszawa – Seul, Tokyo – Warszawa (obydwa połączenia z przesiadką w Pekinie) kosztował 1890 zł. Dodatkowo wykupiliśmy przełot z Busanu do Naha na Okinawie – około 450 zł za dorosłą osobę z bagażem nadawanym (linie JinAir), a także z Okinawy do Osaki (Jetstar) za około 200 zł za osobę z bagażem nadawanym (15 kg).

Waluta: Walutą obowiązującą w Korei Południowej jest won. Jeden won dzieli się na 100 czonów, jednak czony nie są w użytku. Kiedy wylądowaliśmy w Seulu 24 czerwca 2018 roku za jednego dolara amerykańskiego płacono od 1030 do 1120 wonów. Najlepszy kurs widzieliśmy w kantorach w dzielnicy Insadong.

W Japonii płaci się jenami. Jeden dolar USA w dniu 5 lipca 2018 w Naha wart był 107 jenów w banku. Na lotnisku w Osace płacono prawie 109 jenów.

Wizy: Do Korei Południowej, a także do Japonii obywatele polscy nie potrzebują wiz przy krótkich pobytach turystycznych.

Bezpieczeństwo: W Korei Południowej temat bezpieczeństwa czy jego braku dla zwykłych turystów z plecakiem praktycznie nie istnieje. Kradzieże są rzadkością, a jedynym zagrożeniem jest chyba ruch uliczny.

Transport: W Korei Południowej najtańszym środkiem transportu międzymiastowego jest autobus. Szybkie, wygodne autokary poruszające się po autostradach łączą dworce autobusowe połączone z reguły metrem albo kolejnymi autobusami miejskimi z innymi punktami koreańskich metropolii. Pociągi są droższe. Taksówki w Seulu są względnie tanie i poruszanie się w obrębie jednej dzielnicy to wydatek maksymalnie

kilku tysięcy wonów. Na dłuższe trasy warto rozważyć samolot. Tanie linie dolatują np. na wyspę Jeju albo ze stolicy do Busanu.

W Japonii sytuacja uzależniona jest od regionu. Na Okinawie warto mieć swoje auto, gdyż przemieszczanie się środkami transportu publicznego poza Naha jest bardzo utrudnione. Autobusy jeżdżą rzadko i nie wszędzie dojeżdżają. Jeżeli podróżujemy po wyspie Honsiu to nie napotkamy większych problemów w przemieszczaniu się. W dużych miastach kursuje metro, pociągi, a np. w Kyoto dobrze rozwinięta jest sieć autobusowa. Na trasach międzymiastowych najszybszy jest samolot albo pociąg, najtańszy zaś autobus.

Zdrowie: Korea Południowa i Japonia nie leżą w strefie międzyzwrotnikowej i, uogólniając, można zaryzykować twierdzenie, że są tak bardzo bezpieczne (albo niebezpieczne) jak nasza Polska, jeżeli chodzi o ryzyko zachorowania na którąkolwiek z chorób.

Przewodniki i literatura:

Korea – Lonely Planet

Japan – Lonely Planet

Japoński Wachlarz. Powroty, Joanna Bator.

Dom w Ulsan. Korea Południowa oczami ekspata, Małgorzata Kalicińska, Vlad Miller.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1 (niedziela)

Po ośmiogodzinnym locie z Warszawy do Pekinu i przesiadce w tymże ogromnym chińskim mieście przelecieliśmy Morze Żółte i po kolejnych dwóch godzinach w powietrzu wylądowaliśmy w stolicy Korei Południowej. Z lotniska Incheon do centrum Seulu dostaliśmy się kolejką Arex. Po 55 minutach byliśmy już w sercu miasta, płacąc 4800 wonów za osobę dorosłą. Przesiadamy się na metro fioletowej linii 5 i wysiadamy na stacji Jongno 3 ga. Gdybyśmy znali dokładnie rozkład ulic, to nie musielibyśmy kluczyć prawie pół godziny dookoła naszego hotelu. Był on położony dosłownie 4 minuty od tej stacji. Wieczorem nikt prócz mnie nie miał już siły na zwiedzanie pięknego Pałacu Chang Deok Gung. Wstęp 3000 w, a zamknięcie o godz.18.30. Warto.

Dzień 2 (poniedziałek)

Walka ze snem spowodowana zmianą czasu opłacała się. Wyruszyliśmy we dwoje z Dawidkiem (Ania i Hania poddały się siłom natury albo snu, jak kto woli) do Bukchon Hanok Village i do Pałacu Gyeongbokgung (wstęp 3000 w dla dorosłych i 1500 w dla dzieci). Przystanęliśmy nad rzeczką przy Cheong gye Cheong. Następnie po obiedzie w KFC (za dwa zestawy zapłaciliśmy około 10 000 w) metro zabrało nas do Lotte World Tower, a potem do dzielnicy Gangnam. Każdy z przejazdów to koszt około 2000 w dla dorosłego i 1000 w dla dziecka. Wieczorem, obok naszego hotelu Seoul 53 Insadong, zjedliśmy smaczną pizzę za 8000 w. Pokój hotelowy z dwoma dużymi dwuosobowymi łóżkami kosztował 35 000 w za dobę.

Dzień 3 (wtorek)

Przed godz. 9.00 metrem dotarliśmy do Gwacheon National Science Museum. Warto tutaj spędzić cały dzień. To flagowe muzeum nowoczesnej techniki, gdzie Koreańcy mogą się pochwalić najnowszymi technologiami. Jest mnóstwo atrakcji dla dzieci i przyjazna stołówka serwująca smaczne i niedrogie posiłki. Wstęp do muzeum to wydatek 4000 W dla dorosłego i 2000 W dla dziecka. Po godz. 17.00 byliśmy z powrotem w naszym pokoju. Przejazd metrem z dzielnicy Insadong kosztował 2000 W dla osoby dorosłej i 1000 W dla dziecka (w jedną stronę). Deszczowy dzień w Seulu.

Dzień 4 (środa)

Wizytę w futurystycznym T.um muzeum zaplanowaną mieliśmy na godzinę 13.00. Spędziliśmy w nowoczesnym obiekcie firmy Sk ponad godzinę, przenosząc się do roku 2048, gdzie miejskie pociągi jeżdżą z prędkością 1300 km/godz., a podróże międzygalaktyczne są normalnością. Wstęp był bezpłatny, ale wymagał wcześniejszej rezerwacji internetowej. Po zjedzeniu obiadu w tradycyjnej koreańskiej restauracji – gimhap – 5000 w, ramen – 4000 w, powędrowaliśmy w kierunku wzgórza Namsan. Kolejką linową (9500 w bilet powrotny dla dorosłego) wjechaliśmy na taras obserwacyjny. Za kolejne 9000 w można było wjechać i zjechać na samą wieżę. Widoki z tarasów na pograżający się w ciemnościach a jednocześnie rozświetlony kakofonią barw Seul były warte każdego wona.

Dzień 5 (czwartek)

Przed godziną 10.00 jechaliśmy już metrem linii pomarańczowej do stacji Express Bus Terminal, gdzie kupiliśmy bilety autobusowe do miasta Andong: 19 900 w kosztował przejazd dla osoby dorosłej, a 10 000 w dla dziecka. Podróż zajęła nam niecałe trzy godziny. Z Andong, chcąc dostać się do wioski Hahoe, musimy wsiąść do autobusu nr 246 odjeżdżającego sprzed stacji. Za 1300 w dostaniemy się w pół godziny do samego Hahoe. Spanie u mieszkańców w domach (zwie się tutaj minbak) waha się cenowo od 50 000 do 10 000 w. Dostaje się wtedy ładny, mały i czysty pokój z matami i prywatną łazienką.

Dzień 6 (piątek)

Hahoe to wioska wyglądająca trochę jak pięknie utrzymany skansen na pokaz, ale jak się okazuje, jest to żyjąca wieś zamieszкана przez ponad dwieście osób. Śpimy u gospodarzy, których dom ma blisko 400 lat, a w okolicach są także nieco starsze. Płacimy 50 000 w za mały pokój z łazienką, w którym mieszczą się cztery maty. Okolica jest bardzo malownicza. Wioska Hahoe umiejscowiła się w zakolu rzeki, a dookoła otaczają ją pola ryżowe i wysoka skała po przeciwległej stronie rzeki. Rankiem wyruszyliśmy do Hahoe Mask Museum, małego, ale bardzo interesującego muzeum, gdzie właściciel zebrał kilkaset masek z całego świata. Podzielone są według kontynentów i mają dodany interesujący opis. Bilet wstępu do wioski obejmuje także wejście do tego muzeum.

Obiad – makrelę, ryż i różne kiszonki – zjedliśmy w jednej z restauracji znajdującej się za budynkiem muzeum. Cena – 17 000 w. Dokładnie o godzinie 14.00 w piątek, soboty i niedziele wystawiany jest w pobliżu przystanku autobusowego spektakl

z udziałem aktorów w maskach Hahoe. Ciekawa rzecz, warta zobaczenia. Spektakl jest bezpłatny.

Dzień 7 (sobota)

Rankiem przepłynęliśmy promem przez rzekę okalającą wieś Hahoe. Cena biletu w dwie strony dla osoby dorosłej to 4000 w, a dla dziecka 3000 w. Na drugim brzegu usytuowana jest Akademia Konfucjańska i Biblioteka oraz kilka mniej znaczących budynków. Na wycieczkę warto przeznaczyć 1–2 godziny, a na koniec wizyty polecamy wspiąć się na samą górę do punktu widokowego, skąd można oglądać całą okolicę – Hahoe, pola ryżowe i wijącą się jak wąż rzekę. Na obiad wybraliśmy się w to samo miejsce co wczoraj, czyli do jednej z restauracji za Muzeum Masek. Makrela z ryżem dla czterech osób – 17 000 wonów. Po południu spacerowaliśmy po Hahoe i dotarliśmy do jedynego kościoła chrześcijańskiego w wiosce.

Dzień 8 (niedziela)

O godz. 9.20 odjeżdża autobus linii 246 do Andongu. Deszcz padał dość mocno i kierowca nie zauważył nas na przystanku, odjeżdżając w pośpiechu. Zostaliśmy zmuszeni czekać kolejne 50 minut na następny autobus. Kiedy dotarliśmy do Andongu, zakupiliśmy bilet za 18 000 w (osoba dorosła) do Busanu. Dwie i pół godziny jazdy i już wysiadaliśmy na dworcu autobusowym w północnej części Busanu przy stacji metra Nopo. Stąd za 1600 w można dostać się na stację przy plaży Haeundae. Nasz hotel Elly Guesthouse zlokalizowany jest dwie przecznice od pięknej plaży. Płaciliśmy 50 000 w za pokój, w którym mieszczą się trzy duże maty na podłodze. Łazienka jest wspólna dla dwóch pokoi. Woda w oceanie jest bardzo zimna, ale czysta. Kolacja w McDonalddie – BigMac menu to wydatek 4900 w.

Dzień 9 (poniedziałek)

Rano plaża Haeundae. Słońce mocno paliło. W międzyczasie skorzystaliśmy z pralni, gdzie samodzielnie można używać pralek i suszarek. Koszt 5500 w za pranie i tyleż samo za półgodzinne suszenie. Obiad zjedliśmy tym razem w Subwayu. Mała kanapka 4600–5200 w, a duża około 8000–9000 w. Po południu trzema liniami metra dotarliśmy do przystanku Beomeo-sa, skąd taksówką za 5000 w dojechalismy do samej świątyni Beomeo-sa na północy Busanu. Wstęp bezpłatny. Pięknie położony na wzgórzu kompleks świątyni prezentuje się wspaniale. Bogato zdobione dachy i ściany świątyni wyróżniają się na tle zieleni drzew porastających zbocza gór. Ze wzgórza zjechalismy autobusem (1300 w za osobę) do stacji metra. Wieczorem, jak już ściemniało się, przespacerowalismy się wzdłuż plaży. Oświetlone wieżowce stojące zaraz przy piasku robią niesamowite wrażenie.

Dzień 10 (wtorek)

Od rana lał deszcz. Lał właściwie cały dzień. Podobno łagodniejszy tajfun przechodził niedaleko wybrzeża koreańskiego pomiędzy japońskimi wyspami a właśnie Koreą Południową. Pojechalismy więc do galerii handlowej przy Centum City. To podobno największy wielkopowierzchniowy kompleks sklepów na świecie. Mała pizza w jednej z restauracji to wydatek 6000–7000 w. W galerii zlokalizowana jest ogromna księgarnia, ale niestety 99% książek jest w języku koreańskim. Pomimo tego liczba

pozycji na sprzedaż robi wrażenie. Taksówką za 5000 w wróciliśmy do naszego hotelu Elly Guesthouse.

Dzień 11 (środa)

Ostatni dzień w Korei Południowej. Metrem dotarliśmy na Jagalchi Market. To faktycznie miejsce niesamowite – chyba większość stworzeń morskich, żyjących w koreańskich wodach jest wystawiona tutaj na sprzedaż, w dużych zbiornikach, gdzie woda prosto z morza przelewa się, sprawiając, że wszystkie ryby i skorupiaki są świeże. Jest tutaj także mnóstwo restauracji serwujących te morskie przysmaki. Za 10 000 w za osobę zjedliśmy smaczną, smażoną rybę z ryżem i dodatkami kimchi oraz innymi warzywami i glonami. Wracając, zatrzymaliśmy się na plaży Gwangalli. Kolacja w Subway'u.

Dzień 12 (czwartek)

Taksówką za 25 000 w dotarliśmy do lotniska Gimhae, skąd linie JinAir z ponad półgodzinnym opóźnieniem zabrały nas do Japonii. Na Okinawie wylądowaliśmy zaraz przed 11.00 i od razu przystąpiliśmy do formalności związanych z wynajmem auta. Czterodrzwiowe małe, ekonomiczne auto o napędzie hybrydowym (nissan) kosztowało około 25 000 jenów za 6 dni z pełnym ubezpieczeniem (udział własny – zero). Cena jednego litra benzyny to 143 jeny. Z wypożyczalni na półwysp Motobu, gdzie wynajęliśmy mały apartament w pięciokondygnacyjnym bloku kilkaset metrów od plaży, jechaliśmy blisko dwie godziny. Dystans prawie 100 km przejechaliśmy częściowo autostradą, za którą zapłaciliśmy prawie 1000 jenów (odcinek około 50 km). Przed zmrókiem leżeliśmy już na wygodnej kanapie. Apartament dla naszej czwórki kosztował około 12 000 jenów za dobę.

Dzień 13 (piątek)

Dzień na plaży na wyspie Kouri. Posiadanie własnych czterech kótek na Okinawie to duża zaleta i udogodnienie. Objechaliśmy cały półwysp Motobu. Obiad zjedliśmy w McDonalddie w mieście Nago (hamburger kosztuje około 200 jenów), wymieniliśmy pieniądze i zrobiliśmy zakupy w markecie.

Dzień 14 (sobota)

Rankiem pojechaliśmy do portu Tomari do Nahy – około dwie godziny jazdy. Parking płatny w porcie. Promem na wyspę Zamami z przystankiem na wyspie Aka. Zamami słynie z pięknych plaż. I na jedną z nich trafiliśmy zaraz przy porcie. Dwadzieścia metrów od brzegu rozpoczynała się rafa koralowa. Wy płynęliśmy o godz. 10.00, a powrót z Zamami odbył się o 16.00. Rejs szybką łodzią miał wszystkie miejsca zarezerwowane. Warto kupić wcześniej przez internet. Po godzinie 20.00 byliśmy z powrotem na półwyspie Motobu.

Dzień 15 (niedziela)

Rankiem przebiegłem 7 kilometrów wzdłuż plaży przy Bise Fukugi Tree Road. Ciężko się biega, gdy słońce mocno pali, a słupek rtęci dochodzi do trzydziestu kresk o godzinie ósmej rano. Odwiedziliśmy motylarnię Butterfly Garden, gdzie można przyglądać się kilku gatunkom motyli. Między innymi ogromnym żółto-czarnym, nieczu-

jącym strachu osobnikom. Następnie zjedliśmy smaczny obiad w jednej z restauracji przy plaży – pizza kosztowała 1200 jenów, a lokalne danie z Okinawy (rosół z makaronem i innymi dodatkami) to wydatek około 1000 jenów. Popołudnie spędziliśmy na plaży Emerald przy hotelu Orion Motobu.

Dzień 16 (poniedziałek)

Rankiem, około ósmej, wyruszyliśmy ponownie do Nahy zobaczyć Zamek Shujiro i Peace Memorial Park. Zupełnie odrestaurowany po zniszczeniach w trakcie II wojny światowej zamek Shujiro robi wrażenie. Jest zlokalizowany na wzgórzu i rozpościera się z niego wspaniały widok na stolicę Okinawy. Park Peace Memorial i znajdujące się w nim muzeum, upamiętniające tragiczne wydarzenia z II wojny światowej, warto odwiedzić. Na spokojne zobaczenie tego obiektu trzeba przeznaczyć co najmniej 2–3 godziny. Wieczorem wróciliśmy na półwysep Motobu, jadąc drogą ekspresową i płacąc za to słono (niecały 1000 jenów).

Dzień 17 (wtorek)

Po godzinie dwunastej, w największym tłumie, rozpoczęliśmy zwiedzanie akwariium Charaumi. Za dwie osoby dorosłe i jedno dziecko zapłaciliśmy 4300 ¥. Dzieci niechodzące jeszcze do szkoły podstawowej, niezależnie od wieku, nie płacą wstępu. Akwarium jest warte odwiedzenia, może poza basenem z tresowanymi delfinami oraz orkami, i posiada ogromnie dużo gatunków ryb, a największe wrażenie robi potężny zbiornik z dwoma rekinami wielorybimi, mantami i płaszczkami oraz kilkoma innymi gatunkami ryb.

Dzień 18 (środa)

Oddaliśmy auto i samolotem linii Jetstar poleciliśmy do Osaki. Koleją JR dotarliśmy najpierw do głównej stacji Osaka, aby przesiąść się na pociąg do Kyoto Station. Taki przejazd dla osoby dorosłej kosztował 1880 jenów. Dalej z Kyoto Station linią Nara Line dojechaliśmy do stacji Tokufuji, skąd kolejny pociąg zabrał nas do stacji Gion. Tam wsiedliśmy do autobusu i po kilku przystankach dojechaliśmy do stacji Ginkakuji-michi zaraz obok naszego Hostelu Ginkakuji. Bilet autobusowy kosztuje 230 jeny za osobę dorosłą i 120 za dziecko.

Dzień 19 (czwartek)

Kyoto to miasto pełne atrakcji. Ginkakuji to pierwsza świątynia, którą odwiedziliśmy. Nie jest może ogromnym obiektem, ale drewniane pawilony tonące w zieleni i przepięknie wypielęgnowane ogrody zachęcają do dłuższego kontemplowania tego miejsca. Niedaleko jest zlokalizowana świątynia Honen-in. Mniejsza, ale także bardzo ładnie położona i zupełnie pozbawiona tłumów, które odwiedzają wcześniej wspomnianą budowlę. I odwiedzenie jej jest bezpłatne. Pizza w restauracji zaraz obok naszego hostelu kosztuje minimum 1000 jenów (za margheritę).

Dzień 20 (piątek)

Do dzielnicy Arashiyama warto wybrać się z co najmniej dwóch powodów. W pierwszej kolejności wspięliśmy się na wzgórze, skąd rozpościera się piękny widok na Kyoto, ale także tutaj można spotkać dziesiątki makaków japońskich. A że był to lipiec, czyli

pora kiedy małpy oczekują potomstwa, to mogliśmy zobaczyć, jak matki z wczepionymi w grzbiety małymi skaczą po gałęziach lub przebiegają po ścieżkach. To miejsce nazywa się Arashiyama Monkey Park. Bilet wstępu dla osoby dorosłej to 550 jenów. Wracając na powrotny autobus nr 93, przeszliśmy przez tzw. Bamboo Forest, mały zagajnik porośnięty kilkunastometrowymi bambusami. Wstęp jest tutaj bezpłatny.

Dzień 21 (sobota)

Nara to historyczna stolica Japonii. Aby dostać się tutaj ze wschodniej części Kyoto, trzeba przejechać do stacji kolejki Demachiyanagi, następnie dotrzeć do stacji Tofukui, skąd pociągi linii Nara Line zabiorą nas prosto na stację Nara Station. Stąd już tylko 30 minut spacerem (albo 10 autobusem nr 2) do świątyni Todai-ji, gdzie pod jedną z największych drewnianych konstrukcji spoczywa blisko 15-metrowej wysokości Budda. Posąg, całkowicie odlany z brązu, powstał ponad 1200 lat temu. Japonia prawie zbankrutowała przy budowie tej ogromnej świątyni, a niepotwierdzone legendy mówią, że blisko dwa miliony ludzi pracowało przy konstrukcji Buddy. Jelonki wschodnie zaczepiają ogromne rzesze turystów odwiedzających święty park Nara-koen. Można kupić specjalnie przygotowane wafelki dla jelonków (150 jenów) oraz, robiąc pamiątkowe zdjęcia, pokarmić te miłe stworzenia. W parku znajduje się także piękna świątynia Kofuku-ji z kilkukondygnacyjną pagodą. Popołudniem wracamy do Kyoto. Bilet dla osoby dorosłej kosztuje 710 jenów do stacji Tofukui.

Dzień 22 (niedziela)

Tegoroczne lato w Kyoto jest bardzo gorące; rankiem, około godziny ósmej, słupek rtęci pokazuje już ponad 30°C, a w dzień dochodzi prawie do 40. Niełatwo spaceruje się w takiej temperaturze, postanawiamy więc spędzić niedzielę chłodząc się w basenie. W Kyoto nie ma wiele tego typu możliwości, ale znaleźliśmy jedno miejsce, które nazywa się Hirakata Park. Są tam przeróżne atrakcje dla dzieci i jest także to, co nas najbardziej interesowało – mała część basenowa nazwana the Boon. Chcąc dojechać tutaj ze wschodniej części miasta, trzeba pojechać linią Keihan Line z jedną przesiadką do stacji Hirakata-koen, a następnie przespacerować się pięć minut. Wstęp do całego parku wraz z basenem kosztuje 2300 jenów za osobę dorosłą i 1300 jenów za dziecko. Szkoda tylko, że na ten sam sposób spędzenia niedzieli wpadło jeszcze oprócz nas kilka (albo kilkanaście) tysięcy mieszkańców Kyoto...

Wracając, przy stacji kolejki Keihan, we włoskiej restauracji zjedliśmy smaczną pizzę za 1200 jenów, a właściciel poczęstował nas winem i dodatkowymi napojami dla dzieci.

Dzień 23 (poniedziałek)

Pieniądze wymieniliśmy w automacie specjalnie zaprojektowanym do wymiany walut w jednym ze sklepów przy świątyni Fushimi Inari. Z reguły kurs jest tam dużo gorszy niż w banku, ale tym razem zdziwiliśmy się – automat oferował ponad 107 jenów za jednego dolara USD. Następnie zjedliśmy tempurę (980 jenów) i sushi (700 jenów) w jednej z małych restauracyjek i udaliśmy się na wędrowkę do świątyni Fushimi Inari, gdzie tysiące cynobrowych drewnianych bram tworzy korytarze prowadzące na świętą górę. Wiele z nich strzegą lisy, odgrywające tutaj ważną rolę świętych zwierząt. Wstęp do świątyni jest bezpłatny.

Linia Keihan dojechaliśmy do stacji Gion-shijo, gdzie spacerując uliczkami dzielnicy Gion mamy szczęście ujrzeć przemyskającą gejszę do jednego z wytwornych drogich lokali. Ze stacji Demachiyanagi autobus 203 zabrał nas na przystanek Ginkakuji-michi, gdzie mieści się nasz hostel.

Dzień 24 (wtorek)

Gion Matsuri. Chcąc zobaczyć jedno z największych japońskich świąt, trzeba było wstać już około szóstej rano i dojechać do stacji Gion-shijo, aby zaraz po siódmej zająć miejsce przy skrzyżowaniu głównych ulic specjalnie przygotowanych do parady Matsuri. Tłumy mieszkańców Kyoto i turystów kłębiły się w poszukiwaniu dobrego miejsca do obserwacji pochodu. Słońce paliło niemiłosiernie, a temperatura zbliżała się do znanych nam już 35 stopni. Tradycja tego święta sięga VII wieku i do dzisiaj ogromne platformy jadą ulicami dzielnicy Gion, upamiętniając odejście epidemii dżumy ponad 1200 lat temu. Zobaczyłem 16 z 23 platform – to niesamowity spektakl, gdzie setki mężczyzn pokazuje to, co przygotowywało pieczołowicie przez długi czas przed procesją.

Na stacji Tofukuji, linii Keihan można kupić bilety na koleje JR. Zapadła decyzja jutrzejszego przejazdu szybkim pociągiem shinkansen do Tokyo, więc kupiliśmy cztery bilety. Cena za osobę dorosłą to 13 080 jenów, a za dziecko dokładnie połowę.

Dzień 25 (środa)

Chcąc dostać się z Kyoto do Tokyo, posiadając bilet na pociąg dużych prędkości (najlepiej Shinkansen Nozomi), trzeba poświęcić około dwóch godzin. My jechaliśmy dokładnie 130 minut z dworca Kyoto do centralnego dworca Tokyo. Stąd dostaliśmy się koleją JR, a potem taksówką (650 jenów za 1,5-kilometrowy odcinek) do naszego apartamentu.

Po południu udało się nam zobaczyć dzielnicę Asakusa i z budynku informacji turystycznej podziwiać Tokyo. Senso-ji to ładna świątynia, którą, jak większość atrakcji w lipcu, odwiedzają tłumy turystów.

Dzień 26 (czwartek)

Do stacji Maihama dojeżdża kolej JR. Wsiadając tutaj, zobaczymy przed sobą ogromne budynki parku Disneyland. Cały dzień to za mało, aby odwiedzić wszystkie atrakcje. Wstęp dla osoby dorosłej to wydatek 7400 jenów, a za dziecko trzeba zapłacić 4800 jenów. Punkty gastronomiczne na terenie parku działają sprawnie i nie ma problemu z zakupem pizzy w kształcie myszki Mickey czy ciastek Pluto, oczywiście w odpowiednio wysokiej cenie. O godz. 22.00 byliśmy przed naszym apartamentem. Kolacja zakupiona w sklepie Lawson to zestaw sushi – 290 jenów, bułka z jabłkiem – 150 jenów, mleko 1 l – 240 jenów, woda 2 l – 98 jenów.

Dzień 27 (piątek)

Tokyo National Museum to podobno najlepsze muzeum w stolicy. Odwiedziliśmy tylko Honken, czyli główny budynek, gdzie mieści się Japanese Art Gallery – kolekcja sztuki japońskiej przedstawiona chronologicznie od pierwszych notowanych śladów osadnictwa na wyspach. Dzieci wchodzi za darmo, a dorośli płacą 620 jenów. Fantastycznie jest chodzić po klimatyzowanych salach i oglądać eksponaty mające po kil-

ka tysięcy lat, albo te nowsze, jak: zbroje samurajów, obrazy z ceremoniami picia herbaty czy maski Noh. Muzeum warte jest odwiedzin. Po południu trafiliśmy do dzielnicy Harajuku, gdzie odwiedziliśmy chram Meiji-jingu i zatłoczoną ulicę Omote-sando pełną ekskluzywnych butików. Wieczorem linią kolei JR Yamanote dotarliśmy do Shibuya – skrzyżowania sześciu ulic, gdzie tysiące ludzi jednocześnie, co chwilę przy zmianie świateł, próbuje z powodzeniem przejść na drugą stronę jezdnii.

Dzień 28 (sobota)

Rankiem ruszyliśmy brązową linią metra Yarakucho do stacji Toyosu (240 jenów), gdzie przesiadliśmy się na kolejkę Yurikamome. Bilet na tę kolejkę to wydatek 320 jenów za osobę dorosłą. Po niecałej godzinie staliśmy przy kasach muzeum Maraikan. Wstęp dla dzieci w soboty jest bezpłatny, a dorośli płacą 600 jenów. Niestety muzeum rozczarowało nas – oprócz robota ASIMO i Otoandroida (kobiety) eksponaty, mimo że w większości interaktywne, nie porwały nas. Dla przykładu, muzeum Gwacheon w Seulu jest dużo ciekawsze. Obiad podawany na siódmym piętrze Maraikanu kosztuje około 750 jenów. Około 18.00 byliśmy już z powrotem w naszym apartamencie.

Dzień 29 (niedziela)

Dzielnica Shinjuku, niedzielny targ, świątynia i wieżowce. Późnym popołudniem na lotnisko. Wieczorny odlot do Polski przez Pekin.

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)
Jan i Basia Robak

Kalifornia północna i Oregon południowy



Termin wycieczki: 6 czerwca – 3 lipca 2018

Trasa: Chicago – Kalifornia (San Francisco, Golden Gate National Recreation Area) – Marin Headlands (Golden Gate National Recreation Area), Sausalito – US Army Corps of Engineers Bay Model, Olema, Bodega, Portuguese Beach, Goat Rock Beach, Fort Ross State Historic Park, Salt Point State Park, Point Arena Lighthouse, Schooner Gulch Beach (Bowling Beach), Manchester State Park, Greenwood State Beach, Navarro Beach Access, Van Damme State Park Beach, Pygmy Forest, Mendocino, Mendocino Headlands State Park, Jug Handle State Reserve, Fort Bragg, Glass Beach, Ten Mile River Bridge, Seaside Beach, Union Landing State Beach, Hales Grove, Chandelier Tree, World Famous Tree House, One Log House, Richardson Grove State Park, Avenue of Giants (Living Chimney Tree, Humboldt Redwoods State Park, California Federation of Women's Grove, Eternal Tree House), Ferndale, Eureka, Trinidad Scenic Drive, Trinidad Head Trail, Trinidad State Beach, Patricks Point State Park (Agate Beach), Prairie Creek Redwood State Park (Fern Canyon Trail), Newton B. Druhy Scenic Parkway (Big Tree Trail, Ah Pah Interpretive Trail), Klamath River Overlook, Hidden Beach, Crescent City; **OREGON** – Harris Beach State Park, Samuel H. Boardman State Scenic Corridor, Gold Beach Visitor Center, Sisters Rocks State Park, Battle Rock Wayside Visitor Center, Port Orford, Port Orford Heads State Park, Bandon, Elk Creek Falls, Conquille River Falls, Grand Pass, Jacksonville Historic District, Medford, Barr Creek Falls, Mill Creek Falls, Crater Lake National Park, Fort Klamath; **KALIFORNIA** – Klamath Basin National Wildlife Refuge Visitor Center, Lava Beds National Monument, Medicine Lake, Jot Dean Ice Cave, McCloud Falls, Hunt Hot Springs, Burney Falls State Park, Lassen Volcanic National Park, Lake Tahoe, Sonora Pass, Sardine Falls, Twin Lake, Buckeye Hot Springs, Bodie Historic State park, Devil's Postpile National Monument, Rainbows Falls, Mammoth Lakes, Hot Creek Geological Site, Whitmore Hot Springs, Yosemite National Park, Jamestown Railroad 1897 State Historic Site, Columbia, San Francisco – Chicago

Środek transportu: RV (kamper) Ford 19"

RV czyli Recreational Vehicle to pojazd i dom w jednym. Jest to najbardziej wygodna opcja wakacyjna, szczególnie jeśli podróżujemy z małymi dziećmi i chcemy jak najwięcej zobaczyć, nie marnując czasu na codzienne poszukiwanie moteli, hoteli czy restauracji. Pożyczany przez nas kamper należy do najmniejszych tego typu pojazdów w Stanach i ma długość „zaledwie” 19 stóp (6 metrów). W wyposażeniu znajdują się: 2 łóżka (mieszczące 4 osoby, w tym jedno rozkładane w wersji stół plus kanapy), lodówka, plus mała zamrażarka, kuchenka na 2 palniki, mikrofała, ogrzewanie/ochładzanie, zlew, WC, prysznic oraz szafki i szuflady na ubrania i jedzenie. Na wyposażeniu jest też generator, którego zużycie opłacane jest dodatkowo – za każdą godzinę 3 USD (lub wykupiony w pakiecie na każdy dzień za 5 USD × liczba dni).

Przewodniki: Atlas topograficzny *Delorme California North, California Road & Recreation Atlas, Oregon Road & Recreational Atlas, Hiking Oregon* – Lizan Dunegan, *Hiking waterfalls in Oregon* – Adam Sawyer, *Hiking Northern California* – Bubba Suess, *Hiking Sierra Nevada* – Barry Parr, www.alltrails.com, www.waterfallsnorthwest.com, www.hikespeak.com, www.szlakiusa.pl

Długość trasy: RV 2581 mil (4154 km) plus osobówki około 150 mil (240 km)

Koszt wypożyczenia RV: 2737 USD (3237 USD – 500 USD gift certificate za wygrany fotokonkurs w Cruise America – konkurs można wygrać, wysyłając do nich zdjęcie z wakacji, na którym znajduje się kamper z logo Cruise America na tle np. ładnego krajobrazu czy nas samych również ładnych)

Koszt benzyny: 913 USD (średnia cena benzyny: Kalifornia 4,20 USD/galon, Oregon 3,50 USD/galon)

Noclegi: bezpłatnie (w National Forest), kempingi: 8–35 USD/noc

Koszt wycieczki: 6230 USD

Parki narodowe: Annual Pass (80 USD) upoważnia do wjazdu do wszystkich parków narodowych na terenie USA. Ważny przez cały rok od momentu zakupu.

Teren, który wyznaczyliśmy sobie na wycieczkę (czyli północna część Kalifornii i południowo-zachodnia część Oregonu), poza jego cudownością i unikalnością przyrodniczą okazał się super petardą ze względu na małe zainteresowanie turystyczne, co wiąże się oczywiście bezpośrednio z „tłumowiskiem” ludzkim, którego unikamy jak ognia. Jedynie dolina parku narodowego Yosemite i jezioro Tahoe są bardzo intensywnie odwiedzanymi miejscami, z których ciężko było się wydostać... z powodu korków. To co nas najbardziej urzekło geograficznie, to niepodważalnie najpiękniejsza część wybrzeża Pacyfiku, liczne wodospady, powulkaniczne jaskinie, *ghost towns*, ośnieżone stożki wulkaniczne, klimatyczne wiktoriańskie miasteczka, gorące źródła... i długo by jeszcze wymieniać.

Pisząc o Kalifornii, nie sposób też nie wspomnieć o winie, bo to przecież stan, gdzie produkuje się go najwięcej w USA (90% produkcji, czyli ponad 17 milionów galonów, przypada właśnie na Kalifornię, głównie część północną – m.in. Napa i Sonoma Valley,

Mendocino, Solano i Lake County). Podróżując więc, można sobie umilać zwiedzanie degustacjami tegoż trunku w licznych winiarniach, które, chcąc przyciągnąć potencjalnego klienta, oferują darmowe poczęstunki. Od 1 stycznia 2018 roku zalegalizowano w Kalifornii rekreacyjną marihuanę, co oznacza, że można sobie wejść do sklepu i kupić (posiadać) do 1 uncji (29 gram) tegoż ziółka. Jeden skręt kosztuje mniej więcej 10 USD w zależności od jakości i lokalizacji. Jako że sklepów tych jest jeszcze stosunkowo niewiele w granicach miasta San Francisco, po zakupy lepiej się udać na drugą stronę zatoki w kierunku Berkley lub Oakland. Jeszcze przed wprowadzeniem tego prawa, wielokrotnie odwiedzając miasto, wyczuć można było charakterystyczny zapach szczególnie w dzielnicy Ashbury Heights, gdzie zamieszkują liczni zwolennicy wszelkich używek.

Podsumowując naszą trasę, zaczęliśmy od wybrzeża przy San Francisco, którym sunęliśmy aż do Bandon w Oregonie. Następnie odwiedziliśmy liczne wodospady „zaszyte” w gęstych lasach i unikalny park narodowy Crater Lake, kierując się na południe na powulkaniczne tereny, obfitujące również w gorące źródła i wodospady. Odwiedziliśmy zapchane po brzegi Lake Tahoe, historyczny *ghost town* Bodie, kończąc na równie zatłoczonym parku Yosemite i kilku miejscach związanych z gorączką złota. Codziennie obserwowaliśmy niesamowitą przyrodę i siły natury, które nią rządzą. Poza kilkoma wyjątkami spędziliśmy cały miesiąc na łonie natury z dala od „tłumowisk” turystycznych.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1 i 2

Czyli 2 dni organizacyjne. A zaczęło się nieciekawie: po dotarciu na lotnisko O'Hare (Chicago) okazało się, że nasz lot jest opóźniony. Początkowo tylko godzinę, następnie 2..., 3..., 4..., 5 godzin..., a następnie ostatecznie skasowany. W samolot podczas poprzedniego lotu uderzył piorun i zepsuły się elektroniczne urządzenia nawigacyjne, nad których naprawą pracowali wykwalifikowani mechanicy.

Pasażerowie byli zwodzeni przez te 5 godzin... po czym poinformowano nas, że lot jest odwołany, a następny, który Frontier Airlines może nam zaoferować będzie za dwa dni!!! Ludzie wpadli w szal – ale to jest właśnie skutek negatywny korzystania z usług tanich linii lotniczych. Dodatkowo bilet na lot Chicago – San Francisco, który wykupiliśmy 6 miesięcy wcześniej został przedzielony na 2 loty z międzylądowaniem w Denver (Colorado), co dodatkowo skomplikowało naszą sytuację z początkową informacją o opóźnieniu.

Podczas całego zamieszania (wśród wrzasków naszych znudzonych czekaniem dzieci) z podawanymi informacjami o opóźnieniu zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić, bo nawet jeśli nasz samolot by poleciał do Denver, to i tak spóźnimy się na połączenie Denver – San Francisco. A oferta Frontiera z propozycją lotu za dwa dni w ogóle nie wchodziła w grę. Sprawdziliśmy w wyszukiwarce ceny połączeń Denver – SF, ale nie wyglądało to finansowo ciekawie (około 1200 USD w jedną stronę za naszą czwórkę). Postanowiliśmy więc szukać coś bezpośrednio do SF i złapaliśmy ostatnie 4 bilety na lot zwany *basic economic* (United Airlines) w bardzo korzystnej cenie 116 USD za sztu-

kę (w jedną stronę). Mieliśmy kilka godzin do odlotu (wylot o 6 rano następnego dnia), więc uznaliśmy, że nie ma sensu opuszczać lotniska. Ułożyliśmy się na niewygodnych fotelach w terminalu 3 i kuląc się z zimna, próbowaliśmy zasnąć. Niestety to właśnie przeraźliwe zimno płynące z klimatyzatorów umiejscowionych niedaleko naszych foteli uniemożliwiło nam zmruczenie powiek. Założenie kilku warstw ubrań nie pomogło (potrzebny był zapewne śpiwór arktyczny).

Tak więc „lekko” wymęczeni zaczęliśmy o 3.30 nad ranem przygotowania do odprawy, ładując się z całym naszym majdanem w kierunku stanowisk United Airlines. Ponieważ skończyło się nam jedzenie przygotowane na podróż, musieliśmy skorzystać z fantastycznej oferty barowej (jedynej czynnej o tej porze), serwującej „przepyszne” posiłki fastfoodowe.

Lot na nasze szczęście odbył się bez żadnych problemów i szczęśliwie wylądowaliśmy w ukochanym przez nas San Francisco. Tu tylko pojawił się niewielki problem, bo zaginęły siedzonka samochodowe dla dzieci. Przez godzinę wędrowaliśmy więc do różnych wskazanych przez pracowników lotniska miejsc... aż w końcu po godzinie nasze zguby się odnalazły. Dodatkowo na lotnisku panował lekki chaos spowodowany awarią kolejki, którą mieliśmy dotrzeć do wypożyczalni samochodów. Zaadoptowany do tego celu został autobus, do którego kłębiły się zdenerwowane tłumy podróżnych. Kiedy już dowlekliśmy się do wypożyczalni, tam też przywitały nas przeogromne pozawijane kolejki... W końcu wypożyczyliśmy Forda Escape'a (56 USD/dzień). Jako że mieliśmy jeszcze 2 godzinki do odbioru RV-ika, pojechaliśmy napełnić brzuchy do znacznie bardziej imponującej smakowo restauracji niż ta odwiedzona na lotnisku (Thai Kitchen 31845 Alvarado Blvd, Union City).

W wypożyczalni Cruise America poszło nam w miarę sprawnie poza faktem, że otrzymaliśmy grata z wgniecionym zderzakiem i jakimś rozklekotanym rżącym silnikiem. Licznik wskazywał przejechane prawie 38 000 mil, co jak na wypożyczany kamper jest całkiem sporo. Po załatwieniu formalności już na 2 samochody pojechaliśmy zrobić zakupy w Costco, Walmart i Dollar Store, znajdujące się niedaleko od wypożyczalni Cruise America. Następnie zostało nam tylko odwiezienie osobówki do wypożyczalni przy lotnisku San Francisco. Przy wypożyczaniu osobówki wybraliśmy mało logiczną wersję zwrotu do tej samej wypożyczalni (a nie w Oakland, w okolicy którego znajduje się wypożyczalnia kamperów), a było to spowodowane jedynie znaczną różnicą w cenie. Jeśli chcielibyśmy oddać auto w Oakland, musielibyśmy zapłacić ponad dwukrotnie więcej (ponad 120 USD). Wymęczeni załatwianiem tych wszystkich organizacyjnych spraw postanowiliśmy udać się na nocleg na chyba najbardziej widowiskowe miejsce San Francisco, czyli na Golden Gate Bridge View, położonego po północno-wschodniej stronie mostu. Tu razem z kilkunastoma innymi podróżnymi spędziliśmy noc w towarzystwie fanów puszczanej na cały regulator muzyki techno.

Dzień 3

Zaczynamy dzień z wielkim uśmiechem, michą owsianki i kubkiem gorącej kawy, bo w końcu jesteśmy w pełni przygotowani do rozpoczęcia wakacji. Spacerujemy chwilkę po vista point, obfotografujemy Golden Gate Bridge i ruszamy „z kopyta” do Marin

Headlands (na zachód) drogą Alexander Avenue do Conzelman Road. Po przejechaniu skrzyżowania z drogą McCollough, Conzelman Road zmienia się w jednokierunkową bardzo wąską stromą drogę (gdzie wjazd kamperem jest zabroniony, ze względu właśnie na te ograniczenia). My jednak poruszamy się wersją kompaktową, która wszędzie się mieści i nie musimy się martwić, że np. zaklinujemy się gdzieś na zakręcie. Mijamy bunkry, przy których zatrzymujemy się na zrobienie kilku fotek. Marin Headlands (Golden Gate National Recreation Area) to pozostałości po fortyfikacjach militarnych, kryjące na swoim terenie niezliczone bunkry, schrony, forty, działa i rakiety wojskowe. Już w latach 1890 powstały tu pierwsze obronne instalacje (m.in. Battery Mendell) mające na celu uniemożliwienie wrogim statkom wpływanie do zatoki San Francisco. Podczas II wojny światowej zbudowano bazy wojskowe Wallace, Townsley i „129”, by chronić wybrzeże od nalotów powietrznych. Podczas zimnej wojny wszystkie te militarne budowle były rozebrane, ale roztawiono szereg radarów i schronów przeciwatomowych, mających chronić personel wojskowy przed atakami broni chemicznej i biologicznej. Jak więc można wywnioskować ze zdań napisanych powyżej, jest to raj dla męskiej części naszej załogi.

Zatrzymujemy się na parkingu, skąd wychodzą dwa szlaki – do Point Bonita Lighthouse (dzisiaj zamkniętej, a czynnej tylko w niedziele i poniedziałki od godziny 12.30 do 15.30) i na Birds Point. Idąc szutrową szeroką ścieżką w kierunku Birds Point, mijamy militarne stanowiska (Baterie Mendel) i bunkry, i podchodzimy do punktu widokowego, skąd podziwiamy wyłaniające się z oceanu skały „wysiadywane” przez liczne kormorany. Zaglądamy na chwilę do Marine Headlands Visitor Center (czynne codziennie 9.30 –16.30) po kilka bezpłatnych mapek terenu i kierujemy się do Mammal Center (czynne 10–16, wstęp bezpłatny, ale odwiedzający proszeni są o donacje). Jest to nowoczesny szpital dla chorych zwierząt morskich, gdzie pacjentami są przede wszystkim lwy i słonie morskie oraz foki (i sporadycznie delfiny), na których ciele można zauważyć rany zadawane przez bardzo agresywne rekiny foremkowe zwane *cookie-cutter sharks*, które wygryzają kęs z ciała ofiary, a pozostawiona przez ich szczęki rana przypomina wyciętą formę okrągłego ciasteczka. Zwierzęta trafiają tu z różnych powodów – chorób, niedożywienia czy nieszczęśliwych wypadków. Są leczone i wypuszczane na wolność.

Od przewodnika-wolontariusza dowiadujemy się, że to właśnie tutaj ekipa dźwiękowców nagrywała odgłosy do filmu „Jurassic Park” (Stevena Spielberga). Dźwięki wydobywane przez słonie morskie posłużyły później do podłożenia odgłosów dinozaurów. W niedalekiej odległości od tego miejsca znaleziono na plaży martwego wieloryba, z którego brzucha wydobyto ponad 200 kg lin i sieci rybackich oraz plastikowe śmieci. Z żołądka wydry „wydobyto” żarówkę i odbiornik radiowy... Czytamy informacje i oglądamy te eksponaty i aż włos się na głowie jeży, jakim poważnym zagrożeniem są wyrzucane przez nas przedmioty. Wielka pacyficzna plama śmieci (o wadze około 100 tysięcy ton (!!!) i powierzchni ponad pięciokrotnie większej od Polski) w postaci plastikowych odpadów dryfuje niesiona przez prądy oceaniczne po północnej części Oceanu Spokojnego pomiędzy Kalifornią a Hawajami, tworząc ogromne zagrożenie dla zwierząt morskich i ptaków. Szacuje się, że ponad milion ptaków i 100 ty-

sięcy zwierząt morskich ponosi śmierć bezpośrednio spowodowaną spożyciem tychże właśnie śmieci. Po zapoznaniu się ze wszystkimi informacjami z tablic i wysłuchaniu koncertu ryków i pochrząkiwań morskich lwów wyjeżdżamy na Rodeo Beach, gdzie z powodu silnego wiatru odpuszczamy sobie spacer po plaży. Nieliczni spacerujący poruszali się w przyspieszonym tempie popychani przez porywisty wiatr. Tylko kilku serferów, walczących z falami, próbuje bezskutecznie wskoczyć na deski. Robimy pętelkę, oglądając z okien plażę, i kierujemy się drogą Bunker Road do wyjazdu, przejeżdżając przez wąski i długi tunel do Port Baker – rezydencji byłych dowódców wojskowych przerobionych teraz na przytulne hoteliki. Dzięki temu, że cały ten olbrzymi obszar był przez taki długi okres wykorzystywany jako bazy wojskowe, możemy teraz cieszyć się możliwością zwiedzania go, co zapewne byłoby niemożliwe, gdyby wybudowano tu prywatne rezydencje.

Przejeżdżamy następnie przez oblegane przez turystów miasteczko Sausalito, kierując się do Sausalito Bay Model U.S. Army Corps of Engineers Bay Model (2100 Bridgeway Blvd). W latach 40. XX wieku zostały przez Kongres zatwierdzone plany, by w zatoce San Francisco wybudować wielkie tamy (przyznano nawet środki w wysokości 2,5 mln USD na ten cel), mniej więcej w miejscu dzisiejszych mostów (biegnących autostradami 80 i 580). Wtedy (w roku 1957 roku) za kwotę 400 000 USD zbudowano ten właśnie model zatoki (ze wszystkimi szczegółami, np. ze specjalistycznymi pompami hydraulicznymi, które przesuwały wodę, odwzorowując idealnie naturalne jej ruchy spowodowane pływami). Dzięki temu udowodniono, że skutki budowy tych tam byłyby bardzo niekorzystne dla środowiska naturalnego (i z projektu ostatecznie zrezygnowano). Dzisiaj model ten wygląda na nieco zaniedbany, w większości zbiorników nie ma już wody – jakby wyparowała i nikt jej nie uzupełnił – a może akurat był to efekt ustawionego odpływu?

Po 40 minutach wałęsania się pomiędzy modelem a wystawami wracamy do auta i ku naszej rozpaczycy jesteśmy zmuszeni zmienić plan naszej trasy. Po sprawdzeniu na GPS-ie dojazdu do Solano Mission (gdzie pierwotnie zamierzaliśmy dotrzeć), który został całkowicie zablokowany przez wypadek, stwierdziliśmy, że stanie 2 godziny lub zapewne dłużej w upalny dzień w śmierzącym korku nie ma najmniejszego sensu. Droga 101 (prowadząca do misji Solano) to jedyna droga po przejechaniu mostu Golden Gate Bridge, wychodząca w kierunku północnym, nie ma więc żadnej możliwości ominięcia tych korków. Zresztą jakbyśmy się już tam dowlekli, misja byłaby zamknięta. Modyfikujemy więc plan, co w przypadku takiego miejsca jak Kalifornia nie jest jakimś wielkim problemem. Drogą Shoreline Hwy (a następnie Panoramic Hwy) jedziemy w kierunku Muir Wood National Monument. Zwiedzaliśmy ten park 2 lata temu (szau! nie ma) i nawet jakbyśmy mieli na to teraz ochotę, byłoby to niewykonalne – ze względu na limitowany parking. Można tam wjechać tylko ze zrobioną wcześniej rezerwacją!!! (bilet wstępu 10 USD/osoba). Droga, którą jedziemy, wiedzie północną granicą parku i jest bardzo widowiskowa. Zjeżdżamy do Jedynki i dojeżdżamy do miasteczka Olema, gdzie postanawiamy spędzić noc. „Rozbijamy obóz” przy placu zabaw (Toby’s Community Playground), z czego najbardziej zadowolone są oczywiście dzieciaki, które nurkują od razu w piaskownicy. Miasteczko, po którym chwilę spaceruje-

my, wydaje się totalnie wyludnione. Uroku dodają mu malutkie klimatyczne sklepiki, w większości już pozamykane.

Dzień 4

Budzimy się o świcie i ruszamy dalej na północ, mijając urokliwe miasteczko Tomales i zmierzając do kultowego dla każdego kinomana miejsca – Bodegi, gdzie w 1962 roku Alfred Hitchcock kręcił sceny do filmu pt. *The Birds* (*Ptaki*). Parkujemy przed budynkiem Potter Schoolhouse, mając przed oczami wyobraźni zwariowane ptaszyska atakujące mieszkańców. Podchodzimy też do oddalonego o kilka kroków kościoła Świętej Teresy. Niestety oba budynki są zamknięte. Podobno do nakręcenia tego filmu zainspirowało Hitchcocka prawdziwe wydarzenie mające miejsce u wybrzeża Kalifornii. W 1961 roku oszalałe mewy odbijały się całymi stadami o ściany i szyby budynków, rzucając się na nie w samobójczych lotach. Okazało się, że przyczyną tego było zatrucie toksycznymi algami, które spowodowało uszkodzenie układu nerwowego ptaków. Wydarzenie to pobudziło mroczną wyobraźnię Hitchcocka i zainspirowało go do stworzenia jednego z najbardziej znanych filmów w jego karierze.

Główna aktorka – Tippi Hedren (nad którą reżyser wyjątkowo znęcał się psychicznie podczas kręcenia filmu) musiała przez cały tydzień znosić trudy kręcenia sceny ataku ptaków na strychu. Rzucano w nią żywymi ptakami, a niektóre z nich były nawet przyczepione do jej ubrania, aby nie odleciały. Podobno zdjęcia tej sceny zakończono dopiero wtedy, kiedy jeden z ptaków zranił aktorkę w oko. Nakręcenie całej sceny zajęło w sumie tydzień, produkcję zaś trzeba było wstrzymać na kolejne 7 dni, zanim pani Hedren doszła do siebie po licznych omdleniach.

Docieramy do wybrzeża omijając Bodega Head i jedziemy Jedynką dalej na północ. Zajeżdżamy na każdą plażę, a widoki nas dosłownie wywalają w kosmos. Salomon Creek Beach, Marshall Gulch, Carmet Beach, Schoolhouse Beach, Portuguese Beach... każda kolejna plaża wydaje się bardziej malownicza od poprzedniej. Uroku dodaje błękitne niebo i mieniący się na turkusowo ocean. Jednak po wyjściu z kampera uderza w nas przeraźliwie silny wiatr... ostudzając znacznie nasz entuzjazm spędzenia na plaży dłuższej chwili. Opatuleni w ciepłe zimowe czapki i polary walczymy z każdym stawianym krokiem. Po drewnianych schodkach udajemy się na – według nas – najpiękniejszą z wyżej wymienionych plaż (Portuguese Beach), a dzieci od razu wpadają w szal: zaczynają ganiać się z falami, co w przypadku Basi kończy się centralnym zderzeniem z mokrym piaskiem, powodując dostanie się go do buzi w ilości znacznej. Jasio po 2 minutach również od czapki w dół jest cały przemoczony, co oczywiście zmusza nas do powrotu do auta. Pogoda nie sprzyjała zdecydowaniu plażowaniu, ze względu na porywisty wiatr, który spowodował obniżenie temperatury powietrza do około 10°C.

Zamknęci szczelnie w kamperze jedziemy więc dalej na północ, mijając Duncan Landing i Shell Beach. Zjeżdżamy do bardzo malowniczo położonej plaży Goat Rock Beach, ale wiatr prawie przewala naszego kampera na bok... Decydujemy się więc na szybkie zdjęcie i z powrotem wjeżdżamy na Jedynkę. Punktem typu *must see* na naszej trasie jest Fort Ross State Historic Park (czynny od 10 do 16.30, wjazd 8 USD/auto, kemping parkowy zamknięty z powodu remontu). Jest to prawie w całości zrekonstruowany fort, którego historia sięga 1812 roku. To najbardziej na południe wysunięte

miejsce w USA, gdzie zdołali osiedlić się Rosjanie. Miała być to baza rolnicza zaopatrująca inne rosyjskie osady na Alasce w żywność. Fort miał też dostarczać futra wydr morskich, które to zwierzęta niestety w międzyczasie zostały całkowicie wytrzebione. Inwestycja przynosiła same straty, a koszt utrzymania fortu znacznie przewyższał zyski pochodzące z uprawy i hodowli bydła. W związku z tym Rosjanie pozbyli się go, sprzedając fort amerykańskiemu emigrantowi Johnowi Sutterowi w 1941 roku za kwotę 30 000 USD, które podobno nigdy do końca nie zostały Rosjanom wypłacone. I stąd też niedawne roszczenia naszych wschodnich sąsiadów do odzyskania fortu.

Zwiedzanie zaczynamy od Visitor Center, gdzie poza ciekawymi wystawami informacyjnymi możemy nacieszyć oko rosyjskimi kolorowymi matrioszkami. Do kupienia dostępne są tutaj też słodczyce i łuskany słonecznik „made in Russia”. Po krótkiej rozmowie z panem przewodnikiem Rosjaninem, idziemy ścieżką w kierunku fortu, który otoczony jest drewnianym wysokim płotem. Turystów nie ma na szczęście za dużo, a pośród tych obecnych z wiadomych powodów dominują rosyjskojęzyczni. Zaglądamy do każdego pomieszczenia w większości umeblowanego na ówczesny styl. Na środku placu stoi replika studni, a w zasadzie żuraw studzienny, gdzie wodę pobierano za pomocą czepaka umiejscowionego na kijku. Kilku Amerykanów zagaduje nas, myśląc, że jesteśmy Rosjanami... Zapomniałam wspomnieć, że wjechaliśmy do tego parku za darmo – dzięki wejściówce wydrukowanej na stronie parków stanowych. Być może to chwilowa promocja, ale warto sprawdzić – w pierwszą sobotę w miesiącu dla jakiejś określonej liczby osób zarząd parków stanowych oferuje darmowe wejściówki. Wystarczy wyszukać park, który nas interesuje, i wpisać swoje dane, a następnie wydrukować bilet wstępu.

Po spenetrowaniu każdego zakątka w forcie schodzimy jeszcze do zatoki, ale porwany wiatr raczej nie pozwala nam na dłuższy w niej pobyt. Zatoka jest bardzo malownicza, a zejście do niej zajmuje zaledwie 5 minut. Podchodzimy jeszcze do białego drewnianego domku (Call Ranch House), stojącego w otoczeniu wielkich eukaliptusów. Podczas naszej poprzedniej wizyty w tym miejscu widzieliśmy dziesiątki koliberekó raczących się wodą z kielichów kwiatowych... teraz niestety nie spotykamy żadnego. Mając jeszcze około 2 godz. światła słonecznego, wjeżdżamy do trochę zaniedbanego Salt Point State Park (bezpłatny). To właśnie z terenu tego parku wywożono olbrzymie pokłady piaskowców, by wybudować pierwsze ulice i budynki w San Francisco w latach 50. XIX wieku. Idziemy w kierunku Stump Beach Cove (strome zejście 0,2 mili), by po niedługiej chwili wrócić z powodu przemoczenia ubrań naszych dzieci, które nie potrafią się opanować, widząc jakikolwiek zbiornik wodny, do którego niezależnie od temperatury otoczenia lgną jak zwariowane.

Następnie wśród gęstej roślinności przedzieramy się szlakiem Bluff Trail (długość 1 mila), docierając do tafoni (Fisk Mill Cove – Sentinel Point Viewing platform). Tafoni to drobne zagłębienia powstałe w wyniku wietrzenia skały, przypominające swoim wyglądem plasty miodu. Dokładnie po drugiej stronie drogi znajduje się Kruse Rhododendron State Natural Park (wjazd bezpłatny), który w okresie kwiecień – maj zachwyca kolorowymi pachnącymi rododendronami... teraz niestety już nie mamy po co tam zajeżdżać, bo wszystko przekwitło. Podjeżdżamy jeszcze kawałeczek na północ i par-

kujemy w zatoczce przy drodze – w miejscu gdzie znajduje się *call box*, czyli telefon, z którego można skorzystać w razie wypadku, bo tu oczywiście zasięgu nie ma.

Tu postanawiamy zostać na noc. Zastanawiamy się, dlaczego nie ma tu praktycznie w ogóle turystów. Dwa lata wcześniej podróżując po środkowej Kalifornii było ich zdecydowanie więcej, a tu, na północ od San Francisco, jakby ruch turystyczny zanikł.

Dzień 5

Budzimy się o 5.30 i ruszamy dalej na północ, przejeżdżając przez tereny prywatnych rezydencji i resortów (Sea Ranch community) – wszystkie plaże są tu płatne i jeszcze zamknięte (7 USD/auto). Zatrzymujemy się dopiero przy wyjściu na Bowling Beach (Schooner Gulch Beach), gdzie udamy się na poszukiwanie skał w kształcie jaj dinozaurów. Parkuje się wzdłuż drogi, kierując się na południe (*Please park facing south*). Wielkie kule będą widoczne dopiero za kilka godzin podczas odpływu, a ze względu na to, że obecnie jest przyptyw, znajdują się one całkowicie pod wodą. Musimy więc zorganizować czas oczekiwania w innym miejscu. Decydujemy się na oddaloną około 10 mil na północ (jedną z najwyższych na zachodnim wybrzeżu USA) latarnię morską Point Arena Lighthouse i zatrzymujemy się przed bramą wjazdową, która jest jeszcze zamknięta (7.50 USD od osoby). Cieszymy się więc widokiem z odległości.

Wracamy po 2 godzinach do miejsca, skąd wychodzi szlak na plażę Bowling Beach. Parkujemy równolegle do drogi (łapiemy ostatnie miejsce) – i podchodzimy trochę w górę (na północ), skąd wychodzi szlak. Ścieżka południowa prowadzi do Schooner Gulch. Idziemy przez wysokie trawy, kierując się na rozwidleniach zawsze w prawo i na końcu ścieżki musimy tylko pokonać strome zejście po kamieniach na plażę. Dzieci od razu rzucają się do zabawy w piasku, Mundek za czytanie przewodnika, a ja idę na poszukiwanie „dinozaurowych jaj”. Od zejścia na plażę trzeba iść w kierunku północnym około 5 minut i oczom naszym ukażą się wielkie kule zatapiane co chwilę nadciągającymi od strony oceanu falami. Są to konkretne, czyli agregaty mineralne powstałe wskutek stopniowego narastania minerałów wokół skały (czy chociażby ziarenka piasku). Naprzeciwko „dinozaurowych jaj” znajdują się malownicze klify, dodające krajobrazowego smaczku całej zatoce.

Turystów jest zaledwie garstka, więc nikt nikomu nie przeszkadza w robieniu zdjęć. Wędruję z powrotem plażą po resztę „wyleniałej” brygady i razem wracamy, by podziwiać wielkie okrągłe kamienie. Wypaciane w błocie i piasku dzieciaki przechodzą obok kamieni zupełnie obojętnie, fascynując się natomiast budową klifu, który obierają sobie za plac zabaw, wspinając się i skacząc z jego podwyższenia. Obserwując ocean dostrzegam niesamowitą sytuację, kiedy to rybołów poluje na ryby, rzucając się jak torpeda w odchłan wody i w końcu po kilku próbach udaje mu się wyciągnąć jedną sztukę z pomiędzy skłębionych fal. I to zdarzenie maksymalizuje punktację tej plaży, dając jej zasłużoną „10”. Po prawie 4 godzinach dowlekamy się umorusani do kampera i wyruszamy na północ w poszukiwaniu kolejnych wrażeń. Po przejechaniu 10 mil wjeżdżamy w uliczkę Keenney (na zachód) prowadzącą do Manchester State Park (wjazd bezpłatny). Do oceanu prowadzi ukwiecona ścieżka, którą udajemy się na szybki spacer porównywalny co chwila potężnymi podmuchami wiatru. Jest tu całkiem przyzwoity kemping (35 USD/noc, *dump station*). Jadąc dalej na północ, mijamy farmy i soczyskie zie-

lone łąki pełne pasących się koni i krów. Wspaniały to widok, kiedy było pasie się na ukwieconej łące, co nie jest takie oczywiste w tym kraju. Przejeżdżając wielokrotnie przez rozległe tereny Nebraski, Oklahoma czy stanu Iowa z obrzydzeniem obserwuje się (i czuje) zatopione po kolana we własnych odchodach zwierzęta, dokarmiane paszą składającą się ze zmodyfikowanej genetycznie kukurydzy i soi, doprawianej antybiotykami i hormonami wzrostu. Dlatego widok krówek pasących się w tak sielskich okolicznościach napawa nas wielką radością.

Kolejny punkt, który zachwyca nas piękną panoramą, to Greenwood State Beach. Parkujemy naprzeciwko wiejskiego sklepiku Elk Store (na obszernym szutrowym parkingu) i krótką ścieżką wychodzimy na 2 punkty widokowe, rezygnując z zejścia na plażę, ze względu na znaczą stromość terenu i czas, którego do zachodu słońca pozostało nam niewiele. Jadąc dalej wybrzeżem, niejednokrotnie widzimy pozrywaną drogę i próby jej naprawy, zapewne w okresie zimowych sztormów ocean wyrządza tu niesamowite szkody, powodując „cofanie się” lądu. Już późnym wieczorem dobijamy do Navarro Beach – pięknej, olbrzymiej, piaszczystej plaży. Parkujemy na *day use area* i wędrując wzdłuż porozrzucanego po całej plaży drewna (zwanego *driftwoods*), dochodzimy do oceanu. Niebezpiecznie wielkie fale nie zachęcają bynajmniej do kąpieli, chociaż akurat foki są tu w swoim żywiole, wystawiając co chwilę z wody błyszczące w świetle zachodzącego słońca łebki. Wałęsamy się po plaży aż do zapadnięcia zmroku... i w zasadzie nie pozostaje nam nic innego jak przenocowanie na śmierdzącym odorem z przenośnych przepelnionych kibelków, zaniedbanym kempingu (35 USD/noc). Zajmujemy miejsce jak najdalej od całej kempingującej reszty i rozpalamy wielkie ognisko, racząc się kiełbaskami zagryzanymi grzankami z „pysznego” amerykańskiego chleba.

Dzień 6

Wstajemy jak zawsze o świcie i od razu wyjeżdżamy wijącą się serpentynami drogą do Van Damme State Park Beach. Zaczynamy od śniadania na dużym parkingu przy plaży. Jest tu dostępny prysznic plażowy, z którego korzystają sobie podróżni śpiący w samochodach, a jest ich tu wielu. Wyjeżdżamy następnie do Pygmy Forest (szlak 0,2 mili). Szlak wiedzie po drewnianych kładkach pośród ponad stuletnich karłowatych drzew i przekwitniętych już o tej porze roku rododendronów. Drzewa rosną na bardzo zakwaszonej glebie, dlatego ich rozwój jest bardzo ograniczony, a wyglądają one w zasadzie jak krzaczki, a nie stare drzewa. Generalnie wieje tu nuda, więc szlaku nie polecam, chyba że jest to okres wczesnowiosenny i można pozachwycać się kwitającymi dookoła rododendronami.

Petardą są natomiast widoki w drodze do Mendocino – bardzo bogatego miasteczka w stylu Nowej Anglii. Wszędzie kwitną piękne kwiaty – dosłownie każdy domek tonie tu w kwiatach. Zatrzymujemy się przy Kelley Museum, potem objeżdżamy całe miasteczko dwukrotnie, rozkoszując się schludnym, ale estetycznym jego stylem. Sądząc po cenach chociażby benzyny (kosztuje tu 6 USD/galon!!!), biedni ludzie raczej tu nie zamieszkują. Zaglądamy przez okno do Świątyni Boga Wojny (Temple of Kwan Tai) (45160 Albion Street) – malutkiej chińskiej kapliczki, przypominającej nam o tym, że praktycznie od wybuchu gorączki złota do Kalifornii zaczęli również masowo przybywać Chińczycy, którzy wnieśli olbrzymi wkład w budowę m.in. kolei czy dróg, oraz

byli zatrudniani w kopalniach jako najtańsza siła robocza. Przemieszczamy się do Mendocino Art Center, który wita nas pięknym ogrodem.

W galerii sztuki oglądamy obrazy, stylową biżuterię i rzeźby, ale najbardziej przykuwające naszą uwagę są twory zrobione z odpadów metalowych porostawiane na zewnątrz galerii. Na koniec podjeżdżamy do Mendocino Headlands State Park (wjazd bezpłatny, parking przy Heeser Drive & Little Lake Street) na krótki spacer po klifie wzdłuż wybrzeża. Jest to bardzo niebezpiecznie wyglądający szlak, szczególnie przy porywistym wietrze, bo cała jego trasa wiedzie w zasadzie nad przepaściami, w których szaleją fale oceanu odbijane o ostre krawędzie skał. Przemieszczamy się 3 mile na północ do parkingu, skąd wychodzi wyasfaltowana droga (zamknięta dla ruchu samochodowego) prowadząca nas do Point Cabrillo Lighthouse (45300 Lighthouse Road, Mendocino) – pięknej małej latarni morskiej i muzeum z kilkoma wielkimi akwariami (Aquarium & Marine Science Exhibit 11 am – 4 pm). Na górę latarni wchodzić niestety nie wolno, a wycieczki organizowane są tylko kilka dni w roku i tylko po zrobieniu rezerwacji.

Spacerujemy chwilę wzdłuż klifów i wracając zaglądamy jeszcze do muzeum na parterze jednego ze starych odrestaurowanych domków (*cottage*), których reszta służy do wynajęcia jako hoteliki (w cenie od 158 USD za noc). Mijamy małą klimatyczną zatoczkę Caspar Headlands State Beach i wjeżdżamy do Jug Handle State Reserve (wjazd bezpłatny). Przy wejściu na szlak stoi znak ostrzegający przed trującym bluszczem (*poison oak*) oraz drewniana skrzyneczka z mapami szlaku (*self guided tour*). Szlak to tylko półmilowa pętka oferująca piękne widoki „poszarpanego” wybrzeża Pacyfiku. Zaczynamy spacer w lesie, a następnie wędrujemy wzdłuż wysokiego klifu (jest też zejście do plaży) i kończymy również w lesie. Punkt następny to Fort Bragg – małe spokojne miasteczko słynące na całym świecie przede wszystkim z plaży wypełnionej oszlifowanymi szkiełkami (Glass Beach). Przejeżdżając przez nie, zaglądamy najpierw do Skunk Railroad Museum (100 W Laurel Street), które jest niestety już zamknięte. Penetrujemy więc „jardę” kolejową i po 10 minutach jedziemy już na petardę dnia dzisiejszego, czyli Glasss Beach (parking przy Elm Street, WC), na której przesiadujemy 3 długie godziny. Zbieramy kolorowe szkiełka oszlifowane przez wodę (zielone, brązowe, białe i przezroczyste) i tworzymy z nich witraże na piasku, budujemy zamki, które przyozdabiamy później tymi szkiełkami. Dzieciaki dają upust swojej nieograniczonej wyobraźni i kreatywności w tworzeniu szkiełkowych dzieł sztuki. Geneza powstania tej plaży jest bardzo prosta – oszlifowane szkło pochodzi po prostu z wysypiska śmieci, które zostało zamknięte w tym miejscu w 1967 roku. Części metalowe zabrano, część się zutylizowała, a szkło pochodzące z butelek i porcelany rozbite przez fale zdobi teraz plażę. Zachód słońca, na który tak bardzo wyczekujemy, okazuje się niestety mało spektakularny. Nocleg organizujemy sobie przy Visitor Center – Mendocino Chamber of Commerce (217 S Main Street) na parkingu, wcześniej upewniając się oczywiście, że nie ma znaku zabraniającego przebywania tu w nocy.

Dzień 7

Zaczynamy od śniadaniowych zakupów w supermarkecie Safeway (660 S Main Street). Nabieramy wodę do zbiornika w kamperze w budynku straży pożarnej (że

też wcześniej nie wpadliśmy na tak banalny sposób pozyskiwania wody). Wyjeżdżając z Fort Bragg, mijamy Tristle Bridge i most Ten Mile River Bridge i zatrzymujemy się (0,7 mili za mostem) na Seaside Beach – mało atrakcyjnej brudnej plaży z wysypiskiem śmieci i przenośnym podśmierdującym kibelkiem na parkingu. Szkoda, że to miejsce tak potraktowano, bo przy odrobinie chęci i pracy mogłoby stać się urokliwą atrakcją turystyczną. Wznosimy się do Union Landing State Beach. Są to 3 kempingi nieznacznie oddalone od siebie (bez możliwości dziennego użycia – *no day use*). Wjeżdżamy na 2 z nich i chociaż prawo do przebywania tutaj mają tylko zarejestrowani kempingowicze (*no day use area*), to przejeżdżamy dookoła obserwując ten teren z przerażeniem. Kempingi usytuowane są na wysokiej „nadszarpiętej” skarpie, obok zapadniętej drogi, której jedynym zabezpieczeniem jest rozciągnięta pomarańczowa plastikowa siatka, niechroniąca w zasadzie przed niczym. Kempingi są bardzo zaniedbane, a wyznaczone na nich miejsca bezdrzewne i poupychane jedno przy drugim. Chociaż trzeba przyznać, że fajny klimacik jest zauważalny. Niestety jest to klasyczny przykład niedoinwestowania parków stanowych w Kalifornii.

Spoglądamy w dół w taką przepaść na czarne plaże ciągnące się aż po horyzont. Jesteśmy bardzo wysoko i upadek z takiego klifu na pewno groziłby niechybną śmiercią. Wjeżdżamy do miasteczka Westport, gdzie niestety bezskutecznie próbujemy znaleźć dojazd do jednej z tych czarnych plaż, błędząc pomiędzy domami. Jedziemy więc dalej na północ, mijając wielokrotnie pourywane drogi, wiszące jakby na ostatnim włosku kawałki betonu i asfaltu, czekające z utęsknieniem na panów robotników. Wjeżdżamy w głąb ładu, gdzie powoli przebijamy się do redwoodowych klimatów.

Coast Redwood (*Sequoia sempervirens*) to niesamowite drzewa – ekstremalnie odporne na występujące często w Kalifornii trzęsienia ziemi i pożary, wszelkiego rodzaju insekty czy też gnicie. Są to najwyższe drzewa żyjące obecnie na świecie. Potrafią dożyć wieku 2000 lat! Do swojej egzystencji potrzebują dużo wilgoci, co zapewnia im często występująca w tym rejonie nadoceaniczna mgła. Spotkać je można tylko w jednym miejscu na ziemi – w pasie nadoceanicznym ciągnącym się od okolic Big Sur w Kalifornii do południowego Oregonu. Polska nazwa tych drzew brzmi sekwoja wieczniezielona, ale nie należy tu mylić jej z sekwoją olbrzymią (*Sequoiadendron giganteum*), której średnica może dochodzić nawet do 10 metrów, a wyjątkowo olbrzymie okazy możemy podziwiać w parkach narodowych Sequoia czy Yosemite. Niesamowicie zakręcona serpentynami droga, która prowadzi do miasta widma – Hales Grove, wymaga ciągłego skupienia i zachowania bardzo dużej ostrożności – przez co przejechanie 10-milowego kawałka trasy staje się bardzo wyczerpujące dla wszystkich.

Znajdujemy się w środku mrocznego lasu, gdzie wszystkie domostwa dawnej osady są opuszczone i pozostawione same sobie. Ponieważ wszyscy rzucili się na łóżko na krótką drzemkę, postanawiam w samotności wybrać się na spenetrowanie okolicy. Wchodzę do jakiegoś opuszczonego, sypiącego się domu, delikatnie stąpając po trzeszczących spróchniałych deskach i sprawdzając stopą podłozę za każdym razem zanim postawię kolejny krok. Klimat w środku przypomina wystrój wnętrza z horrorów. Stara maszyna do pisania leży na środku sparciałej podłogi, wszędzie wiekowe pajęczyny, zwisające z obdrapanych ścian i stare porozrzucone zakurzone rupiecie. Zdemon-

lowana łazienka i kuchnia. Brakuje tylko jakiegoś straszego dziada, wymachującego zaostrzoną siekierą... Przed domem stoi stary zardzewiały pickup obrosnięty mchem idealnie wpasowując się w otoczenie. Wychodząc z tego domu, akurat nadjeżdża samochód i jego kierowca macha mi na powitanie, co szczerze powiedziawszy powoduje, że ciarki przechodzą mi po plecach i oblewa zimny pot... Przechodzę na drugą stronę drogi i tam również czeka na mnie kilka ruder i starych zardzewiałych aut, pamiętających czasy prezydenta Kennedy'ego. Nikogo poza mną tu (chyba) nie ma... Hales Grove to *ghost town* zaszyty głęboko w lesie, kryjący w sobie zapewne niejedną mroczną tajemnicę z przeszłości...

Po dobudzeniu reszty brygady ruszamy dalej do następnej atrakcji na naszej trasie – Chandelier Tree. Jest to *drive thru tree*, czyli redwoodowe drzewo, w którym dla potrzeb turystycznych wydrążono otwór pozwalający na przejazd samochodu – niestety nie tak dużego gabarytowo jak RV. Przejeżdżamy przez „bramkę” (10 USD/auto) i informujemy panią w okienku, że nie zmieścimy się w tunelu, więc rezygnujemy z odwiedzin. Parkujemy zaraz za zakrętem, by już pieszo podejść do atrakcji i pstryknąć kilka fotek. Nie jest to jedyna tego typu atrakcja w krainie wielkich drzew i spotkamy jeszcze kilka takich wydrążonych tuneli.

Jadąc dalej wijącą się na wszystkie możliwe strony drogą, w towarzystwie wznoszących się nad nami olbrzymich drzew, dojeżdżamy do World Famous Tree House, który jest niestety zamknięty dla zwiedzających, a mówiąc bardziej dosłownie: zabity dechami. U podstawy drzewa w wydrążonej dziupli ktoś zrobił sobie małe mieszkanko, postawił obok sklep z upominkami i jeszcze kilka lat temu zapewne zarabiał na tej atrakcji duże pieniądze. Teraz nic się tu nie dzieje. Wszystko pozamykane na 4 spusty, a jedyną atrakcją przyciągającą uwagę jest stary pickup z wystawioną tabliczką na sprzedaż. Jadąc dalej, mijamy Confusion Hill Gravity House – czyli kolejną „pułapkę turystyczną”, chociaż można to też rozpatrywać jako punkt *must see* ze względu, że atrakcja ta jest już „zabytkową” i ma swoją długą historię. W 1949 roku został po raz pierwszy udostępniony dla publiki *gravity house* (5 USD/za osobę), czyli dom zbudowany w taki sposób, by dać nam iluzję, że gdy do niego wejdziemy, grawitacja działa np. w bok. Jeździ tu też wąskotorowa kolejka (Mountain Train Ride), która podczas 30 minutowej wycieczki (10 USD za osobę) przewozi turystów na wzgórze i z powrotem po zakręcaną trasą wśród drzew.

Mijamy następnie One Log House (też zamknięty) i stojący obok niego stary zdezelowany kabriolet przywalony kłodą drzewa. Obiekt ten został zapewne przywieziony tu z miejsca jakiegoś tragicznego wypadku... Wjeżdżamy do Richardson Grove State Park (8 USD/auto). Visitor Center jest zamknięty we wtorek, a niestety akurat dziś jest wtorek... Zatrzymujemy się więc na wydłubionym parkingu przed budynkiem i zaczyna spacer krótkim szlakiem – pętelką – Grove Natural Trail (0,1 mili) pomiędzy wielkoludami – *redwoodami* (*Sequoia sempervirens*). Tak jak pisałam wcześniej, *redwoods* są najwyższymi żyjącymi obecnie drzewami na świecie (rekordziści dochodzą do ponad 120 metrów wysokości) i są po prostu niezniszczalne – odporne na ogień, powodzie czy insekty. Nad rzeką Eel w miejscu oznaczonym na mapie parkowej jako *swim beach* robimy sobie krótki odpoczynek od upału, spacerując po przyjemnie ochładza-

jącej, wolno płynącej rzece. Jest to świetna miejscówka na piknik w taką pogodę jak dzisiaj, ale o dziwo poza nami jest tu tylko 3-osobowa grupka relaksująca się na plaży. Po tym orzeźwiającym odpoczynku wjeżdżamy na najbardziej w tym rejonie widowiskową drogę – Avenue of Giants (długość 32 mile). Pierwszą atrakcją jest tutaj Living Chimney Tree, gdzie przez otwarte drzwi wchodzimy do pokoiku wydrążonego w środku drzewa. Jest to miejsce jak z bajki o Babie Jadze – mroczne i tajemnicze... brakuje tylko porozwieszanych dookoła lukrowanych pierników. Późnym popołudniem wjeżdżamy do Humbolt Redwoods State Park (wjazd bezpłatny). Światło ledwo już przedziera się przez olbrzymie korony drzew.

Wybieramy do przejścia szlak Gould Grove Nature Loop (długość 0,6 mili), który prowadzi nas pętelką pośród tych wiekowych wielkoludów. Dzieciaki wskazują na powalone pnie drzew, czasami penetrując wypalone ich środki, robiąc sobie w lesie naturalny plac zabaw. Zajeżdżamy następnie do California Federation of Women's Grove wąziutką jednopasmową drogą, prowadzącą nas do polanki nad rzeką. Na tej polance stoi kamienny kominek, są metalowe grile i dużo stolików piknikowych umiejscowionych tuż nad urwiskiem, przed którym chroni nas tylko pomarańczowy plastikowy prowizoryczny płotek. Na tablicy ogłoszeń widzimy ostrzeżenie przed niedźwiedziami. Czyli znajdujemy się generalnie na obszarze małoprzyjaznym dla dzieci... Robimy szybko grilowaną kiełbaskę na kolację i zbieramy manatki, bo jest już prawie ciemno. Przebijamy się przez las z powrotem do głównej drogi i skręcamy w lewo (na północ). Nocleg organizujemy według wskazań pana wolontariusza (spotkanego przy Visitor Center 2 godzinę wcześniej). Zjeżdżamy nad rzekę Eel River – zjazd zaraz za *rest area* (na wschód) szutrową drogą do Dyerville River Bar Access (mniej więcej w miejscu gdzie South Fork Eel River wpada do Eel River). Widać tu miejsca po rozbijanych wcześniej namiotach, a więc nie tylko my tu nocujemy. Kilka innych aut też w międzyczasie przyjeżdża – chociaż nie do końca wiadomo, czy to rybacy, czy turyści szukający bezpłatnego noclegu.

Dzień 8

Rano wracamy jeszcze na chwilę do Humbolt State Park (jedziemy na południe) i wędruję szlakiem Founders Grove Loop (długość 0,6 mili). W 1991 roku ważące milion ton drzewo o długości 113 metrów (nazwane Dyerville Giant) przewróciło się, wytwarzając uderzeniem odczuwalne przez sejsmografy trzęsienie ziemi. Według naukowców uderzenie to było równe wadze 747 jumbojetów. Dyerville Gint miał ponad 1600 lat.

Spacerek jest bardzo przyjemny po praktycznie płaskim terenie, a ścieżka poprowadzona jest pomiędzy wieloma innymi zwalonymi drzewami. Humbolt Park szczyć się posiadaniem 100 (ze 137) najwyższych *redwoodowych* drzew w USA! Jadąc dalej na północ, mijamy Eternal Tree House (wyskakujemy na chwilę, by zajrzeć do jego środka). Nic tu się generalnie nie dzieje, poza stojącym niedaleko ładnym niebieskim odrestaurowanym samochodem z lat 50. W Rio Dell skręcamy w Blueslide Road, która w początkowym odcinku jest bardzo złej jakości. Jedziemy nad „bluffem” (nazwa drogi zamienia się również w Bluff Road), przez farmy „produkujące” organiczne mleko, mijając zaniedbane stare wiktoriańskie domy, należące niegdyś do magnatów biznesu

mleczarskiego. Malowniczo i sielankowo... krowy pasą się swobodnie na łące ...co jest oczywiście przyjemnym widokiem. Jeszcze przed wjazdem do Ferndale zatrzymujemy się w niecce otoczonej lasem przy malowniczo położonym cmentarzu (z 1868 roku). Jego kontynuacją (0,5 mili dalej) jest położony na wzgórzu cmentarz, umiejscowiony przy starym czerwonym kościele... który kościołem już nie jest, a jego wnętrze zajmuje obecnie firma Ferndale Music Company and the Old Steeple. Do odwiedzenia tego miasteczka namawiam wszystkich, którzy będą w okolicy, a najciekawsze architektonicznie budynki to: Victorian Inn (400 Ocean Ave), Gingerbread Mansion (400 Berding Street) i Shaw House (703 Main street). Najbardziej rozsądną opcją by „złapać” klimat miasta, jest oczywiście spacer po jego centrum.

My zaglądamy np. do Antique Store, gdzie właściciel (ku uciesze Basi) z wielkim zaangażowaniem pokazuje nam własnoręcznie wykonane domki dla lalek, prezentując ich wnętrza i każdy detal. Przy głównej ulicy – Main Street akurat dzisiaj odbywa się zlot starych Fordów. Ich kierowcy żywo dyskutują pomiędzy sobą i z przyjemnością opowiadając nam historie swoich „skarbów”, pozwalają dzieciakom wejść do ich środka. Warto zaznaczyć, że w Fernadale odbywają się corocznie (w Memorial weekend, czyli pod koniec maja) zawody (Humboldt Kinetic Grand Championship) wykonanych własnoręcznie pojazdów (napędzanych wyłącznie siłą mięśni). W miasteczku Eureka, do którego następnie zajeżdżamy, znajduje się Kinetic Museum (czynne niestety tylko od piątku do niedzieli w dziwnych godzinach 14.13–18.32), gdzie można poszerzyć swoją wiedzę i zaspokoić ciekawość na temat tychże pojazdów. W Eureka koniecznie trzeba zobaczyć Carson Mansion (143 M street), Wedding Mansion (202 M street), i Carter House (301 L Street). Bardzo dużo wiktoriańskich budynków stoi też przy Hinsdale Street. Przez przypadek przechodzimy obok „zabitego dechami” już baru (Jum Dunn’s Cospopolitan Bar), gdzie w 1992 roku Uma Turman i Andy Garcia grali tu sceny do filmu pt. „Jennifer 8”.

Podsumowując, Eureka jest bardzo klimatycznym miejscem i na pewno godnym polecenia. Omijamy szerokim łukiem natomiast miasteczko Arcata, które można określić jednoznacznie jako miasto bezdomnych, dyskwalifikujące jego klimat. Wjeżdżamy w pełną super widoków Trinidad Scenic Drive (są tu bardzo strome zejścia na plaże) i zatrzymujemy się przy petardzie dnia dzisiejszego – Trinidad Head Trail. Szlak (długość 1,7 mili) prowadzi dookoła cypla. Idziemy tunelem „zbudowanym” z bardzo wysokich i bardzo gęstych krzaków chroniących nas przed porywistym wiatrem. Wysokość tych krzaków znacznie przewyższa 2 metry, ale na szczęście są też poprowadzone liczne zejścia, by umożliwić spacerującym widoki na ocean. Na niektórych z tych miejsc ustawione są ławeczki, gdzie można usiąść i w spokoju kontemplować piękno przyrody. Schodząc ze szlaku, rozdzielamy się – Mundi idzie na molo z dziećmi, a ja na zbliżający się zachód słońca na plażę Trinidad State Beach. Są tu piękne skałki, zatopione częściowo w oceanie, a nad plażą wznosi się spory klif, z którego szczytu „szczęściarze” oglądają zachód z okien swych domów. Wyraźnie daje się już zauważyć przypływ, bo na wybraną przeze mnie miejscówkę co chwila wlewa się coraz większa masa wody. Pomimo że miejsce jest niezmiernie urokliwe i tak łatwo dostępne z głównej drogi, widzę tu tylko kilku turystów. Po zachodzie wyjeżdżamy na *rest*

area (jedyna na drodze nr 101 od San Francisco i do tego bardzo niewielka), gdzie organizujemy sobie nocleg.

Dzień 9

Rano odkrywamy, że obok nas jest bezpłatny *dump station*, więc nabieramy wodę do zbiornika w naszym kamperze. Podjeżdżamy do wjazdu do Patricks Point State Park (10 USD/auto), ale postanawiamy zaparkować przed nim i zejść na plażę „dziką” ścieżką. Parkujemy obok lokalnie wyglądającego pickupa przy tablicy informacyjnej z wypisanymi nazwami firm, znajdujących się w okolicy. Wąska ścieżka wychodzi stąd prosto do kempingu, prowadząc wzdłuż rozwieszonej wysoko nad nami linii wysokiego napięcia. Idąc nią, kierujemy się generalnie zawsze w lewo (na rozgałęzieniach), wychodząc przez gęste i wysokie zarośla bezpośrednio na miejsce kempingowe nr 109. Do szybszego pokonania tych gęsto porośniętych zarośli przydałaby się nam szczerze mówiąc maczeta. I z tego właśnie miejsca mamy już „z górki” na Agate Beach – precudowną malowniczą plażę ograniczoną bardzo wysokimi klifami. Zejście na nią jest strome i pozakęcane. Bardzo wysokie fale uniemożliwiają kąpiel w tym miejscu, zresztą nie sądzę, by znalazł się jakiś śmiałek, przy temperaturze powietrza poniżej 15°C (a wody zapewne około 5°C). Nasze dzieciaki już po 2 minutach są oczywiście całe przemoczone, bo znowu zaczęły zwiedzanie plaży od gonitwy za falami. Spacerujemy chwilę po piasku praktycznie w samotności. Jakiś wracający z przechadzki pan wręcza nam kilka agatów, które znalazł, spacerując ze swoim psem (nam niestety samodzielnie nie udaje się znaleźć żadnego).

Po prowizorycznym osuszeniu naszych młodych gniewnych powoli wspinamy się strumą ścieżką powadzącą do kempingu, z którego znowu przedzieramy się przez krzaczory i gęste zarośla do naszego zaparkowanego przy drodze kampera. Dzięki naszemu „mykowi” zaoszczędzamy 10 USD. Wjeżdżamy na chwilę do Big Lagoon County park (5 USD/auto), gdzie wielkie skłębione fale i wszędzie poustawiane znaki informują o kategoriycznym zakazie kąpeli. Podobna sytuacja ma miejsce w kolejnym parku – Dry Lagoon, gdzie również olbrzymie fale odstraszą od chociażby spaceru po plaży. Zatrzymujemy się przy Stone Lagoon Visitor Center, bardzo małej informacji turystycznej, oferującej wynajem kajaków (30 USD/za godzinę). Kajakowanie rekomendowane jest oczywiście po spokojnej zatoczce, a nie oceanie... My jednak nie damy się namówić na tę przyjemność.

Zatrzymujemy się następnie na wielkim parkingu przy Thomas Kuchel Visitor center (Redwood National and State Park Info Center). Janek dostaje kolejną do swojej kolekcji odznakę rangerską, po wykonaniu oczywiście ćwiczeń w zeszycie parkowym (Ranger Junior Program). Visitor Center jest upchany turystami i trzeba cierpliwie czekać na swoją kolejkę około 15 minut... Tu dowiadujemy się, że nie musimy płacić za wjazd do parku Prairie Creek Redwood State Park (nasz National Parks Pass pokrywa tę opłatę), gdzie zamierzamy się udać w celu przejścia szlaku PETARDY – Fern Canyon Trail. Szlak jest znany przede wszystkim z tego, że ściany kanionu, po którym się spaceruje (brodząc w wodzie), porośnięte są paprociami od samej góry do dołu (15 metrów wysokości). Steven Spielberg wykorzystał to miejsce do nakręcenia scen do filmu Park Jurajski 2. Po opuszczeniu Visitor Center jeszcze przed wjazdem na Davidson Road (prowa-

dzącą do Fern Canyon Trail) zatrzymujemy się przy Elk Meadows, gdzie spokojnie skubie sobie trawę stado 30 łani. Davidson Road prowadzi nas pomiędzy wysokimi i gęsto rosnącymi *redwoodami* i jest bardzo mroczną, ale widowiskową drogą. Po wyjechaniu z lasu zatrzymujemy się przy małej budce, gdzie rangerka pobiera opłatę za wjazd do parku stanowego. My pokazujemy National Park Pass i jedziemy dalej (Beach Road), zatrzymani następnie przez stado pięciu wielkich jeleni (*Roosevelt elk*). Są to największe jelenie występujące w Północnej Ameryce – ich wysokość dochodzi do 3 metrów, a ważyć mogą nawet 500 kg.

Następna przeszkoda, którą musimy pokonać, to rzeka, która przepływa przez naszą drogę. Część aut – przeważnie osobowych parkuje tutaj, ale nasz kamper zdecydowanie nadaje się do pokonania tej przeszkody. Z wielkim pędem wjeżdżamy w wodę i w ciągu 2 sekund jesteśmy już na drugim brzegu (za nami przejeżdża ford focus... więc osobówka też spokojnie da radę). Parkujemy na dość obszernym parkingu (jest WC) i ścieżką wychodzącą z jego północnej części idziemy (wyposażeni w crokсы) w kierunku Fern Canyon. Po dotarciu do Home Creek zamieniamy buty na crokсы i właśnie tym strumieniem podążamy w jego głąb, czując się jak dinozaury otoczeni pionowymi ścianami porośniętymi gęstymi paprociami. Co chwilę musimy pokonywać jakąś przeszkodę w postaci kłody drzewa czasami okazałych rozmiarów... lub zanurzać się po kolana w lodowatej wodzie. Szlak, jak pierwotnie przypuszczaliśmy, miał poprowadzić nas „pętelką”... ale my zapędziliśmy się o wiele za daleko... i chociaż w końcu znaleźliśmy ukryte w zaroślach schody, to zamiast 1 mili, przeszliśmy (nadrabiając) najprawdopodobniej 2 razy tyle. A zorientowaliśmy się dopiero w momencie, kiedy już doszliśmy do miejsca, skąd dalej iść się po prostu nie dało (ze względu na zarośla i znaczną głębokość wody) i musieliśmy zawrócić, szukając w drodze powrotnej schodków, które oczywiście znaleźliśmy. Pnąc się po tych schodach, wchodzimy na górę kanionu i wędrujemy jego zboczem, aż w końcu znowu schodzimy do strumienia i wracamy tą samą ścieżką do auta.

Generalnie polecam zabranie tylko croksów, bo i tak większość drogi pokonuje się idąc rzeką. Wracając tą samą szutrową trasą w kierunku drogi nr 101, zatrzymujemy się jeszcze na parkingu przed kempingiem Gold Bluffs Beach (35 USD/noc), gdzie bezpłatnie można skorzystać z cudownie orzeźwiającego prysznica. My co prawda mamy go w kamperze, ale jego gabaryty są co najwyżej wystarczające dla krasnoludków... Mam na myśli to, że chcąc wykąpać dziecko w kamperowej łazience, trzeba się nieźle pogimnastykować stercząc przy otwartych do niej drzwiach. Tu przynajmniej możemy porządnie się wypucować od stóp do głów, nie martwiąc się, że może zabraknąć nam wody. Wracając, zatrzymuje nas znowu stado jeleni, które, idąc wzdłuż drogi, przecina ją następnie tuż przed naszym kamperem. Po dotarciu Davidson Road do 101 kierujemy się na północ i następnie dosłownie po przejechaniu 1,5 mili skręcamy w lewo na Newton B. Druhy Scenic Parkway, gdzie generalnie korzystamy z 2 szlaków – pierwszy prowadzi nas do Big Tree (długość 0,1 mili). My spacerujemy jakąś dłuższą jego wersją, parkując przy drodze trochę za daleko na północ. Szlak jest doskonałym miejscem do nakręcenia jakiegoś przerażającego horroru... wielkie *redwoodowe* drzewa i totalny półmrok nadają niepowtarzalnego klimatu grozy.

Zatrzymujemy się następnie przy wyjściu na szlak Ah Pah Interpretive Trail. Wszystko na początku idzie jak iść powinno... Spacerując szeroką ścieżką, mijamy tablice informacyjne dotyczące lokalnej flory i fauny... następnie ścieżka stopniowo zaczyna zanikać... prowadząc nas do jakiegoś podmokniętego kanionu, skąd dalej iść się już nie da bez pomocy maczety i kaloszy. Próbujemy innej możliwości, ale przy kolejnym rozgałęzieniu prowadzącym nie wiadomo gdzie, dajemy sobie spokój i wracamy tą samą drogą do auta. Zapewne pochodzilibyśmy dłużej i znaleźlibyśmy wyjście, ale powoli zapadała już noc i w lesie było całkiem ciemno.

Mimo niepowodzeń szlak, a w zasadzie jego przebyta przez nas część była bardzo przyjemna. Szybko wyjeżdżamy na punkt widokowy Klamath River Overlook, by złapać ostatnie promienie słońca chowającego się za horyzont. Przy wjeździe na Requa Road jest znak informujący, że kampery i samochody z przyczepkami są nierekomendowane... ale przy naszych „minimalnych” gabarytach nie widzimy żadnych przeszkód i oczywiście wjeżdżamy bez problemu.

Nocleg zaczynamy od widoku na zachodzące na czerwono słońce. Pomimo ustawionego tu znaku, że przebywanie po zmroku jest zabronione, nikt nam nie przeszkadza i nikt nas stąd nie wygania. „Śpią” z nami jeszcze 2 inne smochody.

Dzień 10

Budzimy się otoczeni gęstą mgłą, dzięki której wszystkie widoki z tego miejsca stają się „niewidzialne”. Zjeżdżamy do drogi nr 101, jadąc następnie przez rezerwat indiański. Dojeżdżamy do Trees of Mystery – komercyjnej pułapki turystycznej. Piętnastometrowy gipsowy posąg legendarnego drwala Paula Buyana z niewiele mniejszym od niego wołem (*Babe the Blue Ox*) zaprasza (dosłownie nawołując przez megafon) do odwiedzenia muzeum i ścieżki prowadzącej przez *redwoody* (jakbyśmy mieli ich mało przez ostatnie kilka dni) oraz skorzystanie z przejeżdżki kolejką linową wznoszącą się ponad wyższymi partiami drzew (wstęp 18 USD, dzieci 9 USD, czynne od 8 do 17.30). My z przyczyn oczywistych z tej atrakcji nie korzystamy – interesuje nas natomiast perłka tego regionu – Hidden Beach.

Pan ze sklepu z pamiątkami pokazuje nam wyjście na szlak, którego nie możemy znaleźć. Na północ od motelu położonego po przeciwnej stronie Trees of Mystery znajdujemy tabliczkę informującą, że do „Ukrytej Plaży” prowadzi 0,5-milowa ścieżka (zaparkować auto trzeba po przeciwnej stronie). Przechodzimy omszony drewniany mostek w stanie rozsypu i później szeroką ścieżką dochodzimy do plaży, która przez cały czas na niej przebywania należy tylko do nas! Najlepiej przybyć tu podczas odpływu, wtedy możemy zobaczyć całą gamę morskiego życia dostępną na wyciągnięcie ręki. My spotykamy kraby i rozgwiazdy przyklejone do skał, małże oraz liczne zielone ukwiały. Poranna bryza uprzyjemnia nam pobyt. Na plaży rozrzucone są olbrzymie ilości wypolerowanego przez wodę drewna (*dryftwood*). Widzimy też ślady kraba, które przypominają ślad opony rowerowej. Zauroczyła nas ta plaża i bardzo, ale to bardzo odwiedzenie jej polecam! Jedziemy dalej na północ, mijając Wilson Creek Bridge. Wjeżdżamy na Crescent City Overlook, skąd widoki mamy naprawdę przepiękne. Droga prowadząca do szlaku Enderts Beach i Nickel Creek Campground (Enderts Beach Road) niestety jest zamknięta (zastawiona wielkim metalowym ogrodzeniem) z powo-

du „zerwania” teje drogi... szkoda, bo szlak według opisu, jaki mamy, wydaje się być istną petardą... Dojeżdżamy do miasta Crescent City i wybieramy najlepszy z możliwych plac zabaw (Beechfront park), żeby dzieciaki się trochę wyszalały. W międzyczasie gotujemy obiad, by doładować baterie kaloryczne.

W zatoce jest przepiękna latarnia morska (Battery Point Lighthouse), ale przyptyw uniemożliwia nam dojście do niej... Jadąc dalej na północ, przejeżdżamy przez indiański rezerwat, gdzie tankujemy po bardzo atrakcyjnej cenie (3,17 USD/galon). Niedaleko stacji po przeciwnej stronie drogi jest tani Indiański prymitywny kemping Clifford Kamph Memorial Park (15 USD/noc). I... wjeżdżamy do Oregonu, a na dzień dobry wita nas sklep sprzedający rekreacyjną marihuanę! Jeden skręt kosztuje tu 12 USD i jest opakowany w tekturowy zabezpieczający pojemniczek. Jak wiadomo, marihuana jest powszechnie dostępna w uprawnionych do jej sprzedaży sklepikach w każdym mieście Oregonu od 2014 roku. Jednorazowo można nabyć dziennie do 1 uncji (28 gram) marihuany w tym samym sklepie. Trzeba mieć ukończone tylko 21 lat i kilkanaście dolarów w kieszeni. W ostatnim roku Oregon borykał się z bardzo dużymi nadwyżkami marihuany, co doprowadziło do znacznych spadków cen... podobno w niektórych miejscach można kupić skręta nawet i za 4 USD.

Podjeżdżamy następnie do Oregon Welcome Center (Crissey Field Recreation Site) – olbrzymiego nowoczesnego Visitor Center, gdzie poza ulotkami, folderami i mapami jest również ciekawy tematyczny kącik dla dzieci, gdzie oczywiście od razu lądują nasze maluchy. Przejeżdżamy następnie przez Brookings i zatrzymujemy się w Harris Beach State Park (wjazd bezpłatny). Jest to istna petarda widokowa! Świetna miejscówka zaurocza nas do tego stopnia, że wracamy tu później, by celebrować zachód słońca. Jedziemy dalej wzdłuż wybrzeża i zatrzymujemy się w punktach widokowych leżących na terenie Samuel H. Boardman State Scenic Corridor. Pierwszy z nich to Lone Ranch Beach. Następnie Cape Ferrelo Viewpoint, gdzie samotnie na ochotnika pokonuję szlak (długość 1 mila), dający mi szansę ujrzeć malowniczą zatokę oświetloną miękkim południowym słońcem...

Widoki dosłownie urywają szczękę.

Wyjście na szlak jest bezpośrednio z parkingu, prowadząc od zawietrznej strony, gdzie mimo to wiatr jest bardzo odczuwalny. Na otwartej przestrzeni już trudno utrzymać równowagę, a po północnej stronie w ogóle nie da się iść. Staje się to o tyle niebezpieczne, że idąc ponad klifem po lewej stronie granicę z przepaścią. W House Rock Viewpoint spotykamy autostopowicza z Anglii, zmierzającego do Kanady, który właśnie rozkłada namiot na punkcie widokowym i z którym chwilę rozmawiamy na temat podróżowania. W tym miejscu postanawiamy zawrócić do Harris Beach State Park na zachód słońca. Niestety zachód nie jest zbyt efektowny... ale przynajmniej spędzamy go w cudownym otoczeniu malowniczych skałek.

Na nocleg udajemy się na położoną na przeciwko parku *rest area*.

Dzień 11

Dzień zaczynamy od śniadania z widokiem na malowniczą plażę w Harris Beach State Park (na którego otwarcie musimy czekać aż do godziny 7.00). Jedziemy do punktu, na którym wczoraj skończyliśmy, zatrzymując się kolejno w Whale Shedd

Viewpoint i Whaleshead Picnic Area. Przejeżdżamy przez najwyższy most na wybrzeżu oregońskim (Thomas Creek Bridge – 105 metrów wysokości) i zatrzymujemy się na parkingu prowadzącym do Natural Bridges.

Wychodzą stąd 2 szlaki. Jeden prowadzi do drewnianego pomostu widokowego (od strony południowej). Za platformą widokową jest ścieżka, która też gdzieś prowadzi... ale tego już nie sprawdzamy. Od strony północnej wychodzi szlak prowadzący na wejście na ten *natural bridge*, gdzie początkowo idziemy razem, ale w momencie, gdy ścieżka zdecydowanie nie nadaje się pod względem bezpieczeństwa dla dzieci, ja z dziećmi zawracam. Mundi idzie na skałki, a my robimy mu zdjęcie z drewnianego pomostu. Następne miejsce, gdzie się zatrzymujemy, to Thunder Rock Cave. Szlak stąd wychodzący miał zaprowadzić nas do Secret Beach, a przez pomyłkę podążyliśmy Loop Trail, i zaczęliśmy się gubić... wracając w końcu do parkingu. W dodatku rozdzieliliśmy się po połowie i w płataninie szlaków zgubiliśmy się nawzajem, nie osiągając celu. Kolejny przystanek to Arch Rock Picnic Area, który wita nas ostrzeżeniem przed trującym dębem (*poison oak*). Jest to prościutki szlak wzdłuż metalowego płotu z widokami na skałki zatopione w oceanie. Widoki są częściowo zasłonięte drzewami...

Następnie zatrzymujemy się kolejno w kilku punktach przy drodze – Pistol River View point North (gdzie dzieciaki szaleją na wydmach, porośniętych wysokimi trawami), Ariya's Beach oraz Cape Sebastian Viepoint. Przy Gold Beach Visitor Center zatrzymujemy się już na dłużej, urządzając sobie piknik. Dzieciaki szaleją na placu zabaw (składającego się ze starej łajby rybackiej i 1 pordzewiałej huśtawki). Wieje tak okrutnie, że nawet nie wychodzimy na plażę. Łeb po prostu urywa! Kolejna miejscówka to Sisters Rocks State Park – polecam jako superłatwy szlak z pięknymi widokami. Jedyłą przeszkodą jest porywisty wiatr, który nie daje za wygraną i męczy nas od kilku dni.

Dochodzimy do wielkich skał zatopionych w oceanie. W jednej z nich wyżłobiona jest jaskinia, do której ostrożnie zaglądamy od góry, patrząc na wałace z wielką siłą o jej dno fale. Następnie schodzimy na plażę od zawietrznej strony (południowej) i tu bawimy się w poszukiwaczy skarbów. Znajdują się tu resztki wraku statku, co daje nam dużą szansę na odnalezienie czegoś wartościowego!!! Znajdujemy jakiś przedmiot przypominający trochę piracką skrzynię... trochę wyobraźni i dzieciaki szaleją z radości!!!! Po zakończeniu misji wdrapujemy się z powrotem na górę i trzymając się mocno za ręce (by nie porwał nas wicher), wracamy do kampera, podziwiając po drodze kwitnące na kolorowo kwiaty. Później zjeżdżamy na Arizona Beach (zjeżdża się z głównej drogi na *day use area*), ale nie ma tu w zasadzie nic specjalnego.

Kolejną ciekawą miejscówką jest Battle Rock Wayside Visitor Center. Parkujemy na obszernym parkingu i ja jako ochotnik wdrapuję się na Battle Rock (dojście możliwe jest tylko podczas odpływu). Pełno tu rozrzuconego *dryftwoodu* na plaży. Z Battle Rock widać „suchy port” w Port Orford, gdzie dźwig wyciąga statki z wody, a następnie naprawdza je na przyczepkę na kołach, by móc ustawić potem w rzędzie na parkingu portowym. Później do tego portu zajeżdżamy i obserwujemy to widowisko z bliska.

W lokalnej portowej restauracji (Griff's On The Dock) kupujemy kawałek wędzono-dorsza – pycha (10 USD/funt)... Droga Port Orford Hwy wyjeżdżamy do Lifeboat Station museum (Port Orford Heads State Park). Museum jest już zamknięte, więc za-

glądamy tylko przez okna do środka. Na zewnątrz stoi zabytkowa łódka ratownicza. Jediną opcją, jaka nam tu zostaje, jest króciutki szlak Cove Trail (długość 0,35 mili) prowadzący nas do punktu widokowego na zatokę, gdzie z góry były spuszczone łódki ratownicze w przypadkach zagrożenia. Przed wyjazdem z miasta sprzedajemy jeszcze plastikowe butelki w spożywczaku. Naprawdę zadziwiający jest fakt, że butelka kosztuje drożej niż wlana do niej woda... (w Costco cena 1 butelki wody to 0,08 USD przy czym koszt butelki to 0,10 USD). Przez pola żurawinowe docieramy do Bandon – ostatniego miejsca, jakie odwiedzamy na wybrzeżu oregońskim. Warto wspomnieć, że żurawina uprawiana jest w okolicach Bandon od 130 lat i stanowi 5% wszystkich upraw w Stanach, dostarczając na rynek rocznie 15 tysięcy ton tych owoców. Wjeżdżamy w Beach Loop i mijając Devils Kitchen (parking z WC) dojeżdżamy do Face Rock (parking z WC). To będzie nasza baza na oglądanie zachodu słońca. Wystarczy sobie „wygooglować” Wizard i Dogs Rock, żeby zobaczyć, dlaczego miejsce to tak bardzo przyciąga swoim pięknem podróżników z całego świata.

Dla mnie osobiście to jedno z najpiękniejszych miejsc na wybrzeżu Pacyfiku. Po spektaklu zachodzącego słońca postanawiamy, że zostajemy tu na noc, by również móc podziwiać jego wschód.

Dzień 12

Pomimo zakazu przebywania tu po zmroku noc przebiegła nam spokojnie i nikt nam nie przeszkadzał. A dzień zaczynamy nietypowo od wizyty w pralni miejskiej, bo liczba naszych czystych ubrań znacznie się skurczyła i trzeba było rozwiązać ten problem w jedyny możliwy sposób. Nazbierały się 2 wielkie pralki ubrań (2,75 USD pralka, płyn 1 USD, suszenie w wielkiej suszarce, gdzie mieści się objętość 2 pralek – 1,50 USD). Pralnie miejskie posiadają zawsze automaty do rozmieniania banknotów i jednorazowe saszetki płynu do prania (do kupienia). Są duże stoły do składania ubrań i wózki, żeby je przewozić z suszarek na te stoły. Generalnie jest to miejsce, gdzie spotykają się miejscowi, żeby sobie poplotkować... no i przy okazji do tych plotek wciągnąć przybyszów z innych krain.

Zakończywszy proces pralniczy, udajemy się w bardzo szybkim tempie do Conquille Point, gdzie schodzimy na plażę i spacerujemy do okolic Face Rock. O godzinie 10 rano lokalny artysta Denny Dyke z pomocnikami namalował, a w zasadzie „wyrzeźbił” w piasku labirynty – Circles In The Sand. Uśmiechnięta pani przy „wejściu” do tegoż labiryntu rozdaje kolorowe kamyki „na szczęście”. Super jest to, że mnóstwo ludzi tym labiryntem spaceruje. Pogoda jest w końcu świetna i przestało wiać. Jest tu tak cudownie i klimatycznie, że spędzamy tu ponad 2 godziny. Po wysokich schodach wdrapujemy się następnie na parking przy Face Rock i jedziemy do naszej ulubionej restauracji na ryby i frytki (Bandon Fish Market – 249 1st Street SE). Tłumy oczekują tu na swoje *fish and chips* i wszystkie stoliki są zajęte. Widać nie tylko my lubimy to miejsce. Do kotleta, a raczej w tym przypadku do ryby z frytkami przygrywiają lokalni gitarzyści, wyśpiewując rockowe zlagiery. Z wypełnionymi brzuchami spacerujemy po deptaku, którego barierki ozdobione są zalaminowanymi obrazkami namalowanymi przez dzieci z lokalnej szkoły. Wszystko dotyczy łososi – ich cyklu życiowego, ochrony i zagrożeń. Super pomysł. Super klimat.

Bandon to jedyne w swoim rodzaju nadoceaniczne miasteczko pełne jakiegoś trudno wytłumaczalnego czaru, który zawładnął naszymi umysłami. Żeby na koniec troszkę sobie dosłodzić życie, wchodzimy do „Cranberry Sweets and More”, gdzie do degustacji mamy ponad 15 różnych dziwnych słodczy typu zielony popcorn czy przypudrowana żurawinowa galaretka. Nie polecam objadania się tymi „smakołykami”, bo bardzo boli po nich brzuch... Zaglądamy następnie do Washed Ashore Gallery & Workshop (325 2nd Street SE, czynne od 12 do 17 w czwartki, piątki i soboty). Lokalni artyści tworzą tu z odpadów znalezionych na plaży prawdziwe dzieła sztuki. Rok temu, gdy robiłam zdjęcie wielkiej czerwonej rybie przed galerią, myślałam, że wykonana jest z kolorowych szkiełek. A prawda jest taka, że są to resztki starych opon i plastiku. Wszystkie składniki rzeźb przyniesione są z okolicznych plaż. Niestety zaglądamy tylko przez okno, bo galeria jest zamknięta. Na zakończenie dnia udajemy się do Face Rock Creamery (101. E side of Bandon, czynne codziennie od 9 do 19), żeby poczęstować się próbkami produkowanego tu sera i zaserwować przeogromną porcję lodów (4,25 USD), którymi najadają się 4 osoby.

Tankujemy za gotówkę po bardzo korzystnej cenie (3,19 USD/galon) i wyruszamy na wschód (Coquille Bandon Road). Skracamy w Powers hwy (242) na południe i za chwilę zatrzymujemy się przy dość nietypowej „atrakcji” – zdechły kot rozwieszony jest na płocie tuż obok znaku *No trespassing*. Mijamy zjazdy do rzeki, gdzie można sobie piknikować, i gdzie robią to lokalsi, ale widok truchła wystraszył nas do tego stopnia, że chcemy się stąd jak najszybciej ewakuować i nie zawierać bynajmniej znajomości z okolicznymi mieszkańcami. Mijamy Powers i 6,5 mili dalej zatrzymujemy się po lewej stronie drogi (w zatoczce), skąd wychodzi krótki szlak prowadzący do bardzo widowiskowego wodospadu Elk Creek Falls (0,4 mili). Z tego samego miejsca wychodzi szlak (Big Tree Trail) prowadzący do wielkiego cedrowego drzewa, mierzącego aż 70 metrów wysokości (długość szlaku 2 mile). Przy wodospadzie rozdzielamy się, bo robienie zdjęć na „długi czas” zawsze zajmuje mi dłuższą chwilę. Mundi z dziećmi idzie w stronę wielkiego drzewa. Po 15 minutach wyruszam i ja – idąc za nimi tym samym szlakiem stromo, pionowo w górę.

Od razu nadmieniam, że szlak jest zdecydowanie nie dla dzieci. Ja ledwo dyszę po każdym stawianym kroku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak Mundi z dziećmi mógł tak szybko przejść tę trasę. Krzyczę i nawołuję głośno, ale odzewu nie ma... W końcu po półgodzinnych nawoływaniach i „morderczej” wspinaczce zawracam do auta w przekonaniu, że zgubiłam szlak. Rozglądam się na boki, ale nie widzę żadnych rozgałęzień, które stwarzałyby jakąkolwiek możliwość pójścia inną drogą. Już przez głowę przechodzą mi czarne myśli, że może porwał ich jakiś szalony leśny diabeł ...bo przecież czas, jaki spędziłam na robieniu zdjęć wodospadowi, w końcu nie był aż tak długi. Dzieliło nas może 20 minut, a ja naprawdę szłam szybko i nie mogłam zgubić ścieżki. Czekam więc zamknięta w aucie... przy drodze, którą kompletnie nikt nie jeździ. W końcu po godzinie towarzystwo wraca umęczone, ledwo powleczone nogami. Wielki szacun dla dzieci za przejście tak trudnego szlaku. Jedziemy następnie bezpośrednio na kemping Myrtle Grove campground (bezpłatny!) na drodze nr 33, by już nienadwyreżać cierpliwości naszych dzieci kolejnym szlakiem. W Powers Ranger

District (Rogue River – Siskiyou National Forest) znajduje się 10 kempingów, z czego 7 jest bezpłatnych. Kempingują tu tylko 2 lokalne drużyny, zajmując 3 miejsca z 5 dostępnych. Wybieramy naszym zdaniem najlepszą z pozostałych miejscówkę, ulokowaną bezpośrednio nad rzeką i rozpalamy wielkie ognisko. Zachęceni szumem rzeki podążamy w jej kierunku, ale woda okazuje się zdecydowanie zbyt zimna na kąpiel. Wracamy więc i raczymy się kiełbaskami prosto z ogniska, a kąpiel robimy sobie pod prysznicem w kamperze.

Dzień 13

Wyruszamy trasą nr 33, mijając kempingi Daphne Grove and Island. Skracamy na wschód w drogę 3348 i następnie parkujemy „na bardzo skromnym” poboczu, gdzie w zasadzie jest miejsce tylko na naszego kampera.

Wędrujemy średnio trudnym szlakiem do Conquille River Falls (długość 1 mila). Szlak jest zapewne słabo uczęszczany i rzadko „reperowany”, bo wielokrotnie musimy przedzierać się przez powalone drzewa. Najpierw schodzimy stromo w dół, i oczywiście wracając musimy się trochę powspinać. Wodospad jest bardzo efektownie „ulokowany” wśród paproci i innej gęstej roślinności. Jest tu duża wilgotność, co jest bezpośrednio związane z niewielką odległością od oceanu. Po tej krótkiej wycieczce jedziemy bardzo wąską drogą (3348), mijając wyludnione kempingi Lockhart i Peacock i jadąc wzdłuż rzeki South Fork, w okolicy której spotykamy wielkiego orła bielika i stado minikaczuszek oraz rysia, który przebiega nam drogę. I to w zasadzie były jedyne „postaci”, które mijamy na całej tej trasie. Nikt tędy nie jeździ, nikt tu nie mieszka, czysta natura i my.

Oddalając się od oceanu, klimat robi się znacznie bardziej suchy, chociaż jeszcze w niektórych partiach można spotkać rododendrony, charakterystyczne dla wilgotnego klimatu. Wjeżdżamy na ziemie BLM i zatrzymujemy się na chwilę na parkingu, skąd wychodzi 4-milowy (trudny) szlak na Mount Bolivar (1316 m n.p.m.). Pożar w 2005 roku zniszczył tu olbrzymie połacie lasów, więc cała góra wygląda jak usypana z ziemi okrągła łyśa kopuła. Jako że jesteśmy już na ziemiach BLM, dozwolona jest tu masowa wycinka drzew na skalę przemysłową, zaczynają jeździć olbrzymie ciężarówki zwożące drzewa do tartaków w miasteczku. Mijamy tory kolejowe w West Fork, gdzie ponad 100 lat temu chińscy robotnicy, pracując w bardzo trudnych warunkach, zbudowali istny cud inżynierii, jakim jest sieć tuneli i połączeń kolejowych w tak nieprzyjaznym górskim terenie. Dojeżdżamy do Glandale, gdzie kompletnie nic się nie dzieje, i tylko liczne tartaki pokazują, na jak wielką skalę odbywa się tu wycinka drzew. Na słupach porozwieszane są ogłoszenia o pracy dla kierowców ciężarówek, których tu najwidoczniej brakuje. Swoją drogą nie ma zapewne wielu śmiałków, którzy po takich drogach chcieliby jeździć z dodatkową przyczepą, narażając życie dosłownie na każdym zakręcie. Wskakujemy na autostradę nr 5 (na południe), która prowadzi nas bezpośrednio do Grand Pass i komercyjnej atrakcji dnia dzisiejszego – studia ręcznie dmuchanego szkła połączonego z galerią (Glass Forge 501 SW G street, czynne 8– 17 od poniedziałku do soboty). Spotykamy tu bardzo miłych ludzi, którzy demonstrowują nam cały proces powstawania szklanych dzbanków, bombek, biżuterii czy chociażby popielniczek. Dają im 10 gwiazdek za obsługę klienta!

Autostradą jedziemy dalej na wschód, zatrzymując się tylko na chwilę przy Russian Orthodox church. I wjeżdżamy do Jacksonville Historic District, urządzając sobie szybki spacerek główną ulicą pełną stylowych budynków (z ulokowanymi w nich sklepikami, winiarniami i kawiarniami), pochodzących z połowy XIX wieku. Miasteczko zostało założone przez poszukiwaczy złota, które odkryto na tym terenie w 1852 roku. Troszkę tu komercyjnie, ale klimat jest! Jako że dzieciaki są ekstremalnie zmęczone między innymi dzisiejszym upałem, podjeżdżamy do placu zabaw ze sprinklerami (w Medford), przy okazji dokarmiając się obiadem.

Ze względu na niekomfortową sytuację, szczególnie dla mnie, spowodowaną mistrzostwami świata w piłce nożnej, nocleg musimy spędzić w granicach miasta, gdzie dostępny jest Internet, by Mundi mógł sobie obejrzeć kilka mundialowych meczy. Śmierdzący parking na Pilot truck stop w Medford jest więc naszą bazą na cały wieczór i noc.

Dzień 14

Super kibic daje jednak się namówić na zmianę miejsca oglądania porannej transmisji na parking, skąd wychodzi szlak Upper table Rock (długość 2,8 mili, uwaga – trujący dąb (*poison oak*) i grzechotniki!!!!). Ponieważ idę sama, pokonuję trasę w zawrotnym tempie 40 minut na szczyt (20 minut na górę i 20 minut zejście). Szlak nie jest może petardą turystyczną, ale przesiadywanie na śmierdzącym truck-stopie wykończyło mnie psychicznie. Z góry roztaczają się widoki na okoliczne winiarnie, co znacznie poprawia mój humor. Spotykam też tu bardzo dziwną roślinę, która wygląda jak ziemniak rosnący na dębie... niestety, nigdzie nie mogę znaleźć informacji o jej nazwie.

Jedziemy dalej na północ drogą nr 62 wzdłuż Rogue River do Prospect State Scenic Viewpoint (wjazd bezpłatny), gdzie po krótkim spacerze po lesie dochodzimy do wodospadów Baar Creek Falls i Mill Creek Falls. Widoczne tylko z daleka. Podążamy dalej nr 62 w kierunku parku narodowego Crater Lake (25 USD/auto; bilet ważny przez 7 dni), wznosząc się coraz wyżej nad poziom morza. Pierwszy punkt w parku to Crater Lake Visitor Center, a w zasadzie sklepik z pamiątkami, oferujący bardzo mało informacji o samym parku. Janek dostaje tu zeszyt ćwiczeń do programu Junior Ranger, który okazuje się ekstremalnie trudny, doprowadzając oczywiście nas wszystkich do frustracji (przy jego wypełnianiu). Jest to najbardziej skomplikowany zestaw pytań, jaki kiedykolwiek widzieliśmy w programie Junior Ranger.

Tu dowiadujemy się, że jeden ze szlaków Watchman Trail, którym mieliśmy wędrować, jest zamknięty w powodu zalegającej na nim grubej pokrywy śnieżnej. Również łódki wycieczkowe na jeziorze jeszcze nie kursują... Trochę to zaburza nasz pierwotnie przygotowany plan zwiedzania. Wjeżdżamy na górę na przeolbrzymi parking dla gości kawiarni i sklepu z upominkami. Wszyscy tu coś jedzą, piją i wyglądają, jakby byli bardziej zainteresowani zakupem koszulki, breloczka czy frytek, niż otaczającą ich przyrodą. Jak się okazuje, główne Visitor Center to malutka budka z bardzo skąpo przygotowanymi wystawami. Tak niesamowite miejsce z tak wielkimi zasobami dzikiej przyrody zostało zamienione w komercyjny, bezklimatyczny, pełen brzuchatych gości (ubranych we flip-flapy) park rozrywki.

Po zaparkowaniu i bezskutecznej próbie zdobycia praktycznych informacji w *gift shopie* ruszamy na spacer wzdłuż jeziora. Widoczność jest całkiem dobra (co nie zdarza się tu dość często). Niebo i chmury odbijają się w tafli jeziora, ukazując jego niesamowity urok. Idziemy aż do Crater Lake Lodge razem z tłumem innych turystów dzierżących w dłoniach tekturowe kubki z kawą. Rocznie odwiedza to miejsce ponad 650 tysięcy osób i oczywiście te odwiedziny odbywają się w większości w okresie letnim, mniej więcej od połowy czerwca do końca września. Opady śniegu notowane w parku to średnio 13 metrów w ciągu roku... i całkiem pokaźna ilość tego śniegu zalega nawet do połowy lipca. Generalnie można powiedzieć, że przez 8 miesięcy w roku obszar ten zatopiony jest w śniegu. Geneza powstania tego jeziora związana jest z wybuchem wulkanu Montezuma (7700 lat temu) w wyniku czego w utworzonym zapadniętym wierzchołku tegoż wulkanu powstało jezioro kalderowe, które możemy oglądać dzisiaj. Woda w jeziorze pochodzi tylko i wyłącznie z opadów śniegu i deszczu, a jezioro nie posiada żadnych dopływów ani odpływów w postaci rzek czy strumieni. Crater Lake jest najgłębszym jeziorem w Stanach Zjednoczonych (594 m), zajmując 9 miejsce pod tym względem na świecie. Jest to całkiem spore jezioro – jego średnica to około 10 km i znajduje się na wysokości 2100–2400 m n.p.m. Ruszamy West Rim Drive (od strony zachodniej), zatrzymując się na każdym punkcie widokowym. Ze smutkiem obserwujemy Watchmana, który rzeczywiście wydaje się nie do zdobycia, ze względu na olbrzymie pokłady leżącego śniegu... W ogóle jest bardzo dużo śniegu po stronie północnej. Służby parkowe naprawiają tu drogę, wylewając nowy asfalt, który zapewne uległ zniszczeniu podczas mroźnej zimy. Dzisiaj jest 19 czerwca, a tak naprawdę sezon jeszcze się tu nie zaczął.

Z Cloudcap Overlook obserwujemy wyspę Wizard Island (porośniętą 800-letnimi drzewami), gdzie można się dostać jedynie łódką wycieczkową, które niestety jeszcze nie kursują... Skręcamy w drogę Pinnacles Road (skąd po przejechaniu 1 mili), bierzemy szlak na Plaikni Falls (długość 2 mile). Wodospad okazuje się prawdziwą krajobrazową petardą, a jedyną i naprawdę uprzykrzającą przeszkodą są chmary komarów. Zakładamy długie spodnie i bluzki z długimi rękawami, sprejując na siebie prawie cały pojemnik płynu przeciwmoskitowego!!! Krótki spacer (a w zasadzie trucht) staje się istną udręką... machamy i odganiamy wyjątkowo natrętne owady. Po dojściu do wodospadu (wysokość 6 metrów) odczuwamy pewnego rodzaju ulgę. Pod wpływem wiatru wytwarzanego przez walącą o skały wodę, ruch komarów staje się do zniesienia i można w spokoju nacieszyć się tym isticie sielankowym widokiem rozlewającej się szerokim strumieniem wody w otoczeniu soczystej zieleni. Jedziemy do końca Pinnacle Road i dosłownie biegniemy szlakiem wychodzącym z Pinnacles Overlook do granicy parkowej. Tak naprawdę najładniejszy widok jest z punktu przy parkingu i nie ma potrzeby gnać po ścieżce aż do końca. Nam nie sprzyja aktualne położenie słońca i zdjęcia pod światło nie oddają klimatu. Wysokie piętnastometrowe cienie iglice, wystające z pumekсового podłoża, są naprawdę trudne do uchwycenia aparatem w obecnych warunkach oświetleniowych. Ponieważ dzień się już kończy – pędzimy na szlak Sun Notch Trail, gdzie wyrasta przed nami pięknie oświetlony południowym słońcem Phantom ship i wschodnia część kaldery. Komary dają czadu i skutecznie wyku-

rzają nas z tego malowniczego widoku. Jadąc dalej, mijamy (widoczne z drogi) Vidae Falls (wysokość 35 m).

Zaczynamy rozważać dwie możliwe opcje na zorganizowanie dzisiejszej nocy – pierwsza niedaleki kemping w Mazama Village i nocowanie z chmarą komarów, które zapewne uniemożliwią nam wyjście na zewnątrz z kampera i cieszenie się otaczającą nas przyrodą, lub też wyjazd z parku narodowego i nocleg na dziko gdzieś po drodze. Ponieważ mamy już serdecznie dosyć tych upierdliwych stworów, wybieramy opcję nr 2 przy okazji zaoszczędzając 22 USD, które wydaliłybyśmy na kemping. Wyjeżdżamy (drogą nr 62 na południe) prawie z parku i na samej jego granicy zatrzymujemy się na Ponderosa Picnic Area. Wychylamy nosy na zewnątrz i od razu uderza w nas intensywny, przyjemny zapach iglastego lasu. Pełno tu porozrzucanych jakby niedbale wielkich szyszek i w zasadzie nic poza tym się tu nie dzieje. Nikogo poza nami nie ma. Komary i ludzie zostali w parku... Mamy cudownie spokojną noc.

Dzień 15

Kierujemy się na Fort Klamath, który okazuje się przysłowiową dziurą zabitą dechami, z tańszą niż gdziekolwiek indziej dookoła benzyną (3,19 USD/galon) i superfajnym w pełni zautomatyzowanym wielkim skupem butelek. Jeszcze przed miasteczkiem mijamy soczyste pastwiska pełne pasących się krów i zamknięte Railroad museum (z zewnątrz wygląda całkiem ciekawie...).

Fort Klamath to nasz ostatni punkt w ukochanym Oregonie. Wyjeżdżamy drogą nr 39 na południe w kierunku Kalifornii. Zaraz po przejechaniu granicy stanowej mijamy miejsce, gdzie kiedyś znajdował się obóz koncentracyjny Tulelake Camp. Przez okres kilku miesięcy podczas II wojny światowej (w 1943 roku) przetrzymywano tu około 100 „nielojalnych” Japończyków, którzy musieli ciężko pracować, naprawiając i zajmując się tutejszymi budynkami oraz wykonując prace polowe. Zatrzymujemy się na chwilę w Klamath Basin National Wildlife Refuge Visitor Center (wejście bezpłatne), gdzie oglądamy film dokumentalny o ptactwie zamieszkującym tereny w okolicy jeziora Tule, gdzie obecnie się znajdujemy. Małe muzeum skupia się przede wszystkim na faunie. Następnie wjeżdżamy na teren Lava Beds National Monument (wjazd 20 USD/auto; bilet ważny 7 dni od daty zakupu).

Park daje nam nieograniczone możliwości eksplorowania lawowych jaskiń (*lava tubes*) i kraterów. Możemy odnaleźć tu naskalne petroglify i piktografy ukryte w tych jaskiniach, powspinać się na stożki wulkaniczne, wypatrzeć nietoperza, grzechotnika czy szczurowskoczkę... Tunele i jaskinie lawowe powstają, gdy płynąca lava zastyga na powierzchni, podczas gdy we wnętrzu wciąż trwa jej przepływ. Ściany tunelu pogrubiają się wraz ze stygnięciem skał, ale trwający przepływ może powodować topnienie skał położonych niżej, obniżając dno tunelu. Takie tunele występują w wielu miejscach w zachodnich stanach, takich jak: California, Oregon, Washington, Idaho czy Hawaje. Black Crater to pierwszy punkt widokowy na jakim się zatrzymujemy w parku. Czarne i brązowobrunatne wulkaniczne skały sięgają aż po horyzont. Słońce nagrzało okolicę do granic wytrzymałości i wydaje się, że asfalt pod naszymi stopami zaraz ulegnie całkowitemu stopieniu. Ponieważ główną atrakcją parku są jaskinie umiejscowione na tzw. Cave Loop Road (do której brama zamykana jest o godzinie 17), posta-

nawiamy właśnie od tego miejsca zacząć zwiedzanie. Podjeżdżamy do Visitor Center (czynne w lecie od 9 do 17.30), by tam bezpłatnie wypożyczyć od rangerów wielkie latarki i oczywiście wziąć udział w programie Junior Ranger. Dostajemy przy okazji zaktualizowaną mapkę szlaków i wyruszamy na penetrację jaskiń, których w tej części parku jest 16, z czego 5 obecnie zamkniętych ze względu na ochronę nietoperzy w nich przebywających. Niedawno urodziły się małe nietoperzyki i teraz istnieje całkowity zakaz zbliżania się do ich kolonii.

Pierwszą jaskinią, do jakiej się udajemy, jest Golden Dome (długość 680 metrów). Po metalowej drabinie schodzimy do mrocznej czeluści, odczuwając z każdym kolejnym stopniem spadek temperatury powietrza i tym samym przyjemny chłodek. Przemierzamy korytarze jaskini (oczywiście z latarkami w rękach), prowadzącej nas pętelką do tego samego wyjścia. Wielokrotnie zaliczamy czołowe zderzenie z niskim sufitem, co oczywiście objawia się później jako liczne siniaki na naszych czołach. Basia wyraźnie nie wykazuje zainteresowania tą formą spaceru i zaczyna płakać, domagając się natychmiastowego opuszczenia ciemnej pieczary. Próbujemy na wszystkie sposoby ją przekonać, że jest to wspaniała przygoda i warto czasami się troszkę przestraszyć, ale ona pozostaje nieugięta. Generalnie wszystkie wnętrza tych jaskiń są do siebie podobne i nie należą może do najbardziej spektakularnych, jeśli bierzemy pod uwagę formy w nich występujące (lub po prostu niewystępujące wcale). Po 40 minutach wydostajemy się na powierzchnię i podjeżdżamy do następnej jaskini wytypowanej przez Janka – Hopkins Chocolate (długość 430 m). Część sufitu tej tuby lawowej zawałiła się, tworząc tzw. mosty. Basia nie daje się tym razem zaciągnąć do środka, więc rozdzielamy się po połowie. Ja zostaję z nią na zewnątrz, spacerując pod tymi mostami i robiąc kilka fajnych fotek. Do kolejnej jaskini na naszej trasie – Sunshine (długość 142 m), Basia już wchodzi chętniej ze względu na zapewnienia, o jej prześwitach powstałych wskutek zapadnięcia się tunelu. Rzeczywiście tu już nie jest tak strasznie ciemno i nie odczuwa się takiej klaustrofobii.

Obok Sunshine są jeszcze Natural Bridges, gdzie podchodzimy, a następnie kończymy zwiedzanie tej części parku w Upper Sentinel, której penetrujemy tylko niewielki kawałek. Odwiedzając te jaskinie, trzeba pamiętać zawsze o zabraniu latarki i najlepiej kasku lub chociażby czapki z daszkiem, jeśli chce się uniknąć bolesnych stłuczeń czoła... Miejscami trzeba się trochę poczołgać lub iść na czworaka, co jest wielką frajdą dla dzieciaków.

Na terenie parku jest ponad 700 jaskiń, z czego około 25 ma doprowadzone drabinki i balustrady, pomagające w zwiedzaniu. Ponieważ zbliża się godzina 17, pędzimy do Visitor Center z wypełnionymi przez dzieci zeszytami ćwiczeń, by następnie złożyć uroczystą przysięgę przed rangerem i otrzymać odznakę Junior Rangera. Pomimo że budynek informacji jest malutki, to oferuje bardzo ciekawe wystawy geologiczne i historyczne oraz film, który jeszcze przed przysięgą dzieci muszą obejrzeć, by zaliczyć ostatnie zadanie w zeszycie.

Następnym i zarazem ostatnim punktem dnia dzisiejszego jest wejście na górę Schonchin Butte (wysokość 1616 m n.p.m.), na której szczycie znajduje się wieża, z której wypatruje się okoliczne pożary (*fire lookout*). Ale jeszcze przed wejściem na jej

szczyt raczymy się cudownie orzeźwiającymi truskawkami z naszej kamperowej lodówki. Wielokrotnie podkreślam, że najwspanialszym wynalazkiem stworzonym do podróżowania z dziećmi jest właśnie kamper. Po ciężkim szlaku czy wizycie na plaży mamy ten komfort, że sięgamy do lodówki pełnej zimnych napojów czy owoców lub też raczymy się relaksującym prysznicem i nic do szczęścia więcej nam nie potrzeba. Wszystko co potrzebujemy, wożymy zawsze ze sobą i mamy do dyspozycji 24 godziny na dobę.

Podjeżdżamy kawałek na północ i skręcamy w prawo, parkując obok terenowej Toyoty landcruiser z rozkładanym namiotem umiejscowionym na dachu, której właściciele są jedynymi osobami spotkanymi na tym szlaku. Pomimo że park oferuje tak wiele atrakcji, jest bardzo rzadko odwiedzanym miejscem ze względu na swoje odosobnione położenie (370 mil od San Francisco). Ale dzięki temu można tu swobodnie i w samotności cieszyć się każdym odwiedzanym miejscem, co stanowi jedną z największych zalet naszego podróżowania podczas wakacji. Wchodzimy stromo pod górę po ścieżce (0,7 mili w jedną stronę), wijącej się licznymi serpentynami. Im wyżej jesteśmy, tym widoki otaczające nas wspanialsze. Zdecydowanie należy zabrać wygodne obuwie z twardą podeszwą, bo cała ścieżka jest „zbudowana” z rozdrobnionego pumeksu, który obsuwa się spod nóg. Kiedy w końcu stajemy na wieży, mamy 360-stopniową panoramę okolicy z dominującym zdecydowanie 1 punktem na horyzoncie – ośnieżonym stożkiem wulkanicznym górą Mount Shasta (4322 m n.p.m.). W oddali (właśnie w okolicach Mt Shasta) niebo staje się sine i widzimy nadciągającą w naszym kierunku burzę. Jest to zdecydowanie najbardziej widowiskowy szlak w tym parku.

Po zejściu ze szlaku kierujemy się bezpośrednio na kemping parkowy (10 USD, łazienki, ale prysznicy brak). Kemping jest bardzo dobrze utrzymany i większość miejsc dzięki znacznemu oddaleniu od siebie nawzajem oraz udrzewieniu daje dużo prywatności. Rozpalamy ognisko i czekamy na nadciągającą burzę, która na szczęście omija nas bokiem... strasząc tylko silnym wiatrem.

Dzień 16

Budzimy się o świcie i jeszcze przed śniadaniem opuszczamy kemping, podjeżdżając do największej dwupoziomowej jaskini w parku – Skull Cave. A ponieważ dzieciaki jeszcze śpią, udajemy się do niej osobno na zmianę. Na końcu korytarza jest przymocowana wielka metalowa krata, za którą według informacji podanej nam przez rangerkę, miały znajdować się pokłady lodu, ale niestety zapewne wytopił się on podczas ostatniej nocy, bo nic już z niego nie zostało. Jaskinia jest bardzo przestrzenna i dużo w niej schodków. Kiedy wracam do auta, towarzystwo już się obudziło, więc gotujemy owsiankę i zaraz po śniadaniu udajemy się już razem na szlak Big Painted cave i Symbol Bridge Trail (długość razem 1,8 mili w obie strony). Idziemy ścieżką wśród *sagebrushowych* krzaków wyrastających z wulkanicznego podłoża. Wędrujemy z widokiem na szczyt Schonchin Butte, z którego szczytu spoglądaliśmy wczoraj wieczorem na całą okolicę parku. Jesteśmy sami na szlaku, co znacznie poprawia nasze samopoczucie. Słońce pomimo tak wczesnej godziny daje już czadu, więc jeśli uda nam się znaleźć jakąś większą zacienioną powierzchnię, zatrzymujemy się, by odpocząć, rozkoszując się „chłodem”. Co chwila naszą drogę przebiegają małe szarobure jaszczurki

(*northern sagebrush lizards*), które są chyba najpopularniejszymi zwierzętami występującymi na tym terenie.

Po znalezieniu wszystkich możliwych piktografów na szlaku ruszamy szutrową drogą nr 49 na południe na Medicine Lake (droga ta jest zamknięta od listopada do połowy maja). Pomimo ostrzeżeń rangera o możliwości łatwego zgubienia się, droga jest bardzo dobrze oznaczona i prosta jak drut, więc nie ma opcji, żeby w jakikolwiek sposób zabłądzić. Zatrzymujemy się w Doorknob Winter Recreation Area – miejscu, jak można się domyśleć, przeznaczonego dla zwolenników sportów zimowych, w szczególności snowmobilowców, którzy mają tu swoją bazę w postaci pomieszczenia z piecykiem-kozą, ławeczkami i łazienką.

Jedziemy dalej na południe, napawając się bardzo intensywnym zapachem sosen *ponderosa pines*. Asfalt ponownie zaczyna się jakieś 3 mile przed Medicine Lake – pięknym dzikim jeziorkiem (są tu 4 kempingi). Podjeżdżamy do Jot Dean Ice Cave i tu, jak sama nazwa wskazuje, „spotykamy” lodową jaskinię. Ścieżka do jaskini jest bardzo krótka i zejście do niej również nie sprawia nam żadnych problemów. W środku panuje niesamowicie wietrzny i zimny mikroklimat i to dzięki tym obydwu czynnikom lód może się utrzymać tu cały rok. Stojąc praktycznie przy wejściu do jaskini, mamy przed sobą lodowisko zalegające na jej dnie. Odległość pomiędzy zalegającym lodem w jaskini a jej powierzchnią jest niewielka, a mimo to panuje tu bardzo duża różnica temperatur.

Jedziemy dalej, mijając po drodze liczne kratery i wszędzie zalegającą lawę. Dojeżdżamy do drogi nr 15 (Harris Springs Road), skąd mamy wspaniały widok na królującą tu Mount Shasta. Dobijamy następnie do nr 89 i jedziemy około 5 mil na zachód. Skręcamy na południe w drogę Mc Cloud Loop Road, która doprowadza nas do 3 wodospadów. Pierwszy na naszej drodze to Upper McCloud Fall. Podchodzimy do 2 punktów widokowych (ten najbardziej wysunięty na południe oferuje jeszcze lepszy widok), a następnie razem z rybakami robimy sobie krótki piknik w górnej części rzeki. Drugi wodospad – Middle McCloud to najbardziej spektakularny z tych 3 wodospadów. Widok z góry jest satysfakcjonujący, ale trzeba zejść na sam dół (serpentynami), by naprawdę przekonać się, jaki jest wspaniały. Widok z poziomu rzeki zrobił na mnie bardzo duże wrażenie. I z tego wrażenia zamiast zacząć się wspinać, poszłam wzdłuż rzeki zupełnie innym szlakiem, a gdy się zorientowałam, że jednak coś jest nie tak, nadrobiłam około 3/4 mili.

Upał i brak wody (której nie zabrałam) wykończył mnie totalnie, bo wspinaczka z powrotem wcale nie należy do najłatwiejszych. Najmniej widowiskowe są Lower Falls, chociaż paradoksalnie kręci się tu najwięcej ludzi. Duża liczba rybaków i wakacjuszy pluskających się w rzece powoduje, że wodospad ten raczej ma znaczenie rekreacyjne niż krajoznazowe. Dojeżdżamy do drogi nr 89 i odbijamy na zachód do McCloud Ranger Office, by zasięgnąć informacji na temat leśnej szutrowej drogi, odchodzącej na południe (nr 11), którą zamierzamy następnie się udać. Niestety pani rangerka tam pracująca nie miała pojęcia, czy droga jest przejezdna czy też nie. Dzwoiła do innych oddziałów National Forest po porady i w końcu uzyskaliśmy konkretną odpowiedź – droga jest przejezdna, ale bardzo wyboista. Ruszamy więc Squaw Valley Road (na po-

czątku asfaltową). Za Mc Cloud Lake nawierzchnia staje się szutrowa i bardzo kamienista, przez co ciągniemy się bardzo powoli. Po drodze widzimy sarenkę dzidziusia, która piszczy jak wiewiórka, zapewne próbując przywołać zagubioną mamę. Chyba wystraszył ją nasz widok, bo zaczęła uciekać dosłownie po pionowej skale w górę. Pokonała to jak profesjonalnie do tego przygotowana kozica górską. Za jakieś kilka mil zauważyliśmy małego niedźwiadka, który wspinał się na drzewo. Obserwowaliśmy go z kampera, bo nie chcieliśmy się natknąć na jego mamę, która na pewno nie byłaby zadowolona z naszej obecności i mogłaby nas zaatakować. Tłuczemy się tak dalej, mijając Iron Canyon Reservoir, i zaraz za nim wjeżdżamy w końcu na drogę asfaltową.

Parkujemy zaraz za mostem w małej zatoczce obok innego auta i szykujemy się na wycieczkę ku gorącym źródłom – Hunt Hot Springs. Przechodzimy przez łąkę (teren prywatny!), gdzie pasie się swobodnie stado koni, i idąc cały czas wzdłuż strumienia (Kosk creek), dochodzimy po 10 minutach do gorących źródeł. Przy pierwszym baseniku (z najbardziej gorącą wodą!) spotykamy sympatycznego kanadyjskiego podróżnika, z którym chwilę gaworzymy. Woda jest tu niemal wrząca i zdecydowanie nie nadaje się nawet do zamoczenia czubka palca... Dlatego też rekomenduje się przyniesienie ze sobą wiadra lub miski w celu dolania do tegoż zbiornika lodowatej wody z rzeki. Idziemy więc kawałeczek dalej do połączonych ze sobą 3 baseników – w tej wodzie już da się wytrzymać, chociaż nasza miska musi dopomóc razy kilka świeżą dostawą lodowatej wody z potoku... Podczas naszego pobytu przychodzi tu tylko kilka osób. Zapewne dlatego, że jest tu za daleko od każdego turystycznego miejsca. Po 1,5 godzinie konkretnego wymoczenia wyruszamy z powrotem do aut. Przechodzimy obok pasących się koników, które zaciekawione zawartością naszej metalowej miski zaczynają nas śledzić i wkładać pyski do tej miski...

Słońce już zdążyło zająć, więc postanawiamy jak najszybciej dotrzeć do widocznego na naszej mapie topograficznej kempingu Deep Creek, położonego wzdłuż drogi nr 50. W półmroku przejeżdżamy przez wioskę Big Bend, gdzie stoją tylko jakieś rudery i zdewastowane gospodarstwa. Jakaś młoda Indianka macha nam przyjaźnie, wystawiając głowę z jednej z tych rud. Jedziemy szutrową drogą po ciemku w tumanach kurzu i niestety kempingu nie znajdujemy (pomimo znaku informującego, że za 7 mil powinien się znajdować). Kurzyło się tak okropnie, że istnieje jakaś minimalna szansa, że ten kemping przeoczyliśmy... ale z kolei prędkość, z jaką jechaliśmy (20 mil na godzinę), sugeruje, że trudno by było przeoczyć jakikolwiek zjazd z drogi. Znajdujemy natomiast całkiem nowy kemping Roller River (8 USD/noc) (położony około 5 mil od głównej drogi nr 89), który z kolei nie figuruje w naszym atlasie... Zostajemy tu na noc.

Dzień 17

Zrywamy się jak zawsze wcześniej i wyjeżdżamy z kempingu, przejeżdżając pomiędzy kilkoma ponad stuletnimi rozlatującymi się tamami. Drogą Clark Creek Road dojeżdżamy do nr 89 i odbijamy na północ (w lewo) do McArthur–Burney Falls Memorial State Park (10 USD/auto). Przez park przechodzi długodystansowy szlak Pacific Crest Trail o długości 2650 mil.

Ponieważ dzieci jeszcze śpią, a nam zależy tylko na zobaczeniu wodospadu i jechaniu dalej, nie płacimy za wjazd (budka wjazdowa jest jeszcze zamknięta, ale widnieją wyraż-

ne ostrzeżenie o surowej karze za niezapłacenie za wstęp). Łapię szybko aparat (Mundi parkuje przed parkiem) i biegam na dół (betonowym chodniczkiem) do najlepszej miejscówki z widokiem na wodospad (cała operacja zajmuje mi razem 15 minut).

Widok, jaki mam szansę zobaczyć na dole, bezapelacyjnie otrzymuje miano pe-tardy turystycznej!!! Rozlewająca się szeroką strugą woda tworzy szereg większych i mniejszych wodospadów... widok powala dosłownie na kolana. Myślę, że śmiało można powiedzieć, że to jeden z najpiękniejszych kalifornijskich wodospadów. Jedy-ną niedogodnością dla fotografów jest bardzo intensywna bryza, która utrudnia zro-bienie zdjęcia bez zmoczenia obiektywu. Wysokość wodospadu to co prawda nieca-łe 40 metrów, ale główną widowiskową rolę odgrywa tu zdecydowanie szerokość (76 metrów). Wodospad rozlewa się kilkudziesięcioma większymi i mniejszymi struga-mi po porośniętej jaskrawozielonym mchem i paprociami skale, tworząc niesamowi-cie zjawiskową całość. Bo wodospad zasilany jest nie tylko wodą pochodzącą z rzeki, ale również z podziemnych źródeł, znajdujących się nad wodospadem i w jego środ-kowej części. Najbardziej spektakularne widoki możemy podziwiać w kwietniu i maju, kiedy topniejący w wyższych partiach gór śnieg dostarcza olbrzymie ilości wody do rzeki (Burney Creek).

Ponieważ dzieciaki się obudziły i zaczęło wszystkim burczeć w brzuchach, pod-jeżdżamy kawałeczek na północ i zatrzymujemy się nad rzeką na *picnic area* w celu przygotowania jajecznicy!!!!... która na łonie natury smakuje oczywiście wyśmienicie. Po tak obfitym i smakowitym śniadaniu jedziemy na południe (nr 89) w kierunku par-ku narodowego Lassen Volcanic. Zjeżdżamy na drogę nr 44 na wchód do Subway cave (wjazd bezpłatny) (Lassen Volcanic National Forest), gdzie krótkim szlakiem prze-mierzamy wewnątrz tuby lawowej (*lava tube*), a następnie wjeżdżamy na punkt widoko-wy Hat Creek Rim Viewpoint (wjazd bezpłatny). Z tego miejsca położonego pośród kwitnących kolorowych kwiatów mamy idealny widok na ośnieżone szczyty Lassen Peak (3187 m n.p.m.) i Mount Shasta. Następnie nr 44 dojeżdżamy do szutrowej dro-gi 32N21, która prowadzi nas do północnej części Lassen Volcanic National Park (25 USD/auto) do Butte Lake campground. Stoi tu dosłownie zabity dechami budynek Ranger Station i nic poza tym.

My zatrzymujemy się nad jeziorem Butte i dzieci z Mundkim zostają na plaży, a ja pomimo 40-stopniowego upału gnam po ścieżce, która prowadzi do podnóża wul-kanicznego stożka Cinder Cone (2105 m n.p.m.). Każdy krok z pozoru łatwy wymaga włożenia sporej energii, bo stopy każdorazowo zapadają się w rozdrobnionym pumek-sie. Pierwsza część tego szlaku wiedzie przez sosnowy las, dając odrobinę cienia, któ-ry znacznie umila wędrówkę. Turystów nie ma zbyt wielu, bo bardzo wysoka tempe-ratura raczej nie sprzyja wędrówkom. Z powodu właśnie tego masakrycznego upału pierwotnie założyłam sobie, że podejść tylko do Painted Dunes... Ale jak już zaczęłam się wdrapywać na stożek (z odwrotnej strony niż sugeruje to oznaczenie szlaku), do-szłam do wniosku, że szkoda by było nie wejść na samą górę. Ponad 10 lat temu mia-łam szansę wdrapywać się właśnie od sugerowanej strony, i szczerze powiedziałabym myślałam, że nie uda mi się tego zrobić. Zresztą niezależnie, od której strony się wspi-namy, jest to zdecydowanie wejście „killer”. Chyba tylko najbardziej zagorzałym hike-

rom chce się tego dokonać. Każdy stawiany krok nie prowadzi do przodu, tylko cofa nas. Noga zapada się w pumeksie jak w piachu – po prostu grzęźnie się, nie posuwając do przodu. Jest do tego ekstremalnie stromo. Pumeks wysypuje się do butów, słońce wypala dziury w ciele... Jeden krok i zadyszka. Krok i zadyszka. Wzięłam ze sobą 7 małych butelek wody i wszystkie je wypiałam.

Co chwilę odwracam się, spoglądając na malowane wydmy. W tle Fantastic Lava Beds. Wrażenie jest niesamowite. *Painted dunes* to mieniące się w kilku kolorach (żółty, czerwony, brązowy i pomarańczowy) pofalowane pola wydym, zbudowanych z pumeksu, powstałego z popiołu wulkanicznego w procesie utleniania. Ten wyraziście intensywny kolor jest skutkiem tego, że opadający popiół spadł na ciągle gorącą, płynącą lawę. Po pokonaniu 250 metrów wysokości względnej w końcu zdobywam Cinder Cone i po jego krawędzi przechodzę na drugą stronę ...dyszcząc i sapiąc. Stożek wulkaniczny, po którym idę, wybuchł 370 lat temu, a więc stosunkowo niedawno. Lawa była wyrzucana pionowo w górę, a materiał piroplastyczny spadał wokół wylotu wulkanu, formując regularny okrąg. Jakiś wędrowiec schodzi do środka krateru... ja już rady niestety nie daję... bo serce wali jakby miało przebić się na zewnątrz i wyskoczyć. Z góry spoglądam jeszcze na królową okolicy, czyli górę Shasta (na którą może kiedyś wyruszymy jak dzieci już dziećmi nie będą) i zbiegłam w dół, napełniając wskakującym pumeksem buty... które dopiero zdejmuję na dole (wysypując z nich 2 garście kamyków). Kiedy dowlekam się do kampera, moja drużyna relaksuje się, pływając w jeziorze, więc i ja zanurzam się w cudownie chłodnej wodzie, dając sobie niesamowicie przyjemną nagrodę za przejście tak wyczerpującego szlaku, którego pokonanie zajęło mi niecałe 3 godziny (długość 4 mile).

Z północnej części parku wyjeżdżamy tą samą 6-milową szutrową drogą (kurzącą się okropnie), dobijając do nr 44 i skręcając w lewo na zachód. Dojeżdżamy do skrzyżowania z 89/44 i skręcamy na południe, tankując w Old Station (4 USD/galon). Jedziemy przez komercyjne tereny i resorty i wjeżdżamy ponownie do parku do jego głównej części przez którą prowadzi Lassen Volcanic National Park Highway (89), która z trzech stron obiega Lassen Peak, dając bezpośredni dostęp do szlaków i jezior i pozwala obserwować zjawiska geotermalne. Droga ta jest zamknięta od listopada do maja dla ruchu samochodowego, a w zimie korzystać z niej mogą jedynie narciarze. Przy Manzanita Lake Visitor Center kręcą się tłumy turystów i my też chwilę się kręcimy, łapiąc oczywiście zeszyt ćwiczeń programu Junior Ranger dla dzieci i kilka ciekawych ulotek. Pierwszy postój przy naszej drodze to Hot Rock. Stajemy przed masywną 300-tonową magmową skałą, która znalazła się tutaj w 1915 roku, ześlizgując po zboczach wybuchającego wulkanu Lassen Peak. Zastygająca magma pokonała odległość 5 mil i podobno jeszcze po 40 godzinach od wybuchu wulkanu dymiła i syczała.

Kolejny punkt to Devastated Area (szlak 0,5 mili) – tu mamy do dyspozycji „mówiące tablice”, o których obsługiwanie kłóć się cały czas oczywiście dzieci. Każda z tablic informacyjnych ma przycisk uruchamiający „głos”, czytający za nas informację. Tak jak pisałam wcześniej, kataklizm zaczął się w 1915 roku w maju. Gwałtownie została uwolniona para i popioły, po czym na okolicę (między innymi tu, gdzie aktualnie się

znajdujemy) został wyrzucony z wielką siłą materiał piroklastyczny, a rzeka lawy zalała otaczające lasy w odległości 5 mil. Lassen drzemie od 1921 roku, co oznacza, że jako uspiony wulkan obecnie nie wykazuje aktywności, ale może jeszcze wznowić działalność w najbliższym czasie... więc trzeba mieć się na baczności. Aktywność, jaką możemy obecnie obserwować w parku, to bulgocząca ziemia w kociołkach błotnych i coraz cieplejsza woda w gorących źródłkach. Na tym szlaku przechodzimy od tablicy do tablicy, obok której „ustawiona” jest zazwyczaj potężna skała, przybyła tu drogą powietrzną lub poślizgową.

W punkcie „New rock, Old rock” stoimy przed poukładanymi na przemian 2 rodzajami skał – pierwsze mające 27 tysięcy lat, drugie to 100-letnie czarne skały magmowe i porowaty pumeks (te drugie to najmłodsze skały w Kalifornii). Przejeżdżamy obok 2 kempingów, które otwierają dopiero 26 czerwca (jesteśmy na wysokości 2066 m n.p.m.). Zamknięty jest też najważniejszy szlak Bumpass Hell, który ma zostać „wymontowany” do końca roku 2018. Jest to jeden z najciekawszych szlaków w parku, oferujący sporą dawkę geotermalnych atrakcji. Woda lub kipiące kociołki błotne osiągają tu temperaturę 91°C. Kiedy to pan Kendall Bumpass trafił w tę okolicę w 1865 roku, nie był zapewne świadomy niebezpieczeństwa, jakie czyhało na niego podczas wędrówki. Przez przypadek wdepnął właśnie w taki wrzący kociołek i w wyniku doznanych obrażeń stracił nogę. I niech to będzie przestroga na przyszłość dla chcących wędrować tym szlakiem, by nigdy z niego nie schodzili. Ponieważ z przyczyn od nas niezależnych omija nas jedna z największych atrakcji parku, wybieramy niedaleki szlak, oferujący dojście do najpiękniejszego parkowego wodospadu Kings Creek Fall (wysokość wodospadu 10 metrów) (długość szlaku 3 mile).

Pierwsze pół mili wędrujemy przez malowniczą łąkę – Kings Creek Meadow, potem trochę przez las, generalnie cały czas wzdłuż strumienia. Po przejściu niecałej mili dochodzimy do rozdzielenia szlaku – obowiązuje tu ruch jednostronny (Horse Loop 0,3 mili). Szlak poprowadzono w ten sposób, by uniknąć korków na schodach w sezonie letnim. Ponieważ liczba osób na szlaku jest znikoma, idziemy dalej Kings Creek Trail, schodząc z łatwością po wielkich kamiennych stopniach. Rzeka co chwilę tworzy widowiskowe wodospady. Dochodzimy do dwóch tarasów widokowych, ale po najlepsze fotograficzne ujęcie trzeba koniecznie zejść do podnóża wodospadu po bardzo wyszlizganych kamieniach. Powrót już nie jest taki łatwy ...wchodzenie po schodach wysysa z nas wszystkie soki, dając jednak niesamowitą satysfakcję i radość z oglądanego na całej długości szlaku piękna przyrody. Podjeżdżmy do kolejnego parkingu, skąd wychodzi szlak na najwyższy szczyt parku – Lassen Peak (wysokość 3187 m n.p.m.). Niestety szlak jest o tej porze dostępny tylko dla profesjonalnych wspinaczy, używających czekanów i raków – cały pokryty głębokim śniegiem. Śnieg będzie tu zapewne jeszcze zalegał kolejny miesiąc, zanim całkowicie stopnieje pod koniec września. Przy wejściu na ścieżce napisano ogłoszenie o niebezpieczeństwie, jakie obecnie istnieje na tym obszarze. Szlak ten o długości 5 mil nie jest może dedykowany dla dzieci, ale zapewniam, że w bardziej sprzyjających warunkach pogodowych nadaje się do przejścia dla każdego nawet mniej wytrwałego piechura, oferując niesamowicie efektowne widoki.

Pamiętam, że 10 lat temu wchodziłam na ten szlak, i nie tyle przeszkadzała mi jego stromość, co mniejsza ilość tlenu ze względu na wysokość nad poziom morza. Ciężko mi było złapać oddech... ale to też mogła być przyczyna mojego zawsze gorszego przystosowania do wyższych wysokości. Ponieważ dzień nam się już skończył, zaczęliśmy rozglądać się za jakimś miejscem na nocleg. Mijamy Lake Helen (*picnic area*) z wyraźnie zauważalnym przy brzegu żółtym nalotem siarkowym. Zrobiło się wyjątkowo zimno i wietrznie, zresztą nie ma się czemu dziwić – jesteśmy na wysokości około 2500 m n.p.m. Parkujemy na dużym parkingu przy wyjściu na nieczynny szlak Bumpass Trail. Stoją tu również zaparkowane 2 inne auta, których pasażerowie zdecydowanie szykują się do spania. Spacerujemy chwilę wzdłuż wielkiego parkingu, przy którym ustawiony jest Earth Scope GPS. Jest to jedna z 875 stacji ustawionych wzdłuż zachodniej części USA, badających ruchy skorupy ziemskiej. Pomimo ryzyka, że możemy zostać wyproszeni z miejsca w nocy, decydujemy się tu zostać, mając jedynie jedną więcej opcję do rozważenia. Przy Visitor Center 6 mil dalej jest kemping South West, ale jest to kemping typu *walk in* zdecydowanie nie dla posiadaczy kamperów. Musielibyśmy kempingować na parkingu i jeszcze za to zapłacić 16 USD. Na szczęście noc przebiegła spokojnie i nikt nas nie wygonił.

Dzień 18

Podajemy błędną decyzję i zamiast zjeść śniadanie w miejscu naszego noclegu, przemieszczamy się dalej do następnego punktu widokowego – Sulphur Works, ...gdzie gęsty odór śmierdzących zgniłych jaj unoszący się w powietrzu uniemożliwia nam nawet samą myśl o jedzeniu. Wychodzimy więc tylko na krótki spacer wśród bulgocących kociołków błotnych i oparów unoszących się z fumaroli. Zjeżdżamy następnie do Visitor Center, które czynne jest od 9 rano, a że nie chce nam się czekać na jego otwarcie, zwracamy się więc z prośbą do krzątającego się rangera, żeby podarował nam odznaki Junior Ranger dla dzieci (co też robi). Wyjeżdżamy zatem z głównej części parku, podążając do mało uczęszczanej Varner Valley. Jedziemy wzdłuż 36/89 na wschód do Chester i odbijamy na północny zachód w drogę Feather River Road/ Warner Valley Road, mijając rezydencje i nowo wybudowane domy letniskowe. Droga zmienia się w szutrową na ostatnim 3-milowym odcinku i prowadzi do Drakesbad Guest Ranch. Wychodząc z tego miejsca, można skrócić sobie znacznie drogę do Devils Kitchen (długość szlaku 3,5 mile).

Przy wjeździe na ranczo stoi wyraźnie napisany znak, że parkować tu mogą jedynie goście tegoż rancza. Nasz kamper znacznie wyróżnia się od innych aut tu parkujących, więc nie chcemy ryzykować i pytamy kierownika posiadłości o możliwość zaparkowania. Niestety zgody takowej nie otrzymujemy ze względu na weekendowy komplet gości, jakiego się dzisiaj spodziewają. Jedynym logicznym rozwiązaniem tej sytuacji jest zostawienie mnie i dzieci na ranczo i odstawienie RV-ika na parking parku narodowego (Warner Valley), przez co Mundi ma do nadrobienia 0,8 mili więcej w stosunku do nas. Dla dzieci dystans 1,6 mili razem do przejścia to dużo, więc opcja ta okazuje się najbardziej optymalna. Szlak do Devils Kitchen wychodzi obok stadniny koni z samego końca rancza. Drewnianą kładką wśród wysokich traw wychodzimy na szlak. Po przejściu dosłownie 0,2 mili kładka łączy się ze szlakiem, gdzie zostawiamy Mundiemu od-

powiednie oznakowanie w postaci strzałki z patyków i napisu z kamieni. A sami wolnym spacerkiem dochodzimy do potoku, gdzie ktoś bardzo pomysłowo ustawił „młyńskie koło” z patyczków napędzane płynącą wodą. Dzieciaki wrzucają sobie kamienie i patyki do wody. Jest niesamowicie gorąco, więc krótki postój nad potokiem dostarcza nam wiele przyjemności. Janek, wariując z olbrzymim konarem, w ułamku sekundy przekręca się wokół własnej osi i wpada do wody... wyglądało to bardzo niebezpiecznie, ale poza kilkoma zadrapaniami i przemoczonym ubraniem i butami nic mu się na szczęście nie stało. Janek więc w „chlapiących” butach wędruje dalszą część szlaku. Początkowo idziemy ścieżką poprzez łąki wystawieni bezpośrednio na słońce, a następnie wchodzimy w las, dający ochłodę... i dalej już do samego Devil’s Kitchen wędrujemy zacienionym lasem.

Ten szlak jest dosyć popularny (jak na Volcanic NP) i spotykamy około 25 osób podczas naszej wędrowki. W lesie szlak wznosi się delikatnie, a pod nogami mamy tylko troszkę wystających kamieni i korzeni, które czasami są powodem potknięć. Samo Devil’s Kitchen jakoś na kolana nas nie powala... kiedy odwiedzaliśmy to miejsce dawno temu, było znacznie więcej bulgocących kociołków. Należy pamiętać o tym, by pod żadnym pozorem nie schodzić ze ścieżki, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że grunt pod nami się zapadnie i wpadniemy do zięjącej dziury. Nie przebywamy tu zbyt długo, bo „zapachy” tych wszystkich fumaroli są okropnie duszące i nieprzyjemne. Wracamy tą samą ścieżką na rancho, gdzie ja z dziećmi zasiadamy na huśtawce z widokiem na stajnię i pasące się przed nią konie, a Mundi idzie drogą po samochód zaparkowaną przy kempingu Warner Valley. Dla kogoś, kto uwielbia odosobnione miejsca z dala od cywilizacji, rancho jest idealnym miejscem na spędzenie wakacji, a dodatkkiem są tu baseny termalne i przejażdżki konne dostępne dla wszystkich gości. Wracamy tą samą drogą w kierunku Chester i dalej wzdłuż jeziora Almanor (A13) jedziemy przez Greenville (nr 89), mijamy Quincy (najtańsza benzyna 4 USD/galon). Jadąc bardzo malowniczą doliną wzdłuż Feather River, podziwiamy równolegle do siebie biegnące tory kolejowe, wybudowane tu z wielkim kunsztem przez chińskich i hinduskich robotników (ponad 100 lat temu), którzy z narażeniem życia pracowali zawieszani nad przepaściami. Cały dzień poza porannym szlakiem spędzamy generalnie w drodze, jadąc w kierunku Lake Tahoe.

Mijamy autostradę nr 80 i kierujemy się na kemping o pięknie brzmiącej nazwie Alpine Meadows (20 USD/noc, prysznic brak). Jak się jednak okazuje, poza nazwą kemping nie wygląda zachęcająco. Po pierwsze jest za bardzo zatłoczony, po drugie położony jest nad sztucznym zbiornikiem wodnym z brzydką tamą. Zero jakiegokolwiek klimatu, więc po prostu wyjeżdżamy stąd w poszukiwaniu jakiegoś przyjemniejszego miejsca. Jedziemy dalej nr 267 i zaraz za Northstar zjeżdżamy w prawo na jakąś polną drogę (nr 73), gdzie znajdujemy 2 duże miejscówki, nadające się na nocleg. Może trochę za blisko od głównej drogi, ale i tak padamy ze zmęczenia, więc nie potrzebujemy ustronniejszego miejsca.

Dzień 19

Dziś niedziela... ale my, wstając o 6 rano, nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, co wydarzy się później – w końcu Lake Tahoe to miejsce bardzo turystyczne, gdzie rekreacja

przyjmuje formy ekstremalne (3 miliony odwiedzających rocznie!). Jest to największe alpejskie jezioro w Ameryce Północnej (i drugie co do głębokości po Crater Lake). Ma 3 razy dłuższą linię brzegową niż Crater Lake i 10 razy więcej wody. Wodą tą można by wypełnić ponad 60 milionów basenów olimpijskich!!!! Pierwsze miejsce, jakie odwiedzamy nad jeziorem, to Kings Beach, a że nie jest to nic ciekawego (małutka plaża wciśnięta między domami z parkingiem na 3 samochody i minimalnym dostępem do plaży), ruszamy dalej na wschód. W ogóle miasteczko Kings Beach jest mało ciekawym miejscem, wystrojonym w tandetne porozwieszane wszędzie neony. Przejeżdżamy granicę stanową i jesteśmy już w Nevadzie. Jedziemy do sprawdzonego już kilka lat temu miejsca – plaży publicznej w Incline Village (wjazd za darmo dla rannych ptaszków, około 9 zauważyłam pobieracza opłat w budce przy wjeździe na parking). Tu witają nas olbrzymie puste parkingi, chociaż, jak się potem okaże, nie będą w stanie pomieścić wszystkich niedzielnych turystów. Mundi zasiada wygodnie i włącza sobie kolejny mecz, i następnie przez kolejnych kilka godzin nie robi nic innego, tylko wczuwa się w atmosferę mundialu. Ja z dziećkami i wiaderkami pełnymi zabawek plażowych idziemy najpierw na plac zabaw, a potem na plażę. Są tu leżaki, z których każdy może sobie do woli korzystać. A więc relaksik z przewodnikiem, Internetem (który w końcu jest) i słodką przekąską. W przewodniku znajduję kilka ciekawych informacji na temat jeziora. Woda jest tu krystalicznie czysta, a widoczność sięga nawet 20 metrów. Długość jeziora to 35 km, a szerokość 19 km (Linia brzegowa 116 km). Średnio 275 dni w roku świeci tu słońce (a to aż 75% dni w roku!). Jakbyśmy wylali całą wodę z jeziora na obszar Kalifornii, to głębokość wody wyniosłaby 36 cm! – To ostatnie zdanie chyba najbardziej odzwierciedla potęgę Lake Tahoe.

Dzieci grzebią się w piachu, a że woda jest bardzo zimna i temperatura powietrza jeszcze nie podskoczyła do dającej przyzwolenie, by popływać, zostajemy wszyscy na plaży, obserwując powiększającą się w zastraszającym tempie liczbę turystów. Około godziny 10 parking jest już pełny. Bar plażowy zapchany młodzikami sączącymi drinki i wcinającymi hot dogi pęka w szwach. Zdecydowanie nie jest to miejsce dla mnie i zaczyna mnie frustrować otaczający tłum zleniuchowanych wakacjuszy. Ponieważ dzieciaki znudziły się już babraniem w piasku i nieco zgłodniały, idziemy do kampera przyrządzić coś ciepłego do jedzenia. Polska przegrywa z Kolumbią. To cios dla polskiego kibica, który od kilku godzin siedzi wpatrzony w ekran swojego telefonu... Wyruszamy w końcu po 5 godzinach nudy plażowej i – jak to było do przewidzenia – niedzielny ruch uniemożliwi nam dalsze zwiedzanie. Samochody postawiane są po obydwu stronach całej drogi biegnącej wzdłuż jeziora Tahoe. Przyklejamy się dosłownie na chwilę do jakiegoś kawałka bramy, by wskoczyć na punkt widokowy. Jakies 2 mile przed Zephyr Cove zagęszczenie samochodów zaparkowanych przy drodze sięga zenitu. Wjeżdżamy w boczną drogę, gdzie również nie ma możliwości zaparkowania, ale Mundi razem ze swoim telefonem i meczami zostaje w samochodzie (z włączonymi awaryjnymi światłami), a ja z dziećkami przedzieramy się przez chaszcze, by dotrzeć do plaży. Plaża jest w tym miejscu bardzo wąska, i żeby znaleźć miejsce, gdzie można położyć swoje rzeczy, trzeba się poprzeciskać pomiędzy ludźmi.

Nie podoba mi się to miejsce, chociaż 5 lat temu, podróżując tu w maju, odniosłam wręcz przeciwne wrażenie. Było cicho i spokojnie, zero turystów. Teraz jest takie tłumowisko, że nie ma przyjemności przebywania pomiędzy jarającym szlugi grubasem i puszczającym głośnie techno nastolatkiem. Umówiliśmy się z kibicem, że za godzinę jesteśmy z powrotem, ale już na sam koniec pobytu obok naszego miejsca przycupnęły klasyczne amerykańskie *rednecks* z wielkimi psami, które biegały spuszczone ze smyczy, skacząc na ludzi. Miarka mojej tolerancji się przelewa i wychodzimy z lodowatej wody, biegnąc do samochodu z wielkim niesmakiem. Jedziemy dalej wzdłuż jeziora, mijając linę stanową Nevada/California i parkujemy przy wyjściu na szlak Eagle Falls (parking 5 USD/auto). Ja zabieram dzieci (kibic znowu zostaje) i po stromych schodach wdrapujemy się po szlaku (długość szlaku 1,8 mili). Nie miałam nawet możliwości zrobić zdjęcia wodospadowi, bo dzieciaki za bardzo się rozszalały, a znajdowaliśmy się nad przepaścią. Za drewnianym mostkiem, będącym punktem widokowym, zaczyna się już teren wymagający pozwolenia na wędrowanie *wilderness permit*.

My nie idziemy, bo też nie jesteśmy przygotowani na dłuższą wędrówkę i czeka nas jeszcze jeden szlak do zamku Vikingholm (długość 1,7 mili). Podjeżdżamy pół mili na północ do kolejnego parkingu (olbrzymi parking z widokiem na Lake Tahoe), skąd znowu w składzie 3-osobowym wyruszamy na bardzo wyczerpujący spacer stromo w dół. Szlak prowadzi szeroką drogą i najprawdopodobniej jesteśmy jednymi z ostatnich, którzy idą w kierunku zamku. Większość już wraca, sapiąc i dysząc ze zmęczenia, wspinając się do góry. Jest już dość późno, więc nie mamy szansy zwiedzić wnętrza Vikingholm (o godz. 16 ostatnia wycieczka z przewodnikiem, bilet 10 USD/osoba). Dzieciakom zamek bardzo się podoba, a uwagę ich przykuwa przede wszystkim trawa rosnąca na jego dachu. Podbiegamy szybko pod Visitor Center i wodospad, ale zrobiło się już prawie ciemno i nikogo poza nami już tu nie było, więc zaczęliśmy móżolny powrót do kampera. Musiałam się nieźle wygimnastykować zabawianiem dzieci, by chciały o własnych siłach iść do góry. Śpiewałam, tańczyłam, wymyślałam zagadki i konkursy, żeby tylko odciągnąć ich uwagę od wysiłku wkładanego w każdy krok. Powrót zajął nam godzinę i 10 minut... i dotarliśmy na górę już po zmroku. Zawracamy w kierunku South Lake i skręcamy w drogę 89.

Jest już ciemno, więc ze znalezieniem noclegu znowu mamy problem. Przebijamy się przez Lutter Pass (2358 m n.p.m.) i zajeżdżamy na Kit Carson campground (18 USD/noc), ale jest on zbyt mały, a podjazd do niego wążutki byśmy mogli wtoczyć się tam naszym kempingowozem. Za około milę dalej po przeciwnej stronie drogi znajdujemy dziki kemping – miejsce po kempingu Snowshoe Springs, którego większość została najprawdopodobniej zmyta przez powódź. Organizujemy sobie super nocleg (za darmo) na starym ocalałym miejscu kempingowym.

Dzień 20

Jedziemy na południowy wschód drogą nr 89 – bardzo malowniczą pełną widoków. Mijamy Markleeville – małe komercyjne, ale przyjemne miasteczko. Następnie wskazujemy na nr 395 (na południe). Skręcamy w 108 w kierunku Sardine Falls – szlaku biegnącego nieopodal skrzyżowania drogi z Pacific Crest Trail (długodystansowego szlaku biegnącego przez 3 stany – Kalifornię, Oregon i Washington). Zabieramy po

drodze 2 autostopowiczów i dowozimy do Sonora Pass – do miejsca przecięcia z PCT (Pacific Crest Trail).

W roku 2018 wydano aż 7313 pozwoleń na wędrowanie tym szlakiem, którego łączna długość wynosi 2650 mil (4265 km). Nie wiadomo, ile wynosi liczba osób, którym udaje się pokonać cały szlak, ale szacuje się, że jest to znikomy procent. Dużo piechurów „rozłada” też trasę na części, pokonując ją w przeciągu kilku czy nawet kilkunastu lat. Jest to niesamowicie efektowny szlak poprowadzony w taki sposób, by wędrowniaki odbywała się zawsze tą najpiękniejszą partią na danym terenie. Może kiedyś przyjdzie czas i na nas... W 2014 roku Jean-Marc Vallée nakręcił wspinały film pt. *Dzika droga (Wild)* z Laurą Jeanne Reese w roli głównej, który pokazuje, jakie piękno, ale i trudności spotkać nas mogą na tym szlaku. Przy okazji polcam również książkę pod tym samym tytułem (autor Cheryl Strayed). Cofamy się do okolic wyjścia na szlak Sardine Falls (długość 2,5 mili), i nie mogąc go znaleźć, pytamy o to stacjonujących w okolicy żołnierzy (szlak nie jest oficjalnie oznakowany).

Po drugiej stronie drogi mają obóz, przed którym stoi kilka hummerów w barwach moro. Szczerze mówiąc, żołnierze też zlewają się z otoczeniem, trzeba się dokładnie przyjrzeć, by ich wszystkich wypatrzyć pomiędzy drzewami. Generalnie chłopaki siedzą i nic nie robią. Jeden z żołnierzy wyjmuje z hummera mapę topograficzną i próbuje się zlokalizować. Niestety naszego szlaku na niej nie ma i błędnie nas informuje, że wyjście jest z miejsca, gdzie właśnie stoimy (czyli przy moście). My jednak, zadowolony z naszej geograficznej intuicji, rezygnujemy z ich podpowiedzi, wsiadamy do auta i cofamy się jeszcze około mili na zachód. Tu parkujemy w małej zatoczce (resztki tablicy informacyjnej leżą obok na łące) i widząc „rysującą się” w oddali zarośniętą drogę, podążamy w jej kierunku. Po 10 minutach marszu po łące wzdłuż słabo widocznej drogi terenowej stajemy przed strumieniem Sardine creek, który musimy pokonać, przenosząc dzieci na drugą stronę, bo prąd wody jest zbyt szybki, by dzieci mogły sobie z nim poradzić. Dalej wchodzimy do lasu dającego trochę zbawiennego cienia. Jesteśmy na wysokości mniej więcej 2440 m n.p.m., i poza doskwierającym upałem również i ten czynnik daje się nam we znaki. Ciężko się oddycha i musimy robić częste postoje w cieniu drzew. Dochodzimy w końcu znowu do strumienia (Sardine Creek), ale przezucona kłoda pomaga nam pokonać przeszkodę bezproblemowo. Natomiast trzeci raz, kiedy to musimy przekroczyć Sardine Creek... to już niestety nie jest przysłowio- wa bułka z masłem. Przeprawa jest bardziej skomplikowana i wymaga więcej precyzji i umiejętności. Po przejściu wyrasta przed nami spektakularny wodospad. Podchodzimy pod niego, ale nie do samego końca, bo podejście jest dość strome i niebezpieczne. O dziwo, nasze dzieci są niesamowicie zmotywowane do marszu... bawiąc się w żołnierzy w akcji... i wyznaczając sobie co chwilę nowe zadania. Wracamy więc bez kwękania i narzekania... Szlak ten jest bardzo słabo uczęszczany, przez co daje więcej przyjemności obcowania z naturą. My podczas wędrowki spotkaliliśmy tylko 2 ludzi. Wracając zupełnie nieświadomie podjeżdżamy pod jedną z baz wojskowych ukrytych w lesie... i w sekundę wyrasta przed nami uzbrojony żołnierz... z wielkim karabinem w dłoniach. Grzecznie więc przepraszamy i wycofujemy się, żeby chłopakom nie przeszkadzać w manewrach. Przyjrzelśmy się następnie dokładniej temu miejscu – stacjonu-

jących żołnierzy było tu naprawdę bardzo wielu, a ich piaskowy ubiór maskowany był przez otaczające ich skały o podobnym kolorze. Wyjeżdżając ze 108 na wschód, widzimy potężną jednostkę wojskową USCM Mountain Warfare Training z hangarami lotniczymi i wojskowym lotniskiem. W punkcie Leavitt Falls vista spoglądamy z daleka na wodospad i kolejny przystanek robimy dopiero w miasteczku Bridgeport (droga benzyna 5 USD/galon), służącym jako baza wypadowa i zaopatrzeniowa dla turystów.

Jedziemy Twin Lakes Road przez pastwiska w kierunku Annett's Mono Village. Nie ma się w zasadzie gdzie zatrzymać nad jeziorem, żeby odpocząć (tylko malutkie zatoczki przy drodze). Wjeżdżamy na prywatny teren kempingowy położony nad jeziorem Twin Lake, gdzie parkujemy i na pół godzinki idziemy na plażę, by dzieciaki mogły się popluskować w wodzie. Miejsce to jest za bardzo komercyjne, by mogło mi się w jakikolwiek sposób spodobać. Następnie wracamy tą samą drogą na północ do punktu zaznaczonego na mapie jako „Doc and Al's camp and cabin”, gdzie odbijamy w szutrową drogą Buckeye Road na lewo (wznosząc się bardzo wysoko). Jedziemy w poszukiwaniu gorących źródeł (Buckeye Hot Springs) i kempingu. Przejeżdżamy przez las, gdzie kempingują na „dziko” ludzie, pytając przy okazji o dojazd do „kąpieliska”. Zjeżdżamy do rzeki, by za dosłownie za 0,5 mili zaparkować na całkiem sporym szutrowym parkingu (po prawej stronie drogi). Przez *shagebrushowe* zarośla idziemy w kierunku strumienia (na południe). Jeszcze przed bardzo stromym spadkiem do rzeki wkładam rękę do wypływającego źródła, którego woda dosłownie parzy!!!! Schodzimy w dół do rzeki... (a w zasadzie zjeżdżamy) przy pomocy innych ludzi, którzy asekurują to nasze zjeżdżanie. Jest to bardzo niebezpieczne zejście, z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy, zakładając kroksy! Znajdują się tu 4 baseniki z ciepłą wodą odgradzone od siebie dużymi kamieniami. Spływa do nich ze skały położonej wyżej gorąca woda tworząc coś w rodzaju nieregularnych pryszniców. Obok szumi rwąca rzeka z lodowatą wodą. Więc jak ktoś się za bardzo zagrzeje, może zanurzyć się na sekundę w zimnej toni strumienia. Udaje nam się zarezerwować cały basenik dla siebie, gdzie spędzamy godzinkę. W momencie kiedy tu przyszliśmy, 2 z nich były wolne, ale zapewne podczas dnia ściągają tu tłumy. Korzystanie z gorących źródeł Buckeye jest bezpłatne i nie ma żadnego limitu czasowego. Nie ma też nic poza miejscem do parkowania i basenikami, musimy więc pamiętać o zabieraniu śmieci ze sobą. Dokładnie po drugiej stronie rzeki na wzgórzu jest ten dziki kemping, który mijaliśmy kilka minut wcześniej, i na którym będziemy dziś spędzać noc, rozpalając wielkie ognisko i spędzając uroczy wieczór, grając z dziećmi w badminton.

Podaję teraz, jak dojechać do gorących źródeł z głównej drogi nr 395 w Bridgeport: skręt na zachód na drogę 395, przejechać 4 mile i skrócić na południe w szutrową Buckeye Road nr 3201 (jest kierunkowskaz na Buckly camp 6), po 4,5 mili zjechać na parking. Życzę niezapomnianych wrażeń.

Dzień 21

Wyjeżdżamy z naszego noclegu o świcie, by dojechać mniej więcej na 7 rano do parku stanowego – Bodie, unikając tłumów. Niestety, skracając w drogę nr 270 (z 395) naszym zaspanym oczom ukazał się wielki znak informujący, że park jest czynny wyłącznie w godzinach od 9 do 18 i kategorycznie zabrania się przebywania na jego te-

renie poza godzinami otwarcia (bilet kosztuje 8 USD od osoby dorosłej i 5 USD dzieci poniżej 17 roku życia). Zjechaliśmy więc sobie w jakąś zatoczkę przy drodze na śniadanie i bezsensowne koczowanie (przez kolejne półtorej godziny). Przy wjeździe do parku ranger poza biletami policzył nam jeszcze dodatkowe 2 USD za mapę, która okazała się akurat bardzo przydatna. Bodie to najlepiej zachowane *ghost town* w Stanach Zjednoczonych, i chociaż zachowało się jedynie 5% budynków (110 sztuk), to obszar do zwiedzania jest tak wielki, że ogarnięcie go z grubszą zajmuje nam ponad 4 godziny.

Jesteśmy tu drugi raz i śmiem twierdzić, że nierealne jest odwiedzenie tu wszystkiego podczas jednej wycieczki, zważywszy na fakt, że pustynne słońce daje „popalić” (a jesteśmy cały czas w jego bezpośrednim zasięgu). Dodatkowo trochę czasu zabrało nam też rozwikłanie zagadek z programu Junior Ranger, który po prostu musiał zostać zaliczony.

W parku poza starymi domami mieszkalnymi i kopalnią (zwiedzanie tylko z przewodnikiem za dodatkową opłatą) znajduje się ciekawie urządzone Visitor Center, kościół, straż pożarna, resztki banku (sejf), szkoła, stodoły, poczta, więzienie i stacja benzynowa. Do niektórych z tych budynków możemy wejść, inne są zamknięte ze względów bezpieczeństwa. Złoto zostało tu odkryte w 1859 roku przez W.S. Bodeya, który niestety nie zdążył zobaczyć wspaniale prosperującego miasta, ponieważ zginął podczas zamieci śnieżnej 7 miesięcy po swoim odkryciu. Największy rozwój miasta przypada na lata 1877–1881, kiedy to w okolicy znajdowało się 30 kopalni złota i 9 wielkich młynów rozkruszających złotonośne skały. Populacja wynosiła wtedy około 8 tysięcy. Niestety poza ciężko pracującymi górnikami do miasta zaczęli przybywać również niecieszący się dobrą reputacją rewolwerowcy, powstały domy publiczne i miejsca, gdzie można było bez problemu zdobyć opium (chińska dzielnica). Podczas największego rozkwitu w mieście funkcjonowało 60 saloonów, w których często ci ciężko pracujący roztrwaniali swoje fortuny, zamieniając je na alkohol.

Na początku XX wieku pokłady złota się wyczerpały i miasteczko powoli się wyludniało, kończąc swój żywot w 1942 roku, kiedy zamknięto ostatnią kopalnię. Na szczęście ostatni właściciel (James S. Cain) zorganizował całodobową ochronę terenu, co uchroniło Bodie od wandalii i złodziei, i teraz możemy oglądać je praktycznie w nie naruszonym stanie. Ciekawostką jest tu również klimat (subarktyczny z suchym latem), jaki panuje na tym terenie. Jesteśmy na wysokości około 2600 m n.p.m. na bezdrzewnym terenie pustynnym, który w lecie podczas dnia zamienia się w istną „patelnię”, zimy natomiast są tu bardzo srogie i śnieżne, a temperatura potrafi spaść do nawet ponad -30°C , a wiatr wiać z prędkością 160 km/godz. Jak się nietrudno domyśleć ludzie, którzy tu mieszkali, mieli wielkie trudności w przetrwaniu takich zim, zważywszy, że teren jest pozbawiony drzew, które mogłyby posłużyć do ogrzewania domów. Drewno było „eksportowane” z niedalekiego Bridgeport i Carson City (Nevada). Niestety w historii miasteczka zanotowano wiele przypadków zamarznięć, szczególnie podczas wyjątkowo mroźnej zimy 1878–1879. Odwiedzenie tego miasteczka uważam za punkt *must see* dla każdego odwiedzającego okolicę, bo przecież między innymi tutaj zaczęły się początki Kalifornii.

Po prawie 5 godzinach eksplorowania terenu wyjeżdżamy (inną) drogą (nr 169) szutrową (bardzo wyboistą). Po 11 milach „telepawki” pojawia się asfalt. Uff!!! Tak nas wytelepało, że na desce rozdzielczej włączyła się kontrolka informująca o problemie z korkiem na paliwo (który zapewne odkręcił się samoistnie podczas jazdy). Zbliżając się do Mono Lake, zauważyliśmy jakąś dziwną mgłę, unoszącą się aż po horyzont. Widoczność stawała się coraz gorsza w miarę posuwania się w kierunku południowym. Jedziemy cały czas nr 395, mijamy Lee Vining (benzyna 5 USD/galon), a dymu jest coraz więcej i więcej. Zaczynamy podejrzewać, że pochodzi on od palącego się gdzieś w okolicy lasu. Kiedy wjeżdżamy na drogę Mammoth Scenic Loop, prowadzącą do miasteczka Mammoth Lakes, dym już jest tak gryzący, że ciężko się nam oddycha... co stawia pod wielkim znakiem zapytania naszą wycieczkę do Devil's Postpile National Monument... Mammoth Lakes to zdecydowanie centrum sportów zimowych w tej części stanu.

Przy głównej ulicy (droga nr 203) znajduje się wyciąg narciarski, który teraz zamiast narciarzy przewozi letników w małych wagonikach. My podjeżdżamy do bramki wjazdowej do Devil's Postpile National Monument (wjazd 10 USD/auto za 1 dzień), gdzie na wstępie otrzymujemy informację, że musimy cofnąć się do miasteczka i skorzystać z autobusu, który zawiezie nas do parku (opłata 8 USD/osoba dorosła, 5 USD/dziecko). Ruch samochodami osobowymi jest dozwolony tylko w godzinach do 7 rano i po 19 wieczorem, z powodu bardzo ograniczonych miejsc parkingowych i wąskiej drogi dojazdowej. Jest jedna możliwość dotarcia tam swoim samochodem: trzeba powiedzieć rangerowi, że chcemy spędzić noc na kempingu położonym w parku. Tak też mówimy, bo po pierwsze nie ma najmniejszej szansy, żebyśmy zdążyli zrobić dwa szlaki, poruszając się autobusem, do którego (miejsca odjazdu) musimy jeszcze dojechać... Wjeżdżamy więc do parku (tu działa nasz NP Pass, więc nie płacimy za bilet) bardzo stromą i naprawdę wąską jednopasmową drogą, powoli staczając się do doliny. Dowiedzieliśmy się od rangerki, że 3 tygodnie temu piorun uderzył w drzewo około 3 mile stąd, powodując pożar. Teraz strażacy pozwalają drzewom objętym tym pożarem tlić się dalej, kontrolując na bieżąco sytuację.

Dym gryzł nas okrutnie w gardła, ale nie mogliśmy darować sobie takiej atrakcji, jak Devils Postpile i Rainbow Falls. Parkujemy (jako jedyni) pomiędzy wozami strażackimi należącymi do służb NATIONAL FOREST i zaglądamy na chwilkę do małego Visitor Center, gdzie dowiadujemy się, że aktualnie pożar oddalony jest od nas o 3–4 mile... i upewniwszy się, że jesteśmy bezpieczni, wyruszamy na szlak Devils Postpile. Czasu wiele nie mamy, bo jest już 16.30 a przy takim zagęszczeniu dymem powietrza widoczność jest o wiele słabsza niż powinna być. Idziemy całą pentelkę najpierw dołem i wdrapujemy się na górną część, gdzie stajemy na heksagonalnych sześciokątnych wyszlifowanych płytkach (długość szlaku 1,4 mile). Szlak jest bardzo „zakurzony”, co razem z duszącym dymem nie daje raczej perfekcyjnych warunków do maszerowania. Na tym odcinku spotykamy wielu *backpackersów* idących długodystansowym Pacific Crest Trail. Nazwa parku pochodzi od kolumn bazaltowych, których wysokość sięga nawet 18 metrów (średnica maksymalnie do 1 metra). W przekroju większość z nich ma kształt sześciokątów (ale jest też sporo pięciokątnych, je-

śli to w ogóle kogoś interesuje). Około 90 000 lat temu gorąca lava wpłynęła do zamkniętej doliny, gdzie zaczęła stopniowo ochładzać się, stając się twardą bazaltową skałą. Podczas procesu stygnięcia zaczęły pojawiać się pęknięcia od góry i dołu, łącząc się ze sobą i tworząc kolumny, które uwidoczniły się dopiero po ustąpieniu lodowców (12 000 lat temu), który je pokrywał, rzeźbił i szlifował. Proces stygnięcia lawy odbywał się powoli i równomiernie, i to dlatego kolumny są takie symetryczne. Chociaż wygląda to bardzo efektownie, nie jest to unikalne zjawisko w USA i spotkać je można chociażby w Devils Tower w Wyoming czy podróżując wzdłuż rzeki Columbia (Latourell Falls w Oregonie).

Po zakończeniu szlaku Devil's Postpile biegniemy z powrotem do auta, by podjechać do punktu oznaczonego na mapie parkowej jako # 9, z którego wychodzi szlak na wodospad Rainbows. Długość w obie strony to 2,8 mili. Do Rainbows mogliśmy się dostać, przedłużając spacer ze szlaku Devil's Postpile, ale wtedy całkowita długość wyniosłaby 5,2 mili, a chcieliśmy troszkę skrócić dystans ze względu na nadchodzący wieczór i trudności w oddychaniu spowodowane dymem pochodzącym z niedalekiego pożaru. Idziemy szlakiem pośród wypalonych (26 lat temu w wielkim pożarze) drzew, mijając sterczące z ziemi kikuty widoczne aż po horyzont, i młode wkraczające na pogorzelisko drzewka, które rosną w siłę ...aż do następnego pożaru, który zresztą może je zniszczyć bardzo niedługo. Niestety podczas naszego pobytu mamy dostęp tylko do 2 z istniejących 3 punktów widokowych. Najlepsze miejsce, czyli dolna platforma jest w trakcie remontu i jest niedostępna dla zwiedzających. Na środkowym tarasie widokowym spotykamy *backpackera* PCT (z Alabamy), z którym chwilę rozmawiamy. Właśnie rozkłada tu swoją karimatę, konsumując przy okazji makaron z worka foliowego... Wygląda na szczęśliwego i niemartwiącego się niczym człowieka, który już dość długo przebywa z dala od cywilizacji (wyruszył ponad 2 miesiące temu...). Robimy szybkie zdjęcie i zmykamy w kierunku kampera, bo słońce już zaszło za górami, a my musimy zacząć organizowanie noclegu.

Na parkingu pojawiły się kolejne wozy strażackie. Upewniamy się jeszcze raz pytając strażaków, czy możemy czuć się bezpiecznie, zostając w parku na jednym z kempingów. Po ich zapewnieniach jedziemy na Minaret Falls campground (23 USD/noc). Jak można się było domyśleć, kemping jest prawie pusty ze względu na niesprzyjające warunki „powietrzne”. Na dużej tablicy przy wjeździe jest informacja, żeby najpierw wybrać sobie miejsce, a następnie poczekać na pracownika kempingu, który przyjdzie do nas po pieniądze. Cóż czekaliśmy, ale nikt nie przyszedł, więc nocleg wyszedł nam za darmo.

Dzień 22

Nasza miejscówka noclegowa okazuje się bardzo urokliwa – dosłownie idealna na miejsce na kemping. Widzimy to dopiero o poranku, bo wczoraj była już ciemna noc, gdy tu zawitaliśmy. Opuszczamy ją około 6 rano, mijając się z kilkoma zjeżdżającymi do doliny wozami strażackimi. Gryzący dym cały czas utrudnia oddychanie. Przejedźdżamy przez miasteczko Mammoth Lake i wyjeżdżamy w kierunku jezior, gdzie pojawia się w końcu niebieskie niebo! Zrobiła się piękna słoneczna pogoda, a dym został przewiany na drugą stronę gór.

Zatrzymujemy się przy jeziorze Mammie w miejscu nazwanym Twin Falls Overlook – ale paradoksalnie widoku wodospadu tu nie ma, bo stoimy na jego szczycie... Podjeżdżamy następnie do końca drogi nad Horseshoe Lake. Jest to przepięknie położone jezioro, ale niestety bardzo duże stężenie dwutlenku węgla w powietrzu i glebie ma tu bezpośredni wpływ na lokalne środowisko. Jest tak duże, że umierają tu drzewa, pozostawiając obdarte z kory wysuszone pnie. Chociaż prawdę powiedziawszy białe kikuty drzew wyglądają bardzo fotogenicznie, kontrastując z błękitem nieba. Zwiększona zawartość dwutlenku węgla spowodowana jest aktywnością niedalekiego wulkanu Mammoth Mountain i powoduje ona obumieranie korzeni drzew właśnie w okolicy jeziora Horseshoe. I chociaż, jak powszechnie wiadomo, liście drzew w procesie fotosyntezy wytwarzają tlen właśnie z dwutlenku węgla, to korzenie tych drzew potrzebują bezpośrednio tlenu, by drzewo mogło żyć. Wysoka koncentracja CO₂ w glebie hamuje pobieranie składników odżywczych i drzewo umiera. Również dla człowieka duża zawartość dwutlenku węgla w powietrzu jest zabójcza... szczególnie gdy gaz ten gromadzi się w jakiś zagłębieniach i depresjach, czy np. pod pokrywą śnieżną. Dlatego *cave camping*, czyli nocowanie w zrobionym ze śniegu igloo oraz spanie w zwykłych namiotach jest tu zabronione. Wdychanie powietrza z zawartością CO₂ większą niż 30% może spowodować śmierć. Rozglądając się dookoła, aż trudno uwierzyć, że jest tu tak niebezpiecznie dla naszego zdrowia, a nawet życia. Dwutlenek węgla w tak dużej ilości zaczął wydobywać się przez utworzone w wulkanie pęknięcia i uskoki w roku 1989. Dziennie emitowane jest nawet 300 ton tego gazu!!!! Podczas naszego pobytu nad jeziorkiem przeleciały nad nami 4 helikoptery z tzw. *bucketami*, czyli pojemnikami z proszkami gaśniczymi, zmierzając w kierunku zachodnim, gdzie znajduje się centrum pożaru.

W trosce o nasze zdrowie zostajemy tu zaledwie godzinkę i jedziemy dalej – tym razem zjeżdżając na kemping Twin Lakes, skąd mamy idealny widok na wodospad Twin Lakes Fall. Po porannych podbojach okolicy Mammoth Lakes nadszedł czas na zakupy w postaci świeżych owoców, warzyw i oczywiście czekolady (Vox/Safeway supermarket). Droga nr 395 (a następnie Hot Creek Hatchery Road) wyjeżdżamy na wschód do Hot Creek Geological Site (Inyo National Forest; wjazd bezpłatny, czynne od świtu do zmroku). Z parkingu idziemy na krótki spacer betonową ścieżką wzdłuż rzeki, za którą bulgocze kilka turkusowoniebieskich baseników. Znajdujemy się około 3 mile powyżej „pracującej” magmy, która daje upust swojej sile w kilku widocznych ze ścieżki miejscach, takich jak gejzery czy gorące źródła, w których temperatura może zmienić się niespodziewanie, dlatego wydano zakaz wchodzenia do rzeki (z dna której te źródła biją i które to dno w związku z tym jest niestabilne). Zakaz jednak nie obowiązuje chyba ludzi nierozgarniętych... których widzimy pluskających się na środku rzeki. To, że w każdej chwili mogą się ugotować, chyba nie przeraża ich za bardzo, bo bawią się w najlepsze. A na pytanie innej zdziwionej ich głupotą turystki... czy nie rozumieją zakazu kąpieli obowiązującego na tym terenie, z pretensją oznajmiamą, że kąpiel nie jest zakazana tylko nie rekomendowana. Cóż, informacja o 14 śmiertelnych wypadkach, jakie się tu wydarzyły od 1968 roku, widocznie ich nie przeraża. Pstrykamy kilka zdjęć i jedziemy dalej, bo upał daje się porządnie we znaki. Na naszej trasie kolejnym

punktem jest Hot Creek Trout Hatchery (wjazd bezpłatny), gdzie oglądamy pstrągi pływające w betonowych basenikach. Są ich tu dziesiątki tysięcy... od malutkich centymetrowej długości po całkiem konkretne okazy, które mogłyby z powodzeniem wskoczyć już na patelnię. Olbrzymia siatka rozwieszona nad basenikami w sposób konsekwentny chroni ryby przed fruwającymi drapieżnikami...

Nie ma tu za wiele do oglądania, więc po kilku minutach wskakujemy do kampera i podążamy do petardy dnia dzisiejszego, czyli do gorących źródeł. Nie wiemy dokładnie, gdzie się znajdują (Google pokazuje nieprawidłową lokalizację), ale „zasięgamy języka” w recepcji lokalnego publicznego basenu (Whitmore pool). A trafić do Whitmore Hot Springs bez tej podpowiedzi nie byłoby łatwo. Trzeba skrócić w drogę Benton Crossing Road (na skrzyżowaniu z 395 jest Green Church jako znak rozpoznawczy). Mijamy po prawej mały lokalny basen Whitmore Pool, gdzie warto również wskoczyć na krótki relaksik, jeśli akurat obiekt jest otwarty. Jest to basen na środku pustyni w tle z ośnieżonymi górami i pustynią... Licząc od skrzyżowania z 395 przejeżdżamy 3,1 mili i od razu za *cattle grid* (metalowe linie wbudowane w drogę uniemożliwiające bytlu przejście) skręcamy w prawo w szutrową drogę.

Jedziemy 1,2 mili do parkingu (miejsce na około 20 samochodów). Z parkingu „wychodzi” drewniana kładka, którą podążamy w kierunku gorącego źródła (około 0,5 mili). Są tu 2 baseniki, przy czym woda w pierwszym z nich (po lewej stronie) jest bardziej gorąca i ciężko w niej się nawet zanurzyć... Mamy dużo szczęścia, bo w momencie kiedy przychodzimy, jakaś bardzo głośna grupa około 20 osób opuszcza to lepsze miejsce razem z wielkim boomboxem i muzą w stylu Mr. Hummera czy Vanilla Ice. Miejscówka jest po prostu superowa... siedzimy zanurzeni w ciepłutkiej wodzie na środku pustyni... z widoczkiem na góry. Po ponadgodzinnym wymoczeniu tyłków wyruszamy dalej (wracając tą samą drogą do 395). I tą 395 suniemy na północ aż do June Lake Junction, skręcając na zachód (w 158 June Lake Loop). Jest to droga prowadząca do kilku załadowanych po brzegi kempingów położonych nad jeziorkami (m.in. Oh! Ridge Campground 27,50 USD/noc). My odbijamy w drogę otaczającą te rekreacyjne miejsca od północnej części (Nortshore Drive) i tu właśnie po przejechaniu 1,2 mili znajdujemy presuperową dziką miejscówkę na nocleg. Wąską szutrową dróżką wjeżdżamy w niewinnie wyglądający teren... i na dzień dobry widzimy relaksującego się na zwisającym nad przepaścią hamaku gościa, obok którego przejeżdżamy i „delikatnie” wciskamy się pomiędzy skały a drzewa, rezerwując sobie pole. Obok naszego miejsca jest przygotowane miejsce na ognisko, które oczywiście płonie długo i wytrwale przez następne kilka godzin.

Dzień 23

O świcie wyjeżdżamy z naszej supermiejscówki i jedziemy dalej „pętelką” aż do głównej trasy nr 395. Szału wielkiego nie ma, jeśli chodzi o te tereny, a już najgorszym miejscem pod względem krajobrazowym jest zdecydowanie sztuczny zbiornik retencyjny Grant Lake, znajdujący się na końcu trasy.

Prywatny kemping, jaki tu zastajemy, jest w zasadzie miejscem dla wędkarzy, którzy stacjonują tu swoimi kamperami przez całe lato. Jedziemy więc dalej w kierunku Mono Lake. Wjeżdżamy w Picnic Shortcut Road i próbujemy przedrzeć się szutrową drogą

wzdłuż krzaczorów i jadąc wzdłuż wybrzeża jeziora (i mijając Visitor Center). Rush Creek, który „stał” na naszej drodze, uniemożliwił nam jednak dalszy przejazd. Zawróciliśmy tą samą drogą, wcześniej wsuwając śniadanie, figurujące na naszej liście jako „zaległa czynność”. Parkujemy następnie przy Visitor Center, gdzie dzieciaki znajdują kunę i jej umarłe kuniątko leżące na chodniku. W samym Visitor Center spędzamy chwilę, chłonąc wiedzę geologiczną i antropologiczną z licznych wystaw i displayów. Decydujemy się nie zajeżdżać nad samo jezioro Mono, gdyż odwiedzaliśmy je już dwukrotnie w niedalekiej przeszłości, a skupić się na miejscach nowych lub odwiedzanych dawno, dawno temu. Jedziemy więc w kierunku Yosemite National Park. Wcześniej tankujemy na stacji Chevron (5 USD/galon) i nabieramy wodę do naszego kamperowego zbiornika. Przy samym wjeździe na drogę nr 120 – Tioga Pass jest również dostępny kranik z wodą. Wjeżdżamy na przełęcz, podziwiając piękne widoki – olbrzymie góry i głębokie doliny. Nie jedziemy jednak bezpośrednio do parku, a zbaczamy ze 120 (na drogę nr 04) w kierunku Saddlebag Lake (sztuczny zbiornik), by wspiąć się nad Gardisky Lake (szlak 2,6 mili). Jest to bardzo trudny szlak ze względu na jego stromość i bardzo śliskie kamienie, po których trzeba się wspinać. Ze względu na stromość szlak poprowadzony jest licznymi serpentynami, które stanowią 85% drogi. Dzięki temu, że szlak do najłatwiejszych nie należy, spotkaliśmy tu tylko 3 inne osoby. Po pokonaniu tych wszystkich skalnych stopni docieramy nad przepiękne alpejskie jezioro, nad którym spędzamy godzinę w zupełnej samotności, otoczeni tylko przez dziką przyrodę. Z zejściem jest już nieco gorzej... Jest bardzo stromo i ślisko i trzeba włożyć bardzo dużo trudu przy stawianiu każdego kroku.

Cała wycieczka zajmuje nam 3 godziny i szczerze mówiąc wymęcza nasze dzieciaki bardzo... ale pomimo tych trudności wycieczka warta jest zaliczenia. Podjeżdżamy do końca drogi do Saddlebag Lake, ale nic ciekawego tu niestety nie ma (tylko tama i jakaś mała elektrownia wodna), więc szybko zawracamy na Tioga Pass. Wjeżdżając do parku narodowego Yosemite (35 USD/auto lub National Park Pass), proponuję poprosić o 1 dodatkową (bezpłatną) mapkę parku, bo wyjątkowo się niszczy, rozczłonkowując na wiele części. Przy wjeździe, jak się można było tego spodziewać, powitały nas korki..., które tylko nasiliły się wewnątrz parku... Tu nadmienię, że Tioga Pass Road zamknięta jest na ponad pół roku – mniej więcej od połowy listopada do końca maja lub nawet połowy czerwca. W parku można wyróżnić 4 główne części, które wypadałoby zwiedzić podczas wycieczki. Pierwszym z nich jest Tioga Pass – którą wjeżdżamy do parku od strony wschodniej. Następnie najpopularniejsza i najczęściej odwiedzana to dolina – Yosemite Valley, oraz Glacier Point Road i okolice Wawona z Mariposa Grove (przy wjeździe południowym). Wszystkie te części parku przyciągają zafascynowanych jego pięknem i unikalnością – hikerów, *backpackerów*, wspinaczy skałkowych, wędkarzy, malarzy, fotografów, kolarzy, zwolenników jazdy konnej, ale i zwykłych wylegiwaczy leżakowych. Jadąc Tioga Pass, mijamy najpierw piękne alpejskie łąki Tuolumne Meadows. I w miarę posuwania się w kierunku zachodnim zagęszczenie turystów robi się nie do zniesienia!!! Ledwo znajdujemy miejsce na parkingu przed Tuolumne Meadows Visitor Center. Swoją drogą jest to bardzo skromnie urządzone miejsce i w zasadzie poza tłumem ludzi nic tu nas nie zaskakuje. Do tego wszystkiego za zeszły ćwiczę do

programu Junior Ranger trzeba zapłacić 8 USD! Trochę wyprowadza mnie to z równowagi, bo po pierwsze bilet do parku kosztuje 35 USD, a po drugie to najprawdopodobniej jedyny park w USA, w którym trzeba zapłacić za kilkustronicową książeczkę.

Wyruszamy dalej na zachód, mijając Pothole Dome – białą granitową górę, na którą wdrapują się tłumy (szlak 2,5 mile). My podchodzimy tylko kawałeczek, by zrobić zdjęcie. Zatrzymujemy się przy Olmsted Point, ale nie bierzemy rekomendowanego szlaku, tylko wdrapujemy się na granitową górkę po przeciwnej stronie drogi, skąd rozpościerają się mega piękne widoki między innymi na Half Dome i Jezioro Tenaya Lake.

Nie ma tu oficjalnego szlaku, dlatego też i nie ma tu ludzi, chociaż nasza obecność ściągnęła tu kilka osób, które mijamy w drodze powrotnej. Szczyt tej nienazwanej góry zasługuje na miano petardy turystycznej, a tą cenną podpowiedź zawdzięczamy poróżnicze Dorocie (www.szlakiusa.pl). W Visitor Center dowiedzieliśmy się, że jeden z prymitywnych kempingów został otwarty dzisiaj i według najświeższych informacji powinno być na nim jeszcze kilka miejsc wolnych (reszta parkowych miejsc kempingowych jest już zajęta). Ta wiadomość jest dla nas bardzo cenna, bo – jak wiadomo – ze znalezieniem noclegu w sezonie jest tu bardzo ciężko. Zjeżdżamy więc do Yosemite Creek Campground (12 USD/noc; 75 miejsc, wody brak).

Droga na kemping jest bardzo wąska i szutrowa, wijemy i telepiemy się przez ponad 20 minut, mijając zawracające samochody, co wiąże się najwyraźniej z odniesieniem przez nich porażki w znalezieniu miejsca. Z trudem mijamy też autokar, który według logiki i obowiązującego zakazu nie powinien się tu znaleźć. Po dotarciu na miejsce ku naszemu wielkiemu zdziwieniu odkrywamy, że jest tu jeszcze wiele niezajętych miejsc. Wybieramy miejscówkę # 11 oddaloną od wszystkich innych, by krzyki naszych dzieci nie stawały się uciążliwością dla kempingujących. Mamy tu mnóstwo przestrzeni tylko dla siebie. Ponieważ przy tablicy z ogłoszeniami jest wywieszona czerwona kartka z ostrzeżeniem przed grasującymi tu pumami (*mountain lion*), muszę bawić się razem z dziećmi (trwa walka plemienna Indian), by mieć je po prostu cały czas na oku. A jak wiadomo, pumy w pierwszej kolejności atakują mniejsze osobniki. Poza tym zwierzęta te zawsze wybierają jako ofiary poruszające się szybko jednostki, np. biegaczy czy rowerzystów. My zdecydowanie jesteśmy biegaczami, uzbrojonymi w długie kije. Po godzinie takiego latania mam już tego wszystkiego dosyć i ogłaszamy zawieszenie broni. Rozpalamy wielkie ognisko, które ma za zadanie odstraszenie dzikiej zwierzyny i przysmażenie kiełbasek na kolację.

Dzień 24

Wyjeżdżamy z kempingu do Tuolumne Grove (gdzie zjadamy śniadanie, parkując przed wyjściem na szlak). Po analizie wszystkich faktów rezygnujemy jednak z pójścia na ten szlak, zostawiając go na dzień jutrzejszy, a pędzimy do Yosemite Valley, czyli miejsca, gdzie znajduje się więcej turystów niż cząsteczek powietrza. Ponieważ dzisiaj jest piątek, tłumów powinno być trochę mniej niż w nadchodzącą sobotę czy niedzielę. Nie ma nic gorszego niż trafić w weekend do Yosemite Valley. Pierwszy szlak, jaki bierzemy, to Bridalveil Fall (0,5 mili w dwie strony, wysokość wodospadu 189 metrów!!!). Było jeszcze przed 9 rano, a już tłumowiska waliły po asfalowej drodze w kierunku wo-

dospadu. Wodospad jest zacieniony o tej porze dnia, w zasadzie panuje tu jeszcze półmrok... Wszystkie głązy u podstawy są mokre i bardzo śliskie, więc przy przemieszczaniu się trzeba bardzo uważać.

Dzieci w ogóle niezainteresowane widokiem urządziły sobie natomiast ślizgawkę na jednym z wielkich głązów. Po kilkunastu minutach wracamy z powrotem do auta i zaczynamy kultową drogę po Dolinie Yosemite – Southside Drive (ruch jednostronny). Dolina Yosemite zajmuje zaledwie 18 km², a przyjeżdża tu ponad 80% odwiedzających park. Trudno się jednak dziwić tak wielkiej popularności, jeśli do „dyspozycji” mamy tu ogromne granitowe urwiska, wspaniałe wodospady i wijącą się zakolami rzekę Merced. Warto tu też wspomnieć, że Park Narodowy Yosemite jest samodzielną jednostką, posiadającą właśnie w dolinie własny sąd, pocztę i klinikę medyczną i dentystyczną i rządzi się swoimi prawami. Nasz pierwszy przystanek to Cathedral Beach, gdzie spacerujemy w kierunku piaszczystego brzegu rzeki. Mamy stąd widok na przepięknie oświetlony porannym słońcem El Capitan. Góra ta to największy na świecie monolit o wysokości ponad 900 metrów, o ścianach tak stromych, że wydaje się wręcz niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł się na nie wdrapać... A jednak miesiąc temu został pobity kolejny rekord wspinaczkowy na tę górę – Alex Honnold i Tommy Caldwell zdobyli ją w niecałe 2 godziny. Cóż, zapewne grawitacja działa na nich w odwrotnym kierunku... Alex również wspiął się na El Capitana bez lin (i w ogóle jakiegokolwiek sprzętu wspinaczkowego) w 2017 roku w niecałe 4 godziny!!! (tu polecam film dokumentalny *Free Solo*). Następny postój to Sentinel Beach – również z pięknymi widokami. Od tego momentu zaczyna się już dosłownie masakra ze znalezieniem parkingu... Wyskakuję na chwilę z naszego kampera przy Swinging Beach, by zerknąć z drewnianego mostku na majestatyczny Yosemite Falls (wysokość 739 metrów!!!). Nie zdawałam sobie z tego sprawy wcześniej, ale dolina parku służy przede wszystkim jako miejsce rekreacji... Wielka grupa plażowiczów w strojach kąpielowych pluska się w rzece, pływając na oponach czy dmuchanych kaczuszkach i dlatego też brakuje miejsc na parkingach, bo „rekreacyjni” parkują na całym dzień...

Podjeżdżamy następnie do kolejnego punktu na drodze – kaplicy (Yosemite Chapel), gdzie małolaty w kłapeczkach tańczą sobie w rytm rapowej muzyki puszczanej z wielkiego *boombaksa* (trzymając do tego w rękach ociekające lody)... jakoś to wszystko mija się z moimi oczekiwaniami, jeśli chodzi o zwiedzanie parku narodowego. Naszym głównym celem na dzisiaj jest przejście szlaku prowadzącego do Vernal Falls. W celu znalezienia parkingu musimy po prostu złamać przepisy i wbić się częściowo na chodnik. Dosłownie nie ma gdzie się wcisnąć!!! Idziemy wzdłuż ulicy w poszukiwaniu przystanku autobusowego... jak już ten przystanek znajdujemy, to czekamy dłuższą chwilę, aż jakiś kursujący autobus zatrzyma się, by nas zabrać. Mija nas kilka wypchanych po brzegi autobusów. Podjeżdżamy z przystanku nr 14 do przystanku nr 16 (nasz kamper zostawiliśmy w okolicy przystanku nr 13, który akurat okazał się nieczynny).

Razem z wytoczonym z autobusu tłumem dosłownie wpływamy na szlak Mist Trail... przechodzimy most i zaczynamy mozolną wspinaczkę po szerokiej asfaltowej drodze. Jest godzina 13, a więc upał daje się nam porządnie we znaki. Chodniczek stromo wiedzie nas i całą kolumnadę ludzi (są tu przypadki szczególne – w obuwii plażo-

wym!). To chyba najbardziej popularny szlak w dolinie. Po dojściu do mostu, skąd jest raczej kiepski widok na wodospad, większa część tłumowiska zawraca i tylko nieliczne jednostki (tak mi się niestety tylko wydaje) udają się dalej po bardzo stromych kamiennych schodach do podnóża wodospadu. Schody te są bardzo „wyszlifowane przez turystów”, co powoduje, że łatwo się pośliznąć. Szczerze mówiąc, idzie się okropnie... Nie chodzi tu tylko o warunki podłoża, ale o ludzi, którzy nie stosują się tu do żadnych zasad *savoir-vivre'u*: popychają się nawzajem, nikt nikomu nie chce ustąpić. Zero kultury osobistej. Pomimo tych niedogodności wodospad Vernal (wysokość 97 m) z bliska powala na kolana!!! Cały czas wspinamy się po wysokich schodach, które w miarę zbliżania się do wodospadu stają się bardzo śliskie, ze względu na bryzę, która na nie spada. Dlatego też nazwa szlaku Mist Trail jest adekwatna do zaistniałej sytuacji. Chłapiąc z wodospadu woda jest bardzo przyjemna, szczególnie w tak upalny dzień, utrudnia jednak zrobienie zdjęcia, ochlapując obiektyw aparatu. Bardzo fotogeniczne jest przejście minitunelem, w okolicy którego znajduje się chyba najlepsza miejscówka na zrobienie zdjęcia. Jest godzina 14.30 i właśnie w tym miejscu i o tej porze ukazują nam się przepiękna tęcza!!!! Wspaniałe widowisko, które nie potrwa długo (jak schodziliśmy godzinę później, tęczy już nie było). Wąskim przejściem po schodkach z barierką chroniącą przed upadkiem w przepaść dostajemy się na szczyt wodospadu. Jakaś młoda dziewczyna poprzepłatała nogi o barierkę nad przepaścią i pozuje do zdjęcia, a mnie aż robi się słabo na ten widok i siadam tam, gdzie stoję, z zawrotami głowy...

Dalej szlak prowadzi do kolejnego wodospadu – Nevada Falls, ale nasze dzieci nie mają już na to siły (czasami łatwiej zrzucić po prostu winę na młodszych). Schodzimy bardzo powoli z miejsca widokowego, zachowując szczególną uwagę w tej trudniejszej, górnej części szlaku. Jest tu bardzo dużo ludzi, chociaż widziałam wyraźnie, że większość z nich zawróciła przy moście. Szczerze mówiąc, jest to bardzo niekomfortowe i dalekie do mojego ideału miejsc cudownych. Przy zejściu ze szlaku spotykamy niekończącą się kolejkę (po pitną wodę) do fontanienki ustawionej przy łazienkach. Jako że skończyła nam się woda – ustawiamy się i my. Po wystaniu jakichś 20 minut, kiedy napełniamy już swoje bidony zimnym orzeźwiającym płynem, podchodzi do nas ranger z informacją, że jest to ta sama woda, która płynie w kranach w łazience znajdującej się obok nas. Przystanek jest pełen ludzi czekających w kolejce na autobus w nadziei, że kolejny będzie tym, który ich zabierze. My, zanim ustawiamy się w tym ogonku, biegniemy na dosłownie 10 minut do Nature Center at Happy Isles, by móc choć zerknąć w przyspieszonym tempie na ciekawe disплеje i wypchane dzikie zwierzęta (wystawy te przeznaczone są przede wszystkim dla najmłodszych). Wracamy na przystanek i z pokorą ustawiamy się w długiej linii do autobusu, ale minie dobre pół godziny, zanim w końcu nastąpi nasza kolej i wejdziemy na pokład *shuttle busa*. Około godziny 17 wracamy do naszego kampera, do którego szybko wskazujemy i próbując się zorientować w terenie (posługując się oczywiście mapą parkową), lądujemy na parkingu przed hotelem The Majestic Yosemite Hotel. Chcieliśmy zaparkować przed nim i zająrzeć na chwilkę do środka – bo to w końcu zabytkowy hotel, ale znalezienie miejsca parkingowego graniczyło z cudem. Przed samym budynkiem stał zaparkowany czerwony wypucowany ferrari – jak widać goście tego hotelu nale-

żą do wyższej ligi. Rozglądamy się przy okazji za wodą do naszego zbiornika... i lądujemy w Housekeeping camp, gdzie podłączamy się do kranika. Ta część parku oferuje prymitywne wielkie namioty – wiaty wyposażone w piętrowe prycze. Ogólnie wygląda to odpychająco i przypomina raczej ośrodek wypoczynkowy na wschodzie Europy sprzed 40 lat. W dolinie obowiązuje ruch jednostronny i dzięki temu ciężko się tu manewruje... gubimy się i krążymy, kręcąc się na rondach... Lądujemy w końcu na parkingu przed wielkim sklepem w Yosemite Village, do którego tłumy spragnionych nadciągają ze wszystkich stron. Poza dużym wyborem „przepysznyego” amerykańskiego jedzenia o wartości odżywczej biskiej zera, jest tu chyba największy *gift shop* w Stanach. Szczerze mówiąc, męczą mnie takie miejsca bardzo... Po szybkich zakupach dowlekamy się w żółtym tempie do kolejnego parkingu, z którego idziemy w kierunku szlaku na Lower Yosemite Falls.

Szlak to tak naprawdę szeroki chodnik, którym w ciągu minuty przechadza się jakieś 500 osób. Sam widok wodospadu z bliska nie rzucił mnie na kolana... ale głównym odpychającym czynnikiem jest tu zdecydowanie ludzka „stonka”, która zaatakowała wszystkie miejsca nadające się do odpoczynku. Podobno jest to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie można obserwować „księżycową tęczę” w unoszącej się nad wodospadem bryzie. Przy powrocie do auta odwiedzamy łązienkę, która wygląda jakby nikt jej nie sprzątał od miesięcy... chociaż jak wiadomo w takich miejscach rangerzy pracują codziennie, ale pseudoturysty robią przysłowiowy chlew. Słońce już zaczęło się szykować do snu, więc i my wyruszamy w kierunku wyjazdu z doliny. Zatrzymujemy się jeszcze na chwilę przy drodze, by pstryknąć kilka fotek (Valley View) i wjeżdżamy na parking przy Tunnel View. Naszym oczom ukazuje się niezwykle panorama granitowych monolitów El Capitan, Half Dome i Sentinel Dome oraz Bridalveil Fall. I troszkę za późno niestety tu docieramy, pozbawiając się tym samym wspaniałego oświetlenia słonecznego. Postanawiamy zaryzykować i zostać na tym parkingu na całą noc, co na szczęście udaje się nam bez problemu.

Dzień 25

Z samego rana przejeżdżamy przez tunel i jedziemy Wawona Road do Mariposa Grove – otwartego kilka dni temu po trwającej ponad 3 lata renowacji. Jest to skupisko ponad 500 wielkich sekwoi. Jedziemy do samego końca drogi na parking, bo jest jeszcze przed 7 rano, a bezpłatne autobusy parkowe (*shuttle buses*) zaczynają swoją pracę o godzinie 8. Jeśli ktoś chce (albo musi) jechać autobusem, trzeba zaparkować w Mariposa Grove Welcome Plaza. Serwujemy sobie grzanki na śniadanie... bo na „żywcza” pyszniutkiego chleba zakupionego wczoraj nie da się niestety zjeść... i zaraz po tym z pełnymi brzuchami ruszamy szlakiem Grizzly Bear Trail (długość 2 mile) na poszukiwanie wielkich sekwoi. Wybrany przez nas szlak jest chyba najbardziej optymalny ze względu na dystans, ale i liczbę największych i najbardziej okazałych drzew. Pozostałe dwa szlaki – Mariposa Grove Trail i Guardians Loop Trail są zdecydowanie za długie dla naszych pociech (7 mil). Po renowacji tego miejsca ustawiono wszędzie barierki z zakazem zbliżania się do drzew. Spacer zajmuje nam 2,5 godziny.

Największa i najstarsza sekwoja w zagajniku to Giant Grizzly, licząca sobie ponad 2000 lat (64 metry wysokości i średnica u podstawy 9 metrów). Do ważnych okazów

należą też Bachelor, Three Graces i California Tunnel Tree (będące największą atrakcją dla dzieci). Poza sekwojami uwagę naszą przyciągają ogromne szyszki *sugar pine cones* (największe szyszki na świecie!!!). Szyszki te pochodzą z gatunku sosna Lamberta zwanej potocznie sosną cukrową, z powodu słodkiej żywicy, która jest przez to drzewo wydzielana. I rzeczywiście, po dotknięciu szyszek pozostają na naszych dłoniach i ubraniach lepkie, niedające się wyczyścić kawałki białej żywicy. Szyszki te mogą ważyć nawet 2 kg i osiągać długość 66 cm, a ta słodka żywica była chętnie jedzona przez rdzennych Amerykanów. Można ją jednak spożywać tylko w niewielkich ilościach, ze względu na właściwości przeczyszczające. My nie próbujemy nawet obliżywać po niej palców.

Po tym przyjemnym spacerze podjeżdżamy 7 mil na północ i odwiedzamy Wawona Visitor Center, gdzie Jasio składa przysięgę rangerską, otrzymując kolejną odznakę młodego strażnika parkowego. Naprzeciwko Visitor Center znajduje się zabytkowy wiktoriański hotel – Big Trees Lodge (teraz w rękach prywatnych), a przed nim uroczą fontanienka. Jest tu bardzo spokojnie, wręcz panuje sielsko-anielska atmosfera. Wszystko jest tu idealnie zadbane. Na werandzie spotykamy samych emerytów, którzy siedzą w bujanych fotelach, popijając napoje orzeźwiające. Niedaleko tego miejsca znajduje się ciekawe do odwiedzenia miejsce – Pioneer Yosemite Historic Center. Są to historyczne drewniane chatki pionierów, kolekcje sprzętu rolniczego, stajnia pełna koni, kuźnia, więzienie, piekarnia, stodoły, domek strażnika parku... a wszystko to zostało przywiezione tu w latach 50. i 60. ubiegłego wieku z różnych zakątków doliny Yosemite, tworząc teraz spójną całość wyimaginowanej wioski.

Co kilkanaście minut można zobaczyć pędzący dyliżans – Wells Fargo wagon – robiący rundkę przez wioskę i *covered bridge*, za którym unoszą się tumany kurzu opadającego bezwładnie na spacerowiczów. Takie pokryte dachem mosty są charakterystycznym akcentem szczególnie na wschodzie Stanów (np. w New England), a głównym powodem ich zadaszania była przede wszystkim ochrona przed niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi, takimi jak deszcz, śnieg czy nawet słońce. Żywotność takiego mostu wynosiła około 100 lat. Ten w wiosce zbudowano w roku 1857, pokrywając go zadaszeniem 22 lata później i – jak widać – znakomicie się jeszcze trzyma, chociaż oczywiście przeszedł kilka remontów... Ponieważ jest dzisiaj bardzo gorąco, kusi nas się na zejście do rzeki, gdzie dzieciaki na widok wody dostają po prostu szału. No i jak to było do przewidzenia, ciężko je potem z tej rzeki wyciągnąć... Jak już nam się to udaje, zaglądamy jeszcze do małego Visitor Center, gdzie podziwiamy zabytkową wielką kasę i telegraf, ucinając sobie pogawędkę z przemiłym rangerem. Jest to bardzo klimatyczne miejsce, i na szczęście nie wszyscy o tym wiedzą, bo tłumów to tu raczej nie ma. Jest tu też bezpłatny *dump station*, gdzie dobieramy wodę do kamperowego zbiornika. Opuszczając to miejsce, Mundi podejmuje bardzo złą decyzję, by zamiast na Glacier Point pojechać z powrotem do Yosemite Valley, bo przypomniało mu się, że koniecznie musi odwiedzić Yosemite Valley Visitor Center i Ansel Adams Gallery. Wszystko byłoby może i OK, gdyby nie fakt, że dzisiaj jest sobota. Parkujemy znowu w *housekeeping area*, bo znalezienie gdzie indziej parkingu jest po prostu niemożliwe. Przechodzimy przez mostek nad rzeką, w której kąpią się miliony turystów i chod-

nikiem po przejściu około 1,5 mili dochodzimy do VC. Przed nami dosłownie na wyciągnięcie ręki przebiega kojot... który czuje się tu najwidoczniej jak u siebie w domu. W klimatyzowanym wielkim kinie oglądamy film (bezpłatnie) o parku Yosemite (*Spirit of Yosemite*) znajdującym się tuż obok VC. Odwiedzamy też indiańskie muzeum, indiańską wioskę (Indian Village of Ahwahnee) i galerię sztuki Adamsa, gdzie za bagatela 7500 USD można zaopatrzyć się w fotografię jednego z najznakomitszych fotografów przyrody minionego wieku.

Wracając do kampera mijamy się z korkiem samochodów wyjeżdżających z parku – auta w zasadzie się nie poruszają. Zmusza nas to do pozostania w kamperze przez następne dwie godziny. Gotujemy więc obiad, pakujemy niektóre rzeczy i generalnie robimy porządki, bo koniec wycieczki już tuż-tuż.

Podczas tego spaceru zauważyliśmy pułapkę na niedźwiedzie (*bear trap*) – metalowy pojemnik w kształcie rury umiejscowionej na kółkach (wygląda trochę jak prymitywna miniprzyczepka kempingowa) – nigdy się nawet nie zastanawiałam nad istnieniem takiego wynalazku. Złapany w taką pułapkę niedźwiedź nie jest zabijany, a przewożony w miejsce z dala od „łapanki”. Metoda ta jednak nie zdaje egzaminu w większości przypadków, bo niedźwiadki w sobie tylko znany sposób wracają w to samo miejsce (zajmuje im to około 7 dni). Chodzi generalnie o to, że często nieświadomi swojej głupoty turyści zostawiają jedzenie lub resztki jedzenia na zewnątrz, co oczywiście przyciąga dziką zwierzynę. Niedźwiedzie mają wyśmienity węch – poczują naszą kanapkę nawet z odległości 20 mil. Strażnicy parkowi są czasami zmuszeni do zabicia misia, jeśli ten staje się agresywny i zagraża bezpieczeństwu ludzi. Byłam kiedyś świadkiem sytuacji (w Sequoia NP), gdzie bezmyślni turyści pomimo zakazu rozpalili grilla w lesie, szykując sobie smakowity obiad i jak to było do przewidzenia zapach przyciągnął niedźwiedzie. Na ich (turyستów) wielkie szczęście w pobliżu znajdowali się uzbrojeni rangerzy, którzy musieli użyć strzelby, by odstraszyć zwierzęta. Była to stresująca sytuacja zapewne dla wszystkich. Niedźwiedzie uciekły wystraszone ostrzegawczymi strzałami, ale zastanawiam się, jak mógłby zakończyć się piknik, gdyby rangerów zabrakło.

Wieczorem po odczekaniu i postaniu w już mniejszym korku docieramy do Tunnel View... skąd zjeżdżamy do upatrzonej wcześniej miejscówki na nocleg (parking przy całodobowych łazienkach) w Chinquapin. Niestety po 5 minutach podjeżdża do nas rangerka i informuje, że jeżeli zamierzamy tu zostać na noc, to będzie nas to kosztować 180 USD – tyle właśnie wynosi nocowanie poza wyznaczonymi miejscami w parku narodowym. Cóż, musimy więc szybko coś wykombinować. Do tego dochodzi jeszcze kwestia kończącej się nam benzyny. Mamy jej bardzo mało, co wywołuje tylko niepotrzebny stres. Postanawiamy wrócić po ciemku do *housekeeping area* i zaszyć się pomiędzy samochodami w nadziei, że rangerka nie odkryje naszej „skryjdy”. Tak też robimy i na szczęście nasza akcja przynosi pozytywny skutek. Jeśli istniałaby jakokolwiek szansa na nocleg na kempingu oczywiście byśmy z niej skorzystali, ale w sezonie cuda rzadko się zdarzają.

Dzień 26

O świcie opuszczamy to mało fajne miejsce i przebijamy się na Tioga Pass, by prze-spacerować się szlakiem Tuolumne Grove (długość 2,5 mili). Rezygnujemy tym samym

– ku mojej rozpaczy – z wjazdu na Glacier Point. Szeroką, trochę podniszczoną asfaltową drogą (Old Big Oak Flat Road) schodzimy do doliny, idąc cały czas w cieniu wysokich drzew. Główny zagajnik sekwoi znajduje się na końcu tej drogi. Tam robimy pętelkę (razem) z komarami.

Największą atrakcją dla dzieci jest przewalona sekwoja, gdzie urządzają sobie plac zabaw... wciskając się w jej wnętrze i wychodząc jakąś szczeliną po przeciwległej stronie konaru. Jest tu też tunel wydrążony w sekwoi, którym można się przespacerować. Jest to przyjemna miejscówka, ale gigantycznych drzew jest tu znacznie mniej niż w Mariposa Grove. Po 2 godzinach wdrapujemy się po tej samej asfaltowej drodze tym razem stromo pod górę. Wsiadamy w samochód i podjeżdżamy chyba do jednej z najdroższych stacji benzynowych w całej Kalifornii (5,58 USD/galon) – znajdującej się przy skrzyżowaniu Tioga Pass i Big Oak Flat Road. Drogą nr 120 wyjeżdżamy z parku, kierując się na zachód. Generalnie przez najbliższe 2 godziny jedziemy, mijając Groveland i przejeżdżając przez Jamestown Chinese Camp (Main Street), który na dobre zarósł tu gęstą roślinnością. Są to stare, opuszczone, zapyziałe budynki chińskich robotników, które przy niewielkim nakładzie finansowym mogłyby być super atrakcją turystyczną... Docieramy do Jamestown Railroad 1897 State Historic Town (10501 Reservoir Road Jamestown, wstęp 5 USD/3 USD, przejazd pociągiem 15 USD/dorośła osoba, 10 USD/dziecko. Przejazd wliczony w cenę biletu, otwarty 9.30–16.30). Nie ma tu zbyt wielu turystów, ze względu zapewne na niesamowity upał. Ktoś mądry ustawił tu spryskiwacz, który delikatną mgiełką ochładza każdego wchodzącego na dworzec. Pracuje tu wielu bardzo miłych wolontariuszy, między innymi pan Joseph, który oprowadza wycieczki dla najmłodszych. W tym miejscu nakręcono około 200 filmów (m.in. „Bonanza”, „Bez przebaczenia” z Clintem Eastwoodem, „Powrót do przeszłości” czy najnudniejszy film mojego dzieciństwa „Domek na prerii”), co dodatkowo punktuje to miejsce.

Dzisiaj jest niedziela, a więc zamiast zabytkowej, starej, dymiącej lokomotywy parowej jedziemy zabytkową niedymiącą lokomotywą spalinową (diesel) z 1950 roku. W soboty turyści mają szansę na tę bardziej atrakcyjną przejażdżkę. Podsumowując, wycieczka ta nie należy do najciekawszych w naszym życiu, a przy masakrycznym upale w zasadzie nie możemy doczekać się jej końca, więc szczególnie jej nie polecam (czas trwania 45 minut). Po przejażdżce pociągiem jesteśmy zaproszeni przez przewodnika do przejścia do parowozowni, gdzie przy spływającym z czoła (i nie tylko) pocie próbujemy wychwycić najważniejsze fakty z życia stacji kolejowej. Najciekawsza wycieczka jednak jest prowadzona dla dzieci (w wieku od 7 lat). Wspaniały i pełen energii wolontariusz – pan Joseph daje niesamowity wykład praktyczny dla dzieciaków. Na nasze szczęście Jasio jest jedynym uczestnikiem tej lekcji, więc ma możliwość uzyskania odpowiedzi na każde zadane pytanie i wejście tam, gdzie np. dorośli nie są wpuszczani. Może dotknąć każdego narzędzia i wysłuchać znacznie ciekawszych opowieści niż słuchają dorośli, którym pan przewodnik nie pozwala trąbić. A największą atrakcją dla Janka jest przejazd drezyną, o czym my dorośli możemy sobie tylko pomarzyć. Pan Joseph robi mu też zdjęcia, które potem wysyła nam na e-maila.

Po wycieczce siadamy jeszcze na chwilę przy głównym peronie i rozmawiamy z panem przewodnikiem, który w przeciwieństwie do większości spotykanych przez nas Amerykanów doskonale orientuje się w geografii i historii Polski. Jeśli ktokolwiek będzie miał możliwość spotkania tego pana, proszę go uściskać od nas!!! I poświęcić trochę czasu, by z nim porozmawiać!!!

Kolejnym i ostatnim naszym punktem dzisiejszego planu jest Columbia – historyczne, bardzo ładnie zachowane miasteczko. Cała główna ulica – Main Street jest historycznym dystryktem zamkniętym dla ruchu samochodowego. Trafiamy tu jednak zbyt późno... bo o godzinie 17 wszystko jest już zamykane. W ostatniej minucie zaliczamy zabytkową lodziarnię ku uciechu oczywiście najmłodszych. Powstanie Columbii, jak zresztą wielu miasteczek w tym regionie, związane jest ściśle z gorączką złota. A tu akurat zaczęło się to bardzo przypadkowo – dzięki przemoczonym ubraniom i kocom. Kilku górników znudzonych bezowocnymi poszukiwaniami złota w hrabstwie Calaveras wracało po miesiącu do domu w Wood Crossing. Ponieważ zostało im jeszcze do przejścia ponad 10 mil, a deszcz zmoczył ich ubrania i cały dobytek, postanowili rozstawić obóz, by to wszystko wysuszyć. Jeden z górników znudzony czekaniem na suche ubrania postanowił się trochę rozerwać i „popaninować” w niedalekim strumieniu. Jakaż była jego radość, gdy po kilku minutach przemywania piasku odkrył na dnie miski kilka samorodków. Zachęceni jego zdobyczą koledzy zaczęli również poszukiwania i również udało im się wydobyć ze strumienia kilka złotych bryłek. To było 27 marca 1850 roku. Jak się można było spodziewać, wieść szybko się rozniosła i w ciągu kilku miesięcy powstała Columbia. Pomimo suszy i w związku z tym problemów z „przemycaniem” piasku miasto przetrwało ciężki okres, powiększając liczbę ludności do 5000 w ciągu 2 lat. W roku 1857 w mieście funkcjonowały już 150 „biznesów”, w tym 27 restauracje, zatrudniające najlepszych szefów kuchni z Europy. W międzyczasie miasto prawie zupełnie spłonęło w 2 pożarach, zostało jednak odbudowane już przy użyciu cegieł i stali, i dzięki temu możemy je dzisiaj zwiedzać w prawie nienaruszonym stanie. Historia gorączki złota kończy się tu w latach 1870, kiedy to populacja miasteczka zaczęła drastycznie spadać, powodując prawie całkowite wyludnienie.

W 1945 roku został tu powołany historyczny park stanowy, większość budynków odrestaurowana, a część odbudowana na podstawie istniejących fotografii i obrazów. Mamy więc doskonałą szansę na zapoznanie się ze znakomitym przykładem codziennego życia poszukiwaczy złota. To, co udaje nam się jeszcze zwiedzić przed zamknięciem, to sklepiki, kęgielnia, poczta, więzienie i łoża masońskie. Jest też Mine Supply Store – niestety już zamknięty, gdzie w przygotowanych do tego celu korytkach napełnionych wodą (przeraźliwie brudną) można sobie poprzymywać piasek w poszukiwaniu samorodków. Pani turystka, która akurat opuszcza to miejsce z dziećmi, oddaje nam wypożyczoną plastikową miskę (wypożyczenie tej miski kosztuje 5,50 USD), by nasze dzieciaki mogły trochę „popaninować”. Basia, nie zważając na jakość wody, wkłada do niej prawie całą zawartość głowy, co wcale nie zwiększa jej szans na znalezienie złota. Co dziwne, śmierzdzące przemoczone kucyki wcale jej nie przeszkadzają... Po nieudanych próbach wzbogacenia się ruszamy dalej na Main Street, zaglądając wszędzie gdzie się tylko da... bo klimat tego miasteczka jest naprawdę wspaniały

i tajemniczy. A do tego – zapewne z powodu niesamowicie wysokiej temperatury – ludzi tu niewielu... Zwiedzanie wszystkich atrakcji i budynków (poza przemycaniem piasku) jest w miasteczku za darmo.

Ponieważ wieczór zbliża się już nieubłagalnie, a my jutro musimy być w San Francisco na lotnisku, kończymy nasze zwiedzanie i jedziemy przez Sonora (super ładne miasteczko) w poszukiwaniu noclegu. Temperatura o godzinie 20.00 na przydrożnym termometrze wskazuje 37°C! Zatrzymujemy się na stacji benzynowej w celu zatankowania i uzupełnienia propanu i wody... ale trafiamy na pracownika, który nie potrafi mówić po angielsku... i dzięki temu spędzamy tu znacznie więcej czasu niż byśmy sobie tego życzyli. Zastanawiamy się nawet, czy człowiek ten wie, co robi, napełniając gazem zbiornik. Przez pół godziny czekamy najpierw aż dodzwoni się do szefa i zapewne zasięgnie instrukcji jak napełnić ten zbiornik propanem, a potem kolejne 15 minut by zrozumiał, że chcemy napełnić zbiornik wodny w kamperze... na co początkowo nie chce się zgodzić... Na dystrybutorze propanu jest wyraźnie napisane, że prawo kalifornijskie mówi, że każdy kto zatankuje propan ma prawo za darmo „zatankować” również wodę. OMG! chyba upała dał się we znaki wszystkim... Nasze nerwy zostały bardzo nadszarpnięte na tej stacji benzynowej. Jedziemy w kierunku zachodnim, mijając krajobrazy jak z australijskich pustkowi – zielone jajowate korony drzew rosnące na wysuszonej pożółkłej trawie. Jesteśmy też świadkami pięknie zachodzącego słońca przy niepowtarzalnym smrodzie gnojówki unoszącej się w powietrzu.

W Walmarcie oddajemy wszystkie niepotrzebne nam już rzeczy i udajemy się na *truck stop* w okolicy Manteca na krótki, ale jakże nam potrzebny nocleg.

Dzień 27

Po sprawdzeniu na GPS-ie dojazdu do wypożyczalni kamperów Cruise America z przerażeniem zauważamy olbrzymie korki... i znacznie wydłużony czas dojazdu... Do wypożyczalni RV nie można przyjechać za późno, bo liczą sobie 25 USD za każdą godzinę spóźnienia (oddawanie kamperów odbywa się tylko w godzinach od 9 do 11).

Wybieramy jedyną alternatywną drogę – Patterson Pass Road, która przy okazji jest niezwykle spektakularną trasą (jednokierunkowa, bardzo wąska, kręta droga). Jedziemy tym objazdem, monitorując ciągle sytuację na drodze... wskazujemy na autostradę (580) i... 10 mil przed wypożyczalnią spada nam na szybę kamień i centralnie na środku powstaje „cudowna” gwiazdeczka... której koszt zapewne wynosi około 250 USD. Jaki to zbieg okoliczności – przejechaliśmy ponad 2500 mil i na koniec trasy przytrafia nam się taka nieprzyjemna niespodzianka. Odbieramy najpierw osobówkę z wypożyczalni przy lotnisku w Oakland i już na dwa auta pędzimy z językiem na brodzie do Cruise America, gdzie ku naszej radości pracownik, przyjmujący od nas auto, nie zauważa zbitej szyby. Podpisuje nam dokumenty, że wszystko jest w porządku, poprawiając tym samym znacznie nasz humor. Wpakowujemy cały dobytek do osobówki (Kia Sorento) i ruszamy „na miasto”! Punkt pierwszy – San Francisco Maritime National Historical Park (gdzie wykorzystujemy po raz kolejny nasz National Park Pass, który pokrywa wejście naszej całej czwórki). Znajdują się tu przycumowane do brzegu statki, do których wnętrza możemy się udać. Odwiedzamy więc na początek naj-

większy z nich – Eureka – odrestaurowany parowy prom z 1890 roku, który mógł pomieścić do 2300 osób i 120 samochodów. Całkiem sporo tych starych samochodów (przede wszystkim Fordów) możemy oglądać w środku promu i to chyba jest największą atrakcją tego miejsca. Zwiedzamy jeszcze CA Thayer, Eppleton Hall, Alma, i Hercules, który robi największe wrażenie na dzieciach. Opuszczając to miejsce, oczywiście nie omieszkamy pociągnąć za sznury, podnosząc ciężkie beczki (Block&Tackle). Beczki są takiej samej wagi, ale w zależności od wiązania sznura inaczej odczuwamy ich ciężar. Przechodzimy na drugą stronę do nowocześnie urządzonego Museum & Visitor Center (Hyde & Jefferson Street). Poza bezpłatnymi mapkami i folderami można tu zapoznać się z ciekawą historią żeglugi morskiej, rozkoszując się modelami okrętów i interaktywnymi wystawami.

Ponieważ zostało nam jeszcze chwilę czasu do odlotu, postanawiamy udać się na krótki rekonesans do China Town. Ale żeby tam dotrzeć, musimy przejść przez Ghirardelli Square, gdzie z każdej strony kuszą nas czekoladki tej chyba jedynej zjadliwej firmy cukierniczej w Stanach. Oglądamy też jak zawsze z zainteresowaniem przekraczanie wagoników – *Street cable cars* – w miejscu zwanym Cable Car Rotation Place (Beach & Hyde Street). Jest to „zajeżdźnia”, gdzie następuje przekręcenie tramwaju do jazdy w kierunku przeciwnym. Street Cable Cars to ostatnie działające na świecie ręcznie sterowane kolejki linowe (przejazd 7 USD/osoba), będące wizytówką San Francisco. Działają nieprzerwanie od końca XIX wieku. Oprócz nie możemy się też przejażdżką po Lombard Street – najbardziej zakręconą uliczką miasta. Kiedy docieramy do China Town, jest już późny wieczór, i nie mamy zbyt wiele czasu na dokładne zapoznanie się z tą dzielnicą. Wkraczamy jednak przez „smoczą bramę” (Dragon Gate) (Bush Ave & Grand Ave) i otwiera się przed nami świat tajemniczej Azji. Sklepy pełne badiwek, restauracje, bary, banki – wszystko z napisami w języku chińskim.

Namówieni przez panią rozdającą ulotki schodzimy do podziemia... do miejsca, gdzie zapewne niewielu turystów trafia z własnego wyboru. Jest to lokalna restauracja dla lokalnych mieszkańców (Woey Loy Goey Restaurant – 699 Jackson Street). I nie ma tu słowa przesady: menu jest w języku chińskim, co tylko wzbudza nasze rozbawienie, bo kelnerka mówiąca łamanym angielskim nie jest w stanie odpowiedzieć precyzyjnie na nasze pytania dotyczące zamówienia, więc w sumie nie jesteśmy pewni, co ląduje w naszych brzuchach, no może poza dziećmi, które zamawiają swoją ulubioną potrawę, czyli makaron. Przez następną godzinę przenosimy się do chińskiej rzeczywistości, oglądając w ustawionym przed naszym stolikiem starszowieckim telewizorze serial kryminalny „made in China” z lat 70. Wszyscy bywalcy tego miejsca są zafascynowani losami głównych bohaterów, więc nie chcąc robić im przykrości też wpatrujemy się w ekran, próbując wychwycić jakiś sens, co jest oczywiście niezmiernie trudne.

Po spożytym posiłku dziękujemy i uciekamy w szybkim tempie na lotnisko, skąd samolot tanich linii lotniczych z zerowym poziomem wygody dostarczy nas całych i zdrowych do Chicago. Rozstrój żołądka nastąpi na szczęście już po wylądowaniu.

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)
Jan i Basia Robak

Colorado jesienią



Termin: 28 września – 9 października 2018

Trasa: Chicago; Colorado: Denver, Boulder, Brainard Lake Recreation Area (Michell Trail), Rocky Mountains National Park – Wild Basin (Ouzel Falls Trail), Bear Lake Area (Emerald Lake Trail & Sprague Lake Trail; Alluvial Fan Trail, Tundra Community Trail; Alpine Visitor Center, Holzwarth Historic Site Trail, Adams Falls Trail), Arapaho National Recreation Area (Pine Beach), Georgetown (Georgetown Loop Railroad), Guanella Pass (Silver Dollar Lake Trail), Saint Mary Glacier Trail, Idaho Springs (Charie Tayler Water Wheel & Bridal Veil Trail), Russell Gulch, Central City, Nevadaville, Black Hawks, Golden Gate Canyon State Park, Golden (Coors Brewery Tour), Dinosaur Ridge Trail, Red Rock Amphitheater, Roxborough State Park (Fountain Valley Trail), Rampart Ridge Road (Devil's Head Trail), Manitou Springs (Garden Of The Gods, Red Rock Canyon Open Space), Denver (State Capitol); Chicago

Koszt przelotu: 476 USD za 4 bilety Frontier Airlines (Chicago – Denver – Chicago)

Koszt wynajmu RV: 915 USD = 415 USD + (500 USD *gift card*) – wykorzystaliśmy kupon za wygrany konkurs w Cruise America.

Długość trasy: 647 mil (1041 km)

Koszt benzyny: 203 USD, średnie spalanie benzyny RV: 9 mil/1 galon, średnia cena benzyny: 2,80 USD/galon

Noclegi: bezpłatnie na terenie National Forest lub kempingi 0–26 USD/noc

Koszt wycieczki: 1765 USD

Przewodniki: Colorado Atlas (Benchmarks), Colorado (Lonely Planet), Falcon guides: Hiking waterfalls in Colorado, Hiking Colorado, Hiking Colorado's Front Range; Ghost towns in Colorado Philip Varney

Pogoda: Zimno... ale pięknie. Początek października to ostatnia chwila, żeby odwiedzić Kolorado w celach „hikingowych” ...z dziećmi. Niesamowite jesienne kolory mieniące się na wzgórzach górskich zrekompensowały na szczęście niedogodności pogodowe, jakich doświadczyliśmy. Temperatury nocą spadały poniżej 0°C, a w dzień maksymalnie dochodziły do 12°C... (choć w ciągu ostatnich 3 dni, niestety, maksymalna temperatura osiągnęła zaledwie 5°C i doszedł do tego jeszcze siąpiący nieustannie deszcz). Nie przeszkodziło nam to jednak w realizowaniu naszego planu, i chociaż dwie ważne atrakcje musiały zostać wyeliminowane, ze względu na zamknięcie do nich dróg dojazdowych (spadł śnieg), to i tak plan został zrealizowany, a nasze podróżnicze ego zaspokojone.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1

Pobudka o 3 rano, wylot o 6 rano... Cóż, nie jest to zapewne najmiłsza część podróży, ale udało nam się przez to wszystko przebrnąć sprawnie i bezproblemowo. Na lotnisku w Denver po wylądowaniu udajemy się (wewnętrzną kolejką) po odbiór bagażu, a następnie autobusem (należącym do konkretnej wypożyczalni samochodów – w naszym przypadku Budget car rental) po osobowe auto. Udało nam się wyszukać super ofertę wypożyczenia auta (Kia Sportage) z możliwością oddania w innej lokalizacji (Denver downtown) za jedyne 19 USD! Pomimo że podczas wakacji będziemy podróżować kamperem, musimy w jakiś sposób dostać się do (oddalonej 30 mil od lotniska) wypożyczalni Cruise America RV Rental. Opcja taksówki czy Ubera wychodzi o wiele drożej i zawsze istnieje ryzyko, że w momencie kiedy zostaniemy przez taką taksówkę dowiezieni na miejsce, może nastąpić niezapowiedziane opóźnienie czy inne wydarzenie, które w jakiś sposób nas „unieruchomi”. Dlatego zawsze wypożyczamy osobowe auto na lotnisku i dojeżdżamy tym autem do wypożyczalni kamperów, by potem (po odbiorze tegoż kampera) osobówkę od razu zwrócić. Trochę to czasochłonne, ale czujemy się z taką opcją bezpieczniejsi i lepiej zorganizowani. Zresztą podróżując z małymi dziećmi musimy być przygotowani na różne niezaplanowane sytuacje. Tym razem bardzo dużo czasu schodzi nam na załatwianie osobowego auta (2,5 godziny od wylądowania), między innymi z powodu gigantycznej kolejki w wypożyczalni. Osobówkę jedziemy bezpośrednio do Cruise America RV Rental (8950 N Federal Blvd, Federal Heights), mijając dymiące olbrzymie kominy rafinerii i wysypiska śmieci, ukazujące to mniej urokliwe oblicze Denver.

Odbiór wyznaczony mamy na godzinę 11.30 (dzień wcześniej trzeba zadzwonić i umówić się na konkretną godzinę). Załatwianie formalności przebiega bezproblemowo i wyjeżdżamy wielkim (25 stóp długości = 7,6 m) komfortowym domem na kółkach. Pierwszy raz wypożyczamy tak dużego kampera, patrząc oczywiście na wygodę (nie trzeba rozkładać codziennie łóżka i jest zewnętrzny schowek na walizki i drewno)... Ale ma to i swoje złe strony, bo nie wszędzie możemy wjechać... ze względu na obowiązujące przepisy drogowe lub właśnie zbyt duże gabaryty. Teraz zostaje nam już tylko oddanie osobówki do wypożyczalni (Budget car rental) i zakupy w Walmart i Costco (tu potrzebna karta członkowska). Cała organizacja zajmuje nam jednak cały dzień

i dopiero późnym popołudniem wyjeżdżamy z Denver, kierując się na miasteczko Boulder, które w zasadzie tylko objeżdżamy, chociaż definitywnie zasługuje ono na głębsze poznanie ze względu na atrakcje, jakie oferuje (m.in. Celestial Seasoning Tea Factory: bezpłatna wycieczka połączona z degustacją herbat, czy wycieczki po lokalnych 20 mikrobrowarach ...również raczone degustacjami, klimatyczna Pearl Street, Kampus Uniwersytecki czy Chautauqua Park).

O Boulder mówi się, że jest największym trójkątem browarniczym na świecie... Wyjeżdżamy z miasta Sunshine Canyon Drive (drogą nr 52) i wspinamy się w górę, a ponieważ słońce schowało się już za horyzont, zaczynamy rozglądać się za jakimś miejscem na nocleg. Po przejechaniu około 5 mil od miasta znajdujemy dość obszerny parking i wyjście na szlak Bald Hill Open Space (długość 1,2 mili, WC na parkingu). Tu zostajemy na noc. „Open spaces” są to otwarte dla wszystkich obszary parkowe (bezpłatne), występujące często w obrębie większych miast. I to właśnie mieszkańcy Boulder (w roku 1967) jako pierwsi w Colorado dobrowolnie opodatkowali się w celu utworzenia takich obszarów. W nocy temperatura spada do około 0°C, na szczęście niezastąpioną zaletą podróżowania kamperem jest posiadanie ogrzewania...

Dzień 2

Rano wita nas piękny wschód słońca, dostarczając cudownych widoków otaczających nas gór i zatopionego w porannej mgie, ledwo widocznego Denver. Kierujemy się na miasteczko Gold Hill, mijając co chwila stada pasących się jelonków (*mule deer*) oraz niewielkie kopalnie złota i pozostałe po nich hałdy pokopalniane. Wydobycie złota odbywa się tu do chwili obecnej – oczywiście na lokalną skalę. Obawiamy się podejść do tych kopalni bliżej ze względu na rozstawione wszędzie tabliczki z napisami *No trespassing* i *Private property*.

Gorączka złota zaczęła się w Kolorado w roku 1858, i od tego momentu zaczęły napływać tu tysiące poszukiwaczy. Rozwój górnictwa w regionie był tak intensywny, że przyczynił się do uznania Kolorado osobnym terytorium już 3 lata później. Wcześniej obszar ten był częścią Terytorium Kansas. Kilka lat później, w roku 1876, Kolorado proklamowano 38 stanem. W ciągu tych 3 lat przyjechało tu ponad 100 000 spragnionych bogactwa śmiałków. Niewielu z nich było przygotowanych na tak śnieżne i mroźne zimy, pracę wysoko w górach, odosobnienie, co oczywiście ostudziło zapał wielu poszukiwaczy, liczących na szybkie wzbogacenie. Rozczarowani, opuszczali krainę, która miała być początkiem ich dostatniego życia. Większość jednak została, a ich potomkowie zapewne zaszyli w takich miejscach jak to, kopią dalej w nadziei na znalezienie wielkiej żyły złota. Dojeżdżamy do Golden Hills, które zamieszkuje zaledwie 118 osób... Cóż nam udaje spotkać się tylko jednego starszego pana z wielką brodą, siedzącego na bujanym fotelu przed swoim domem. Jego jedynym zajęciem jest zapewne żartowanie z każdego przejeżdżającego przez miasto turysty... zadawanym pytaniem: *Are You waiting for a bus?* Co oczywiście wzbudza początkowo nasze zdziwienie... a dopiero po chwili śmiech, bo jak wiadomo autobusy w takie miejsca nie zajeżdżają.

Najprawdopodobniej w ogóle niewielu turystów tu zajeżdża ze względu na odosobnienie i kiepskiej jakości drogę dojazdową. Dla kogoś kto tu trafi, i chciałby się zatrzymać na dłużej, za miasteczkiem jest rancho i mały hotelik rustykalny (Colorado Moun-

tain Ranch 10063 Gold Hill Rd). Po krótkiej wizycie opuszczamy wioskę, wyjeżdżając na zachód szutrową drogą Golden Hill Road (nr 52) do drogi nr 72.

Po przejechaniu 1 mili (po drodze nr 72) zatrzymujemy się na nieoznaczonym punkcie widokowym, z którego rozpościera się panoramiczny widok na Left Hand Creek Valley (dolinę, którą mieliśmy pierwotnie jechać, wyjeżdżając z miasteczka, ale się zgubiliśmy). Zaraz po dotarciu do Ward odbijamy w lewo (na drogę nr 112) do Brainard Lake Recreation Area (11 USD/auto lub bezpłatnie dla posiadaczy karty National Park Pass). Rangerka przy wjeździe informuje nas, że niestety parking, z którego wychodzi szlak Mitchell Lake trail, jest już zajęty i musimy zaparkować 1 milę przed nim. Rzeczywiście po dojechaniu do głównego parkingu innej możliwości już nie ma, ponieważ droga zablokowana jest przez rangera, kierującego wszystkich na ogólny parking, a jest dopiero 9 rano. Zapewne trzeba tu być ze 2 godziny wcześniej, by zaklepać sobie miejscówkę.

Popularność tego terenu wynika zapewne z faktu, że można tu spacerować z psami, co jest zabronione w niedalekim parku narodowym Rocky Mountains. Będziemy zatem musieli doliczyć do naszego szlaku 2 mile..., co aż tak bardzo nas nie przeraża, w końcu jesteśmy tu, żeby chodzić, a nie się wozić. Czytamy tablice informacyjne, gdzie znajduje się ostrzeżenie przed grasującymi tu pumami (*mountain lions*) i niedźwiedziami. W związku z tym wręcz zakazuje się biegania po szlakach, co może stymulować pumy do ataku. Jeśli przydarzy nam się spotkanie z tym wielkim kotem, to należy przestrzegać kilku podstawowych zasad.

Po pierwsze nie uciekać i nie panikować(!), po drugie mówić głośno niskim tonem w kierunku pumy (unikając bezpośredniego kontaktu wzrokowego), a po trzecie „nastraszyc się”, przybierając postać wyglądającą na większą niż w rzeczywistości jesteśmy... Jeśli jednak puma zaatakuje, to rzucamy w nią kamieniami, patykami, plecakami, próbując się przy tym powoli wycofywać. Cóż pomimo, że ataki pum zdarzają się niezwykle rzadko, to nie możemy pozostać obojętni na zagrożenie i zawsze wędrować w grupie, nie pozwalając dzieciom zbyttno się oddalać. Ciężko jest sobie wyobrazić siebie w sytuacji zagrożenia, bo niestety emocje i strach zmieniają nasze myślenie i nie mają nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Przed wyjściem na szlak warto przećwiczyć z dziećmi procedury postępowania w przypadku spotkania z pumą czy misiem, co może chociaż w minimalnym stopniu pomóc w niebezpiecznej sytuacji. Po właśnie takiej lekcji samoobrony szykujemy się do wyjścia na szlak. Jest bardzo zimno (7°C), nakładamy więc wszystkie możliwe ubrania, otulamy się szalikami i naciągamy czapki prawie do kolan... Skrótem przez las (wyznaczoną ścieżką) wędrujemy około 1 mili do wyjścia na szlak Mitchell Lake (parking). Stąd mamy jeszcze 1 milę do malowniczego jeziora Michell. Dalej szlak prowadzi jeszcze do jeziora Blue Lake (długość 6 mil w obie strony). Idziemy schowani w drzewach, więc wiatr dopada nas dopiero nad jeziorem Michell. Wieje tak bardzo, że ciężko nam złapać równowagę. Ponieważ dzieci zaczynają kwękać z powodu zaistniałej sytuacji, postanawiamy zawrócić w stronę parkingu.

Po przejściu mili i zejściu ze szlaku wracamy asfaltówką, otaczając jezioro z drugiej strony, przy okazji podziwiając super widoki. Wyjeżdżamy tą samą drogą (nr 112) i po dotarciu do nr 72 skręcamy na północ, zatrzymując się na chwilę w okolicy Ferncliff,

gdzie kozice górskie urządzają sobie przekąskę (z nasączonego zapewne jakąś substancją) żwiru rozsypanego przy drodze. Musiał im ten żwir bardzo smakować, bo pomimo lęku przez jadącymi szybko samochodami, uparczywie co chwila wracały w to samo miejsce po kolejnego gryza. Jadąc na północ, mijamy Allenspark i skręcamy na zachód do Rocky Mountains National Park (35 USD/auto) do najrzadziej odwiedzanej i najbardziej dzikiej części parku zwanej Wild Basin.

Droga szutrowa, którą jedziemy, prowadzi nas początkowo bez problemu do wyjścia na szlak Finch Lake, gdzie znajduje się duży parking. W tym miejscu stoi znak, zakazujący wjazdu kamperom i samochodom z przyczepami. Cóż, nam tak bardzo zależy na przejściu tego szlaku, że ryzykujemy mandatem. Brniemy dalej już bardzo terenową drogą, która zwęża się do szerokości jednego samochodu osobowego. Najgorszym momentem jest wymijanie się z autami jadącymi z naprzeciwka. Wymaga to ciągłego wycofywania i wychodzenia z samochodu, oczywiście składania bocznych lusterek, i ponownego ich rozkładania... Po dojechaniu na miejsce nie mamy zbyt dużego wyboru do zaparkowania. Jedyne dostępne miejsce, gdzie jesteśmy w stanie się zmieścić, musimy delikatnie poszerzyć, usuwając pomarańczowy słupek ustawiony tu zapewne przez rangersa. Ryzykujemy oczywiście mandatem, ale, tak jak pisałam wcześniej, szkoda by było odpuścić sobie tak przyjemny szlak, z tak błahego powodu jak zakaz wjazdu czy brak parkingu.

Zaczynamy wędrówkę z niewielką rezerwą czasową, jak na taką odległość do prze-maszerowania (5,5 mili w obie strony). Pierwszym postojem (po przejściu 0,3 mili) jest Copeland Falls (raczej mało spektakularny wodospad), następnie po (1,8 mili) Calypso Cascade i (po 2,7 mili) Ouzel Falls – najbardziej widowiskowy z tych 3 wodospadów. Idąc, potykamy się wielokrotnie o wystające kamienie i korzenie... co przeszkadza przede wszystkim naszym dzieciakom, powodując ich frustrację przy każdym upadku. Najbardziej wyczerpujący odcinek szlaku zaczyna się przy skrzyżowaniu, gdzie odbijamy na lewo w kierunku Calypso Cascades. Podejście jest dość strome i wyciska z nas wszystkie „soki”. Żeby dojść do wodospadu Ouzel, trzeba odbić przy mostku z głównego szlaku (Bluebird Lake Trail) na lewo (przy moście).

Pomimo że jest jesień i nie ma zbyt dużo wody w rzece, wodospad ten prezentuje się wspaniale. Spędzamy tu około 20 minut i następnie w bardzo szybkim tempie, przy zapadającym już zmroku, pędzimy w kierunku kampera, by jako ostatni opuścić parking. Ponieważ wyjeżdżając z parku narodowego otacza nas już totalna ciemność, postanawiamy skorzystać ze znajdującego się nieopodal kempingu Olive Ridge (leżącego już na terenie Arapaho Roosevelt National Forest), który okazuje się być niestety zamknięty. Parkujemy więc w niedalekiej odległości od bramy wjazdowej (w miejscu do zawracania) i tam organizujemy nocleg. W nocy przyjeżdżają też kolejni kempingowicze, którzy rozbijają namioty niedaleko nas.

Należy wspomnieć, że park narodowy Rocky Mountains to bardzo popularne miejsce, odwiedzane corocznie przez ponad 4,5 miliona turystów, a powodem jest przede wszystkim niedaleka odległość od Denver i łatwa dostępność. W związku z tak dużą popularnością możemy spodziewać się zapchanych parkingów, korków na drogach i tłumów na szlakach. Jesień jednak ma to do siebie, że temperatury są już dość niskie, co odstrasza większą część odwiedzających. Dość sporą wadą w podróżowaniu

o tej porze roku jest natomiast brak miejsc noclegowych, czyli krótko mówiąc, poza mykane kempingi. Podczas naszego pobytu jedynym otwartym (i zapchanym do granic wytrzymałości) jest (pięknie usytuowany na wzgórzu) Moraine Campground, oferujący 247 miejsc (bez „hook-ups”, czyli podłącza elektrycznego dla kamperów, cena 26 USD/noc).

Zamykają go zawsze około 10 października. Pozostałe 4 są już zamknięte od dwóch tygodni. Podczas letniego sezonu obowiązuje też 7-dniowy limit korzystania z kempingu, co oznacza, że legalnie w parku możemy nocować tylko tydzień, niezależnie, czy przenosimy się z kempingu na kemping (w obrębie RMNP) czy okupujemy 1 z nich. W parku narodowym nocować możemy tylko i wyłącznie na kempingu. Niestety tak to funkcjonuje w całych Stanach. W przeciwieństwie do National Forest i ziem BLM, gdzie możemy rozbić namiot w dowolnym miejscu i kempingować za darmo do 14 dni.

Dzień 3

Jeszcze w ciemnościach wyjeżdżamy z naszej miejscówki (kierując się na północ), mijając „zamek” Saint Molo i Lilly Lake (duży parking, WC), przebijając się w stronę parku narodowego Rocky Mountains drogą nr 67. Po drodze mijamy wielkie stada porokujących jeleni (*Rocky Mountain elks*). Pędzimy na sam koniec drogi do Bear Lake (by jak najszybciej zająć miejscówkę parkingową) i tu czeka na nas niemiła niespodzianka – ze względu na nasze gabaryty (długość RV – 25 stóp) zostajemy wyproszeni przez rangerkę z zajętego przez nas miejsca.

Musimy udać się na *park&ride*, by zaparkować i grzecznie poczekać na autobus (bezpłatny *shuttle bus*), który dowiezie nas do Bear Lake. Tracimy przez to trochę czasu, ale to są właśnie negatywne skutki poruszania się bardziej luksusowym pojazdem. Zawsze pożyczamy wersję kompaktową kampera (długość 19 stóp), którą jesteśmy w stanie wcisnąć się wszędzie tam, gdzie i osobówka się wciska. Tu jednak wystaje nam delikatnie pupa... i nie mieścimy się na standardowym miejscu parkingowym bez wjeżdżania np. przednim kołem na chodnik (co jest nie do zaakceptowania przez rangerkę). Tylko kampery do długości 21 stóp mogą wjeżdżać w tę część parku. Musimy więc cofnąć się do *park & ride*, gdzie znajduje się olbrzymi parking, na którym na szczęście jest jeszcze dużo wolnych miejsc do zaparkowania (w lecie o godzinie 10 rano wolnych miejsc już zazwyczaj nie ma).

Tracimy około godziny przez te roszady. Autobusy w parku jeżdżą co 10 minut. Słońce świeci, co dodatkowo dodaje nam optymizmu do maszerowania, chociaż i tak czapek z głów nie zdejmujemy ze względu na silny wiatr. Szlak, na który decydujemy się na „dzień dobry”, to Emerald Lake trail (3,6 mili w obie strony) w początkowej części jest bardzo łatwy. Pierwszy postój robimy sobie nad Nymph Lake, gdzie z ciekawością podglądamy ubarwione na niebiesko Modrosójki błękitne (*Blue Jays*). Ptaki te najprawdopodobniej dokarmiane przez nieświadomych swojej głupoty ludzi nie czują lęku i podlatują naprawdę blisko, mając nadzieję, że do dzioba wpadnie im jakiś smakowity kęsek.

Za jeziorem powoli zaczynamy się wspinać, odpoczywając co kilka kroków... bo chyba jeszcze do końca nie zaklimatyzowaliśmy się do tej wysokości. Wędrujemy powyżej 3000 m n.p.m., przez co mamy mniej tlenu do oddychania i stąd też nasze za-

dyszki. Kolejny dłuższy postój, rozpatrując niewątpliwie urokliwość tego miejsca, trzeba zrobić sobie przy małym jezioru jeszcze przez dotarciem do Dream Lakes. Pluskają się tu pstrągi, które z zaciekawieniem obserwujemy z wielkiego głazu położonego tuż obok tego zbiornika. Młodociany wędkarz wyciąga z wody całkiem konkretny okaz, ale po zrobieniu mu zdjęcia, wpuszcza go z powrotem do wody. W Stanach Zjednoczonych często wędkarze nie zabierają ryb ze sobą w celach konsumpcyjnych, ale traktują je jako dobro ogólne i stosują się do zasady *catch and release*. Zresztą w tym przypadku i tak obowiązujące przepisy w parku narodowym zabraniają zabierania ryb. Park nie wymaga jakiegś specjalnej licencji wędkarskiej poza tą, którą możemy nabyć chociażby w Walmarcie (56 USD/rok lub 9 USD/dzień jako nierezydenci Kolorado). Przepisy parkowe wymagają natomiast dokładnej dezynfekcji wędki i wszelakiego sprzętu potrzebnego nam do łowienia (by nie przenosić glonów, alg, błota i bakterii z innych zbiorników wodnych).

W okolicy Dream Lake możemy spotkać niezliczone małe wiewióreczki (*chipmunks*), które również dokarmiane regularnie przez turystów nie czują przed nimi lęku. „Chipmanki” dosłownie wchodzi ludziom do otwartych plecaków i toreb w poszukiwaniu pożywienia. Dzieciaki są wniebowzięte, bo mogą obserwować zwierzątka z bardzo małej odległości, oczywiście z zachowaniem ostrożności, bo to w końcu dzikie zwierzęta, a nie domowe przytulanki. Ponieważ nasz postój się przedłużył ze względu na wszechobecność tych wiewiórek, zdążyliśmy skostnieć już z zimna i wiatru, który przy jeziorze wieje ze spotęgowaną siłą.

Szybkim marszem wspinamy się po kamiennych schodach dalej ku jeziorze Emerald. Ten końcowy etap szlaku jest najtrudniejszy dla nas, a przede wszystkim dla dzieci, które muszą być zachęcane czekoladowymi smakołykami, by chciało im się poruszać dalej. W końcu po 3 godzinach docieramy do celu (po przejściu 1,8 mili). Ze względu na to, że dzisiaj jest niedziela, turystów jest tu wielu i można usłyszeć kilka odmiennych języków z różnych stron świata. Stojąc twarzą do jeziora, widzimy piękne szczyty górskie Flattop Mountain i Hallett Peak.

W drodze powrotnej Janek niefortunnie upada i rani się w nogę, przez co nasz marsz jest znacznie spowolniony i musimy odpuścić sobie kolejną wędrowkę dookoła Bear Lake (1 mila). Biegnę tylko szybko na pierwszy punkt widokowy, by choć przez chwilę móc rzucić okiem na jego lśniąca granatową taflę.

Dziaciaki są wykończone tym szlakiem, więc odpuszczamy sobie również kolejny szlak na Alberta Falls (długość 1,6 mili w obie strony) (do wyjścia na szlak trzeba podejść do następnego przystanku lub wyjść z miejsca, gdzie szlak na Emeralds Lake krzyżuje się ze szlakiem na Bear Lake). Postanawiamy w ramach odpoczynku podejść do Moraine Park Discovery Center, znajdującego się na samym początku Bear Lake Road (przy skrzyżowaniu z drogą nr 36). Miejsce to przyciągnęło nas przede wszystkim ze względu na program *junior ranger*, w którym to uwielbiają partycypować nasze dzieciaki. Jest to bezpłatny program oferujący (po wykonaniu określonych zadań w parkowym zespolicie ćwiczeń) odznakę młodego strażnika parku, którą później dzieci noszą z wielką dumą przypiętą do piersi. Po wykonaniu zadań Jaś i Basia składają uroczystą przysięgę przed rangerem zakończoną zdaniem: „...i zobowiązuję się przywieźć jutro

rano rangerowi świeże pączki i kawę...”, czego już nasze zdziwione dzieci na szczęście powtórzyć nie chcą, „łapiąc” na czas podchwytliwy tekst.

Discovery Center oferuje też dużo ciekawych wystaw dla dzieci i dorosłych dotyczących flory i fauny w parku. Prosimy też rangersa o sprawdzenie wolnych miejsc kempingowych i na nasze szczęście okazuje się, że od wczorajszego dnia (kiedy to kemping był pełny) zwolniło się 27 miejsc. Mundi pędzi więc szybko na kemping i „zaklepuje” ostatnie (z 3 już dostępnych) miejsc (26 USD/noc), rozchodzących się jak świeże bułeczki. Ponieważ niewiele czasu pozostało już nam do zachodu słońca, jedziemy z powrotem na *park & ride*, by zostawić na nim kampera i autobusem udać się na szlak dookoła Sprague Lake (długość 0,8 mili), bo tam też wjazd kamperem mierzącym powyżej 22 stóp długości jest zabroniony. Wbiegamy pędem do odjeżdżającego już autobusu i po kilku minutach jazdy dowiadujemy się, że autobus, w którym się znajdujemy, nie zajeżdża na Sprague Lake ...i że powinniśmy wsiąść w inną linię. Cóż, nasz kierowca poprzez CB radio prosi kierowcę, który właśnie wyjeżdża z parkingu przy Bierstadt Lake w kierunku *park & ride*, żeby na nas zaczekał i za kilka minut znowu znajdujemy się w tym samym miejscu.

Na parkingu autobus, który akurat odjeżdża z drugiego przystanku, jedzie w odwrotnym kierunku, czyli do Moraine Park. OMG!!! Rozmawiamy chwilę z jego kierowcą i ponieważ prawdopodobieństwo, że po przejściu szlaku zdążymy na ostatni kurs jest niewielkie (godz. 19.15). Kierowca sugeruje nam, żebyśmy się nie przejmowali zakazem i pojechali tam kamperem. Tak też robimy. Parking jest spory, ale i tak pomimo późnej pory nie ma dużego wyboru miejsc. Wciskamy się naszą kolumbryną (25-stopowy RV to po prostu potwór parkingowy, którego ciężko gdziekolwiek upchnąć!!!) i idziemy na spacer dookoła jeziora, przekraczając strumień Boulder Brook pełen pstrągów (widocznych jak na dłoni).

Występują tutaj łosie, które spotkali niedawno spacerujący tędy ludzie. My jednak nie dostępujemy tego zaszczytu. Przebiegamy w zasadzie szlak, dopasowując się do tempa dzieci, które akurat na koniec dnia dostały strzału energii. Po zachodzie słońca przemieszczamy się w stronę kempingu Marine Park, ale jeszcze przed dotarciem do niego zostajemy zatrzymani przez tzw. *animal traffic* – to tu właśnie (pierwszy i ostatni raz podczas pobytu w RMNP) dostrzegamy łosia żerującego przy rzece. Przed samym kempingiem też udaje nam się wziąć udział w przepięknym widowisku... jadąc główną drogą (Bear Lake Road) na północ dostrzegamy kolejny *animal traffic* na drodze niedaleko kempingu. Skracamy więc na Moraine Park Road i w lewo na Fern Lake Road i przeciskając się pomiędzy gęsto zaparkowanymi samochodami dostrzegamy stado jeleni (*Rocky Mountain elks*) na rykowisku. Samiec z wielkim porożem głośno daje wszystkim znać, kto tu rządzi...

Nad bezpieczeństwem gapiów czuwają tu strażnicy parkowi i liczni wolontariusze. A czuwać trzeba, bo czasem nierozwaga i głupota potrafi dać o sobie znać... a w końcu mamy do czynienia z dziką zwierzyną pokaźnych rozmiarów. W parku narodowym jeleni jest tyle, że nawet przejeżdżając samochodem i nie wystawiając stopy spoza niego istnieje 100% prawdopodobieństwo, że spotkamy ich kilka, pasących się przy drodze lub przez naszą drogę przechodzących. Po 30-minutowej obserwacji stada prze-

mieszczamy się na kemping (miejsce nr 245), gdzie rozpalamy w końcu wielkie ognisko połączone z pieczeniem kiełbasek.

Dzień 4

Budzimy się o naszej stałej wakacyjnej porze, czyli o 5.30 rano. Nad doliną słychać głośne ryki jeleni. Zaczynamy dzień gorącą owsianką, zaopatrzeniem się w wodę do kampera i spuszczeniem wody brudnej (na *dump station*). Przywołani głośnymi rykami jedziemy znowu w tę samą miejscówkę, gdzie obserwowaliśmy jelenie dzień wcześniej. O tej porze dnia jest tu tylko kilka samochodów, a zwierzyny równie dużo jak wczoraj wieczorem. Podglądamy je z należytą ostrożnością przez kolejne półgodzinki, a następnie wyruszamy w kierunku wyjścia na szlak Alluvial Fan, położonego niedaleko Endovalley Picnic Area (przed wjazdem na Old Fall River Road). Po drodze spotykamy jeszcze potężnego jelenia (*Rocky Elk*), który majestatycznie przechodzi przez naszą drogę. Zatrzymujemy się na punkcie widokowym West Horseshoe Park, podziwiając malowniczą meandrującą Fall River i całą dolinę znajdującą się pod nami. Z góry widzimy wyraźną granicę – płot, który oddziela część „wyskubaną” od tej porośniętej gęstą roślinnością. Paradoksalnie to może zabrzmi, ale RMNP boryka się z „przeludnieniem” jeleni... Jest ich tak wiele, że pałaszują całe połacie roślinności, zostawiając tyse polany. Zarząd parku, by zapobiec niszczeniu tak dużej części roślinności, opłotowuje więc co jakiś czas tereny, by mogły ulec regeneracji.

Podjeżdżamy do zachodniego (West) parkingu, skąd wychodzi Alluvial Fan Trail. Jest też drugie wyjście na ten szlak – ze wschodniego parkingu. Szlak prowadzący do wodospadu jest krótki i bardzo prosty (długość w obie strony 0,5 mili). W końcowym etapie trzeba trochę poskakać po kamieniach i można w zasadzie improwizować, by dostać się do dowolnego miejsca obszernie rozlewającego się wodospadu.

Z miejscem tym związana jest bardzo smutna historia, która wydarzyła się w 1982 roku. W 1903 roku na znajdującym się na wysokości 3350 m n.p.m jeziorze Lawn Lake zbudowano tamę, by zwiększyć jego pojemność. Tama nie była przez lata konserwowana, co oczywiście wpłynęło na znaczne pogorszenie jej jakości. 15 lipca 1982 roku o godzinie 2 nad ranem jeden z kempingujących w jej okolicach turystów usłyszał dziwne dźwięki, ale pomyślał, że to po prostu nadchodząca burza. Jak się okazało... nie była to burza, a pękająca tama, która to ostatecznie runęła 3 godziny później, zabijając na miejscu jednego kempingującego turystę. Woda z jeziora zaczęła w drastycznie szybkim tempie „uciekać”, tracąc objętość ponad 3 stadionów sportowych w ciągu pół godziny. Rzeka Roaring zamieniła się w potwora niosącego olbrzymie głazy i wyrwane z korzeniami drzewa. Obliczono, że siła wody była tak wielka, że uniosła nawet ważącą 452 tony skałę. Sytuację w znacznym stopniu uratował parkowy śmieciarz, który w porę zaalarmował rangerów, by zaczęli ewakuację innych parkowych kempingów, a nawet znajdującego się w znacznej odległości miasteczka Estes Park. Woda po dotarciu do doliny zaczęła się po niej rozlewać, co niestety nie było zakończeniem tego dramatu. Zaczął przepelniać się kolejny zbiornik (Horseshoe Reservoir) i o godzinie 7.15 runęła kolejna tama (Cascade Dam). Potem fala uderzyła w kemping Aspenglen, porywając dwie osoby, które zamiast uciekać podczas zarządzanej wcześniej ewakuacji, wróciły po swój sprzęt turystyczny. Kiedy powódź dotarła do Estes Park fala miała wysokość 2 metrów

i zniszczyła 3/4 miasta, kończąc swój bieg w jeziorze Estates Lake. Te zniszczenia, widoczne do dzisiaj w postaci ogromnych głazów narzuconych przez płynącą wodę, mijamy, idąc w kierunku wodospadu.

Dzieciaki od razu po dotarciu na miejsce wybierają formę czynną, czyli pluskanie się w lodowatej wodzie, przyjmując sobie za punkt honoru zbudowanie jak największej liczby tam... Podczas jesiennej pory roku nie ma problemu z przekroczeniem rzeki, bo stan wody jest niski. Na wiosnę zapewne wygląda to inaczej, więc może lepiej wybrać szlak z parkingu wschodniego. Po tej relaksującej wycieczce wracamy tą samą drogą do skrzyżowania Deer Ridge Junction i skręcamy na zachód.

Pierwszy na tej trasie przystanek to Hidden Valley bez specjalnie ciekawych widoków (jest to po prostu olbrzymi parking i piknikowe miejsca). Zatrzymujemy się natomiast na dłużej na parkingu przy Many Parks Curve, skąd chodniczkiem dochodzimy do punktu widokowego. Następnie Rainbow Curve i znowu przepiękna panorama. Zaczynamy się wspinać do strefy alpejskiej, zostawiając za sobą granicę drzew. Temperatura sięga 0°C, a silny wiatr zniechęca do wystawienia chociaż czubka nosa za drzwi kampera, ale wyskakujemy na chwilę przebiec się po szlaku Ute Trail prowadzącego wzdłuż głazów „porozrzucanych” jakby niedbale po tundrze.

Ponieważ nadciągają sine chmury, postanawiamy przenieść się nieco dalej na Forest Canyon Point, skąd wybetonowaną ścieżką dochodzimy do punktu widokowego. Dzieciaki, będące dzisiaj zdecydowanie w słabszej formie, padają na ławkę i nie ruszają się przez najbliższe 5 minut. Pogoda zaczyna się „kiepscić” na dobre i nie widać już ani skrawka niebieskiego nieba. Podjeżdżamy 2 mile dalej do Rock Cut (WC). Jesteśmy teraz na wysokości 3685 m n.p.m. i zaczynamy powolny spacer po tundrze (Tundra Community Trail – długość 1,1 mili w obie strony). Powolny, bo po pierwsze – idziemy pod wiatr, a po drugie – niska zawartość tlenu też daje się we znaki, szczególnie dzieciom. Idziemy w stronę skalnych grzybków (*mushroom rocks*), które są usytuowane w końcowej części szlaku. Na grzybki wspinać się nie wolno, ze względu na ich delikatną strukturę, ale na samym końcu szlaku jest kilka skałek, na które już wdrapać się możemy, podziwiając okolicę... i nadciągającą burzę śnieżną. Jest niesamowicie zimno i w momencie kiedy atakuje nas deszcz ze śniegiem, zaczynamy natychmiastową ewakuację do kampera. Mijamy tylko punkt Lava Cliffs i zatrzymujemy się na parkingu przed Alpine Visitor Center. Zanim jednak zaparkowaliśmy, tuż przez naszego Rvika wyszedł potężny jeleni (*Rocky Elk*), który najprawdopodobniej został zmuszony do oddalenia się od stada po przegranej walce z innym samcem.

Warto zatrzymać się w Visitor Center chociaż na chwilę, by poprzez liczne tablice informacyjne zapoznać się z alpejską florą i fauną i podotykać sobie poroża jeleni czy kozic górskich. Jest tu też wychodzący na piękne widoki taras, ale niestety ze względu na panujące niesprzyjające warunki atmosferyczne nie da się na nim stać dłużej niż minutę. Barometr pokazuje bardzo niskie ciśnienie i temperaturę 1°C, czas więc jak najszybciej zjeżdżać w dół, by zyskać kilka stopni ciepła. Serpentykami o dość sporym nachyleniu zjeżdżamy w dół i zatrzymujemy się dopiero przy Holzwarth Historic Site (długość szlaku w obie strony 1,8 mili), przechodzimy most nad rzeką Colorado, znajdując się tylko 10 mil od jej źródła. Mijamy kilka starych maszyn rolniczych i dochodzimy do

rancza (Never Summer Ranch). Niestety wszystkie pomieszczenia są pozamykane poza sezonem, więc zaglądamy tylko przez okna, jeśli istnieje takowa możliwość. Kiedyś turyści przyjeżdżali tu na wakacje, by połowić ryby, zapolować na grubego zwierzka i pojeździć konno. Okolice jest naprawdę malownicza, więc było to idealne miejsce na spędzenie kilku dni w otoczeniu tylko dzikiej przyrody. Wracając ścieżką słyszymy głośne ryki jeleni, i za chwilę znajdujemy się już niedaleko ich samych (Harbison Meadows). Ponieważ słońce już zaszło, a my musimy wyjechać z granicy parku (bo kemping Timber Creek jest już zamknięty na sezon zimowy), zaczynamy się zastanawiać, gdzie zorganizujemy nasz nocleg. Zaczynamy poszukiwania od drogi, która prowadzi nas do „zabytkowego” Grand Lake Lodge, ale niestety cały teren jest prywatny, a my nie chcemy ryzykować, że w środku nocy zostaniemy stąd wyproszeni przez pana policjanta. Jedziemy więc do miasteczka Grand Lake, po którym kręcimy się trochę, ale na głównym parkingu stoi znak zakazujący parkowania w nocy. Ponieważ jutrzejszy dzień chcemy zacząć od szlaku Adams Falls, jedziemy w jego kierunku (czyli do końca drogi 278). Miasteczko Grand Lake to przyjemne „nowoczesne” miejsce, taka alternatywa dla Estes Park jako bazy wypadowej do parku narodowego. W downtown większa część budynków jest zbudowana z drewnianych bali i oczywiście większość tych budynków to restauracje, bary, sklepiki i hotele.

Zatrzymujemy się na ogromnym parkingu należącym do mariny i parku narodowego. Parkujemy po stronie mariny, przy znaku zezwalającym na przebywanie w tym miejscu do 72 godzin. Parking RMNP wymaga pozwoleń (*permits*), więc nie ryzykujemy. Jesteśmy tu sami, bo nie ma zbyt wielu chętnych na spanie w autach przy tak niskich temperaturach...

Dzień 5

Budzimy się jak zwykle o 5.30 rano i jeszcze po ciemku zjadamy śniadanko, by z pierwszymi promieniami słońca, przebijającego się przez mgłę, wyjść na szlak prowadzący do Adams Falls (1,3 mili w obie strony). Cóż, te promienie słońca jak na razie ciepła nie dają... maszerujemy przy temperaturze bliskiej 0°C, ale już zdążyliśmy się przyzwyczaić do tej niedogodności. Szlak jest bardzo prosty i doprowadza nas do punktu widokowego z barierką, skąd możemy sobie bezpiecznie pooglądać wodospad. Wodospad sam w sobie (jeszcze do tego o tej porze roku) nie jest może zachwycająco piękny, ale znalazł się na naszej trasie, więc szkoda by go było ominąć. Wędrujemy dalej po opadłych i przymarzniętych do podłoża liściach, robiąc pętelkę i wracamy do auta. Przejeżdżamy przez miasteczko Grand Lake w poszukiwaniu świeżego chleba, co okazuje się niewykonalne; w sklepie same miękkie buły opakowane w worki i nie nadające się do zjedzenia (a lokalna piekarnia – Blue Water Bakery – zamknięta jest w poniedziałki i wtorki). Jedziemy na południe wzdłuż Shadow Mountain Lake (Arapaho National Recreation Area – opłata za wstęp 5 USD/auto – my mamy National Park Pass, więc nie płacimy). Jazda do Pine Beach. Ze względu na podmokłość tego terenu, licznie występują tu łosie, ale niestety pomimo przedzierania się przez gęste chaszczki, nie udaje nam się żadnego wypatrzeć. Mamy za to piękne widoki na jesiennie kolory drzew odbijające w wodzie jeziora... Podjeżdżamy do samego końca drogi Green Ridge. Kemping, a w zasadzie jego mała część jest jeszcze otwarta (*dump station* niestety

już nie). W punkcie widokowym (Eagle Viewing Area) niestety poza pustymi gniazda-
mi orłów, nie udaje nam się też żadnego ptactwa wypatrzeć. Wracamy więc do głów-
nej drogi (nr 34) i jedziemy na południe wzdłuż jeziora Granby. W miasteczku Granby
(korzystając z informacji wyczytanej na tablicy informacyjnej na kempingu Green Rid-
ge) odnajdujemy *dump station* i w końcu uzupełniamy cały zbiornik wody w naszym
kamperze (dojazd: *dump station* ulokowany jest na południowej stronie miasteczka, po
przejechaniu torów – kierować się na Train Museum). Deszcz pada coraz bardziej, co
raczej nie napawa nas optymizmem. Jedziemy drogą nr 40 na południe w kierunku hi-
storycznego miasta Georgetown. Jeżeli ktoś ma ochotę na skorzystanie z gorących
źródeł, to w Granby można odbić na zachód (6 mil) do miasteczka Hot Sulphur Springs,
gdzie w resorcie o tej samej nazwie za 20 USD od osoby (12,50 USD/dziecko) można
pomoczyć się trochę w termalnych basenikach (temperatura wody waha się od 35°C
do 44°C). Jadąc dalej, mijamy Winter Park, i tuż za nim stajemy się „ofiarami” potęż-
nego korka, który zatrzymał ruch na serpentynach na wysokości 3200 metrów. Stoimy
tak ponad godzinę, a latające helikoptery nie wróżą raczej nic dobrego. Karetki jadące
na sygnale również przepowiadają długi postój. Pomimo naszych negatywnych prze-
czuć mijając później miejsce wypadku widzimy tylko ciężarówkę z butlami gazowymi,
obok zaparkowany helikopter i na szczęście nic po za tym. Dojeżdżamy do George-
town i kierujemy się do Visitor Center (Exit 228 z Hwy 70, 1491 Argentine Street) po
niezbędne ulotki i mapki okolicy, a następnie od razu na dworzec kolejowy obsługują-
cy Georgetown Loop Railroad (646 Loop Drive). Jest to wąskotorowa kolejka zabierają-
ca turystów na 4-milową malowniczą przejeżdżkę do miasteczka Silver Plume.

Ostatni pociąg odjeżdża stąd o 15.10 i musimy być w tym miejscu jakieś 20 mi-
nut wcześniej, by zobaczyć przejazd tegoż pociągu po spektakularnym moście – Devil's
Gate High Bridge, znanym z folderów i pocztówek Kolorado. Stojąc na parkingu przed
Railroad Depot, nasłuchujemy i wypatrujemy nadciągającego z Silver Plume pocią-
gu w wielkim napięciu, bo wszyscy jesteśmy oczywiście fanami starych kolei. W koń-
cu jedzie, puszczając wielkie tumany pary, przejeżdża most, zakręcając na stację, gdzie
czekają już na niego tłumy turystów. My robimy tylko zdjęcia i nie mamy w planie
przejażdżki, chociaż – jak się okaże po chwili – sytuacja nas do tego zmusi. Kiedy pa-
sażerowie zajęli już miejsca, a my czekaliśmy na odjazd, by zrobić ostatnie zdjęcie,
podeszedł do nas pan konduktor i zagadkowo zapytał, czy nie chcemy się wybrać na
wycieczkę pociągiem? My zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy mu, że tylko robimy
zdjęcia, na co pan konduktor zadał nam kolejne pytanie: czy przypadkiem nie zechcie-
libyśmy być jego gośćmi?... bez wykupywania biletów (ceny biletów oscylują od około
28 USD/osoba dorosła i 20 USD za dziecko). Cóż, oczywiście się zgodziliśmy, obiecując
zachować to w tajemnicy przed resztą podróżnych. Weszliśmy na pokład, ale po chwili
okazało się, że lokomotywa parowa, która miała nas ciągnąć, się zepsuła... i przyjedzie
za 30 minut inna, która zamieni się z nią miejscami. Niestety nie była to klasyczna lo-
komotywa parowa, a diesel, ale za to wiekowy, więc miało to również swój urok. Wy-
ruszyliśmy z prawie godzinnym opóźnieniem, i nie mieliśmy już możliwości zwiedze-
nia Silver Plume. Cała trasa kolejki jest bardzo widowiskowa, wijąc się pomiędzy gó-
rami, mijamy po drodze kopalnię srebra (Lebanon Silver Mine), do której zwiedzania

można wykupić dodatkową wycieczkę. Tak naprawdę to właśnie nie złoto, ale srebro przyczyniło się do wielkiego boomu na tym terenie, przynosząc od 1870 roku miliony dolarów zysku. Po zakończonej przejażdżce wręczyliśmy panu konduktorowi „łapówkę”, by zachęcić do częstszego zapraszania na bezpłatne przejażdżki niezdecydowanych turystów. Po powrocie kierujemy się do centrum Georgetown, a w zasadzie początkowo do zamkniętej już dla zwiedzających kopalni złota (Capital Prize Gold Mine 1016 Biddle Street, czynna 11–17), gdzie robimy tylko kilka fotek. Następnie przejeżdżamy przez miasto, obserwując stada jelonków (*mule deer*) pasących się na przydomowych trawnikach. Wszystkie furtki są tu otwarte, zapraszając gości na darmowe posiłki... Parkujemy przy budynku zabytkowej straży pożarnej – Old Missouri Fire House (Taos street & 10th street), gdzie znajduje się wyczekiwana przez nasze dzieci od kilku dni atrakcja – plac zabaw (City Park). Miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy, jest bardzo spokojne i poza nami nikt się tu nie kręci, co skłania nas do pozostania tu na noc (nie ma żadnego zakazu parkowania).

Dzień 6

Opóźnimy trochę pobudkę do 7 rano, ponieważ z powodu deszczu i zimna nie chce nam się wychodzić z ciepłych śpiworów. Po śniadaniu wyruszamy na Guanella Pass, wspinając się serpentynami w górę i podziwiając panoramę miasta. Po przejechaniu 2,4 mili zatrzymujemy się w małej zatoczce przy drodze i schodzimy do „ruin” drewnianego domu. Nie jest to nic zachwycającego, po prostu rozsypujący się stary budynek, ale w jakiś szczególny sposób przypada do gustu dzieciom, które wymyślają przedziwne opowieści związane z jego historią. Jedną serpentynę wyżej znajduje się następna zatoczka z tablicami informacyjnymi i panoramą na skąpane w złocie osik góry. Po przejechaniu kolejnych 2 mil mijamy chyba najmniej urokliwe miejsce na całej przełęczy Guanella – hydroelektrownię Lower Cabin Creek Reservoir, a następnie za kolejne 4 mile zatrzymujemy się na parkingu (zaraz przy zakręcie odchodzącym od naszej drogi), prowadzącym na szlak Silver Dollar Lake Trail (długość 4 mile w obie strony). Poza nami zaparkowane są tu jeszcze 3 inne samochody.

Droga dojazdowa do szlaku jest, mówiąc delikatnie, wyboista i pomimo że na jakimś forum hiker'skim znaleźliśmy informację, że zwykłą osobówką można ją pokonać bez problemu, to ja definitywnie odradzam taką przejażdżkę... (chyba, że ktoś porusza się jeepem z napędem na 4 koła). Droga jest bardzo szeroka, ale pełna głębokich dziur, co mogłoby spowodować zakopanie się samochodu. Ponieważ czeka nas długi spacer, przed wyjściem wsuwamy gorącą jajecznicę, która ładuje nasze baterie. Nakładamy czapki i rękawiczki, bo temperatura na zewnątrz jest około 7°C i idziemy 0,75 mili pod górkę szutrową, a w zasadzie błotnisto-szutrową drogą do „wyjścia na szlak”. Dzięki temu trasa wydłuża nam się do 5,5 mili, co nie brzmi zbyt optymistycznie dla naszych młodych gniewnych (cóż, celowo nie zostają oni poinformowani o zaistniałej sytuacji, bo skończyłoby się to kapitulacją jeszcze przed wyjściem z kampera). Szlak prowadzi początkowo lasem, więc jesteśmy całkowicie osłonięci od przeszywającego wiatru. Wspinaczka trochę wykańcza młodych, więc musimy często odpoczywać, i podawać zachęty w postaci kitketów. Po ponad godzinie marszu po wystających korzeniach i kamieniach deszcz zaczyna już porządnie padać. Mijają nas 2 grupki hikerów,

k którzy zrezygnowali z dojścia do jeziora ze względu właśnie na padający deszcz. Nam szkoda jest wracać, bo już tak dużo wysiłku włożyliśmy w ten szlak, że postanawiamy przeczekać deszcz, korzystając z ostatniej partii drzew przed wyjściem na tundrę. Czekamy ponad godzinę, marznąc trochę, ale w końcu natężenie deszczu zmniejsza się do tego stopnia, że możemy ruszać dalej. Po wyjściu ponad granicę drzew kończy się nasza „ochrona” i zaczyna się walka z wiatrem. Hula okrutnie po otwartej przestrzeni tundry, blokując nasze kroki. Widoki jednak rekompensują nam te wszystkie niepowodzenia. Najśmieszniejszy jest tekst Janka, który po dojściu do Silver Lake zadaje pytanie: „Co?! I to jest to miejsce, do którego tak długo szliśmy?” Najwyraźniej jezioro nie za bardzo mu przypadło do gustu... powrzucał do niego z Basią kilka kamieni znalezionych na brzegu i ruszyliśmy tym razem pchani przez silny wiatr z powrotem do auta.

Trochę tu Janek miał rację: jezioro nie jest wielce urokliwe jako punkt docelowy szlaku, ale widoki, jakie mijamy idąc tą trasą, są warte każdego wysiłku. W drodze powrotnej obserwujemy chowające się wśród skał piki – małe przypominające z wyglądu szczury (bez ogonów) zwierzątka wydające charakterystyczne szczekająco-gwiżdżące dźwięki (i dlatego zwane przez niektórych gwiżdżącymi zajęcami). Piki zamieszkują wyższe partie gór i należą do gatunków zimolubnych – a temperatury powyżej 25°C są dla nich w dosłownym słowa znaczeniu zabójcze. Są doskonałym wyznacznikiem zmian pogodowych związanych z ocieplaniem się klimatu. Naukowcy obserwują ich przemieszczanie się w wyższe partie gór, co powiązane jest ściśle właśnie z podwyższającą się temperaturą powietrza. Po dotarciu do auta raczymy się gorącą herbatą i quasedillą i zaczynamy powolną wspinaczkę na przełęcz Guanella (3559 m n.p.m.). Widoki z przełęczy oświetlone popołudniowym słońcem to istna petarda! Przed nami w całej okazałości „wyrasta” góra Bierstadt (4285 m n.p.m.). Jest tu punkt widokowy (WC), skąd wychodzi szlak South Park 600 – Square Top Lakes (długość 4 mile w obie strony), ale my decydujemy się tylko na krótki Interpretive Trail po tundrze (długość 1/4 mili). Z parkingu poniżej wychodzi szlak na górę Bierstadt (długość 7 mil w obie strony), ale zostawiamy go na „za kilka lat”, chociaż tak bardzo kusi swoim blaskiem, że ciężko jest oderwać od niego oczy... Zjeżdżamy z przełęczy w poszukiwaniu kempingu, by zakończyć tak cudowny dzień z klasą – rozpalając wielkie ognisko. Pierwszy na naszej drodze kemping Geneva Park jest już zamknięty na sezon zimowy. Następny – Burning Bear na szczęście otwarty, ale bardzo zaniedbany (22 USD/noc). Droga przejezdna przez kemping jest pełna głębokich dziur, a woda w wiekowej pompie jest nieosiągalna.

Wybieramy super miejscówkę przy skałkach, na których nasze dzieci urządzają obozowisko indiańskie, uruchamiając swoją nieograniczoną wyobraźnię. Noc jest bardzo gwieździsta i mroźna. Kończymy dzień wielkim ogniskiem i pieczonymi na patyku kiełbaskami.

Dzień 7

Zrywamy się przed świtem (5.30) i bez śniadania wyruszamy w drogę powrotną do Georgetown. Mgła jest tak gęsta, że jazda w ciemności przysparza nam nie lada trudności. Wspinamy się bardzo powoli stromo w górę. Robimy sobie dłuższy postój na punkcie widokowym na Guanella Pass i czekamy aż do świtu, dzięki czemu już przy

znacznie niższym poziomie adrenaliny możemy jechać dalej. W Georgetown parkujemy przy „naszym” placu zabaw, na którego środku znajduje się kamienny piec – kominek, który rozpalamy drewnem (wożonym zawsze w schowku kampera) i smażymy kiełbaski na śniadanie. Po 1,5-godzinnej fiescie, połączonej oczywiście z zabawą na huśtawkach, wyjeżdżamy w kierunku Visitor Center (1491 Argentine Street) w poszukiwaniu wody do naszego RV-ika. Niestety obsługa informacji nie daje nam żadnych wskazówek co do jej znalezienia w mieście, i kieruje do Idaho Springs, gdzie według nich znajduje się *dump station*. Cóż, i tak jedziemy w tym kierunku, więc jesteśmy dobrej myśli, że w końcu uzupełnimy nasz zbiornik, który już prawie się wyczerpał. Jadąc wzdłuż autostrady (około 1,2 mili) Argentine Street, zatrzymujemy się na chwilę w punkcie widokowym – Wildlife Viewing Area – gdzie znajduje się punkt obserwacyjny „dający” duże szanse na wypatrzenie owiec górskich (*big horn sheeps*). A ponieważ nic nie możemy wypatrzyć, jedziemy dalej w kierunku szlaku-petardy – Saint Mary Glacier Trail (2 mile w obie strony). Występujące tu stado owiec górskich zwanych *Georgetown Bighorn Herd* liczy sobie aż 400 sztuk i jest na tyle „mocne”, że czasami część jego osobników jest przeznaczana do introdukowania stad w innych oszarach Stanów Zjednoczonych. Wjeżdżamy w drogę 275 (Fall River Road) i dojeżdżamy do dużego parkingu (5 USD/auto).

Parkingi są dwa. Wybieramy ten południowy (większy) i po zaparkowaniu kierujemy się na północną jego część, by chwilę przejść wzdłuż drogi (275) i odbić na lewo już na szlak. Szlak w zasadzie jest poprowadzony suchym korytem rzeki, więc wędrowanie jest trochę trudne ze względu na głazy i ruszające się pod stopami kamienie, co przeszkadza najbardziej dzieciom. Skracamy czasami drogę lasem, kierując się zawsze na lewo przy rozwidleniach, ale przechodzimy obok prywatnego terenu, więc trzeba bardzo uważać, by na niego nie wejść. Spacerujących ludzi jest tu dosyć sporo, więc czasami po prostu „łapiemy” ich ścieżki, których przy końcu szlaku jest wiele i w końcu dochodzimy nad malownicze jeziorko. Woda jest przejrzysta i lodowata. Lodowiec Saint Mary jest ledwo widoczny po przeciwnej stronie jeziora. Ze względu na ogólne zmęczenie załogi wybieram się samotnie w kierunku tegoż lodowca, by go po prostu dotknąć. Zapewne na wiosnę wygląda on bardziej efektownie ze świeżą białą warstwą śniegu. Idę wzdłuż wschodnio-północnego krańca jeziora i przeskakując liczne potoczki, wypływające z topniejącego lodowca, docieram do wodospadu i do jego podnóża. Jesienne kolory oplatają okolice gór, dając odwiedzającym to miejsce spektakularne widoki. Po zejściu ze szlaku zjeżdżamy na południe (drogą nr 275) do Idaho Springs, kierując się bezpośrednio do Visitor Center (2060 Miner Street), gdzie wyjątkowo nieprzyjemne panie, zajęte rozkładaniem na półkach kubków z napisem *Colorado*, traktują nas jak jakiegoś potencjalnego wroga, a nie turystę szukającego informacji.

Tu niestety dowiadujemy się, że urząd miasteczka zamknął na stałe *dump station*, oraz że droga na Mount Evans jest zamknięta od dzisiejszego poranka (z powodu opadu śniegu w jej wyższych partiach). Pokrzyżowało nam to plany, bo następnym punktem programu miał właśnie być wjazd na tę górę (4310 m n.p.m.), będącą najwyższą położoną wyasfaltowaną drogą w północnej Ameryce. Do samego budynku informacji

warto jednak zajrzeć ze względu na bardzo ciekawe wystawy minerałów i tablice o historii wydobycia złota w tym rejonie. Świetnie przygotowane Visitor Center pod względem merytorycznym, tylko należałoby wymienić panie tu pracujące.

Z parkingu Informacji dostrzegamy lśniący w słońcu czerwony budynek Argo Mine (bilet 24 USD/osoba, 16 USD/dzieci), gdzie podjeżdżamy, ale jest już za późno, by zapaść się na ostatnią wycieczkę po kopalni złota w dniu dzisiejszym. W Idaho Springs są też prywatnie zarządzane Indian Hot Springs (302 Soda Creek Road, 18 USD/osoba), gdzie można się pomoczyć w basenie z gorącą wodą w otoczeniu palm i paproci. Parkujemy znowu przy Visitor Center i idziemy na spacer w poszukiwaniu Charlie Taylor Water Wheel i wodospadu Bridal Veil (park znajduje się poniżej autostrady nr 70). Prowadzeni przez GPS, który pomaga nam znaleźć „tajemne” przejście pod autostradą, docieramy najpierw do parku Harold Anderson, gdzie zaglądamy do starej lokomotywy (Engine nr 60 z 1886 roku) z wagonem restauracyjnym. Przechodzimy następnie pod autostradą i od razu droga prowadzi nas na zachód do skwerku z kilkoma ławeczkami, z których mamy centralny widok na wodospad i zabytkowe młyńskie koło (pochodzące z młynu kruszącego złotonośne skały). Mówiąc szczerze, widok nie rzuca nas na kolana... więc po 5 minutach zwracamy do centrum miasteczka.

Zaglądamy do jednego z dwu mikrobrowarów *Westbound and Down Brewery*, ale raczej żeby rzucić okiem niż napić się piwa. Ciągłe męczy nas temat braku wody w RV-iku, ale nie znajdujemy żadnego kranika, do którego można by się podłączyć. Po powrocie do auta podjeżdżamy dosłownie 0,5 mili (na wschód) do supermarketu Safeway'a po małe zakupy spożywcze i obiecane dzieciom lody. Z miasta wyjeżdżamy szutrową drogą Virginia Canyons Road (wg mapy topograficznej OMG Road) na północ. Droga prowadzi nas pomiędzy ciągle działającymi minikopalniami złota. W skałach po obu stronach drogi widoczne są zakratowane szyby kopalniane. Przejeżdżając przez Russell Gulch mamy wrażenie, że czas zatrzymał się tutaj jakieś 50 lat temu. Poza małym chłopczykiem – widmem jeżdżącym dookoła na rowerze, nie ma tu dosłownie nikogo, a budynki są, delikatnie mówiąc, w stanie rozkładu. Wszędzie umieszczone są tabliczki zakazujące wstępu, tak więc, nie chcąc ryzykować utratą głowy, pozostajemy na głównej drodze, odbijając tylko na chwilę w Upper Russell Gulch Road, gdzie robimy zdjęcie kilku zabytkowym ruderom. Virginia Canyon Road prowadzi nas do Central City, skąd odbijamy w kierunku Nevadaville – *ghost town* (Nevadaville Road/Main Street). Pierwotnie chcieliśmy pojechać na znajdujący się niedaleko kemping Columbine, ale okazało się, że jest już zamknięty. W Nevadaville już po zachodzie słońca robimy kilka fotek i wracając do Central City znajdujemy przyjemną zatoczkę przy drodze – idealną na spędzenie dzisiejszej nocy (powyżej Academy Street i wielkiego betonowego parkingu należącego do starej kopalni).

Ponieważ mamy jeszcze trochę energii, jedziemy na krótki rekonesans do Central City. Należy wspomnieć, że w momencie odkrycia tu dużych pokładów złota w 1859 roku miasteczko to uzyskało przydomek najbogatszej mili kwadratowej na świecie! Parkujemy na miejskim darmowym parkingu (Central City parkway & Spring Street). Nasz wieczorny spacer rozpoczynamy od Mine Street (a dokładnie od pierwszego w USA sklepu sprzedającego rekreacyjną marihuanę – *Annie's Grocery*) i mijając liczne bary

i kasyna (jest tu ich aż 7) dochodzimy do budynku Opery i William's Stables (na Eureka Street). Jest zdecydowanie za zimno na dłuższe spędzanie czasu na zewnątrz, więc po półgodzinie wracamy do auta i kierujemy się na nasz upatrzony wcześniej nocleg.

Dzień 8

Po śniadaniu zaglądamy do kopalni Coeur D'Alene, ale jest zamknięta na cztery spusty, więc szutrową uliczką (Academy Street) wyjeżdżamy bezpośrednio na Eureka Street i kierujemy się w stronę miasteczka Black Hawk, którego centrum jest jednym wielkim placem budowy (usuwana jest potężna skała w celu poszerzenia miejsca na postawienie zapewne kolejnego, osiemnastego już kasyna!). Brzmi to zapewne zabawnie, że w tak małej miejscinie, którego populacja to zaledwie 120 osób, usytuowane jest 17 z 40 znajdujących się na terenie stanu kasyn. Ponieważ nie ma tu za dużo do oglądania, wyjeżdżamy szybko drogą nr 119, a następnie skręcamy w szutrową Smith Hill Road. Zaraz za zakretem stoi znak informujący, że teren należy do parku stanowego Golden Gate Canyon i jest zamknięty dla użytku publicznego z wyjątkiem polowań. Nie za bardzo rozumiemy, w jakim kontekście jest to napisane i czy możemy czuć się bezpiecznie jadąc tą drogą, zważywszy na fakt przebywania na tym terenie myśliwych, którzy mogą wziąć nas za potencjalnego zwierzka do upolowania. Nabieramy pewności, kiedy widzimy jadący z naprzeciwka samochód... jedziemy więc i my drogą, która prowadzi nas do Visitor Center.

Jak się można było domyśleć, w budynku informacji znajdują się tylko wystawy poświęcone leśnym zwierzętom, na które się poluje... Przed budynkiem „wita” nas staw pełen pstrągów, czekających tylko na kolejny wrzut pokarmu z automatu (0,25 USD za garść smrodliwych kulek). Wygłodniałe ryby rzucają się jak piranie na ofiarę, kłębiąc się wokół wrzuconego do wody jedzenia. Jedziemy dalej (drogą Golden Gate Canyon) bezpośrednio do miasteczka Golden, gdzie fundujemy sobie wycieczkę po browarze Coors (wjazd bezpłatny). Duży parking przy Fort & 13th Street przeznaczony jest wyłącznie dla odwiedzających browar. Obok parkingu jest przystanek autobusowy, gdzie ustawiamy się w kolejce, oczekując na minibus, który (robiąc pętelkę po mieście), wiezie nas do fabryki piwa. Wycieczka rozpoczyna się zaraz po wejściu do budynku obowiązkowym zdjęciem, które można sobie potem zakupić w ostatnim etapie wycieczki, czyli w barze. Jest to wycieczka typu *self guided tour*, czyli każdy chodzi sobie według własnego tempa, a jedynym przewodnikiem jest wypożyczony (za darmo) *audioguide* z ponumerowanymi przyciskami. Tak więc przemierzamy się kolejno według numerów wystaw, przyciskając odpowiednie guziki i słuchając całej historii, począwszy od założenia browaru po chwilę obecną. Założyciel fabryki – Adolf Coors był niemieckim imigrantem, który na gapę (a do tego totalnie nielegalnie) przedostał się na teren USA w 1868 roku, a w 1873 wraz z kolegą założył browar, odkupując przepis na warzenie pilznera od czeskiego imigranta. Nie jestem jednak pewna, czy ów czeski imigrant sprzedał mu prawdziwy przepis, bo to piwo po prostu nie nadaje się do picia i nie ma nic wspólnego z piwem warzonym w Czechach. Po zapoznaniu się ze wszystkimi informacjami na parterze budynku windą przemierzamy się do hal produkcyjnych. Spacerujemy korytarzami pełnymi tablic informacyjnych i plakatów reklamujących różne gatunki piwa produkowane przez Coorsa. Wiele z nich wychwala czy-

stość i krystaliczność wody pochodzącej z Gór Skalistych i służącej do produkcji piwa. Produkuje się tu aż 2000 puszek na minutę. *À propos* aluminiowych puszek, to zostały one wprowadzone do produkcji piwa przez Billa – syna Adolfa Coorsa w 1959 roku jako zastępnik istniejących już na rynku (od 1935 roku) puszek wykonywanych z blachy, ważących 100 gramów, czyli ok. cztery razy więcej niż puszki z aluminium. W tym samym roku firma Coors wprowadziła również metodę recyklingu, płacąc 1 centa za każdą zwróconą pustą puszkę po piwie. Przez pierwszych 6 lat firma przyjęła 60 milionów puszek, a do roku 1989 wypłaciła konsumentom aż 350 milionów dolarów (za 715 tysięcy ton zwróconego aluminium).

Na koniec wycieczki zasiadamy w barze, gdzie mamy do wyboru 3 piwa (bezpłatna degustacja), a dzieci lemoniadę lub piwo korzenne. Wszystko poza pszenicznym piwem Blue Moon w zasadzie nie nadaje się do konsumpcji, dla mającego bardziej wyrafinowane kubki smakowe Europejczyka. Z browaru wracamy już piechotką na parking (co zajmuje nam 10 minut – 0,5 mili), nie marnując czasu na czekanie w długiej kolejce na minibus. Zbyt dużo czasu zabrała nam ta wycieczka, więc gnamy czym prędzej do Dinosaur Ridge, zajeżdżając od strony Discovery Center. Jest to mały budynek ze skromnymi wystawami, gdzie spędzamy nie więcej niż 15 minut. Przejeżdżamy z drugiej strony wzgórza do Visitor Center i sklepu z upominkami. Tu można zakupić bilet na wycieczkę (9 USD/osoba). Wykupywanie wycieczki, czyli tak naprawdę przejażdżki busikiem, nie ma w zasadzie sensu, bo spacer jest bardzo przyjemny i łatwy (szlak prowadzi asfaltową drogą zamkniętą dla ruchu samochodowego). Parkujemy początkowo przy sklepie z pamiątkami, gdzie zakupujemy kilka sztuk minerałów. Później przestawiamy się na pobocze przy samej bramie wjazdowej. Basię ładujemy w wózek, zakładamy ciuchy „na cebukę” i drałujemy pod górę w poszukiwaniu śladów dinozaurów. Głównym i zarazem bardzo ważnym na skalę światową miejscem, gdzie są one doskonale widoczne, jest punkt *Tracks*, znajdujący się zaledwie 0,3 mili od wejścia. Widocznych jest tu około 300 śladów należących do 3 różnych gatunków dinozaurów (*eoambria*, *acrosanthrosaur* i *ornithomimid*). W innych częściach szlaku spotykamy skamieniałe riplemarki i kości dinozaurów. Cały szlak to jedynie 1,5 mili w obie strony. Niestety ostatnią jego część pokonujemy biegiem w deszczu, który kończy nasze dzisiejsze zwiedzanie. Nocujemy dokładnie w miejscu, gdzie zaparkowaliśmy, sprawdzając wcześniej, czy nie ma jakiejś tabliczki z zakazem postoju w nocy.

Dzień 9

Poranek jest przeraźliwie zimny... Więc dopiero po rozgrzewającej owsiance wyjeżdżamy drogą nr 470 na południe, by otoczyć Dinosaur Ridge i dostać się na zachodnią część do Red Rock Amphitheatre (18300 W Alameda Parkway, czynny od świtu do zmierzchu, wjazd bezpłatny). Jest to wykuty w czerwonym piaskowcu amfiteatr charakteryzujący się niesamowitą akustyką. W latach 60. amfiteatr gościł m.in. Jimi Hendrixa i The Beatles, a obecnie przybywają tu równie ważne osobistości świata muzyki. Kierujemy się do wjazdu oznaczonego literą „C”, który prowadzi nas do Trading Post, a ponieważ jest on jeszcze zamknięty, podjeżdżamy więc do parkingu ulokowanego najbliżej amfiteatru. Pomimo wczesnej pory jest tu już mnóstwo ludzi, którzy przyjechali tu na poranny trening. Biegają pomiędzy ławkami po wszystkich 70 rzędach, robiąc co

chwila przysiadły i pompek... aż miło popatrzeć na ich wysportowane sylwetki. Dojście do sceny jest niestety zamknięte ze względu na przygotowania do dzisiejszego koncertu. To bardzo klimatyczne miejsce, które Denver, a nawet całe Colorado może uważać za swoją wizytówkę. Odwiedzamy Visitor Center (wejście bezpłatne, czynny od 7 do 19), gdzie oglądamy wystawy pełne rockowych plakatów i film opowiadający o powstaniu i funkcjonowaniu amfiteatru. Plains View Road wjeżdżamy na mały parking, skąd szybkim tempem maszerujemy krótkim szlakiem Geological Trail pomiędzy czerwonymi skałkami. Nie jest to co prawda szlak petarda, ale przy mało sprzyjających warunkach atmosferycznych nie chcemy ciągnąć dzieci po błotnistych ścieżkach w bardziej urokliwe miejsca. Wyjeżdżając z parku, zaglądamy jeszcze na chwilę do *Trading Post*, który poza kilkoma wystawami oferuje gadżety typu bluzy, t-shirty czy czapeczki z logo Red Rock. My spędzamy pół godzinki na klimatycznej „jardzie” przed budynkiem, ganiając się z dziećmi. Nieustannie (i ciągle bezskutecznie) rozglądamy się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś kraniku czy pompy, skąd moglibyśmy nabrać wody do naszego kampera. Jadąc drogą nr 121 na południe, zajeżdżamy do Audubon Center at Chatfield (11280 Waterton Rd, Littleton) i znajdujemy działający kranik – niestety umiejscowiony jest on za daleko od parkingu (gdzie stoimy) i nie jesteśmy w stanie nalać wody używając plastikowego węża... A ponieważ nie zanosi się, że gdziekolwiek znajdziemy jeszcze dostęp do wody, postanawiamy wykorzystać do tego butelki galonowe i lejek zrobiony z małej plastikowej butelki. I ganiamy tak ze 40 razy, manualnie napełniając wodę do pełna. Problem zostaje rozwiązany i w spokoju możemy kontynuować naszą wycieczkę. Drogą nr 5 (Rampart Range Road) wjeżdżamy do Roxborough State Park (7 USD/ auto, czynny tylko do 18.00). Mamy więc tylko trzy godziny do zamknięcia bramy parkowej. Visitor Center „zaliczamy” w 5 minut i pędzimy na szlak (pętelka) Fountain Valley Trail (3,2 mili w obie strony). Szlak jest bardzo łatwy i prowadzi praktycznie po płaskim terenie, poza punktem widokowym, gdzie trzeba zużyć troszkę więcej energii, by na niego wejść. Mamy dużo szczęścia, bo na chwilę wychodzi słońce, oświetlając pięknym miękkim światłem skały, co całkowicie zmienia obraz okolicy. Spacerujemy wokół rudoczerwonych formacji piaskowcowych – pionowo wyróconych skał, przypominających grzbiety stegozaurów. Dokładnie o godzinie 18 opuszczamy park tą samą drogą (nr 5), robiąc dużą pętlę (nie ma przedłużenia drogi na południe, więc musimy pojechać dookoła) do drogi nr 7, następnie skręcamy na południe w nr 85 i na południowy zachód do 67). Po przejechaniu Pine Nook skręcamy na południe w szutrową Rampart Range Road (nr 300).

Na początku drogi znajduje się olbrzymi parking (z WC), gdzie na wielkich tablicach umieszczone są wszystkie potrzebne informacje dla użytkowników ATV (czyli popularnych quadów). Wyczytujemy, że wszystkie kempingi (Flat Rocks, Cabin Ridge, Devil's Head i Jackson Creek) są już zamknięte od Labor Day (pierwszy weekend września) i że nocować można tylko w wyznaczonych miejscach. Cóż, zaczynamy jechać szutrową Rampart Ridge i zadziwia nas bardzo zaistniała tu sytuacja. Co chwila mijamy bezpłatne kempingi oznaczone kolejnymi numerami, wszystkie niestety zajęte. Jedziemy i jedziemy – kemping za kempingiem – a w zasadzie olbrzymie miejsca kempingowe okupowane czasami przez 3–4 auta czy RV-iki. Tracąc już nadzieję, że znajdziemy coś wolne-

go, postanawiamy zapytać się kempingujących na chyba największym polu (nr 33), czy możemy się przyłączyć na jedną noc. Po uzyskaniu zgody stajemy sobie z dala od „właścicieli pola” i rozpalamy ognisko, piekąc kiełbaski i oglądając pokaz psiej tresury na rozstawionych na środku poprzeczkach i słupkach treningowych. Temperatura jest bliska 0°C i para ucieka nam z ust wielkimi kłębowcami. Dowiadujemy się też, że jest tu dużo niedźwiedzi, które zaglądają ludziom do namiotów... cóż dobrze, że śpimy w kamperze!

Dzień 10

Jeszcze po ciemku wyjeżdżamy z naszej miejscówki, mijając kolejne kempingi (wszystkie zajęte). Droga, którą jedziemy, jest przystosowana chyba tylko dla czotgistów... Odbijamy na lewo do wyjścia na szlak-petardę Devil's Head Trail (długość 2,8 mili w obie strony). Zaczynamy mozolną wędrówkę stromo w górę do wysokości 2970 m n.p.m. Przy wejściu na szlak wita nas plakat z wrózką zębuszką-gówienkuską. Od jakiegoś czasu (2 – 3 lat) daje się zauważyć na szlakach porzucone woreczki z psim kupskiem. Właściciele zwierząt są zobowiązani sprzątać po swoich milusińskich (pod groźbą kary finansowej) i zamiast zabierać pełne woreczki ze sobą i wyrzucać do śmietników, zostawiają je na szlakach, co szczerze mówiąc napawa mnie obrzydzeniem i wolałabym, żeby pieski narobiły pod drzewem i nie byłoby to może wtedy takie rażące! Pierwsza część szlaku jest lekko „przymrożona” – liście, pnie i gałęzie pokryte są szronem. Idziemy lasem aż do mniej więcej połowy szlaku, gdzie zaczynają pojawiać się niesamowite widoki!!!

W oznaczonym punkcie *Half way* wdrapujemy się na wielką skałę, żeby je zobaczyć. Następnie cały czas ciśniemy pod górę, mijając skałki-bobki i czasami nawet ławeczki, na których można chwilę odsapnąć. Dochodzimy do kabinek, skąd jeszcze tylko 143 schody dzielą nas od wieży widokowej (*lookout tower*). Spotkamy tu dwóch Amerykanów, z których jeden – jak się okazuje po krótkiej konwersacji – ma żonę Polkę i 2 dzieci, które uczęszczają do polskiej szkoły w Denver. Widoki mamy z tego miejsca super. Jest 9 rano i światło po około 2 godzinach od wschodu słońca po prostu niesamowicie maluje krajobraz. Jak się później okaże, jest to ostatni raz podczas wakacji, kiedy mamy szansę „podgrzać” się w jego blasku. Śmiało mogę powiedzieć, że jest to jeden z piękniejszych szlaków na naszym wyjeździe. Schodząc po tych 143 schodkach, spotykamy wdrapującego się powoli do góry pana z wielką brodą (Billa Ellisa), który, jak wycytujemy na tablicy informacyjnej ustawionej pod schodami, ma 85 lat i od 34 lat pracuje w *lookout tower* jako strażnik lasu wypatrujący pożarów. Jaką trzeba mieć krzepę, by tak codziennie wchodzić po tylu schodkach... Wracając do auta, mijamy już dosłownie tłumy sunących pod górę ludzi. Co roku szlak ten zdobywa około 40 tysięcy osób, a więc można zaliczyć go do bardzo popularnych.

Wskakujemy do kampera i telepiemy się dalej na południe, po drodze mijając kolejne minikempingi, niestety kilka z nich z wysypiskami śmieci... przykro na to patrzeć. Dzięki właśnie takim nieodpowiedzialnym kempingowiczom miejsca takie jak to mogą przestać istnieć na zawsze, bo w końcu cierpliwość rangerów się skończy. Przy wyjściu na szlak Devil's Head zauważyliśmy nawet znak „Dbaj o swoje śmieci, bo ze względu na bardzo limitowane środki pieniężne obszar ten może być w każdej chwili zamknięty”. Wjeżdżamy do Woodland Park, a pogoda totalnie się załamuje, co niestety stawia

pod wielkim znakiem zapytania nasz wjazd na Pikes Peak. Może i miałoby to jakiś sens, jeśli droga byłaby bezpłatna... ale niestety każda dorosła osoba w aucie musi zapłacić 15 USD (dzieci 5 USD), by móc dojechać na szczyt. W słoneczne dni z Pikes Peak (4302 m n.p.m) można zobaczyć aż 5 stanów (Colorado, Arizona, New Mexico, Utah i Kansas). Jest to druga góra na świecie pod względem popularności odwiedzeń – ponad 500 000 osób rocznie – po Fuji w Japonii, jeśli stosujemy kryterium wysokości powyżej 10 000 stóp czyli 3000 m n.p.m. Dzisiaj niestety zobaczylibyśmy jedynie białą jak mleko mgłę (numer telefonu gdzie można dowiedzieć się o panujących obecnie na szczycie warunkach pogodowych to 719-385-7325). Podjeżdżamy do miasteczka Manitou Springs, gdzie jeszcze do poprzedniego roku można było kolejką *Pike Peak Cog Railway*, wjechać na szczyt Pikes Peak. Teraz stacja zamknięta jest do odwołania ze względu na wysokie koszty utrzymania i nierentowność, a szkoda, bo przecież był to istny turystyczny magnes dla miasta.

Zatrzymujemy się na bezpłatnym parkingu niedaleko Heritage Center (517 Manitou Avenue), gdzie dostajemy bezpłatne mapki mineralnych źródeł (z naturalnie gazowaną wodą), ulokowanych w wielu miejscach miasteczka. Po mieście jeździ bezpłatny autobus (*shuttle bus*), ale my wolimy się przejść piechotką, zaczynając oczywiście od placu zabaw (Memorial Park). Idąc w stronę centrum, mijamy PJ's Stagecoach Inn – zabytkową restaurację i hotelik, ze starą kareta stojącą tuż przed jej wejściem, dużo sklepików z pierdułkami i kilka knajpek. Nabieramy wodę mineralną (bogatą w minerały, tj. wapń, magnez i potas) z każdej napotkanej fontanienki i popijamy, rozkoszując się jej orzeźwiającym smakiem. W roku 1989 zbudowano tu rozlewnię wód mineralnych, produkującą 20 000 butelek dziennie, dzięki czemu Manitou Springs stało się w tamtych czasach stolicą butelkowanej wody w Stanach Zjednoczonych. Kiedy dochodzimy do Arcade Amusements Park, dzieciaki wsiąkają w świat podstarzałych automatów do gier i pojazdów na monety, przeskakując z jednego na drugi średnio co 5 sekund. Spacerujemy na koniec jeszcze do Camino Real Imports – sklepiku z meksykańskimi metalowymi dziełami sztuki, których niemalże setki wystawione są na zewnątrz, przykuwając swoją oryginalnością i stylem uwagę każdego, kto się tu znajdzie. Są wyjątkowo atrakcyjne dla dzieci, które oczywiście chciałyby zabrać większość z nich do domu. Wracamy już w deszczu, przebiegając jeszcze obok starej lokomotywy (Manitou/El Paso). Ponieważ okropna pogoda nie daje szansy, by wyjść z kampera na wieczorny spacer, wyjeżdżamy z miasteczka w poszukiwaniu noclegu, który znajdujemy na drodze Serpentine Drive (niedaleko zamkniętych wodospadów Rainbow Falls; czynne tylko do 16.00 w weekendy).

Dzień 11

O 5.30 wyjeżdżamy w kierunku Garden of the Gods. Chcieliśmy jak najwcześniej rozpocząć zwiedzanie parku ze względu na prognozę pogody, która nie była zbyt optymistyczna i przepowiadała deszcz około godziny 10 rano. Zaczynamy zwiedzanie od Balanced Rock – ważącej aż 700 ton skały zawieszanej na tzw „ostatnim włosku”, przecząc prawom grawitacji. Pod koniec XIX wieku niejaki Paul Goerke wykupił ziemię, znajdującą się dookoła Balanced rock. Razem z synem utworzył firmę zajmującą się robieniem zdjęć turystom odwiedzającym skałę, licząc sobie 0,25 USD za sztu-

kę. Kiedy aparaty fotograficzne stały się już na tyle popularne, że ludzie przestali korzystać z usług pana Goerkiego, ten otoczył skałę płótem i żądał 0,25 USD za wejście. Od roku 1909 zarząd miasta Manitou Springs prowadził negocjacje z właścicielem skały, ale dopiero w 1932 roku stała się ona własnością publiczną dostępną bezpłatnie dla wszystkich odwiedzających. Jedziemy dalej do głównej części parku (na północny parking – P2). Jest okropnie zimno i zamiast deszczu zaczyna padać śnieg, więc nasze zwiedzanie przebiega w ekspresowym tempie.

Przemarznięci na kość jedziemy do Visitor Center. Dużo się zmieniło od 2010 roku, kiedy to byliśmy tu ostatni raz. Dzięki licznyim sponsorom powstały ciekawe wystawy geologiczne, którymi zafascynowane są nawet nasze dzieci. Są tu wspaniałe wyeksponowane wypchane zwierzęta i interaktywne displeje, a kiedyś był tu tylko sklepik z pamiątkami. Po zagrzaniu się i łyknięciu trochę geologicznej wiedzy, jedziemy do Red Rock Canyon Open Space (wjazd bezpłatny). Pomimo mapy, którą dysponujemy, ciężko się tu odnaleźć. Jest to stary kamieniołom z czerwonego piaskowca porośnięty już gęstą roślinnością i zamieszkały przez liczne jelonki i ptaki. Na samym początku wędrowki (szlak Sand Canyon Trail) spotykamy jastrzębia zwyczajnego (*goshawk nothern*), który zaszyty w szczelinie skalnej wypatruje z uwagą potencjalnej ofiary. Zziębnięci od deszczu i wiatru krążymy po pozakręcanych ścieżkach. Jest to niesamowite miejsce, przykład na to, że ze zwykłego kamieniołomu można utworzyć piękny park krajobrazowy. Wchodzimy na punkt widokowy i widzimy, jak jakiś nieodpowiedzialny gościu spuścił ze smyczy psa, który z kolei ujadając jak wściekłe zwierzę, ugania się za uciekającymi w popłochu jeleniami. Właściciel biega we wszystkich kierunkach, wrzeszcząc na cały park, i próbując złapać swojego pupila. My idziemy dalej w nadziei, że bestia-pies nas nie zaatakuję. Zmieniamy szlak na Quarry Pass Trail, wchodząc na teren, z którego wydobywano czerwony piaskowiec, co jest widoczne jak na dłoni w postaci „odciętych” bloków skalnych. Wykute w skale schodki pomagają nam pokonywać różnice wysokości i dzięki nim docieramy do Lion Trail, który po 2 godzinach wędrowki prowadzi nas już z powrotem do kampera. Wyjeżdżając, kierujemy się na Denver, skąd jutro mamy samolot powrotny do domu. Śpimy na *truck stopie* (TA) przy autostradzie nr 25.

Dzień 12

Wstajemy o 5 rano i jeszcze po ciemku jedziemy w kierunku Denver. Wypożyczamy osobówkę (subaru impreza za 43 USD) w Avis (1101 W Dartmouth Ave, Englewood) i już na 2 auta jedziemy do Walmartu, gdzie oddajemy niewykorzystane na wybieżce rzeczy i sprzątamy kampera. Zdajemy go następnie bez żadnych problemów i już na spokojnie jedziemy (osobówką) do Denver downtown, mając w planie zwiedzanie mennicy stanowej – Denver Mint (320 W Colfax Avenue). Colfax Avenue jest najdłuższą ulicą w Ameryce mierzącą aż 26 mil. Niestety po dotarciu na miejsce okazuje się, że biletów już na dzisiaj nie ma („okienko”, gdzie można je dostać bezpłatnie znajduje się na Cherokee Street, pomiędzy West Colfax Avenue i West 14th Avenue). Bilety wydawane są od poniedziałku do czwartku od godziny 7 rano aż do ich wyczerpania i ważne są tylko w danym dniu. Dla tych, którym szczęście dopisze, informuje, że do mennicy nie można wносить aparatów fotograficznych, plecaków ani nawet ma-

łych torebek. W związku z zaistniałą sytuacją postanawiamy odwiedzić znajdujący się w niedalekiej odległości od mennicy – State Capitol – kapitol stanowy (wejście bezpłatne). Parkujemy około 1 mili od kapitolu i spacerkiem w siąpiącym deszczu i przesywającym wietrze idziemy w kierunku atrakcji. Co do dzisiejszej pogody to najwyraźniej mamy wielkiego pecha...

Według przewodnika Denver szczyti się ponad 300 słonecznymi dniami w roku, co stawia je w rankingu wyżej niż San Diego czy Miami Beach. Po przejściu bramki z wykrywaczem metali zaczynamy zwiedzanie budynku. Na pierwszym piętrze zapisujemy się na wycieczkę z przewodnikiem (bezpłatna). Pani przewodnik jednak nie potrafi wystarczająco zainteresować naszych dzieci, które jak szaleni latają dookoła. Odwiedzamy salę posiedzeń rządu i wdrapujemy się na wieżę, skąd rozpościera się panoramiczny widok na miasto. Po zejściu z wieży oglądamy jeszcze wystawy i po sprawdzeniu godziny ewakuujemy się na szybką pizzę, a następnie z „językiem na wierzchu” prujemy na lotnisko. Ponieważ cała procedura oddawania samochodu odbywa się z dala od lotniska i pociąga za sobą podróż autobusem, postanawiamy, że ja z dziećmi i bagażami poczekam na lotnisku... tym bardziej że mamy bardzo mało czasu do odlotu. Lotnisko w Denver jest największym powierzchniowo lotniskiem w Stanach Zjednoczonych, więc tym bardziej szybka organizacja jest nam wskazana. Odprawę przechodzimy bez problemu, chociaż nie wiadomo dlaczego właśnie u nas dzwoni alarm na bramce i musimy oddać nasze podręczne bagaże do dokładniejszego sprawdzenia... Plecak Jasia i jego klocki lego oraz kredki zostają przepatrzone ze wszystkich stron przez oficera TSA.

Samolot wylatuje bez opóźnień i po 2 godzinach lotu jesteśmy w Chicago, gdzie oficjalnie kończymy naszą wycieczkę.

Radomir i Anna Kolmas
(z Pawłem i Antoniną Kolmas)

Stany Zjednoczone – Zachodnie Wybrzeże



Zachodnie Wybrzeże kusiło nas od dawna – głównie ze względu na Parki Narodowe, ale też miasta (Los Angeles, San Francisco czy Las Vegas). Zachodnie Wybrzeże jest bardziej urozmaicone krajobrazowo niż Wschodnie – w ciągu 1 godz. krajobraz może zmienić się z pustynnego na górski. Ta część USA zachwyca, ale zarazem oszałamia kontrastami (bogate rezydencje i hordy bezdomnych, pałace i rozwalające się przyczepy – domy na pustyni). Jednocześnie zaczęliśmy mieć inne wyobrażenie na temat słonecznej Kalifornii – gdzie w kwietniu nad ranem temperatura nie przekracza 0°C, a w górach można natknąć się na burze śnieżne.

Kalifornia różni się pod wieloma względami od innych stanów USA – nie tylko ze względu na mniejszość (większość) meksykańską, ale także ze względu na ceny (benzyna najdroższa w USA), Dolinę Śmierci (najniższy punkt w Ameryce) czy góry Sierra Nevada (Mount Whitney – najwyższy szczyt USA poza Alaską).

Termin: 27 kwietnia – 13 maja 2018

Czas:

W Kalifornii, Newadzie, Arizonie: –9 godz. w stosunku do Polski

W Kolorado, Utah: –8 godz. w stosunku do Polski

Koszty:

Największy koszt to przelot do USA – warto obserwować promocje i zakupić bilety z jednego z portów skandynawskich np. Oslo czy Sztokholmu (nam udało się zakupić bilety w promocyjnej cenie na lot Sztokholm – Wiedeń – LA – Wiedeń – Sztokholm). Dolot do Sztokholmu jest bardziej skomplikowany i czasochłonny, gdyż tanie linie korzystają z lotniska Skavsta, a pozostałe korzystają z lotniska Arlanda (odległość pomiędzy nimi to około 150 km).

Na miejscu koszty zależą od tego, gdzie nocujemy i jemy – najtańsze są hotele przy autostradach oraz restauracje – sieciówki. Duże oszczędności przynosi zakup US Na-

tional Parks Pass – na okres 1 roku za 80 USD. Ogólnie wejściówki do głównych atrakcji są dosyć drogie – często od 20 do 30 USD za osobę, a za wejścia do parków rozrywki od 50 do ponad 100 USD np. Universal Studios.

Opłaca się również korzystać z hoteli ze śniadaniem (śniadanie w restauracji to często cena obiadu: 7–10 USD od osoby). Cena benzyny waha się w zależności od stanu – w Kalifornii benzyna 1 galon, czyli około 4 l za około 3,39 USD (przy słynnej drodze nr 1 cena dochodziła do 4–4,50 USD), w Arizonie 1 galon za około 2,95 USD.

RELACJA Z PODRÓŻY

27 kwietnia

Jedziemy samochodem do Gdańska i zostawiamy samochód na parkingu koło lotniska (P6) za 52 PLN na 16 dni.

22.40 – lot liniami SAS z Gdańska do Sztokholmu Arlanda – 1.05 godz.

28 kwietnia

Próbujemy przespać się na lotnisku Arlanda, ale raczej siedzimy i czekamy na poranny lot.

6.35 – lot „Austrian Airlines” do Wiednia, 2.15 godz.

10.05 – lot „Austrian Airlines” z Wiednia do Los Angeles, 11.45 godz. (ogólnie czuje się długą trasę).

Na lotnisku w Los Angeles czekamy około 2 godz. do odprawy paszportowej (musimy pokazywać potwierdzenia hoteli i bilet powrotny).

Autobusem jedziemy za darmo do wypożyczalni „Dollar”, gdzie wypożyczamy na 16 dni samochód Hyundai Accent za 1200 PLN + dodatkowo 200 USD za assistance, opłatę lotniskową i pełny bak paliwa.

Jedziemy do centrum LA (*downtown*) z wieżowcami, z zewnątrz oglądamy Walt Disney Concert Hall (oryginalny, nowoczesny budynek) i dalej do El Pueblo w okolicy Olvera Street. Znajdujemy parking za 9 USD (*flat rate* – stała stawka). Spacerujemy ulicą Olvera ze straganami z meksykańskim rękodziełem i meksykańskimi restauracjami. W barze jemy 2x burritos z mięsem i 2x quesadilla z mięsem, 2 kawy, Fanta, cola – 40 USD.

Idziemy na dworzec kolejowy Union Station (z wyposażeniem z lat 30. XX w.) i jedziemy metrem (tzw. Red Line) do Hollywood Highland – bilet za 1,75 USD + karta „tap” oddzielna dla każdego za 1 USD (dzieci również). W metrze ogólnie dużo bezdomnych i nie wywiera dobrego wrażenia, jeśli chodzi o bezpieczeństwo.

Spacerujemy w Hollywood po Walk of Fame z gwiazdami na chodniku słynnych osób i zaglądamy do tzw. Dolby Theatre, gdzie odbywają się gale z okazji rozdania Oscarów. Na ulicy dużo osób przebranych za znane osoby i ich naśladowców lub parodiujących. Wracamy metrem do Union Station i jedziemy około 1 godz. samochodem do Victorville.

Nocleg w „Red Roof Inn” w Victorville – 42,50 USD z podatkami (dodatkowo depozyt 50 USD) – rezerwowany wcześniej z Polski przez booking.com

29 kwietnia

Na śniadanie jedziemy do centrum Victorville do baru „IHOP” (International House of Pancakes) – 3x zestaw 5 szt. naleśników z syropem (1x 6,99 USD), jajecznicza z bekonem i plackami ziemniaczanymi i 2 naleśnikami (13,49 USD), 2 kawy (1x 2,99 USD) – 43,75 USD.

Jedziemy do Joshua Tree National Park (wjazd w ramach US National Parks Pass – na okres 1 roku za 80 USD – bez pass wejście kosztuje 25 USD za samochód wraz z pasażerami). Zeglądamy do Visitor Center, gdzie mieści się małe muzeum oraz kawiarnia (2 kawy i napój „Dr. Pepper’s” za 5,90 USD).

W Parku jedziemy do tzw. Barker Dam – szlak z parkingu około 2 km prowadzi do zbiornika z wodą i po drodze rysunki skalne. Dalej jedziemy do tzw. Skull Rock (skała w kształcie czaszki) i do Cholla Cactus Garden z kaktusami cholla. W Parku dominuje pustyнный krajobraz ze skałami i tzw. drzewami Jozuego (jukka krótkolistna).

Z Parku jedziemy do Twenty-Nine Palms do restauracji „Denny’s” – 2x hamburger z frytkami, 2x spaghetti bolognese z sałatką, 2 lemoniady (dolewka za darmo), kawa (dolewka za darmo) – 43,63 USD. Jedziemy przez pustynię Mojave – po drodze tylko przyczepy (*mobil home*) i rozwalające się domy – po drodze znak, iż stacja benzynowa za około 100 mil.

Nocleg w Ash Fork w motelu „Ash Fork Inn” – 46,85 USD z podatkami – pokój z 2 dużymi łóżkami i z łazienką – dobre warunki i czysto – obok Muzeum Drogi 66.

30 kwietnia

Rano jemy śniadanie w barze w Ash Fork – 4 × omlety z pomidorami albo z serem i z tostami, 2 kawy (dolewka za darmo), woda – 29,80 USD.

Zwiedzamy Muzeum Drogi 66 (za darmo) w Ash Fork – makiety, stare samochody i zarazem sklep z różnymi pamiątkami z Drogi 66.

Jedziemy drogą 66 do Seligman. Spacerujemy po Seligman – pełno barów i sklepów z pamiątkami. Jemy lody w kultowym barze „Snow Cap Drive-In” – 2 USD za sztukę. Na głównej ulicy stoją samochody z lat 50. i 60. Jedziemy do Grand Canyon National Park (wjazd 30 USD za samochód lub w ramach US National Parks Pass) od strony tzw. South Rim (południowa krawędź kanionu). Idziemy do Visitor’s Centre i do punktu widokowego Mather Point – widok na cały kanion, rzeki Kolorado w ogóle nie widać. Jedziemy autobusem (za darmo) do Kaibab i wracamy na piechotę ścieżką wzdłuż krawędzi kanionu. Jedziemy samochodem do Grand Canyon Village (mało ciekawe) i dalej do Tusayan. Jemy obiad w meksykańskiej restauracji – nachos z sosem, 2x burritos z ryżem i fasolą dla dzieci, 2 x duże burritos (1 x 16 USD), woda, pepsi – 51,40 USD. Wracamy do Parku Narodowego i jedziemy drogą Desert View Drive do punktu widokowego Desert View – oglądamy zachód słońca, z tego miejsca można dostrzec rzekę Kolorado. Wieczorem robi się zimno – około 10°C. Jedziemy do Flagstaff i nocujemy w „Motel 6” we Flagstaff East – 62,12 USD z podatkami za pokój z 2 łóżkami (bez podatków 55,99 USD). Idziemy do restauracji „Denny’s” – lampka wina za 3,99 USD, 2 piwa „Budweiser” i „Pale Ale” (każde po 3,99 USD), 2 naleśniki – 17,72 USD.

1 maja

Jemy śniadanie w „Denny's” – 4 × jajecznica z 2 jajek, 3 × tosty (każdy 4 szt.), kawa (dolewka za darmo), woda, 2 naleśniki – 30 USD + napiwek 5 USD. Jedziemy w kierunku miejscowości Page i po drodze zatrzymujemy się przy tzw. Horseshoe bend na rzece Kolorado (wejście za darmo) – z parkingu trzeba podejść około 2,5 km w jedną stronę. Miejsce klimatyczne – rzeka Kolorado zakręca przy skale, tworząc podkowę.

Jedziemy do kanionu Antylopy – wejście do tzw. Upper Antelope rezerwujemy z Polski przez stronę biura „Navajo Tours” – wejście 60 USD/ dorosły i 30 USD/dziecko – jedziemy samochodem terenowym do wejścia do Kanionu i następnie z przewodnikiem wchodzimy do środka – przewodnik pokazuje, gdzie robić najlepsze zdjęcie – w środku jest masa ludzi – razem wycieczka trwa około 1.15 godz.

Jedziemy do Page do Glen Canyon Dam – tamy na rzece Kolorado – z Visitor's Centre (wejście za darmo) widok na most żelazny i na tamę o wysokości 210 m, za którą znajduje się sztucznie utworzone jezioro Powell.

Jedziemy do Page do chińskiej restauracji z bufetem – 13 USD od osoby (dzieci też) – duży wybór jedzenia (krewetki, sajgonki, kurczak lub wołowe w sosach, ryż, makaron oraz desery – ciasta, galaretka) – napoje osobno płatne.

Jedziemy około 2 godz. do tzw. Monument Valley w Utah (wjazd samochodem za 20 USD, od nas nikt nie pobiera opłaty, gdyż jesteśmy już późno) – widok z tarasu na różnego rodzaju formacje skalne w kształcie np. rękawiczek, słonia czy wielbłąda. Obok Visitor Center małe muzeum ze zdjęciami i wystawą dot. historii Indian (mało ciekawe).

Jedziemy do Blanding i nocujemy w „Four Corners Inn” – 86 USD + 10,47 USD podatek – duży pokój z 2 łóżkami i ze śniadaniem.

Wieczorem szukamy jakiegoś miejsca, żeby posiedzieć, ale wszystko jest zamknięte i w miasteczku nie sprzedaje się alkoholu.

2 maja

Rano jemy śniadanie w hotelu – musli, owoce, muffiny, kawa/herbata. Zmienia się pogoda – robi się zimno około 0°C i zaczyna padać deszcz ze śniegiem.

Jedziemy do Cortez i dalej do Parku Narodowego Mesa Verde (wjazd samochodem 20 USD lub w ramach US National Parks Pass). Przy wjeździe znajduje się Visitor Center z wystawą na temat kultury Indian. Wjeżdża się krętą drogą pod górę około 20 mil. Najpierw zwiedzamy Muzeum Chapin Mesa (mało nowoczesne muzeum nt. kultury Anasazi) i do Spruce Tree House (dom wbudowany w ścianę kanionu, zamknięty do zwiedzania ze względu na prace konserwacyjne). Dalej jedziemy do Square Tower House (widok na domy z kwadratowymi wieżami) i do Sun Temple (stamtąd dobry widok na Cliff Palace). Następnie jedziemy drogą Cliff Palace Loop – widok na Pałac Klifowy (największe osiedle klifowe z okrągłymi kiva służącymi do celów obrzędowych). Po drodze zatrzymujemy się w Far View Sites (domy z cegły) i wyjeżdżamy z Parku do Cortez.

Jemy obiad w restauracji „Denny's” w Cortez – sizzler z kurczkiem, hamburger z frytkami, 2x spaghetti z pomidorami z sałatkami, 2 kawy i woda – 26 USD + napiwek 5 USD (dania dla dzieci za darmo – promocja). W Cortez udajemy się do kręgielni „Lakeside Lanes”, ale wszystkie tory są zajęte.

W sklepie z alkoholem kupujemy butelkę wina z Kalifornii (średnio 9 USD). Jedziemy do Dove Creek i nocujemy w motelu „Country Inn” – 65 USD za pokój z 2 łózkami podwójnymi bez śniadania – dobre warunki.

3 maja

Śniadanie w barze w Dove Creek – *huevos rancheros* (jajka z fasolą i chili), omlet z chili, fasolą, 2 × zestaw (naleśnik, kotlet i jajecznicza), 2 kawy, woda – 35,79 USD. W Utah benzyna kosztuje 1 galon za 3,19 USD.

Jedziemy do Moab i do Arches NP (wjazd 25 USD/samochód lub w ramach US National Parks Pass). Bardzo ciekawe jest Visitor Center z kinem, gdzie wyświetlany jest film o tym, jak powstawały łuki skalne. Najpierw jedziemy do Balanced Rock (skała na słupie) i do Windows (okna skalne) i Turret Arch – oba miejsca bardzo klimatyczne. Następnie jedziemy do tzw. Delicate Arch – symbol Utah i najciekawsze miejsce w Parku – z parkingu idzie się ok. 5 km stromym szlakiem pod górę do miejsca, skąd rozciąga się widok na Delicate Arch (szlak wymaga wysiłku).

Jedziemy samochodem do Devils Garden i na piechotę podchodzimy do tzw. Landscape Arch (najdłuższy łuk ok. 100 m) – łatwy i krótki szlak do podejścia.

Jedziemy do Moab i jemy obiad w restauracji „Wendy’s” – 8 hamburgerów, 2x duże frytki, 2 kawy, 2 napoje (dolewki za darmo) – 39,90 USD (promocja – 2 hamburgery za 6 USD).

Jedziemy do Price i nocujemy w motelu „National 9” – 59,95 USD + podatki 7,30 USD ze śniadaniem.

Ze względu na to, że w Price wszystko wieczorem jest pozamykane, to idziemy do „McDonald’s” – 4 lody z czekoladą za 6,14 USD.

4 maja

Śniadanie w hotelu – gofry (samemu się robi), tosty, serki, jogurty, musli, sok, kawa.

Jedziemy do Salt Lake City (SLC) – po drodze zajeżdżamy do Help ze starą stacją benzynową i drewnianymi domami.

Za parking w centrum SLC płacimy 10 USD (za cały dzień). Idziemy do centrum handlowego „Creek Centre” sfinansowanego przez Mormonów i na Temple Square (wejście za darmo, do środka Świątyni nie można wchodzić). Zwiedzamy Visitor Center z modelem Świątyni i historią Mormonów (a dokładniej Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich), później tzw. Assembly Hall i Tabernaculum (wielka hala). Potem idziemy do tzw. Research Centre (biblioteka), gdzie można poszukać swoich przodków – Mormonów i do Muzeum Historii Kościoła (wejście za darmo, część do zabawy dla dzieci). Następnie oglądamy z zewnątrz Lion House i idziemy do Beehive House (zwiedza się za darmo z przewodnikiem – „siostrą”) – dom proroka Brigham Younga, gdzie mieszkał razem z 55 żonami.

Obiad jemy w niemieckim bistro „Siegfried’s Sausage” – 3x kotlety z makronem i sałatką ziemniaczaną (1x 9,99 USD), kiełbasa z makaronem i sałatką, kawa, woda, piwo ciemne „Bohemin” (1x 4,50 USD) – 50,43 USD (dobre jedzenie i duże porcje).

Jedziemy samochodem autostradą do Park City – miasteczko olimpijskie ze skocznią narciarską (Olimpiada Zimowa w 2002 r.) oraz główna ulica z drewnianymi domami, pubami i restauracjami.

Jedziemy do Beaver i nocujemy w motelu „EconoLodge” – 58,99 USD + podatki (razem 65,63 USD) ze śniadaniem.

5 maja

Śniadanie w motelu – musli, tosty, dżem, muffiny, kawa, sok.

Jedziemy do Bryce Canyon NP (wjazd 25 USD/samochód lub w ramach US National Parks Pass). W Visitor Center można zobaczyć, jak się formowały iglice skalne (*hoodoos*). Jedziemy tzw. Rim Road Scenic Drive do Rainbow Point (najwyższy punkt widokowy na wysokości około 3000 m n.p.m.) i później do Natural Bridge Viewpoint (łuk skalny) i do Inspiration Point (widok na amfiteatr z iglicami skalnymi – klimatyczne miejsce).

Jedziemy w kierunku Zion NP (wjazd 30 USD/samochód lub w ramach US National Parks Pass). Jedziemy od strony tzw. *east entrance* przez tunel Zion Mount Carmel do Visitor Center. Stamtąd elektrycznym autobusem jedziemy za darmo Scenic Drive przez Zion Canyon do Weeping Rock (ok. 20 min) – trzeba przejść krótki szlak do wodospadu czy raczej wody spadającej ze skały.

Wracamy autobusem do Visitor Center i jedziemy w kierunku Las Vegas. Po drodze jemy obiad w chińskiej restauracji w formie bufetu – 11,50 USD/dorosły i 8 USD/dziecko – duży wybór dań na gorąco i zimno (nawet sushi i desery są dostępne) – napoje płatne dodatkowo.

Nocleg w Las Vegas w „Royal Resort” – hotel z basenem – 133,82 USD + podatki (razem 151,73 USD) za 2 noclegi bez śniadania.

Wieczorem spacerujemy po głównej ulicy The Strip i w barze – piwo „Guinness” + piwo lokalne IPA + woda za 20 USD.

6 maja

Śniadanie jemy w restauracji „Denny’s” – 4x jajecznica z 2 jajek, tosty, owsianka, sok pomarańczowy, 2x naleśniki z syropem, woda – 24 USD + napiwek 4 USD (zniżka z hotelu 20%).

Zwiedzamy The Strip – głównie odwiedzamy hotele z kasynami – najpierw zaczynamy od hotelu „Wynn” (jednego z najładniejszych – ozdoby z kwiatów), a następnie udajemy się do hotelu „Palazzo” i do „Venetian” (żyrandole ze szkła z Murano, odwzorzone kanały Wenecji).

Oglądamy pokaz fontann przed hotelem „Bellagio” i jedziemy (za darmo) kolejką z hotelu „Bellagio” do „Monte Carlo”. Po drodze zachodzimy do hotelu „Mirage” i do „New York New York”. Jedziemy kolejką (za darmo) z hotelu „Excalibur” (w stylu zamku z bajek Disneya) do „Mandalay Bay”. Odwiedzamy jeden z ciekawszych hoteli – „Luxor” w kształcie piramidy ze Sfinksem.

Jemy obiad w restauracji „Denny’s” – lemoniada, kawa, woda, nuggetsy z kurczaka i spaghetti z sosem pomidorowym (zestawy dziecięce za 4,49 USD), 2 x cheeseburger z frytkami – 43,30 USD + napiwek 7,79 USD.

Wieczorem odwiedzamy firmowe sklepy „Coca-Coli”, „M&M’s” oraz „Bubba Gump” (bardziej restauracja i sklep z owocami morza – kelnera wzywa się przyciskiem „Stop, Forrest Stop”).

7 maja

Jemy śniadanie w restauracji „Denny’s” – kawa, soki pomarańczowe, 4x jajecznica z 2 jajek, tosty, 2 x naleśniki po 2 szt. z syropem – 24,50 USD + napiwek 4,60 USD.

Wyjeżdżamy samochodem do tamy Hoovera i po drodze na przedmieściach zatrzymujemy się pod znakiem drogowym „Las Vegas”. Parking przy tamie Hoovera kosztuje 10 USD. Za wejście do Visitor Center i zwiedzanie tamy z przewodnikiem (krótka trasa) płacimy 15 USD/dorosły i 12 USD/dziecko. Zwiedzanie rozpoczyna się od krótkiego filmu o historii budowy tamy, a następnie zjeżdża się windą na dół do elektrowni i ogląda się hale z turbinami. Wycieczka kończy się na tarasie z widokiem na tamę i na rzekę Kolorado.

Jedziemy w kierunku Barstow – po drodze zajeżdżamy do Calico Ghost Town (zamknięte, tylko z zewnątrz). Obiad jemy w położonej przy drodze nr 15 w Yermo restauracji „Peggy Sue’s 50’s Dinner” – klimatycznym miejscu w stylu lat 50. – 2x hamburger z frytkami, stek z frytkami, cheeseburger z sałatką ziemniaczaną, 4x ciasto bezowe (orzechowe, czekoladowe i cytrynowe), piwo „Budweiser”, kieliszek wina czerwonego (1x 3,85 USD), cola, sok pomarańczowy, kawa – 72,48 USD. Po drodze zajeżdżamy do Barstow z Muzeum Drogi 66 i z muralami nawiązującymi do „Mother Route”. W sklepie z alkoholem – butelka wina za 7 USD. Jedziemy do Visalia i nocleg w „Motel 6” – 67,99 USD + podatki = 78,89 USD.

8 maja

Rano jedziemy do Exeter – miasteczko otoczone plantacjami cytrusów i winnicami z muralami na ulicach. W barze „Frosty King” – 3 x hot dogi, kanapka z kurczakiem, woda – 14,40 USD.

W „Starbuck’s” – 2 kawy latte za 6,50 USD. Jedziemy do Sequoia National Park (wjazd 30 USD/samochód lub w ramach US National Parks Pass) od strony Hammond do Foothills Visitor Center (mała wystawa) i dalej do Giant Forest Museum (nowoczesne muzeum) – wokół szlaki umożliwiające obserwację sekwoi z bliska. Jedziemy do sekwoi General Sherman o wysokości 83 m (największe drzewo na świecie) – z parkingu idzie się krótkim szlakiem wśród drzew i tuneli z sekwoi. Droga do tzw. Tunnel Log, czyli przewróconej sekwoi z wydrążonym poprzecznie przejazdem dla samochodów jest zamknięta. Następnie jedziemy do Kings Canyon National Park (oba parki połączone ze sobą – ta sama opłata) do Kings Canyon Visitor Center, gdzie znajduje się restauracja (kawa za 2,50 USD i lemoniada za 2,50 USD), i dalej do Grant Grove. Z parkingu idziemy szlakiem, aby zobaczyć sekwoję General Grant (około 80 m). Z Parku w kierunku Fresno zjeżdżamy krętymi drogami (z poziomu 2400 m do 100 m n.p.m.). Benzyna w Kalifornii – 1 galon za 3,75 USD.

Obiad jemy w restauracji „Denny’s” we Fresno – 2x spaghetti z klopsikami, 2x spaghetti dla dzieci, 2 x frytki, 2x lemoniada, kawa – 34,72 USD + napiwek 6,25 USD = 40,97 USD.

Jedziemy do Stockton i nocujemy w „Motel 6 Stockton – Charter Way West” – 69,99 USD + podatki = 78,56 USD.

9 maja

Rano śniadanie w restauracji „Denny’s” w Stockton – 2 x naleśniki (2 szt.), 2 x jajecznica z tostami i kiełbaską, 2 x Junior French Toast (tosty, jajecznica i kiełbaska),

2 kawy, sok pomarańczowy – 28,93 USD + podatek 2,60 USD – napiwek 6,31 USD = 37,84 USD.

Jedziemy do Oakland na parking koło stacji Coliseum BART (parking 3 USD na cały dzień). Jedziemy kolejką BART do San Francisco na stację Powell – 9,60 USD za osobę powrotny (dzieci tyle samo).

Kawa w „Starbuck’s” za 4,75 USD/szt. Jedziemy tramwajem (*cable car*) z Powell do Hyde – bilet 7 USD/osobę (dzieci tyle samo) – stary klimatyczny tramwaj jedzie pod górę i w dół w stronę nabrzeża. Po drodze wysiadamy koło Lombard Street – najbardziej kręta ulica na świecie i zarazem najbardziej fotografowana. Wsiadamy na ten sam bilet i wychodzimy na ostatniej stacji Hyde. Spacerujemy po nabrzeżu (Fisherman’s Wharf) z widokiem na Alcatraz i na most Golden Gate – oglądamy Maritime National Historical Park (za darmo, stare okręty tylko z zewnątrz), Musée Mécanique – muzeum ze starymi automatami do gry (za darmo, płaci się za uruchomienie danego automatu od 0,25 do 1 USD), Molo – Pier 39 ze sklepami i restauracjami oraz wylegującymi się uchatkami kalifornijskimi (lew morski).

Jemy lody w lodziarni „Tom&Jerry” – mały kubeczek jednego smaku za 5,70 USD. W pubie próbujemy ostryg (1 USD za szt.) oraz bierzemy lemoniadę (4 USD) i piwo IPA za 7 USD.

Jedziemy tramwajem ze stacji Powell-Mason do Chinatown (bilety 7 USD/osobę). Jemy obiad w chińskiej restauracji – 3x smażony ryż z kurczakiem, smażony makaron z kurczakiem, wonton z mięsem, woda – 63,80 USD. Idziemy na piechotę do księgarni „City Lights Bookstore” – stara księgarnia – kultowa wśród poetów nurtu *beat generation* i następnie do stacji Montgomery. Po drodze zachodzimy do sklepu z czekoladą „Ghirardelli” – 4 czekoladki za 2,40 USD.

Jedziemy kolejką BART ze stacji Montgomery do Coliseum. Z parkingu jedziemy do hotelu „Motel 6 Oakland Airport”.

10 maja

Rano jedziemy do restauracji „Denny’s” na śniadanie – 2 × Junior French Toast, 2 soki, 2 kawy, 2× jajecznicza z tostami, 2 × naleśniki (2 szt.) – 34,35 USD + napiwek 6,18 USD = 40,53 USD.

Jedziemy do Sonoma – po drodze płatny przejazd przez most Alfred Zampa Memorial Bridge za 5 USD. Najpierw jedziemy do winnicy Bartholomew Estate Winery – degustacja 5 win za 15 USD – muzeum i sklep z winami – wokół szlaki i miejsca na piknik. Następnie jedziemy do winnicy Gundlach Bundschu Winery – degustacja przy barze 5 win za 20 USD – obok piwnica z beczkami i miejsca do odpoczynku. Wracamy do San Francisco i jedziemy na punkt widokowy Battery Spencer (za darmo) – najlepsze miejsce do podziwiania najśliczniejszego mostu na świecie Golden Gate z 1937 roku o długości prawie 3 km – z parkingu trzeba podejść ścieżką na punkt widokowy. Następnie przejeżdżamy samochodem przez Golden Gate (opłata 7,70 USD tylko za przejazd w stronę południową – tablice rejestracyjne są skanowane i opłatę można uiścić w ciągu 48 godz. poprzez stronę bayareafastrak.org). Następnie jedziemy w kierunku Monterey i po drodze jemy obiad w restauracji „Denny’s” w San Jose – 2 × spaghetti w sosie pomidorowym dla dzieci, 2 lemo-

niady, 2 kawy, 2 x spaghetti z klopsami, 2 x frytki – 44,44 USD + napiwek 9,78 USD = 54,22 USD.

Jedziemy do położonej nad Pacyfikiem miejscowości Carmel-by-the Sea – klimatycznego miejsca z galeriami i restauracjami – najlepiej wygląda wieczorem podświetlone lampkami. Jedziemy do Monterey i nocujemy w „Motel 6 Monterey North Fremont Street” – 63,99 USD + podatki = 72,07 USD.

11 maja

Śniadanie jemy w restauracji „Denny’s” w Monterey – 2 kawy, 2x jajecznica z tostami, 2 x Junior French Toast, 2 soki – 35,93 USD + napiwek 6,47 USD = 42,40 USD.

Jedziemy słynną drogą nr 1 nad Pacyfikiem w kierunku Big Sur – po drodze punkty widokowe na Ocean i małe piaszczyste plaże w zatoczkach. Droga za Big Sur zamknięta z powodu zniszczenia w czasie lawin błotnych. Jedziemy przez most Bixby Creek Bridge do Pfeiffer Big Sur State Park (nie wjeżdżamy do Parku) – tylko wokół Lodge chodzimy po ścieżkach porośniętych *redwood* (rodzaj sekwoi). Droga nr 1 wzdłuż Big Sur stanowi jedną z najciekawszych krajobrazowo w USA. Wracamy do Carmel-By-The Sea, aby zobaczyć misję katolicką założoną w XVIII w. przez franciszkanów – misja San Carlos Borromeo de Carmelo (wejście 9,50 USD/dorosły i 5 USD/dziecko) – kościół i klasztor z wewnętrznymi dziedzińcami z roślinnością, grób ojca Juniper Serra.

Jedziemy przez Salinas drogą nr 101 do San Simeon, aby zobaczyć Hearst Castle (wejście 25 USD/dorosły i 12 USD/dziecko) – udaje nam się zdążyć na ostatni *tour* o godz. 15.40. Najpierw jedzie się autobusem pod górę do Zamku i następnie zwiedza się z zewnątrz (basen Neptun z fragmentami świątyn greckich) i wewnątrz Zamek (Casa Grande) z przewodnikiem. Fasada Casa Grande wzorowana była na renesansowej, hiszpańskiej katedrze, a w poszczególnych pokojach wyposażenie sprowadzane było z Europy (najciekawsza sala z kominkiem w stylu gotyckim czy sala ze stołami do bilarda). W Zamku znajdowało się również kino i kryty Basen Rzymski. Wracamy autobusem do Visitor Center i jedziemy samochodem do Point Piedras Blancas – na plaży znajduje się kolonia uchatek kalifornijskich (za darmo) – można obserwować z drewnianych pomostów, jak zachowują się lwy morskie.

Jedziemy w kierunku Santa Barbara i po drodze jemy obiad w restauracji „Denny’s” w San Luis Obispo – 2x spaghetti w sosie pomidorowym z sałatkami, 2x double cheeseburger z frytkami, frytki, lemoniada, woda – 38,27 USD + napiwek 7,65 USD = 45,92 USD. Przejeżdżamy przez Santa Barbara – miasto z klimatycznymi restauracjami z drewnianym moło nad oceanem. Jedziemy autostradą do Ventura i nocujemy w „Motel 6 Ventura Beach”.

12 maja

Śniadanie jemy w restauracji „Denny’s” w Ventura – 2x Junior French Toast, 2x jajecznica z tostami i kiełbaską, 2x naleśniki (2 szt.), 2 soki, 2 kawy – 35 USD + napiwek 7 USD = 42 USD.

Jedziemy autostradą przez Malibu (po drodze okazałe rezydencje nad oceanem) do Los Angeles. Zatrzymujemy się w Santa Monica – parking na cały dzień za 14 USD. W Santa Monica znajduje się moło z restauracjami i automatami do gry oraz ze słynnym znakiem oznaczającym koniec Drogi 66. Jedziemy do dzielnicy LA – Venice – par-

kujemy na ulicy za 2 USD/1 godz. Spacerujemy po Venice Beach – szeroki deptak Ocean Front Walk z występami artystów, malarzami oraz ze sprzedawcami pamiątek. W kawiarni – espresso za 2,05 USD i ciastka czekoladowe za 1,50 USD/szt. Jedziemy do wypożyczalni „Dollar”, aby zwrócić samochód i darmowym autobusem jedziemy na lotnisko na terminal B.

15.15 – lot „Austrian Airlines” do Wiednia – 11.30 godz. – do jedzenia obiad i rano śniadanie.

13 maja

12.05 – przylot do Wiednia

12.55 – lot „Austrian Airlines” do Sztokholmu Arlanda – 2 godz.

Z lotniska Arlanda przejazd autobusem nr 968 (Flygbussarna) do centrum Sztokholmu na Cityterminalen – 1 godz. – 119 SEK/dorosły, a dzieci za darmo. Dworzec autobusowy znajduje się obok dworca kolejowego w Sztokholmie. W kiosku „Pressbyran” – 4 × bułki cytrynowe (1 × 12 SEK), woda, 4 × hot-dogi (1 × 15 SEK), 2 kawy (1 × 30 SEK) – 183 SEK.

17.32 – przejazd pociągiem do Nyköping C – 1.15 godz. – 95 SEK/dorosły i 5 SEK/dziecko (dzieci tylko za rezerwację miejsca, bilety kupowane w Internecie około 3 miesięcy wcześniej).

Z dworca kolejowego w Nyköping jedziemy autobusem nr 515 na lotnisko Skavsta – 30 SEK/dorosły i 20 SEK/dziecko, około 10 min.

20.30 – lot „Ryanair” do Gdańska – 50 min.

Odbieramy samochód z parkingu i jedziemy do Warszawy.

Ślub na Kubie



Termin: 12 lutego – 5 marca 2019 r.

Całkowity koszt podróży: ok. 13 tys. zł za dwie osoby, w tym 4900 zł samoloty.

Zaręczyny mieliśmy w roku 2017 w miejscowości Cherating w Malezji nad Morzem Południowochińskim, więc ślub także postanowiliśmy zawrzeć w jakimś egzotycznym kraju. Pierwotnie planowaliśmy nasz ślub kościelny na Sri Lance, ale w ostatniej chwili okazało się, że jedyny polski misjonarz, który tam był, nie otrzymał zezwolenia od władz Sri Lanki na dalszą pracę. Wtedy zdecydowaliśmy się na Kubę, bo polskich księży jest tam co najmniej kilkunastu. Przez Internet skontaktowaliśmy się z ks. Adamem Wińskim, który zgodził się na udzielenie nam ślubu w katedrze w Bayamo. Załatwienie formalności przed wyjazdem w Polsce zajęło nam około trzy miesiące. Poza sprawami typowymi dla ślubu kościelnego, takimi jak: nauki przedmałżeńskie, poradnia przedmałżeńska, zapowiedzi w obu parafiach, dokumenty kościelne i cywilne, musieliśmy dodatkowo uzyskać licencję na ślub. W związku z tym że na Kubie nie mogliśmy wziąć ślubu konkordatowego, zgodnie z prawem kościelnym konieczne jest wcześniejsze wzięcie ślubu cywilnego. Jest od tego jedna furtka – zgoda biskupa, pod warunkiem oświadczenia, że po powrocie weźmie się ślub cywilny. Niestety, biskup Diecezji Sosnowieckiej nie wyraził na to zgody i „na szybko” musieliśmy dodatkowo załatwiać formalności związane ze ślubem cywilnym, który ostatecznie wzięliśmy w USC w Tychach 19 stycznia 2019 r. Dopiero wtedy otrzymaliśmy licencję na zawarcie ślubu kościelnego za granicą oraz specjalny dokument po łacinie. Ponieważ było już niewiele czasu i nie byliśmy pewni co do solidności kubańskiej poczty, wszystkie dokumenty diecezja wysłała na e-mail księdza na Kubie, a oryginały zabraliśmy ze sobą w podróż. Po ślubie ksiądz Wiński dał nam dokument potwierdzający zawarcie sakramentu, który przywieźliśmy do polskiej parafii.

Trasa: Balice – Monachium – Toronto – Hawana – Bayamo – Holguin – Guardalavaca – Holguin – Trinidad – Cienfuegos – Hawana – Toronto – Frankfurt – Balice.

RELACJA Z PODRÓŻY

12 lutego

O godz. 6 wylot z podkrakowskich Balic samolotem Airbus A320 Lufthansy do Monachium. Około godz. 12 wylot z Monachium do Toronto Boeingiem 777 linii Air Canada. Ponieważ było opóźnienie i bardzo zła pogoda, zrezygnowaliśmy ze zwiedzania Toronto. Duży bałagan na lotnisku – nie ma gdzie usiąść, tylko same knajpy, żeby coś kupić, a ceny wysokie: woda 1 l – 5 CAD, ale można pić wodę z kranu. Cały czas przesuwają odlot samolotu na Kubę, każdy mówi co innego i jeszcze na tablicy co innego. Zmieniają też bramkę, skąd polecą samolot. Mieliśmy wylecieć o godz. 20.15, a weszliśmy na pokład około północy. Potem jeszcze służby myły samolot ze śniegu i lodu. Ostatecznie wylecieliśmy około godz. 1 w nocy.

13 lutego

Około godz. 4.30 wylądowaliśmy w Hawanie. Odprawa celna z odbiorem bagaży trwała godzinę. Potem kolejka do kantoru, gdzie wymieniliśmy 80 EUR = 87 CUC i 20 EUR = 480 CUP. Mario z sąsiadem, który ma forda z 1957 r. z silnikiem toyoty vana z 2011 r., czekali na nas ponad 5 godzin. Za przejazd z lotniska do Hawany wzięliśmy 25 CUC. Poszliśmy do Maria, mieszkającego z matką Stasią – Polką, która przyjechała na Kubę z mężem Kubańczykiem w 1965 r. Żyją bardzo skromnie na dachu kamienicy przy Maleconie (szeroka nadmorska promenada). Z mieszkania rewelacyjny widok na wybrzeże. Po mężu p. Stasia dostaje 9 CUC emerytury, a 9 CUC zarabia w pracy w bibliotece. Mario w fabryce zarabia około 20 CUC. Poszliśmy na spacer po Hawanie. Wymiana 500 EUR = 551 CUC. Mario pokazał nam sklepy prywatne za CUC-e i państwowe za CUP-y. Byliśmy też w supermarkecie. Kupiliśmy kapelusz słomkowy za 5 CUC. Buty w bardzo złym stanie technicznym.

O godz. 13.30 sąsiad Mario z parteru za 15 CUC zawiózł nas na dworzec autobusowy państwowej firmy Viazul. O godz. 15.15 wyjazd autobusem z klimatyzacją do Bayamo. Bilety kupiliśmy w Polsce przez Internet za 44 USD od osoby (www.viazul.com). Po drodze co około 1,5–2 godziny autobus zatrzymuje się przy barach lub na stacjach w miastach. Toalety w bardzo złym stanie za 0,25 CUC lub 1 CUP. Bułka z szynką 2,3 CUC. Całą podróż przespaliliśmy ze zmęczenia.

14 lutego

Do Bayamo dojechaliliśmy o godz. 7 rano, choć mieliśmy być o godz. 5.10. Na dworcu bułka z szynką, serem i pomidorem – 10 CUP. Za 5 CUC rowerowy riksarz dowiózł nas do Villa Leon, którą mieliśmy zarezerwowaną z Polski przez stronę www.casaparticularcuba.org. Duży, wygodny pokój z łazienką i klimatyzacją kosztował 25 CUC. Do tego 5 CUC za śniadanie od osoby: owoce m.in. guajaba, ananas, papaja, banan plus kawa, sok z mamey, jajko, chleb, margaryna. Obiad za 8 CUC.

Poszliśmy do katedry, ale nie było księdza Wińskiego. Powiedziano nam, że będzie w piątek w godz. 9–12. Pospacerowaliśmy deptakiem w Bayamo. Po powrocie do hostelu syn właścicieli *caso particular* Danielo zaprowadził nas do miejsca, gdzie organizują sprawy ślubne – fryzura, makijaż, zdjęcia, kwiaty. Chcieliśmy coś zjeść i poszukać knajpy na obiad po ślubie, ale wszędzie nas wyrzucali, bo było zarezerwowane (Wal-

tynkli!), a na sobotę zarezerwować nie można. W hamburgerowni kelnerka powiedziała, że nie ma bułek do hamburgerów. W cukierni zamówiliśmy tort za 50 CUP, a w sklepie kupiliśmy ostatniego szampana za 13 CUC. W końcu poszliśmy do hotelu Royalton na rum z colą kubańską i kawą – razem 3,2 CUC. Potem przy samej kasie poszliśmy do knajpy na kotleta z juką, sałatką i grochem – 7 CUC od osoby. Kupiłem Beacie kwiatuszka na walentynki za 30 CUP.

15 lutego

Po śniadaniu poszliśmy do katedry. Ksiądz Adam Wiński już był. Okazało się, że przeniesiono go z miejscowości Iguani do Bayamo dwa tygodnie wcześniej, ale przyjechał dopiero dzień wcześniej. Jest tu z drugim polskim księdzem Radkiem. Ustaliśmy ślub na godz. 11 i daliśmy mu oryginały licencji na zawarcie ślubu oraz pismo z Diecezji Sosnowieckiej po łacinie. Z synem właścicieli poszliśmy umówić makijażystkę i fotografa. Potem zaprowadził nas do kwaciarki. Bukiet ślubny wraz z butonierką kosztował 10 CUC.

Następnie poszliśmy do fabryki powozów. Okazało się, że powozów już nie produkuje z powodu braku materiałów. Produkuje za to... miniatury powozów i sprzedają za 15,5 CUC. Na ścianach portrety braci Castro i Chaveza. Daliśmy napiwek 50 CUP. Na dworcu Viazul kupiliśmy bilety na autobus na trasie Holguin-Trinidad – 26 CUC od osoby oraz Cienfuegos-Hawana – 20 CUC od osoby. W cukierni odebraliśmy zamówiony tort. Bardzo gorąco, około 40 st.

O godz. 14 przyjechała Ewa (siostra pana młodego) z Markiem (mężem) oraz Amelią (córką) i zjedliśmy obiad w naszej kasie. Zupa plus ryba plus ciasto – 25 CUC za wszystkich. Potem poszliśmy do katedry, gdzie Ewa i Mark podali dane księdzu jako świadkowie. Potem spacer deptakiem Paseo Bayames. Weszliśmy do muzeum figur woskowych, wstęp – 1 CUC, foto – 5 CUC. Odpoczynek na Placu Rewolucji. Wieczorem kolacja w hotelu Royalton – spaghetti za 2–3 CUC. Wieczorem Kubańscy wychodzą na ulicę.

16 lutego

O godz. 8.30 miała przyjść makijażystka, ale nie przyszła, więc poszedłem po nią z synem właścicieli. Po drodze Beata napisała SMS-a, że przyszła spóźniona 20 minut (co to dla nich!). Poszliśmy więc z Danielo po kwiatki. Makijaż + fryzura kosztowały 10 CUC. Z naszej kasz do katedry pojechaliśmy riksą rowerową za 4 CUC. W kościele spowiedź i na godz. 10.50 miał być fotograf, ale oczywiście spóźnił się. Ślub mieliśmy w bocznej kaplicy. Po ślubie po godz. 12 obiad w naszej kasie. Pół godziny później fotograf przyniósł 54 zdjęcia na pendrive za 40 CUC. Na obiad kurczak z juką, ryżem i sałatką z wodą bądź kawą na 7 osób, bo zaprosiliśmy też obu księży – 50 CUC. Po obiedzie Ewa zrobiła nam sesję zdjęciową w centrum Bayamo. Potem poszliśmy na spacer do parku i nad rzekę. Wieczorem na głównym placu miasta odbył się pochód ku czci komunistycznej rewolucji.

17 lutego

Po obiedzie pojechaliśmy z księdzem Radkiem do wioski Cauto Embarcadero – około 30 km, gdzie w drewnianym kościele odprawił mszę świętą. Potem pojechaliśmy

do kolejnej wioski, nieco dalej, o nazwie Rio Cauto – na kolejną mszę. Po powrocie wywiad z księdzem Adamem w parafii.

18 lutego

Przed godz. 9 za 3 CUC pojechaliśmy riksą rowerową do miejsca, skąd jadą taxi colectivo – przy dworcu kolejowym. Dookoła jeżdżą bryczki i powozy. Wygląda, jakbyśmy cofnęli się do XIX w. Do pierwszego taxi nie zmieściliśmy się. Po około pół godziny wcisnęliśmy się do drugiego taxi colectivo za 60 CUP od osoby, choć Kubańczycy płacą 10 CUP. Do Holguinu jedziemy 1,5 godziny w smrodzie starym autem na około 15 osób. W Holguinie za 3 CUC jedziemy bryczką do miejsca, skąd jadą taxi colectivo do Guardalavaca. Taxi tylko dla nas kosztuje 15 CUC – ford z 1956 r. z silnikiem mercedesa z 2010 r. Kierowca podwozi nas pod sam blok, gdzie na czwartym piętrze jest nasza casa Mar Azul, którą zarezerwowaliśmy przez stronę www.casaparticularcuba.org. Kosztuje 25 CUC za noc od osoby, a śniadanie 3 lub 5 CUC w zależności od opcji. Jest czysto i ładny widok z góry na morze. Guardalavaca to jedna ulica, wzdłuż której wybudowano 4–5-piętrowe bloki. Bliżej plaży jest kilka hoteli i jeden nowy olbrzymi w budowie. Obiad zjedliśmy w bloku w mieszkaniu zamienionym na restaurację Madam O. Trzy nóżki kurczaka plus smażone banany plus ryż, pomidory i napój – 7 CUC od osoby. Potem siedzieliśmy na plaży i pływaliliśmy w morzu o turkusowym kolorze wody jak na folderach. Krzysztof Kolumb miał powiedzieć, że plaża w Guardalavace to najpiękniejsze miejsce, jakie widziały jego oczy. W czymś na kształt kantoru wymiana 200 EUR = 219 CUC.

19 lutego

Po godzinnym staniu w kolejce kupiliśmy kartę z 5 godzinami Internetu za 5 CUC. Przyjechali Ewa z Markiem i poszliśmy na plażę. Na plaży napój w puszcze 0,55 CUC, piwo Cristal – 1 CUC. Na targu dla turystów kupiliśmy obraz na skórze za 15 CUC i obrazy ulicy w Trynidadzie za 25 CUC. Wymiana 500 EUR na 550 CUC.

20 lutego

Rano pojechaliśmy taxi znajomego właścicielki casy do Playa Esmeralda – 5 km za 10 CUC w dwie strony. W Sol Rio Luna Mares Resort, gdzie mieszka Ewa z Markiem, można przyjąć na cały dzień za 40 EUR od osoby. W cenie jedzenie, picie, alkohol, sprzęt wodny, plaża itd. Najpierw zjedliśmy śniadanie, potem chcieliśmy popływać na katamaranie, ale obsługa stwierdziła, że jest za duży wiatr, więc poszliśmy pływać do morza, a potem do basenu. Trochę kropił deszcz, ale było bardzo ciepło. Po obiedzie na godz. 14 mieliśmy umówionego fotografa. Zaczął od wydziwiania i wymyślania drogich pakietów. Ostatecznie jakoś się dogadaliśmy. Daliśmy mu kartę SD i zrobił nam na niej zdjęcia na plaży i w morzu w strojach ślubnych za 20 CUC. W barze piliśmy piña coladę, nigdzie nie mieli mojito. Wieczorem wróciliśmy do Guardalavaki.

21 lutego

W nocy padał deszcz. Po śniadaniu dzwoniiliśmy do Polski na WhatsAppie. Potem poszliśmy na molo, a później na oddaloną plażę za rzeką. Małe mojito kosztowało 2,5 CUC. Obiad w knajpie nad samym morzem w restauracji El Ancla – ryba dorada 5,75 CUC, lody – 0,75 CUC.

22 lutego

Po śniadaniu poszliśmy na plażę do knajpki, a potem do drugiej, żeby było bez słońca, bo mocno się opaliliśmy poprzedniego dnia. Brak frytek. Z kolei w restauracji El Ancla zabrakło ryb, więc zamówiliśmy kurczaka za 4,9 CUC i krewetki za 5,75 CUC. Przy plaży zabrakło napoju Tu Cola. Wieczorem spacer po plaży. Raiza, właścicielka naszej casy, zarezerwowała nam auto do Holguinu oraz możliwość zostawienia bagażu i noclegi w Trinidadzie.

23 lutego

Rano wypożyczyliśmy katamaran, który kosztuje 7 CUC za 20 min. Wypożyczenie rowerka wodnego kosztuje 5 CUC za godzinę. Potem pojechaliśmy do Holguinu taxi (chevrolet z 1954 r. z silnikiem mercedesa) za 20 CUC. Zostawiliśmy bagaże w casie za 5 CUC i poszliśmy zwiedzać miasto. Było bardzo gorąco. W pizzerii zabrakło pizzy i skończyła się też kawa. Ludzie stoją przed sklepami w długich kolejkach po kurczaka. Weszliśmy na górę La Loma de la Cruz, na którą wybudowano 465 schodów. Gorąco, ale z góry super widoki na całe miasto. W knajpcie El Buho pizza hawajska za 50 CUP, kawa 15 CUP, duży hamburger – 40 CUP, ale zabrakło cappuccino. W sklepie biegają na półkach karaluchy lub leżą zabite. Odpoczynek na ławce w parku Calixto Garcia. Wieczorem taxi z centrum Holguinu na dworzec autobusowy Viazul za 6 CUC. Autobus do Trinidadu o godz. 23.10.

24 lutego

O czasie dojechaliśmy autobusem do Trinidadu. Na dworcu czekał na nas właściciel casy z ulicy Independencia 68. Pokój kosztował 25 CUC plus 5 CUC od osoby za śniadanie. Trynidad to bardzo ładne klimatyczne miasteczko, ale wyremontowane tylko w samym centrum. Reszta bardzo zaniedbana. Typowo turystyczne miejsce z mnóstwem turystów z Europy i Kanady. W restauracji dla zagranicznych turystów obiad za 15 CUC od osoby, ale są też knajpy, gdzie można zapłacić połowę tej ceny. Im dalej od Plaza Major, tym większy syf i miasto zmienia się bardziej w wieś. Dzieci wołają o cukierki. Idziemy na wieżę byłego klasztoru św. Franciszka z Asyżu, ładne widoki – 1 CUC od osoby. Na dole muzeum o rewolucji. Dziś jest dzień referendum konstytucyjnego. Udało nam się wejść do kilku lokali referendalnych. Potem wizyta w szkole podstawowej. Nauczycielka chciała pieniędzy. Weszliśmy także do izby, gdzie prezentowane są hasła w obronie Wenezueli przed „imperializmem” USA.

25 lutego

Po śniadaniu poszliśmy do Maqueta de Trinidad – Trinidad w miniaturze, ale muzeum było zamknięte. Poszliśmy więc do muzeum architektury Trinidadu – 1 CUC, ale mało interesujące. Miejskie muzeum historyczne – 2 CUC.

Właściciel casy załatwił nam casę w Cienfuegos – Marta y Eduardo za 25 CUC oraz taxi (chevrolet z 1954 r. z silnikiem terenowego zila) do doliny Ingenios za 30 CUC na kilka godzin. Wyjechaliśmy o godz. 11 i zwiedziliśmy: Mirador de la Loma del Punto – punkt widokowy na dolinę Ingenio, San Isidro de los Destiladores – ruiny fabryki cukru z trzciny cukrowej – 1 CUC, Manaca Iznaga – 44-metrowa wieża widokowa za 1 CUC, skąd doglądano niewolników, jak pracują na plantacji trzciny cukrowej, sok

z trzciny cukrowej – 1 CUC. W barze kelnerka spytała, czy chcemy kawę, a po chwili wróciła z informacją, że nie ma mleka do kawy, ale zaproponowała... dobry rum. Wróciliśmy do Trinidadu, gdzie taksówkarz zawiózł nas do manufaktury porcelany. Potem za dodatkowe 15 CUC pojechaliśmy nad morze – na plażę na półwyspie Ancon. Na koniec taksówkarz zawiózł nas do fabryki tytoniu i powiedział, że można zwiedzać, ale nas nie wpuścili. Powrót pieszo do naszej casy przez nowy rynek, gdzie jest park i urząd miejski.

26 lutego

Po śniadaniu poszliśmy na Plaza Major, gdzie dziewczyna świętowała 15 urodziny – Quinceañera i fotografa robiła jej zdjęcia w pięknej sukni. Potem właściciel casy zaprowadził nas do *punto amarillo* na rogatki Trinidadu, skąd ciężarówka jadą do Cienfuegos. Po 50 minutach oczekiwania w cieniu zabrała nas ciężarówka za 100 CUP. Godzina i 50 minut jazdy w pełnym słońcu na pacy. W casie bardzo dobre warunki i bardzo miła właścicielka. Zostawiliśmy bagaże i poszliśmy do centrum. Park Jose Martí – teatr, łuk triumfalny, wieża w Casa de La Cultura Benjamin Duarte – na dachu za 2 CUC od osoby. Ulica 29 to deptak. W porcie Muelle Real spytaliśmy się o promy do zamku. Okazało się, że płynie o godz. 8 rano za 1 CUC. Potem poszliśmy do Punta Gorda. To fajne miejsce na spacer, po drodze marina. Na drogę powrotną wzięliśmy riksę rowerową za 5 CUC.

27 lutego

Zjedliśmy śniadanie o godz. 7 i poszliśmy do portu Muelle Real, by popłynąć statkiem do zamku Castillo de Nuestra Señora de los Angeles de Jagua. 50 minut rejsu. Wstęp do zamku kosztuje 5 CUC, a dla Kubańczyków 5 CUP, czyli 25 razy taniej! Zamek ciekawy, ale nie jest wart tej ceny – 15 minut zwiedzania. Przy wyjściu fotosy Fidela Castro z gen. Wojciechem Jaruzelskim przy budowie elektrowni atomowej, której nie dokończono. O godz. 10 statek powrotny do Cienfuegos. Widzieliśmy, jak nad miastem unosi się smog – efekt przemysłu i starych samochodów. Cienfuegos to miasto przemysłowe – widać sporo dymiących kominów. Wymiana pieniędzy w banku, prawie godzina w kolejce 250 euro = 275 CUC. Szukamy fabryki cygar Tabacuba. Znajduje się na avenida 60 za ulicą 51. Cwana pracownica wzięła nas na lewo i oprowadziła po fabryce, ale zakazała robić zdjęć. Potem chciała, ile łaska i daliśmy jej 10 CUC. Po obiedzie poszliśmy do lodziarni. Dwie porcje lodów z tortem i owocami kosztują 9 CUP.

28 lutego

Za przejazd autobusem na trasie Cienfuegos – Hawana obcokrajowcy płacą 20 CUC, a Kubańczycy 54 CUP, czyli 10 razy mniej. Obcokrajowcy nie mogą jeździć autobusami dla Kubańczyków. Z dworca na Malecon pojechaliśmy państwową żółtą taxi – nowy renault za 12 CUC z przystankiem przy pomniku Jose Martí, gdzie robiliśmy zdjęcia. Obok budynek rządu, charakterystyczne budynki MSW z portretem Che Guevary i ministerstwa telekomunikacji z portretem Castro, Biblioteka Narodowa, Plac Rewolucji z Teatrem Narodowym. *Casa particular* na Malecon 617 za 25 CUC za noc. W bocznej uliczce zjedliśmy obiad za 13 CUC i pochodziliśmy po zniszczonej dzielnicy mies-

kalnej. Kubańczycy mają specjalne książeczki, na które mogą wykupić tanie jedzenie, ale nie da się to przeżyć.

1 marca

Po śniadaniu poszliśmy na pocztę. Potem Real Fabrica de Tabacos Partagas – fabryka cygar za 10 CUC. Nie weszliśmy, bo nie można robić zdjęć. Przespacerowaliśmy się na stare miasto. Po drodze Capitol, czyli parlament Kuby – zwiedzanie za 10 CUC. Potem Park Central, ulica Obispo, Teatr Wielki, hotel Wielka Brytania, plac katedralny z katedrą hawańską – wejście na wieżę kościelną – 1 CUC, Plac Broni, Plac Stary, Plac św. Franciszka z Asyżu, La Bodeguita del Medio – bar Hemingwaya, Muzeum Rumu – 7 CUC od osoby, terminal statków wycieczkowych, Castillo de la Real Fuerza – zamek za 3 CUC od osoby, w środku repliki historycznych statków. Potem wzięliśmy autobus za 0,5 CUP, aby przejechać tunelem pod Zatoką Hawańską. Weszliśmy do Castillo de los Tres Santos Reyes Magnos del Morro – 6 CUC od osoby. To dobrze zachowane ruiny. Dużo chodzenia i świetne widoki zarówno na morze, jak i na Hawanę. Jest też latarnia morska. Potem powrót pieszo na Malecon. Po drodze znowu pizzeria, w której zabrakło pizzy.

2 marca

Po śniadaniu poszliśmy do dzielnicy Vedado. Najpierw wjechaliśmy windą na Memorial Jose Marti za 3 CUC – 138,5 m wysokości, winda jedzie na 129 m. To najwyższy budynek na Kubie z piękną panoramą na wszystkie strony. Potem zwiedziliśmy Uniwersytet Hawański, hotel Havana Libre, skąd po rewolucji Fidel rządził krajem i Hotel National, gdzie w roku 1946 było zebranie mafii. Następnie godzinę staliśmy w kolejce do lodziarni Coppelia. Na Maleconie w kolejnej państwowej lodziarni zabrakło lodów i kelner zaproponował... wodę. Wieczorem byliśmy na kolacji w bardzo drogiej restauracji dla turystów La Concordia. Ale nawet tu zabrakło piwa kubańskiego, bo nie przywieźli do sklepu.

3 marca

Pojechaliśmy taxi do Fusterlandii około 10 km za 10 CUC. Jose Fuster to artysta, który wzoruje się na Antonio Gaudim. Za zatrzymanie się kilka chwil w marinie Hemingwaya dodatkowo 5 CUC. Obiad w bardzo fajnej Cafe Cubita przy Maleconie.

4 marca

O godz. 4.30 wyjechaliśmy z casy na lotnisko – 30 minut za 20 CUC. Niestety, okazało się, że samolot Air Canada nie leci o godz. 7, jak było w planach, a o godz. 12. Dostaliśmy vouchery o wartości 10 USD do wykorzystania na lotnisku, za co kupiliśmy po kanapce. Kupiliśmy też 2 płyty CD z kubańską muzyką za 18 CUC. Z powodu opóźnienia samolotu nie zdążyliśmy na kolejny samolot z Toronto do Niemiec i automatycznie przebukowano nas na kolejny – karty pokładowe wręczono nam przy wyjściu z samolotu w Toronto. Do Frankfurtu lecieliśmy Boeingiem 787 Dreamliner.

5 marca

Po kilkugodzinnym oczekiwaniu na lotnisku we Frankfurcie ostatecznie dolecieliśmy do Krakowa o godz. 17.20.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przekraczanie granicy

Nie było żadnych problemów przy przekraczaniu granicy. Należy mieć tylko paszport i wypełnioną Kartę Turysty, którą można kupić w Polsce w wielu biurach za ok. 100 zł (np. sigma-travel.com.pl). Na pokładzie linii Air Canada rozdają Karty Turysty za darmo, ale niestety trzeba je pokazać już na lotnisku w Polsce. Jej połowa miała być sprawdzana przy wylocie z Kuby, ale ostatecznie nikt jej nie kontrolował, podobnie jak obowiązkowego ubezpieczenia wydanego przez jedno z towarzystw ubezpieczeniowych ze specjalnej listy (www.asistur.cu). Przy połączeniu przez Kanadę trzeba wykupić przez specjalną stronę internetową wizę ETA za 7 CAD.

Zdrowie i bezpieczeństwo

Nie ma obowiązkowych szczepień. Przed wyjazdem na Kubę Sanepid zaleca zaszczepienie się na tężec, błonicę, dur brzuszny oraz żółtaczkę typu A i B. Kuba jest bardzo bezpieczna dla turystów, także w nocy. Przestępczość niemal nie istnieje.

Waluty

Na Kubie obowiązują dwie waluty: peso kubańskie – CUP i peso wymienne – CUC. Dolarzy czy euro można wymienić na CUC, a dopiero potem ewentualnie CUC na CUP: 1 CUC to 25 CUP i ok. 4 zł. Waluty można bez problemu wymieniać w bankach, ale zwykle są długie kolejki. Najlepiej mieć dolary kanadyjskie lub euro, bo w przypadku dolarów amerykańskich potrącana jest dodatkowa opłata w ramach kubańskiego embarga na USA. Jest niewiele miejsc, w których na Kubie można płacić kartami płatniczymi.

Transport

Na długich trasach korzystałem z klimatyzowanych autobusów państwowej firmy Viazul (www.viazul.com). Przejazdy należy podobno kupować z co najmniej 7-dniowym wyprzedzeniem przez Internet lub na miejscu na dworcach. Ceny przejazdów są podobne jak w Polsce. Obcokrajowiec nie ma możliwości podróżowania znacznie tańszym, ale mniej wygodnym autobusem dla Kubańczyków. Alternatywą są ciężarówki z jazdą na pace, na które czeka się na trasach wylotowych z miast (*punto amarillo*). Kosztują w przeliczeniu kilka złotych za 100 km, a i tak jest to kilka razy wyższa cena niż dla miejscowych. Przejazd bardzo zatłoczonym autobusem miejskim w Hawanie kosztował 0,4 CUP.

Noclegi

Noclegi w *casach particular*, czyli na kwaterach prywatnych w Bayamo i w Guardalavaca zarezerwowałem z Polski poprzez stronę www.casaparticularcuba.org. W dalszej części podróży właściciele kwater polecali mi inne casy w kolejnym odwiedzanym mieście i nawet chętnie i za darmo mi je telefonicznie rezerwowali (może liczyli na wzajemność?). Wszędzie cena wynosiła 25 CUC za pokój, a śniadanie w droższej opcji 5 CUC od osoby. Na ulicach miast wszędzie widać charakterystyczny niebieski znaczek *casa particular* i ceny mogą być niższe, więc z noclegiem nie ma problemu. Można też mieszkać w hotelach albo resortach nad morzem, gdzie jednak ceny są co najmniej kilka razy wyższe.

Jedzenie

Ceny w restauracjach dla turystów są podobne jak w Europie Zachodniej, np. 60 zł za jedno drugie danie. W barach dla Kubańczyków można zjeść co najmniej kilka razy taniej, a czasem za zupełnie grosze (wtedy przydają się CUP-y). Kawa w takim miejscu to wydatek 5 CUP. Butelka wody mineralnej 1,5 l kosztuje ok. 0,7–1 CUC. W sklepach, których poza dużymi miastami jest niewiele, są braki wszystkiego. Polecam bardzo tanie lody w lodziarni Coppelia, choć zwykle swoje trzeba odstać w długiej kolejce.

Komórki i Internet

Połączenia komórkowe z Kuby są bardzo drogie. Bardziej opłaca się dzwonić przez Internet. Aby na Kubie móc korzystać z Internetu, trzeba kupić specjalną kartę, którą można wykorzystać w miejscach, gdzie sieć jest dostępna, np. w centrach miast albo w casie. Godzina połączenia kosztuje 1 CUC. Widokówka – 0,8 CUC, znaczki do Polski – 0,9 CUC.

Pogoda i różnica czasu

W lutym na Kubie było dość gorąco, czasami do 40°C. Kilka razy przez krótki czas padał lekki deszczyk. W naszą zimę różnica czasu wynosi 5 godzin, które należy odjąć.

Język

Bez problemu można dogadać się tylko po hiszpańsku. Mało kto mówi po angielsku.

Piotr Wiland

Samoa i Fidżi – pomiędzy Polinezją a Melanezją



Termin: przełom października i listopada 2017

Uczestnik: 1 osoba – autor

Lot na Samoa i Fidżi

cena: Auckland–Samoa – 892 PLN (bilet bezzwrotny, zmiany rezerwacji płatne);

cena: Samoa–Fidżi–Auckland – 2070 PLN (bilet bezzwrotny, zmiany rezerwacji płatne);

Auckland Int – Apia (Samoa) – Virgin Australia: (3.50 godz.);

Apia (Samoa) – Nadi (Fidżi) – Fiji Airways: (3.05 godz.); ATR 72;

Nadi (Fidżi) – Auckland Int – Fiji Airways: (3.05 godz.); Boeing 737-700.

Samoa

Samoa kiedyś zwane było Samoa Zachodnim. Wyspa Upolu (1125 km²), gdzie zamieszkuje około 143 tysięcy osób, na której wylądowałem, oraz sąsiadująca z nią większa, ale słabiej zaludniona wyspa Savai'i (1700 km²) ze swymi 43 tysiącami mieszkańców wraz ze znacznie mniejszymi wysepkami (Manono, Apolima, Namu'a) składają się na państwo Samoa.

Państwo jak na warunki Oceanii jest dość ludne, liczy sobie około 160 do 180 tysięcy osób, z których jedna piąta mieszka w stolicy Apia, a ponad 2/3 mieszka na wyspie Upolu. Nie ma na wyspie zbyt dużej różnorodności etnicznej. Ponad 90% mieszkańców stanowią rdzenni mieszkańcy Samoa, stąd są uważani drugą pod względem liczebności grupę etniczną spośród Polinezyjczyków po Maorysach z Nowej Zelandii.

Wymiana

1 tala = 0,5239 – 0,5214 USD; 1 tala = 0,4007 – 0,3990 USD (10.2017);

100 USD = 220 (punkt na lotnisku – odliczono 11 NZD tzw. commision).

Wiza: Nie jest wymagana dla obywateli Polski.

Transport

Trasa w pierwszym dniu dla kierowcy: 100 tala; trasa w drugim dniu: 150 tala.

Fidzi – ogólne informacje

Fidzi jest grupą wysp. Sześć godzin potrzeba, aby tu dolecieć z Honolulu na Hawajach, bo to około 4450 kilometrów, ale najczęściej latają tutaj turyści z Australii (4 godziny lotu z Sydney) czy Nowej Zelandii (1770 kilometrów można pokonać w dwie godziny z Auckland, ale trzeba pamiętać o godzinnej różnicy czasu. Z międzynarodowego lotniska w Nadi można złapać też lot do Los Angeles (10 godzin lotu), jak i również nawet do Santiago de Chile.

To państwo wybitnie wyspiarskie. Mieszkańcy mogą się doliczyć zgodnie z oficjalnymi statystykami 322 wyspy, a do tego jeszcze dochodzi 522 małe wyspki. Ciekawe tylko, kto i jak to liczy z taką dokładnością. Niemniej największa wyspa, Viti Levu stanowi 57% powierzchni całego kraju i zamieszkuje ją ponad 2/3 ludności (69%). Tutaj też znajduje się stolica wyspy, miasto Suva. Druga pod względem wielkości wyspa Vanua Levu, położona na wschód dodaje do tego 30% powierzchni i 15% ludności całego kraju.

Wiza dla Polaków nie jest wymagana do 90 dni pobytu.

Fidzi – ceny

Wymiana

1 F\$ = 0,5047–0,4975 USD.

Przejazdy

Taksówka z First Landing do Ogrodu Śpiącego Olbrzyma – 50 F\$; przejazd z ośrodka do Lautoka i z powrotem – 40 F\$; Taksówka z First Landing na lotnisko – 36 F\$; Przejazd minibusem z lotniska w Nadi do Korolevu: ok. 80 km – 130 F\$;

1 litr benzyny – 1,85 F\$; 1 litr diesel – 1,55 F\$.

Restauracje

Zupa z kukurydzy i kurczakiem – w barze na lotnisku 7 F\$ (Duty Free Traders);

Obiad w restauracji (Tambua Sands Beach Resort) : stek z ziemniakami i warzywami – 38 F\$, flat white – 5 F\$; butelka wody mineralnej 7 F\$, piwo – 9,5 F\$; Chicken Gordon Blue – 35 F\$; piwo Fiji Gold (20% Happy Hour) – 7,60 F\$;

Posiłki w First Landing: Rumpsteak 350 g z frytkami i sałatą – 36 F\$, piwo Fiji Gold – 7,50 F\$; Curry z ryżem, dala i kawałkami baraniny (Lamb Korma) – 25 F\$, Dhal soup – 12,50 F\$; Fiji Bitter – 7,50 F\$; Vonu Lager beer – 9,50 F\$; Tandoori Lamb Cutlet – 24 F\$.

Sklep

Tonic 1 litr – 2,75 F\$, woda mineralna – 1,5 litra – 1 F\$; Coca-cola 2,25 litra – 4,35 F\$; herbatniki (Wild Pantry Cookies) – 400 g – 6,95 F\$; kiwi – 1 kg – 8,95 F\$; mandarynki – 4,95 F\$; pomarańcze – 3,95 F\$; pomidory importowane – 12,95 F\$; gruszki – 4,95 F\$.

Wycieczka

Skelly Tours (skellystours@gmail.com): Sand Dunes – Tavuni Hillfort – Nakabuta Pottery – Kula Eco Park: 170 F\$, ale bez opłaty za wstęp do: Tavuni Hill Fort – 12 F\$; wstęp do Kula Eco Park – 40 F\$; dar dla wioski – 20 F\$; Garden of the Sleeping Giant – 18 F\$.

RELACJA Z PODRÓŻY

Wylot na Samoa – pierwszy wieczór na wyspie

Na Samoa i Fidżi poleciałem z Auckland (Nowa Zelandia) w październiku 2017 roku. Wcześniej spędziłem kilka dni na Północnej Wyspie. Kontrola graniczna po przylocie na Samoa przebiegła bardzo sprawnie. Prawie żadnych dokuczliwych pytań, choć wszystkie druki i pytania niemal żywcem przeniesione z Nowej Zelandii, w tym również i o to, czy czasem w ostatnich 30 dniach nie przebywałem na jakiejś farmie i czasem niechcący nie pobrudziłem sobie butów. I jeszcze inne o jakichkolwiek produktach spożywczych. Tu czułem się nieswojo, czy aby czasem i moje herbatniki na czarną godzinę też nie muszę zgłaszać. Jedno przynajmniej było pocieszające, iż nie grozili natychmiastową karą za nieprawdziwe złożenie zeznań. Ale jeszcze zanim doszedłem do sprawdzania paszportu, już czułem, że jestem na idyllicznym Pacyfiku. Witają nas wszystkich trójsobowy zespół muzyczny. Jeszcze tylko bagaż musiałem przepuścić przez maszynę do skontrolowania prawdziwości moich zeznań i już byłem wolny. Był piątek wieczorem i wołałem wymienić pieniądze w jednym z 2–3 kantorów tuż po wyjściu z lotniska. Była nawet o tej porze jakaś informacja turystyczna i mogłem dzięki temu wsiąść do minibusu wiozącego chętnych do miasta oddalonego o jakieś 45–60 minut jazdy.

Drugi dzień – sobota

Prognozy pogody zapowiadały się znacznie poważniej niż to, co widziałem za oknem. Miało padać, ale świeciło słońce, temperatura zaś o godzinie dziewiątej podchodziła już do 30°C. Musiałem się pośpieszyć, bo zapowiadało się, iż cokolwiek jest tu jeszcze interesującego do zobaczenia, to jest zamykane w samo południe w sobotę.

W punkcie informacji turystycznej przylegającej do tzw. tradycyjnej wioski samońskiej nie mieli dla mnie zbyt wielu ciekawych propozycji. Owszem można było zwiedzić wioskę. Ale tylko rano i od wtorku do czwartku, a wycieczka objazdowa po wyspie już odjechała. Cena też była dość zabójcza, bo gdzieś tak około 450 tali (ok. 180 USD). Mina mi nieco zrzedła, i grzecznie podziękowałem. Ale tuż obok koczowało kilku mężczyzn, w tym m.in. Charlie, który zaofiarował się być w tym dniu moim kierowcą.

Jedną z dróg przecinających z północy na południe wyspę Upolu zwie się Cross Island Road. Tą drogą po trzech kilometrach zjechaliśmy w bok, aby pośród szpaleru kwiatów wjechać na olbrzymią polanę, gdzie kiedyś znalazł swoje schronienie i własną życiową przystań niestrudzony wędrowiec i pisarz rodem ze Szkocji, Robert Luis Stevenson. Zaprzyjaźnił się on z wieloma wodzami na tej wyspie, a tubylcy w dowód swego uznania ofiarowali mu prezent urodzinowy. Oddali do użytku drogę do jego domu, która została przez nich nazwana „Drogą Kochających Serc”. W dwa miesiące później Stevenson – przy otwieraniu butelki wina – doznaje nagle porażenia mózgowego i niedługo potem umiera. W nocy przy świetle pochodni krajowcy wnieśli jego ciało na szczyt Mount Vaea wznoszącym się nad jego domem, gdzie też i został pochowany. Stąd na wieczne czasy wszyscy nawiedzający jego grób mają piękny widok na położoną w dole Apie i wrzynającą się zatokę.

Wejście tam zajmuje podobno mniej niż godzinę. Ale ten pierwszy dzień w takim tropiku nie byłem zdolny do brnięcia pod górę, wołałem pooglądać, jak inni biegają za piłką w meczu rugby. Znacznie przyjemniej było w przestronnych wnętrzach drewnia-

nego, piętrowego domu, gdzie stare fotografie pokazywały zatrzymane w kadrze sceny z życia Stevensonów.

Wizyta w tym domu rozpałała tylko moją ciekawość na zobaczenie jeszcze czegoś więcej. Charlie był chętny do jazdy i uszczknięcia jeszcze moich funduszy, więc ruszyliśmy drogą w kierunku wnętrza wyspy. Parę kilometrów dalej znajdował się kościół katolicki pod wezwaniem Trzech Serc. Usytuowany był na płaskim w tym miejscu zboczu z pięknym widokiem na zatokę. Budynek był bardzo przewiewny, bo niemal pozbawiony ścian bocznych. Wentylacja przeto była naturalna, ale pewnie wymagało to częstego sprzątania.

Niedaleko stamtąd, ciut, ciut jeszcze wyżej, jakieś 8 km od centrum miasta, na wysokości około 800 m n.p.m. postawiono Bahaicki Dom Modlitwy. To jeden z siedmiu takich wielkich domów modlitwy, jakie postawiono na każdym z kontynentów. Wszedłem do wnętrza oktagonalnej budowli przykrytej wysoką na 19 metrów kopułą. Wszystko było utrzymane w idealnym porządku.

Ostatecznym celem naszej drogi był punkt widokowy na jeden z największych wodospadów na wyspie, w samym centrum wyspy. Nazwa jego łatwo wpadała w ucho, trzeba tylko zapamiętać ile razy trzeba powtórzyć prostą głoskę „pa”, a mianowicie Wodospad Papapapaitai, zwany też w skrócie Tiavi Falls. Spada on w dół jakieś sto metrów, wśród gęstej tropikalnej roślinności.

Wczesnym popołudniem wróciłem do hotelu, umówiłem się z Charliem na niedzielne przedpołudnie i zacząłem zastanawiać się, co tu może być jeszcze ciekawego do robienia. Byłem w stolicy, a do tego była to sobota po południu, więc aż się prosiło o jakąś rozrywkę dla tej części świata, jaką stanowią tańce polinezyjskie.

W tym dniu taki występ odbywał się tylko w jednym miejscu w stolicy na terenie luksusowego ośrodka Taumeasina Island Resort. Było to jakieś półtora kilometrów od mojego hotelu. Przez telefon nie udało mi się tam niczego załatwić, więc w ramach zwiedzania miasta wybrałem się do tego hotelu, gdzie umówiłem się, iż znajdzie się tam dla mnie miejsce, ale już bez kolacji, tylko będę mógł zobaczyć same tańce.

Na pół godziny po zachodzie słońca zająłem strategiczną pozycję w pierwszym rzędzie tego hotelu. Niedługo potem na scenę weszli tancerze. Byli – zgodnie z tradycją panującą na Samoa – wytatuowani głównie na udach i okolicy pośladków. Rytm i figury taneczne niewiele różniły się od spotykanych przeze mnie w Nowej Zelandii czy na Hawajach. Ale nie ma czemu się dziwić. Wszystko to przecież Polinezja, a Samoa stanowi jej niemal geograficzne i kulturowe centrum. Nie obyło się bez typowego dla Samoa tańca *fiafia*, gdzie najważniejsi są bębniarze wybijający rytm i śpiewający pieśni zwykle w pozycji siedzącej.

Na zakończenie wszyscy przeszliśmy te kilkanaście metrów dalej na plażę. Tam zaczęła się najbardziej ekscytująca część tego wieczoru. Taniec ognia. W budynku hotelu takie pląsy mogły się pewnie skończyć jakimś pożarem, a na świeżym powietrzu brzmiało to dość autentycznie.

Trzeci dzień na Samoa – niedziela

To nie był dobry dzień dla Samoa. W sobotni wieczór dostali łupnia w meczu otwarcia mistrzostw rugby. Poranne gazety zapowiadały niemal apokalipsę, w tym i plajtę

związku sportowego rugby. Byłem już umówiony z Charliem kwadrans po jedenastej. Na wyspie w zdecydowanej przewadze – zbliżonej niemal do 100% – panuje chrześcijaństwo, a najwięcej wiernych mają protestanci związani z tzw. kongregacjonalizmem, w którym najważniejsza jest niezależność i autonomia poszczególnych wspólnot.

W każdej z wiosek znajduje się co najmniej kilka kościołów różnych obrządków, choć najczęściej są to kościoły metodystów. Niemal wszyscy deklarują się jako chrześcijanie i w przeważającej części widać to szczególnie w niedzielę, kiedy kościoły są pełne wiernych, zwykle ubranych w tradycyjne białe szaty. W roku 2017 parlament we wniesionej poprawce do konstytucji uznał chrześcijaństwo za religię państwową.

Ruszyłem z Charliem w drogę wzdłuż północnego wybrzeża Samoa, mijając wioski i ludzi idących lub wracających z kościoła. Stąd niemal regułą były białe szaty, a w ręku wielu z nich dzierżyły książeczki do nabożeństwa czy też teksty biblijne. Pierwszym zaplanowanym przystankiem była nieustająca atrakcja, czyli wodospad Falefa położony w wiosce o tej samej nazwie. To nie miał być zresztą pierwszy wodospad, jaki mieliśmy zobaczyć w czasie tej przejażdżki po wyspie. Złożyłem drobną opłatę na rzecz danej wspólnoty wioskowej i wąską ścieżką doszedłem do brzegu rzeki. Nie był on zbyt imponujących rozmiarów – woda spadała z jakichś kilkunastu metrów, ale przynajmniej wspomogłem lokalny budżet obywatelski. Równie ciekawe było dla mnie ospałe życie Falefa, gdzie niemal przy każdym domu znajdowały się mogiły ich przodków. Wokół większości domów sadzi się mnóstwo roślin ozdobnych, które są obficie obsypane kwiatami.

Kolejny przystanek Charlie zrobił mi już przy następnym wodospadzie o nazwie Fupissia. Tym razem wzbudził on już moje uznanie swą wielkością, a samo dojście wśród pól trzciny cukrowej stanowiło też swego rodzaju atrakcję.

Na tzw. Głównej Południowej Drodze Wybrzeża w pobliżu Vavau znajduje się miejsce, które należy odwiedzić. To Sua Ocean Trench. Stanowią ją dwie wielkie dziury w ziemi, połączone ze sobą dawnymi korytarzami lawowymi. Jedna wielka dziura ziele pustką, a ta położona bliżej brzegu oceanu stanowi wspaniałe miejsce do kąpieli. Turkusowa woda, pływający w niej amatorzy wodnych rozrywek wprost zachęcają, aby też wskoczyć do tego naturalnego basenu, głębokiego na kilkadziesiąt metrów.

Do Apii wróciliśmy tą samą drogą przez wybrzeże, aby tylko odebrać walizkę i ruszyć na lotnisko. Na ostatnią noc zarezerwowałem sobie hotel Vasa Resort położony nad samym brzegiem oceanu, tylko parę kilometrów od miejsca mojego wylotu. To była niemal kwintesencja raju Południowego Pacyfiku, jeśli swój horyzont ograniczyłbym wyłącznie do terenów hotelowych. Mój pokój wprawdzie nie był nad samym brzegiem oceanu, ja sam byłem jednym z nielicznych gości, gdyż to nie był szczyt sezonu.

Tuż przed zachodem słońca usiadłem sobie przy stolicku, zamówiłem buteleczkę miejscowego piwa i wreszcie miałem prawo do prawdziwego zachodu słońca jak się patrzy. Pożegnanie z Samoa miało więc swój właściwy akcent.

Ostatni dzień na Samoa, a pierwszy na Fidżi – poniedziałek

Na Fidżi przypadło mi lecieć samolotem ATR-72. Ta marka przypominała mi moje dawne loty do Warszawy, kiedy to samolot przy starcie i przy lądowaniu dzielił się ze swoimi pasażerami, w tym także i ze mną, wszystkimi drganiami i podmuchami po-

wietrznymi, jakie napotykał po drodze. Ale do Warszawy leciało się niecałą godzinę, a tu czekało mnie tzw. „telepanie” przez 3 godziny. Aż mi się nie chciało wierzyć, gdy dokładnie rozczytałem się w szczegółach lotu. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że wystartować mieliśmy o 12.35, a przylecieć o 13.40. Ale czas lotu szacowano na ponad 3 godziny, podczas gdy odległość dzieląca w linii prostej te dwa państwa to około 1200 kilometrów.

Ruch na międzynarodowym lotnisku Faleolo nie był zbyt duży; trochę mnie to zirykowało, że miałem się pojawić na 2 godziny przed odlotem. Następny samolot z tego lotniska miał odlecieć dopiero około 22 do Auckland. Byłem chyba pierwszym pasażerem przy odprawie. Przynajmniej mogłem mieć sporą nadzieję, że nie pogubią mojego bagażu, bo czy mogli go gdzie indziej wysłać. Przeszedłem więc ostatecznie przez kontrolę i aby wydać resztę tała, zacząłem oglądać aż dwa sklepy na lotnisku, które nie miały zbyt dużo w swej ofercie suwenirów i do tego wszystko było jeszcze w odpowiednich cenach.

Na pół godziny przed planowanym terminem odlotu oderwaliśmy się od płyty lotniska. Było trochę miejsca w samolocie i mogłem się usadzić przy oknie, aby jeszcze raz rzucić okiem na to wyspiarskie państwo, które z góry wyglądało jak z obrazka. Lecieliśmy wzdłuż górzystej i zachmurzonej wyspy Sawai, a potem widać było tylko błękit oceanu. Ale prawdziwy spektakl zaczął się może niecałą godzinę przed lądowaniem na Fidżi, kiedy morze straciło już swoją monotonność. Widać było małe i większe wysepki z małą zieloną kropką albo i czasem dużą plamą zieleni otoczonej rąbkami żółtawego piasku. Wokół nich panował jasny błękit płytkich wód przybrzeżnej rafy koralowej, przybierającej nieraz spore rozmiary. Tam, gdzie kończyła się rafa koralowa, widać było białe pierścienie fal, rozbijających się o nią.

Przylot w ciągu dnia na Fidżi jest niejako koniecznością i jeśli to możliwe warto wybierać takie loty.

Dwa najważniejsze słowa powitały mnie na lotnisku w Nandi. Pierwsze, że witają mnie w domu ojczystym rugby, a drugie to bula, czyli po polsku: hej, witajcie, cześć. Na lotnisku był dostępny za darmo Internet na pół godziny, co skwapliwie wykorzystałem. W punkcie wymiany na lotnisku nie praktykowali tzw. commission, stąd wymieniłem sporo dolarów, aby nie płacić dodatkowych opłat (zwykle 3,5%) za posługiwanie się kartą płatniczą. Nieco zrzędała mi mina, kiedy dziesięć metrów dalej mieli korzystniejszy kurs, tak że w jednej chwili straciłem jakieś kilkanaście dolarów fidżyjskich. Nikt na mnie nie czekał na lotnisku, ale zajęło się mną jakieś biuro podróży, zawieszając mi na szyję naszyjnik i obdarowując buteleczką wody. Nie mogłem więc nie zostać ich klientem, a że ceny za przejazd mieli takie, jakich się mogłem spodziewać (130 F\$), więc poczekałem jeszcze na resztę ich klientów, aby dalej ruszyć busikiem do hotelu, który miałem zarezerwowany na południu wyspy.

Czym jest więc Fidżi. Po pierwsze, jak na państwo położone na Południowym Pacyfiku jest dość rozległe i ludne. A więc w moim przekonaniu będzie dość sporo do zobaczenia. Zarówno historycznie, jak i z racji niedawnej historii sprzed około 100–200 lat, kiedy to przyplływali tu mieszkańcy wysp Tonga. Można więc określić Fidżi jako państwo, gdzie mieszkają się zarówno geny, jak i kultura ludów Melanezji i Polinezji.

Według ostatniego spisu z 2016 roku państwo liczy sobie już 898 760 tysięcy mieszkańców; nie jest tak jednolite etnicznie jak Samoa. Czasem określa się to społeczeństwo jako najbardziej kosmopolityczny naród na Oceanii. Spotkać tu można zarówno tzw. rdzennych Fidżyjczyków, których rysy twarzy są mieszanką melanezyjsko-polinezyjską, jak i Hindusów, którzy zostali tu sprowadzeni pod koniec XIX wieku przez Anglików, którzy władali tą wyspą aż do roku 1970, kiedy Fidżi uznano za niepodległe państwo. Do tego jeszcze dochodzi pewna liczba Europejczyków i na pół-Europejczyków, Rotumani, Chińczycy i mieszańcy innych wysp Pacyfiku.

Miałem przed sobą niemal dwie godziny jazdy wzdłuż Queens Road do zarezerwowanego kilka dni wcześniej resortu położonego nad samym brzegiem morza w południowej części wyspy, zwanej Coral Coast.

„To strzał w dziesiątkę” – potwierdziła mój wybór dziewczyna w biurze podróży. „Będziesz na pewno zachwycony”. W ośrodku położonym tuż przy szosie nie miało być w ogóle Internetu, a do mojego domku trzeba było dojść z recepcji około 5 minut. Za to z domku miałem widok na ocean, od którego dzieliło mnie jakieś dziesięć metrów.

W hotelu znajdowała się agencja turystyczna. Po negocjacjach ustaliłem, że następnego dnia udam się na indywidualną wycieczkę przypominającą coś, co mieli w zestawie, tzw. „Sigatoka Adventures”, obejmującą wydmy piaskowe, Tavuni Hillfort, odwiedzin w wiosce garncarzy Nakabuta Pottery. Na końcu mogłem wstąpić do czegoś w rodzaju parku botanicznego, zoologicznego oraz parku rozrywki wraz z możliwością kąpieli, czyli do Wild Kula.

Drugi dzień na Fidżi – wtorek

Mój kierowca zwał się Steela. Ale tylko dla przyjaciół czy dla tych, którym trudno było wymówić jego fidżyjskie nazwisko. To oficjalne nazwisko musiałem sobie spisać na kartce papieru, a potem parę razy jeszcze powtórzyć wymowę, bo brzmiało ono poważniej i znacznie dłużej, czyli Vasuitaukei Kurukuruvakatini. Aby wyprzedzić stale zadawane pytanie o rodzinę, sam go o to zagadnąłem. I wyszło niezręcznie jak na Fidżi. Miał 27 lat, był stanu bezennego i nie mógł się pochwalić gromadką dzieci.

Zaczęliśmy wycieczkę dość wcześnie, bo łązenie po wydmach w samo południe to miała być niezła mordęga. Położone są one kilka kilometrów od miasta Sigatoka. Swoją wielkością nie mogą zaskoczyć; łączna powierzchnia parku narodowego wynosi około 1,77 km², w tym wydmy mają około 650 hektarów i wysokości od 20 do 60 metrów. Są więc podobnych rozmiarów jak nasze ruchome wydmy na Łebie, które mają około 500 hektarów. Przy wejściu do parku postawiono małe budynki, tzw. Visitor Centre, a przy nich tablice informacyjne, które jako głodny wiedzy przeczytałem z dużym entuzjazmem nowicjusza. Potem zostało mi tylko odgadywanie w terenie, które to z roślin płożyło się na wydmach i utrzymywało je w pewnej stabilizacji na otwartej przestrzeni.

Sigatoka – tę ośmiotysięczną miejscowość znałem niemal od podszewki. Miasto zazwyczaj przyciąga ludność pochodzenia hinduskiego. Z kolei na wsi dominują rdzenni mieszkańcy Fidżi pochodzenia melanezyjskiego. W Sigatoka najpotężniejszymi budowlami był meczet i dom zbudowany przez wyznawców Kriszny. Wjechaliśmy na wysokie wzgórze, górujące nad wijącą się zakolami rzeką Sigatoka, aby wejść do

Tavuni Hill Fort. Wpisałem się w książkę odwiedzających i podreptałem za Marion, moją przewodniczką na szczyt wzgórza, które kiedyś było obronną twierdzą.

Do dnia dzisiejszego zachowały się ślady fortyfikacji, fundamentów domów czy też wielkie płaskie kamienie, o których Marion wyraziła się, że są to *killing stones*. W XIX wieku nikt nie wyobrażał sobie jakiejś konwencji genewskiej, która dyktowała, w jakich warunkach należy trzymać jeńców. Pokonani, którzy zginęli w czasie walki, byli wrzucani do pieców ziemnych i konsumowani. Tych zaś, których brano w niewolę, kładziono na tych kamieniach i uśmiercano, uderzając w głowę potężną maczugą. I oni również urozmaicali dietę swoich zwycięzców o cenne białka w ich jadłospisie.

Brzmiało to dość nieswojo. Trzeba mi się było otrząsnąć i przejechać na drugą stronę rzeki, gdzie już niemal cała tzw. wioska garncarzy oczekiwała mojego przybycia. Komitet powitalny składał się z jednej kobiety, która oprowadziła mnie wokół domowych zagród; zaglądaliśmy też do miejscowego kościoła, abym wreszcie ostatecznie mógł usiąść w domu spotkań, gdzie tym razem na gościa oczekiwał ważny pod względem hierarchii człowiek w wiosce. Przedstawiono mi go jako wodza-mówcę. Wcześniej pouczony o podstawowych zasadach panujących w tej części świata, zdjąłem buty i zasiadłem na macie, pilnując, aby usiąść z nogami skrzyżowanymi. Wódz-mówca był jedynym mężczyzną w tym gronie, to on wprowadził mnie w arkana tego, co mnie będzie czekać. Dla specjalnych gości, czyli wszystkich ciekawych odrobiny folkloru Fidżi, przybywających do wioski, w programie znajdowało się picie kawy. Mówiąc ściśle, kawa to napój, który przygotowywany jest z korzeni rośliny, która klasyfikacyjnie należy do rodziny pieprzowatych (*Piperaceae*). Ma mieć działanie relaksujące i jest spoiwem czy też tzw. fajką pokoju na wyspach Południowego Pacyfiku. Czarka, czyli tanoa z kawą przechodzi z ust do ust i przy okazji jest zadawane pytanie o łyk kawy, które brzmi „E dua na bilo”. Oprócz przełknięcia tego gorzkiego napoju, trzeba zwyczajowo dwukrotnie klasnąć w dłonie. Dość szybko przeszedłem odpowiednią edukację *savoir-vivre*’u picia kawy u moich garncarek.

Park Przygód Kula Wild to jedna z nowych atrakcji wyspy i do tego położona była niedaleko mojego hotelu. Pomyślane jako miejsce, gdzie zarówno dzieci, jak i dorośli mogą znaleźć coś dla siebie. Mnie wystarczyło tam być niespełna dwie godziny. Mogłem spojrzeć z bliska na wyjętego z klatki legwana fidżyjskiego, który zamieszkuje wyłącznie wyspy Fidżi i Tonga. Jego wizerunki pojawiają się na banknocie pięciodolarowym, podczas gdy na odwrocie tego banknotu pojawia się fidżijka kasztanowata. Miłośnicy papug mogą tu znaleźć w wolierach okazy fidżijki kasztanowatej, u której zielone upierzenie przeplata się z ciemnoczerwonym ubarwieniem szyi i spodu ciała. Nie jest bynajmniej zagrożona wyginieciem, ale rzadko można ją zobaczyć w jakichkolwiek ptaszarniach poza Fidżi.

Park „Kula” swoją nazwę wywodzi od papużek, zwanych loreczka pustelniczka (*Phigys solitarius*). Są one endemiczne, ale i liczne na Fidżi; parafrazując opis przy klatce tych ptaszków, można to wyrazić, iż *There is nothing as cool as the Kula*. Byłem już jednym z nielicznych gości spacerujących po drewnianych pomostach, skąd można się było przyjrzeć pożytecznym roślinom jadalnym, z których większość pochodziła z innych kontynentów.

Trzeci dzień na Fidzi – środa

Moj resort nie miał wprawdzie Internetu w każdym domku, ale za to dbał o swoich mieszkańców. Codziennie rano otrzymywaliśmy biuletyny, jaką mamy dziś pogodę, jakie atrakcje naszykowano na ten dzień. W tym dniu miałem się przenieść już w okolice lotniska, więc zamówiłem przejazd w jego okolice. Po drodze tym razem wstąpiłem do świątyni hinduistycznej w pobliżu Nadi, która jest jedną z atrakcji tej okolicy i świadczy, że więcej niż 1/3 mieszkańców stanowią Hindusi.

Po południu znalazłem się w hotelu o nazwie First Landing. W pobliżu znajdowała się przystań dla jachtów i tzw. marina, ale hotel nie miał już tyle uroku, co poprzedni położony na Wybrzeżu Koralowym. Nie był też ostoją ciszy. Niedługo po zmierzchu, niemal wszędzie, na trawniku czy ścieżkach, wyległy bowiem ropuchy olbrzymie, zwane też boto, które rozpoczęły swój koncert. Przed 80 laty sprowadzono na te wyspy te stworzenia z Ameryki Środkowej, aby zwalczały insekty żerujące na plantacjach trzciny cukrowej. Dość szybko stały się wszechobecne na wyspie, czego miałem dowód w tym właśnie hotelu. Było ich setki czy tysiące i tylko odskakiwały w bok, kiedy zbliżałem się do nich, spacerując po ścieżce.

Czwarty i ostatni dzień na Fidzi – czwartek

Poranki są w tej części świata najpiękniejsze. Powoli zaczynało mi się tutaj podobać, szczególnie, kiedy po śniadaniu mogłem wskoczyć jeszcze raz do basenu i wspominać, jak to dobrze, że jest ciepło. Ale życie w resorcie to nie moja bajka. Adrenalina mi wzrasta dopiero, gdy mogę przynajmniej wziąć do ręki aparat i zatrzymać ten świat w kadrze.

Wcześniej się tutaj trzeba było wymeldować, bo już o godzinie 10. Ale przynajmniej szybko się mogłem zebrać z bagażami i już wkrótce siedziałem w taksówce w drodze do Ogrodu pod Śpiącym Olbrzymem. Moim kierowcą tym razem był Baboo. Usposobienie miał dość flegmatyczne, a jego angielski był dość typowy jak dla Hindusa. Rozumieliśmy się więc co drugie czy trzecie słowo. Baboo marzył o chwili, kiedy nadejdą pierwsze deszcze w tej suchej części Vitu Levu. Krowy czy kozy pasące się na wyschniętych pastwiskach przypominały, iż w tej części świata to chuda pora roku. Ziemia koniecznie potrzebowała wilgoci.

Droga biegła wzdłuż linii kolejowej. Na Fidzi tory kolejowe służą wyłącznie dla przewozu trzciny cukrowej, której zbiór już się zakończył i stąd konie czy bydło mogą sobie przesiadywać na torach, nie spodziewając się jakiegokolwiek ruchu. Baboo był dość rozmowny i wspominał mi, że w porze żniw cukrownia w pobliskim mieście Lautako pracuje nieustannie, aby potem tym prawdziwym, brązowym cukrem mogli się raczyć klienci z Wielkiej Brytanii.

Ogród pod Śpiącym Olbrzymem został założony w latach siedemdziesiątych przez Raymonda Burr, wielkiego miłośnika orchidei. Jak do tej pory to największy tego typu ogród na Fidzi, którego niemal symbolem są orchidee. Ogród był dobrze utrzymany, od czasu do czasu można było zrelaksować się na hamaku czy pobujać na huśtawce. Ścieżka dochodziła do stawu i polany, gdzie wysoko, wysoko zaczynały się czerwieni już nie rośliny, ale potężne drzewa Bożego Narodzenia, które nabiorą jeszcze swej czerwieni pod koniec grudnia, akurat na gwiazdkę. To co widziałem tam w natu-

rze, u nas rośnie wyłącznie w doniczkach; a ponadto nie o takich rozmiarach: na Fidżi było siedem czy nawet siedemdziesiąt siedem razy większe. Ot, niezwykle przyjemny spacer, który sobie wydłużyłem o ścieżkę dydaktyczno-poznawczą, pnącą się jeszcze do góry. A na sam koniec spaceru w ramach cen biletu serwowany był napój z owoców (jakże by inaczej) tropikalnych w barze pełnym białych stylowych drewnianych foteli.

„Byłeś tam prawie półtorej godziny, musiało ci się bardzo podobać” – wspomniał Baboo, patrząc się jeszcze na moją minę.

Nie chciałem wyłącznie wąchać samych kwiatków, choć bardziej brały mnie za serce ich kształty, kolory i to, jak potrafią być przyjazne dla motyli, którym czasem przypominają ich samiczkę czy samicę. Brakowało mi jeszcze do pełnego szczęścia podróznika jakiegoś wypadu do pobliskiego miasteczka. Dodatkowy wypad do Lauotoka Baboo ocenił na 40 dolarów fidżyjskich. OK, to mogliśmy jechać.

Samo Fidżi, oprócz stolicy Suva, to przede wszystkim rozsiane chałupki, wioseczki, czasem jakieś małe miasteczka z jedną czy dwiema ulicami; Lauotoka pod względem swoich 55 tysięcy obywateli było drugim najludniejszym miastem na Fidżi. Ale z tego co udało mi się przeczytać, to miasto miało pozytywne oceny, głównie ze względu na położenie nad brzegiem morza; była tam też promenada nadmorska, tzw. Waterfront.

Co jest ważne dla prosperity miasta, to duży port, który – jedyny taki na zachodnim wybrzeżu wyspy – mógł przyjmować statki o dużym tonażu, w tym również i wielkie statki wycieczkowe. To był właśnie dzień, kiedy zawiął po raz kolejny wielki statek, z którego już zaczęli wychodzić w miasto turyści wraz ze sporym zastrzykiem gotówki dla tych, co potrafili im w mieście coś zaoferować. W takim mieście zawsze coś się dzieje. Przede wszystkim można się wybrać na targ; wprawdzie pod dachem, ale nie było jakichś obiekcji, gdy pytałem się o to, czy mogę im pstryknąć zdjęcie. Tuż obok trwał jakieś zebranie czy to polityczne, czy marketingowe.

Czas było wracać do mojej turystycznej zagrody, aby coś jeszcze spałaszować i wydać resztę fidżyjskich dolarów. W resorcie w porze lunchu zwykle panowała dość leniwa i spokojna atmosfera, ale nie w tym dniu. Otóż pojawili się tam turyści ze statku, którzy pewnie zapragnęli napić się jakiegoś drinka w barze tuż przy brzegu morza. Zwykle każda grupa kilkusobowa miała swojego miejscowego opiekuna. Ci, którymi trzeba się było opiekować, sprawiali wrażenie kowbojów, jakby dopiero co zesłi z konia. Ich chód nie miał w sobie niczego sprężystego, co nie dziwi, jeśli na statku mają wszystko *all inclusive*.

Pora było ruszać. Tuż przed ośrodkiem taksówek było całe mnóstwo, a mojego Baboo nigdzie nie mogłem dostrzec. A tak się dopraszał, aby z nim pojechać na lotnisko. Zbyt długo już nie mogłem czekać, a jego koledzy spieszenie mi donieśli, że Baboo też wybrał lepszy interes, jakim było złowienie schodzących ze statku w Lauto-ka turystów.

Zjawiłem się na lotnisku dwie godziny wcześniej przed odlotem. Wystarczyło mi to na wszelkie formalności. Lotnisko było wielkości lotniska z mojego rodzinnego miasta; ostatecznie miałem jeszcze do wydania kilkadziesiąt fidżyjskich dolarów w miejscowym sklepiku. Odlatywaliśmy już niemal o zachodzie słońca, aby jeszcze

dostrzec rozciągający się nad wyspą niczym pożegnanie łuk tęczy. Lot trwał trzy godziny. Ponownie znalazłem się w innej strefie czasowej, oddalonej od polskiej strefy o dwanaście godzin.

Gdy przybyłem do Auckland w Nowej Zelandii, po raz kolejny miałem do wypełnienia deklaracje celne z „trudnymi pytaniami” dotyczącymi jakiegokolwiek żywności, której niezadeklarowanie od razu z automatu zagrożone jest karą 400 dolarów. Lepiej więc wszystko skonsumować, co też i uczyniłem z mieszanką suszonych owoców, jakie mi zostały na czarną godzinę, przywiezione jeszcze z Polski. Długie, długie kolejki do kolejnych punktów kontroli, aż ostatecznie wróciłem po raz kolejny w miejsce znane mi już sprzed 2 tygodni. Mój hotel deklarował transfer z lotniska. Wpierw – jak mnie pouczyła pani z informacji – należy przedzwonić z automatu pod bezpłatny numer, co też i uczyniłem. Miał przyjechać tak jak zawsze przed wejście nr 11 za jakiś kwadrans. Trochę się to dłużyło, aż wreszcie zostałem odebrany jako ostatni gość na niemal już zamkniętym lotnisku. Do hotelu było tylko parę kilometrów, ale bez auta byłoby trudno, bo podobno żaden taksówkarz nie wzięłby mnie na tak krótki kurs. A to już nie Fidżi i zaczęło się robić dość zimno. Wprawdzie z lotniska do miasta kursuje tzw. Skybus i to nawet dość często, bo co 10–15 minut, ale tutaj wszyscy lubią chodzić wcześniej spać, kierowcy też, stąd po 19 trzeba myśleć o czymś innym.

Fidži, Nowa Kaledonia, Vanuatu – ekspresowo, ale w dobrym towarzystwie



Zapraszam w podróż na Pacyfik, na Fidži, Nową Kaledonię i Vanuatu. W turystycznym katalogu napisałabym: rajskie krajobrazy, egzotyczna przyroda, turkusowa woda i ludzie najsympatyczniejsi na świecie (co potwierdzają rankingi).

Moja podróż trwała **od 10 września do 1 października 2018 roku**, ale żeby lepiej poczuć ducha Pacyfiku i efektywniej wydać pieniądze, zdecydowanie polecam dłuższy pobyt. Kraje są wyspiarskie, a *island hopping* nietani i czasochłonny. Zaskakuje szczególnie relacja poziomu kosztów do poziomu serwisu – ceny australijskie a usługi travelerskie. Bilety lotnicze zakupiłam w Melbourne (krótco przed wylotem, co miało zapewne wpływ na ceny), stąd wystartowałam i tu powróciłam. Australijczycy są największą grupą odwiedzających opisywane kraje i ich dolary znacznie wpływają na lokalne ceny. Ustalając zatem czas podróży, warto wykluczyć okres ferii i świąt w Australii (szczególnie wielkie wakacje od połowy grudnia do końca stycznia). Warto ominąć też porę deszczową i cyklonową (grudzień-marzec), najlepiej więc podróżować między kwietniem i listopadem (niestety nie ma gwarancji, ja podróżowałam we wrześniu i miałam sporo deszczu). Warto się wybrać w okresie miejscowych świąt, czyli w czasie między majem a wrześniem. Hostele zazwyczaj rezerwowałam na bieżąco na Booking.com i Agoda.com. Pozytycznie (taniej) jest podróżować we dwoje z lekkim namiotem. Kraje są bezwizowe, ale warunkiem wjazdu jest paszport ważny minimum 6 miesięcy i bilet powrotny (mi sprawdzano na Fidži i na Vanuatu). Na Fidži i Vanuatu porozumiemy się po angielsku, w Nowej Kaledonii trzeba znać choć trochę francuski. Ceny podaję (te, które zapamiętałam) pod opisem każdego dnia w walucie lokalnej lub w dolarach australijskich AUD. Podróż polecam głównie amatorom tropikalnej przyrody z etnograficznym zacięciem.

FIDŽI

Odwiedziłam wyspy: Viti Levu, Nacula z grupy Yasava i Ovalau.

Wyspy zamieszkiwane przez Fidżjan oraz Hinda-Fidżjan. Fidżyjczycy są otwarci, niezwykle przyjaźni i chętnie zapraszają do siebie. Niektórzy zapewne oczekują naszego „udziału”, co jest w pełni zrozumiałe.

Pieniądze: dolar fidżyjski, 1 AU\$ = 1,45 F\$. Wymiana w bankach, kantorach lub pieniądże z bankomatów. Użycie kart Visa dość powszechne (w miejscach, w których byłam). Na transport autobusowy potrzebna karta Vodafone, którą doładowuje się według potrzeby.

RELACJA Z PODRÓŻY

10 września. Lot Melbourne – Nadi (lot ok. 5 godz.)

Między lotniskiem a Nadi kursują tanie autobusy. Wiele hoteli oferuje odbiór z lotniska. Nocuję w hostelu: Bamboo Backpackers w New Town Beach, popularnym travelerskim miejscu przy plaży, ok. 6 km od centrum miasta. W hostelu dobra atmosfera, fidżyjska muzyka i... kawa dla wszystkich. Kawa (*root of happiness*) korzenie szczęścia (nie mylić z kawą (*coffe*), lekko narkotyczny, tradycyjny napój, pity na wszystkich wyspach Pacyfiku. Kawy można popróbować, ale hostelu nie polecam – jeszcze w żadnej podróży nie byłam tak pogryziona przez insekty jak tu!

Ceny: Bilet Melbourne – Nadi 320 \$ AUD. Nocleg, dormitorium 8-osobowe – 20 F\$
Butelka wody w hostelu 4,5 F\$. Piwo w hotelu – 5–7 F\$

11 września. Nadi – Lautoka – Nacula (z grupy Yasawa)

Wybieram się na wyspę Nacula z grupy Yasawa. Wyspy Yasawa należą do głównych destynacji na Fidżi. I rzeczywiście są piękne! Odniosłam jednak wrażenie, że podróżowanie po nich jest zorganizowane w sposób mafijny: transport głównie drogimi łodziami firmy Awesome adventures Fiji, *backpackerskie* hostele na wyspach oferują nawet kilkudziesięcioosobowe dormitoria (słyszałam o 80-osobowym), tylko z posiłkami i na co najmniej kilkudniowy pobyt. Alternatywą jest łódź See Bus, która jednak dociera tylko do północnych wysp grupy Yasawa. Wybrałam See Bus.

Rano taksówką docieram do przystani w Lautoka. Stąd o godz.8 prom See Bus na wyspę Taveva. Na Taveva czeka już na mnie łódź z zarezerwowanego hostelu Safe Landing Resort na Naculi. Po południu snorkeling na Blue Lagoon (organizator hostel). Hostel przyjazny.

Ceny: Taxi z hostelu w Nadi do przystani w Lautoka – 35 F\$. Kawa w porcie 2 F\$, samosa 2 F\$. See Bus Lautoka – Taveva w jedną stronę 120 F\$. Nocleg, pokój 10-osobowy ze śniadaniem w Safe Landing 40 F\$. Kolacja w tym hostelu 20 F\$

12 września. Nacula – Lautoka-Rakiraki

Rano wycieczka łodzią (organizator hostel) do jaskini Sawa-i-Lau. Razem ok. 3 godz. Sam przejazd łodzią jest przepiękny, a jaskinia interesująca – zwiedza się pływając, aby przedostać się do drugiej komory trzeba zanurkować.

O godz. 13 wracam See Busem do Lautoka. W miasteczku można zjeść, wymienić pieniądze i wyruszyć w drogę dookoła wyspy. Wybrałam pierwszy autobus, na północ do Rakiraki. Kierowca i jego żona, fidżyjscy Hindusi zapraszają mnie na noc do swojego domu. Sympatyczni gospodarze zabierają mnie na rodzinne spotkanie z okazji wizyty kuzyna z Australii. Hinduskie zakąski, australijska whisky i sceny trochę jak za komuny w Polsce, kiedy przyjeżdżał wujek z Ameryki.

Ceny: wycieczka do jaskini Sawa-i-Lau 95 F\$. Łódź z Taveva do Lautoka – 120\$.

Kartę na autobus załadowałam na 30 F\$. Autobus z Lautoka do Rakiraki „Sunset Express” 8\$

13 września. Rakiraki – Natovi Landing – Ovalau-Levuka

Rano gospodyni oprowadza mnie po obejściu, dostaję hinduskie śniadanie i przekąski na drogę oraz suwenir – fidżyjski sarong. Odwdzięczam się drobiazgami i małą sumką. Pomimo że hinduska rodzina żyje na Fidżi od kilku pokoleń, zachowała zasadnicze elementy indyjskiej kultury: język, religię, zwyczaje rodzinne (małżeństwa pomiędzy Hindusami) i pożywienie. Spotkanie z hindusko-fidżyjską rodziną jest dla mnie jednym z najprzyjemniejszych momentów wycieczki. Potem jadę na Ovalau. Najpierw autobus do Korovou, potem do Natovi landing, skąd o godz. 13 odpływa promem na wyspę Ovalau do Levuka. Autobus+prom firmy St. Mary kursuje między Suva a Levuka we wtorki, czwartki, soboty. (Na tej trasie pływają codziennie promy firmy Patterson Brothers). Na promie fajne kontakty z Fidżyjkami i zaproszenie na wesele. Levuka, pierwsza stolica Fidżi (od 2013 roku na liście UNESCO) zaskakuje sympatycznym klimatem: ocean, góry, klimatyczna kolonialna zabudowa i... żadnych turystów! Nic dziwnego, że moje życie towarzyskie kwitnie: wieczór w towarzystwie wyemancypowanych policjantek, a następnego dnia wesele. Nocleg w New Mavida Lodge na głównej ulicy w 8-osobowym dormie, w którym jestem sama. Hotel czysty i przyjemny.

Ceny: Autobus z Rakiraki do Korovou 9 F\$. Autobus i prom St. Mary 30 F\$

W restauracji w Levuka obiad 12 F\$, piwo małe 7 F\$. Hotel dormitorium ze śniadaniem 27 F\$

14 września. Levuka

O poranku wybieram się do Lovoni (24 km). Jadę autobusem, tj. ciężarówką bez okien. Samozwńczy przewodnik Joe oprowadza mnie po wiosce, pokazuje m.in. uprawę kawy i suszące się korzenie. Wioska jest malowniczo położona w górach wśród tropikalnej roślinności, trochę straszą dachy pokryte zardzewiałą blachą falistą. Kusi trzygodzinny trekking powrotny, ale spieszę się na wesele. Ku memu zaskoczeniu nikt, nawet pani młoda, nie umiał mi powiedzieć, o której dokładnie rozpocznie się uroczystość – niezwykle elastyczny „Fidżi-czas”. Wesele jest tradycyjne. Oratoria tak podniosłe, że choć nic nie rozumiem, łzy mi się w oku kręcą. Uczta weselna ujawnia fidżyjskie upodobanie do jedzenia. Nic dziwnego, że Fidżyjczycy są wyjątkowo dobrze zbudowani, często zbyt dobrze.

15 września. Levuka – Suva – Sigatoka

Rano o g. 4 odjazd autobusu do promu Patterson Brothers. O godz. 6 prom do Natovi, a stamtąd dalej autobusem do Suva. Z żalem żegnam Ovalau, gdzie spotkałam wiele sympatycznych osób.

Znowu działa społeczny *network* – na promie spotykam Unę, która poleca mnie swojej siostrze w Sigatoka. Najpierw docieram do Suva. Plecak zostawiam na posterunku policji (tylko w krajach tzw. Trzeciego Świata jest możliwa podobna uprzejmość) i ruszam na miasto. Warto się wybrać na targ, aby zjeść np. rybę w mleczku kokosowym z jamem lub obejrzeć tropikalne owoce, warzywa, ryby i kwiaty. Żał patrzeć tylko na żywe kraby powiązane w pęczki, leżące w upale. Najważniejsza na targu jest jed-

nak kawa, sprzedawana w przeróżnych odmianach i cenach. Stolica czaruje mieszanką kolonialnej i nowoczesnej architektury. Odwiedzam wiekowy Grand Pacific Hotel (dobra kawa na tarasie), potem interesujące muzeum oraz centrum rękodzieła (targ z suwenirami). O godz.16 autobus i po 2,5 godz. docieram do Sigatoka. Ze stacji odbierają mnie Ma i jej mąż Semi – znowu doświadczam fidżyjskiej gościnności.

Ceny: Prom Patterson Brothers 20 F\$. Kawa w Grand Pacyfik– 6,5 F\$.

Muzeum 5,5 F\$. Śniadanie na targu w Suva 8 F\$. Butelka wody w sklepie 1,5–3 F\$.

Autobus Suva–Sigatoka 10\$

16 września. Sigatoka

W niedzielę rano Semi zabiera mnie do kościoła metodystów. Zaskakują mnie piękne, prawie profesjonalne śpiewy Fidżyczyków. Po kościele w domu moich gospodarzy specjalny obiad. Najważniejszym daniem jest tradycyjne lovo, gotowane w gorącej, rozgrzanej ogniskiem, ziemi. Po południu jadę na Coral Beach. Do Cuva podrzucają mnie gospodarze, stamtąd taxi do Namuka Bay Lagoon Resort. W 8-osobowym bungalowie jestem sama. Najwyraźniej to miejsce nie jest wymienione w Lonely Planet, choć niezła plaża i malownicza okolica.

Ceny: Lodge 35 F\$. Taxi z Cuva do Lodge:15 F\$

17 września. Sigatoka-Nadi – Nowa Kaledonia-Noumea

Rano ktoś mnie podrzuca do głównej drogi. Tu oczekuję na autobus do Nadi, ale „okazja” zatrzymuje się sama. Okazja jest płatna i pokazuje troszkę inne oblicze wyspiarskiego kraju, bo jak to powiedział kierowca: „Na Fidżi nic nie jest za darmo”. Nadi nie jest tak eleganckie jak Suva, widać też większe wpływy hinduskie, wyraźnie taniej. W sklepach i na targu można znaleźć indyjskie towary, a w restauracjach zjeść curry i roti. Podziwiam niewielką, ale pięknie wymalowaną świątynię hinduską Sri Siva Subramaniya. W mieście spory Handicraft Market. O godz. 17 mam wylot na Nową Kaledonię. Do lotniska 10 km. Należy wsiąść w bezpośredni autobus na lotnisko, zwykle mają nieskończoną liczbę przystanków (na Fidżi norma).

Ceny: Świątynia hinduistyczna 5 F\$. Obiad w małej indyjskiej restauracji: curry, ryż, dahl, roti – 5 F\$, herbata 1 F\$. Bilet na autobus z miasta na lotnisko: około 2 F\$

NOWA KALEDONIA, czyli kawałek Francji na Pacyfiku

Nowa Kaledonia jest zamorskim terytorium Francji. Szczególnie stolica Noumea i okolice, gdzie żyje 67% mieszkańców kraju, mają mocny klimat francuski. Mieszkańcy Nowej Kaledonii to: ludność lokalna Kanakowie (ok. 40%), Caldoches – urodzeni na wyspach potomkowie Francuzów, Metros – Francuzi z metropolii (z Francji) i migranci. Podstawowy język francuski plus języki lokalnej ludności. Odwiedziłam główną wyspę Grand Terre oraz Ile des Pins. Transport publiczny na wyspach kiepski, dobrze jest wynająć auto, może autostop? Drogo. Waluta: frank Pacyfiku FCFP (XPF), 1 AUD= 65–70 XPF, 1 EUR=119. Na wymianę lepiej mieć EUR. Pieniądze można wymieniać w automacie.

Lecę z Nadi do Noumea na Nowej Kaledonii linią Air Calin (dobry serwis). Zaledwie 2 godz., ale jego koszt daje przedsmak cen nowokaledońskich. Międzynarodowe lotnisko Tontouta leży ok. 40 km od miasta. Jest transport publiczny, ale autobusy mają małą częstotliwość <http://www.carsud.nc/voyager/ligne-c-ete>. Pewniejsze są autobu-

sy Arc en Ciel <http://www.lanavette.nc/#booking> (strona tylko po francusku). Dowożą na konkretny adres. Goszczą mnie przyjaciele z Servasu. Są w Nowej Kaledonii od 20 lat i nie zamieniliby wysp na Francję. Tak jak większość mieszkańców chcą jednak pozostać w związku z Francją, co potwierdziło listopadowe referendum.

Ceny: Lot Nadi do Noumea – Aircaline 426 AUD. Autobus publiczny lotnisko–miasto 280 XPF. Bus Arc en Ciel lotnisko – miasto 2000 XPF

18 września. Noumea

Noumea jest malowniczym, rozległym miastem, położonym między morzem a wzgórzami. Gdyby nie twarze Kanaków, myślałabym, że jestem we Francji. Turyстів prawie nie spotykam, chyba że tych z ogromnych wycieczkowców, które zaludniają miasto przez kilka godzin. Warto poszpendać się po Noumei, bo jest pięknie położona i ma swój koloryt. W mieście można odwiedzić targ – Le Marche, dosyć ciekawe muzeum, pójść na jedną z pięknych plaż lub pospacerować po okolicznych wzgórzach. Najciekawszym i wyjątkowym obiektem jest Centre Culturel Tjibaou, poświęcone kulturze Kanaków. Z daleka prezentuje się fantastycznie, łączy nowoczesność i miejscowe tradycje. Zbudował je znany włoski architekt Renzo Piano. Wieczorem w knajpce przy marinie, gdzie można spotkać i wyczuć po francusku wszystkich fajnych ludzi z Noumea, spotykam czwórkę kanadyjskich Polaków, którzy przyjeżdżowali z Vancouver.

19 września. Noumea-Ils des Pins

O godz. 7 odpywa prom Betico na Ils des Pins; 2,5 godz. pięknych widoków. Bilet wcześniej kupiony przez Internet. Po wylądowaniu wyspa zachwycała mnie zapachami – zamiast Wyspą Sosen, nazwałabym ją Pachnącą Wyspą. Najtańszą formą noclegu jest kemping (pożyczyłam od moich gospodarzy w Noumea namiot). Z przystani do kempingu Nataiwatch (<http://www.nataiwatch.com/eng/accueil.php>) idę na piechotę (można zamówić transport z hotelu). Kemping ma wszystko co potrzeba i darmowe Wi-Fi. W restauracji drogo, lepiej zabrać jedzenie z Noumea albo wybrać się do miejscowego sklepiku (ok. 2 km). Po wyspie najlepiej wędrować lub jeździć rowerem. Wysepka bardzo piękna, tropikalna roślinność, turkusowa woda i biały piasek. Można pływać, nurkować, wędrować i odkrywać kulturę Kanaków (choć kontakt z nimi jest trudniejszy niż z Fidżyjkami). Wędruję do Vao, gdzie przy plaży znajduje się figura st. Maurice, otoczona ciekawymi totemami wszystkich klanów Kanaków zamieszkujących wyspę. Na wyspie w sklepach prohibicja, alkohol podobno nie służy Kanakom.

Ceny: Prom 5800 XPF. Kemping 1600 XPF

Obiad na kempingu 4500 XPF, śniadanie 1450 XPF

20 września. Ils des Pins

Rano wchodzi na Pic Nga (260 m), najwyższe wzniesienie na wyspie. Potem wycieczka rowerowa dookoła wyspy. Puste drogi, wyspa jak ogród botaniczny i kilka punktów do zobaczenia: ruiny więzienia, jaskinia królowej Hortensji (ciekawa), Piscine Naturelle (fajne pływanie, snorkelowanie).

Ceny: wynajęcie roweru na dzień 2500 XPF

Wstęp do jaskini 250 XPF

21 września. Ils des Pin – Noumea – Park National de la Riviere Blue-Yate

Powrót do Noumea na Grand Terre samolotem – z góry też pięknie.

Umówiłam się z inną podróżniczką i wynajętym autem ruszyliśmy na południe do Yate. Tę trasę przez góry warto zrobić dla fantastycznych widoków. Po drodze wodospady Madeleine. Nocleg w ośrodku Gite de Lya niedaleko Yate.

Ceny: Transfer na lotnisko na Ils des Pin 800 XPF. Lot (bagaż do 12 kg, nie sprawdzali) – 7338 XPF. Wynajęcie samochodu w Noumea w Sixt: Peugeot 108 na 3 dni 14 621 XPF. Nocleg domek 2 os. – 6500 XPF

22 września. Park des la Riviere Blue – Bouloupari

Rano wyjazd do Park National de la Riviere Blue. Pomimo deszczu trekking w parku świetny. Piękne widoki, ciekawe rośliny i ptaki; „trzeba” zobaczyć endemicznego ptaszka wieloletnia cagou (kagu) – symbol Nowej Kaledonii. Na wieczór docieramy na północ w okolice Bouloupari na nocleg w Jackaroo Surf Camp (342 avenue de Port Ouenghi, Boulouparis). Właściciel Marc, świetny gawędziarz, ma w zanadrzu również polską historijkę o Polce poszukującej w okolicy grobu polskiego zesłańca. Sprawdziłam, chodzi o Antoniego Berezowskiego (nieudany zamach na cara w Paryżu w 1867 roku, zesłanie na Nową Kaledonię, zmarł w roku 1916 w Bourail, 80 km od Bouloupari).

Ceny: Park wstęp 600 XPF. Nocleg dwójka w Surf Camp – 7 tys. XPF

23 września. Park koło Farino, nocleg Noumea

Wycieczka do Parc Naturelle des Grandes Fougères koło Farino (interesujący, przypomina parki na wschodnim wybrzeżu Australii). Po południu powrót do Noumea i odwiedziny w **Centre Culturel Tjibaou**. Mamy szczęście, odbywa się właśnie Fete de la Citoyennete – święto obywateli.

Można przyjrzeć się strojom, tańcom i śpiewom Kanaków i emigrantów z wysp Wallis, Futuna oraz Tahiti. Nocleg w Auberge de Jeunesse (hostel *backpackerski*) w Noumea (fajnie położony, ale brudny).

Ceny: Park Naturelle 400 XPF. Hostel w 6-osobowym dormie 2100 XPF

1 g Internetu w hostelu 200 XPF. Centrum C.T. wstęp 1000 XPF

24 września. Noumea – Vanuatu, Port Villa

Pomimo że wieczorem wylot, rano ciąg dalszy święta obywateli w Centre Culturel Tjibaou, m.in. smakowanie tradycyjnych potraw, w tym bougna (eng. bunia). Autobusem Arc au Ciel docieram na lotnisko i o godz. 19.20 wylot do Port Villa, lot ok. 1 godz.

VANUATU

Uwaga: wlatując do Vanuatu z Air Vanuatu, można uzyskać 20% zniżki na loty wewnętrzne.

Odwiedziłam główną wyspę Efate, Tana i małą Pele na północy Efate. Z trzech przeze mnie odwiedzonych krajów, Vanuatu najbiedniejszy i najbardziej tradycyjny, ale tu najchętniej bym powróciła.

Języki: angielski, francuski, bislama (mieszanka angielskiego, francuskiego i języków miejscowych). Waluta 1 AUD = ok. 80 VT (vatu)

Czas ten sam co w Nowej Kaledonii.

Ceny: lot Noumea-Port Villa 200 AUD. Wymiana na lotnisku 1 AUD – 80 VT, z bankomatu za 1 AUD – 74,7 VT. Transport lotnisko–miasto: miejscowy bus 150–200 VT, taxi 1500 VT. Nocleg Port Villa Backpackers Budget Motel dorm 6-osobowy 35 AUD – polecam.

25 września. Port Villa-Tana

Rano lot na wyspę Tana ok. 45 min. Główną atrakcją Tana jest Mt. Yasur, reklamowany jako najłatwiej dostępny na świecie czynny wulkan. Na Tana najlepiej zamieszkać w pobliżu wulkanu i stamtąd robić wypad na wulkan lub po wyspie. Z lotniska odbiera mnie właściciel hostelu Volcano Island Paradise Bungalows (transport *one way* w cenie, dobrze mieć zarezerwowany, bo drogi w budowie, a transport publiczny nieprzewidywalny). Bungalow to bardzo szumne określenie na bardzo skromną chatkę z przechodnią pościelą; ale jest moskitiera i widok na wulkan; spędzam tu dwa miłe dni z sympatyczną rodziną gospodarzy. Moją wycieczkę na wulkan zakłóca i skraca ostry, zimny (!) deszcz i wiatr. Na górze oglądamy spektakularne wulkaniczne „fajerwerki”, płynącej lawy jednak nie widać. Wulkan niewątpliwie ciekawy, ale rodzaj wycieczki zniechęcający. „Wyprawy” są organizowane 2x dziennie tylko przez państwowe biuro (<http://www.entanivanuatu.com/index.php?r=tours>) i tylko grupowo. Są bardzo drogie – około 10 tys. VT, urozmaica się je kiepskim show i niepotrzebnym poczęstunkiem. Mimo to polecam wyjazd na Tanę. Widowiskowa przyroda, tradycyjne wsie, przyjaźni ludzie (ci z biznesu turystycznego trochę mniej).

Ceny: Lot Port Villa–Tana–Port Villa 250 AUD. Opłata lotniskowa przy lotach wewnętrznych 200 VT. Bungalow ze śniadaniem pierwsza. noc 1650 VT, druga noc 1000 VT. Wycieczka na wulkan 10 tys. VT. Transport powrotny z Visitor Center 500 VT

26 września. Tana

Pogoda deszczowa, ale fantastyczne widoki (z daleka) nieustannie pracującego wulkanu. Świetna piesza wycieczka do Port Resolution Bay.

Ceny: Obiadokolacja w hostelu 800 VT

27–28 września. Tana–Pele

Rano transport do lotniska (tylko 4 WD) i o godz. 12.20 wylot do Port Villa.

Deszcz, drogie loty oraz mało czasu powodują, że ograniczam swoje plany tylko do wyjazdu na północ Efate. W Port Villa przy Au Bon Marchee Manples łapię autobus na północ. Objeżdżam wyspę od zachodu do Emua. Stąd łódką na wysepkę Pele do bungalow Sunset Frangipani. I znowu biały piasek, turkusowa woda, mały marine park i melanezyjskie życie wkoło. Gdyby tylko nie padało...

Ceny: łódka z Emua na Pele 500 VT. Domek (5-osobowy, jestem sama, ze śniadaniem) – 1200 VT

29 września. Pele – Paonangisu na Efate

Rano zabieram się łodzią sąsiadów na Efate i autobusem do pobliskiej wsi Paonangisu. Nocuję w Malowia Guesthouse (blisko plaży), który po *backpackerskich* hostelach jest luksusową odmianą (czysty, bez robaków, ciepła woda itp.). Właścicielka – Angielka Janet, bardzo sympatyczna, dobrze gotuje i ułatwia kontakty z mieszkańcami wsi.

Ceny: Malowia Guesthouse ze śniadaniem 3000 VT, kolacja 800 VT

30 września. Paonangisu-Port Villa

Jest niedziela i również tu słyszę z kościoła piękne śpiewy. Z polecenia Janet zostałam zaproszona na 60 urodziny jednej z gospodyń. Oglądam, jak cała rodzina, kobiety, mężczyźni i dzieci, pewnie 10 osób, wspólnie przygotowują tradycyjne potrawy: ryby, kokosy, wieprzowinę i najważniejsze: laplap. Niestety nie mam czasu zostać na samą uroczystość. W okolicy podobno ciekawa Valeva Cave w Siviri (2000 VT).

Po południu wracam do stolicy. Prowincjonalnie sympatyczna, kręci się po niej wielu ekspatów, szczególnie z Australii. Duży targ suwenirów (drogawe), warzyw i owoców. Bardzo fajna kawiaria nad morzem: Nabawan, czyli... *Number one*, uwielbiam biślama!

Chwała ludziom na Vanuatu: zapomniany zegarek w bungalowie na Tana, przechodząc przez paru pośredników, po kilku dniach w końcu wraca do mnie.

Ceny: Kawiarnia Nambawan: kawa biała 300 VT, piwo 450 VT, pizza 1500 VT.

Nocleg Backpackers Budget Motel 35 AUD.

1 października. Port Villa – Melbourne

Na lotnisko docieram zamówionym w hotelu busem.

Ceny: bus do lotniska 1000 VT. Lot Port Villa – Melbourne 421 AUD

Ewa Flak, Jarosław Kociel

Australia Zachodnia – gdzie wszędzie daleko...



Termin: 5 lutego – 1 marca 2018

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek, Cezary.

Trasa lotnicza: Katowice – Londyn Luton (Wizzair 323 PLN/os.) Londyn – Guangzhou – Perth (China Southern 2690 PLN/os.)

Koszty podróży: 6536 PLN/os. (razem z pamiątkami)

Kursy walut: 1 AUD = 2,70 PLN

Czas: w zależności od pory roku, zimą – 7 godz., a latem – 8 godz. w stosunku do Polski.

Bezpieczeństwo: Turysta może czuć się w Australii bezpiecznie.

Wizy: Do Australii jest wymagana. Można załatwić ją elektronicznie, otrzymując poprzez odpowiednią aplikację (e-Visitor), którą należy złożyć co najmniej dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem. Należy podać między innymi numer paszportu ważnego przez kolejnych 6 miesięcy w momencie uzyskania wizy oraz aktualny adres e-mailowy. Po zaaplikowaniu otrzymaliśmy ją już po minucie.

Język: Z Australijczykami niełatwo się porozumieć nie tylko ze względu na nietypowy akcent, ale z powodu skrótów czy zupełnie niesłownikowych wyrazów. Na odmienność „australijskiego” składa się nagromadzenie typowych tylko dla tego kraju słów, inna wymowa, inna melodia języka.

Pogoda: ze względu na ogromną powierzchnię kraju klimat jest zróżnicowany, i tak, gdy średnia temperatura na wybrzeżu oscylowała wokół 25°C, to w części środkowej było ponad 40°C, a w górach 15°C.

Elektryczność: 230V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „West Australia”

Koszyk podróżnika: woda mineralna 1,25 l – 0,75 AUD, pepsi cola 2 l – 2 AUD, lody 2 l – 4 AUD, chleb tostowy 1–2 AUD, bagietka 300 g – 1,5 AUD, pączki 12 szt. 2 AUD,

mleko UHT 1 l – 0,90 AUD, śmietana 300 gr – 1,50 AUD, masło 250 gr – 2,95 AUD, margaryna 1 kg – 1,60 AUD, ser żółty 1 kg – 6,60 AUD, olej 2 l – 4,40 AUD, marmolada 500 gr – 2,50 AUD, dżem 500 gr – 2,50 AUD, ryż 1 kg – 0,95 AUD, spaghetti 0,5 kg – 0,65 AUD, ziemniaki 1 kg – 2,50 AUD, cebula 1 kg – 1,20 AUD, marchewka 1 kg – 1 AUD, pomidor 1 kg – 3 AUD, kalafior 1 szt. – 4,5 AUD, sałata 1 szt. – 2 AUD, brokuły 1 kg – 8,15 AUD, cukinia 1 szt. – 1,70 AUD, puszka fasoli – 0,75 AUD, puszka kukurydzy 0,90 AUD, oliwki zielone 500 gr – 2 AUD, tuńczyk w puszcze 2,60 AUD, sos pomidorowy 700 gr – 1,70 AUD, kiełbasa 1 kg – 4 AUD, piersi z kurczaka 1 kg – 9 AUD, szynka w plasterkach 250 gr – 2,80 AUD, mięso wołowe 1 kg – 7 AUD, kotlety wieprzowe 1 kg – 11,90 AUD, boczek 1 kg – 8 AUD, wątroba drobiowa 1 kg – 6,40 AUD, jabłka 1 kg – 4 USD, banany 1 kg – 5 AUD, nektaryny 1 kg – 4,90 AUD, ananas w puszcze 440 gr – 1,20 AUD, płatki czekoladowe Nestle 700 gr – 4,90 AUD, kawa bezkofeinowa 100 gr – 4 AUD, cukier 2 kg – 1,80 AUD, orzeszki solone 370 gr – 2,10 AUD.

RELACJA Z PODRÓŻY

5 lutego. Katowice – Londyn – Guangzhou

Wylot z Pyrzowic do Londynu Luton mamy o godz. 12.25, potem jedziemy 1.20 godz. autobusem National Express na lotnisko Heathrow. O godz. 22.30 mieliśmy ponad 12 godz. lot do Guangzhou w Chinach.

6 lutego. Guangzhou – Perth

Po godz. 18.00 czasu miejscowego byliśmy w Guangzhou (tu przedstawiamy zegarki o – 7 godz. w stosunku do Polski). Stąd o godz. 22.30 mieliśmy 8 godz. przelot do Perth.

7 lutego. Perth – Cervantes, 198 km

O godz. 6.35 dolecieliśmy do Australii. Szybka kontrola, bez zbędnych ceregieli następnie podjeżdżamy autobusem na terminal 4, skąd piechotą udajemy się do biura wypożyczalni samochodów Britz (471 Great Eastern Hwy, Perth WA 6104). Rezerwację zrobiliśmy już w Polsce (za wynajęcie na 21 dni zapłaciliśmy kartą, 6296 PLN/4 os.), tutaj musieliśmy tylko podpisać dokumenty i wysłuchać instrukcji obsługi campera (Toyota Hiace). Wykupiliśmy za 47 AUD karnet do wszystkich parków narodowych ważny 4 tygodnie i ruszyliśmy w drogę. Najpierw podjechaliśmy do supermarketu Coles, gdzie zrobiliśmy pierwsze zakupy żywnościowe. Potem ruszyliśmy w drogę do Parku Narodowego Nambung, gdzie znajduje się Pustynia Pinnacles. Jest to księżycowy obraz kamiennych iglic. Zbudowane są z jasnego wapienia, który powstał miliony lat temu w procesie erozji iglic. Najwyższe mają nawet 5 m wysokości i 2 m szerokości. Na 4 km² pustyni są ich tysiące, każdy pinakiel jest inny. Istnieją również ich nazwy: wielbłąd, kangur, zęby trzonowe, stopa słonia, wódz czerwonoskórych, brama. Geolodzy twierdzą, że w ciągu kilku wieków przestaną one istnieć, prawdopodobnie przez silne wiatry morskie zmniejszy się ilość piasku. Na terenie parku występują wrzosowiska, zarośla, a także pokryta wydhami plaża z rafą koralową oraz suche lasy eukaliptusowe. Dominuje tu pustynny krajobraz. Dzień kończymy w RAC Holiday Park przy 35 Aragon Street, 6511 w Cervantes. Za nocleg zapłacimy 55 AUD (z prądem). Trzeba nadmienić, że caravan parki są tu bardzo dobrze wyposażone. Kuchnie posiadają całe za-

plce do gotowania, grillowania, są lodówki, zmywarki, w łazience są pralki. Jest czysto i schludnie.

8 lutego. Cervantes – Geraldton, 223 km

Pierwsza noc w camperze za nami, musimy się przyzwyczaić do swojej ciągłej obecności na tak małej powierzchni. Zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy w drogę. Najpierw pojechaliśmy do Lesueur National Park, gdzie wytyczonych jest kilka szlaków. Park został założony w 1992 roku. Obejmuje dwa płaskowyże znane jako Mount Lesueur i Mount Michaud, jest tu bardzo zróżnicowana flora. My weszliśmy na Mount Lesueur 313 m n.p.m. dosyć łatwym szlakiem. W parku można zobaczyć drzewa trawiaiste, które ze względu na charakterystyczny wygląd tak nazwano. Po drodze zatrzymujemy się przy punktach widokowych Lain Wilson Lookout i Grigson Lookout. Potem pojechaliśmy do Geraldton. Tam oglądamy pomnik upamiętniający okręt HMAS Sydney zatopiony u zachodnich brzegów Australii w czasie II wojny światowej. Następnie jedziemy na Point Moore, gdzie znajduje się charakterystyczna biało-czerwona latarnia morska o wysokości 34 m. Na nocleg zatrzymaliśmy się w Belair Gardens Caravan Park przy 463 Marine Terrace, Geraldton WA 6530 za 39 AUD. Mirek ma dzisiaj okrągłą rocznicę urodzin, więc na tę okoliczność był szampan, tort czekoladowy i steki. Odśpiewaliśmy „Sto lat” co wzbudziło zainteresowanie innych osób.

9 lutego. Geraldton – Kalbarri, 496 km

Po śniadaniu ruszyliśmy w kierunku National Park Kalbarri. Zatrzymujemy się przy słynnym jeziorze Hutt Lagoon, o wściekle różowym kolorze. Widok jest zadziwiający. Płytke solankowe jezioro wygląda raczej na twór ze świata bajki niż na element krajobrazu. Po drugiej stronie ulicy jest mniejszy akwen, gdzie woda rozdzielona jest rurą i połowa wody jest różowa, a druga część zielona. Hutt Lagoon ma różową barwę dzięki obecności glonów wytwarzających karotenoidy. Dojechaliśmy do Kalbarri NP, gdzie ruszyliśmy na 8 km Bigurda Trail. Szlak przylega do wybrzeża między wąwozem Natural Bridge i Eagle Gorge, zapewniając wspaniałe widoki na ocean i okolicę. Podzieliliśmy się na dwie grupy. Ja z Jarkiem rozpoczęliśmy szlak z Natural Bridge, a Mirek z Cezarym pojechali do Eagle Gorge. My szliśmy z wiatrem, ubraliśmy się w długie spodnie i rękawy, bo można się bardzo opalić, wręcz poparzyć. Mirek z Cezarym szli pod wiatr i mieli o wiele gorzej, ponieważ mocne podmuchy utrudniały przemieszczanie. W połowie drogi przekazaliśmy sobie kluczyki do samochodu, a potem mieliśmy podjechać po chłopaków. W drodze do Kalbarri zatrzymujemy się na kilku punktach widokowych. Najpiękniejsze widoki są chyba z Eagle Bluff, gdzie możemy podziwiać Ocean Indyjski w turkusowych odcieniach. Po południu dotarliśmy do Kalbarri, gdzie zatrzymaliśmy się w Kalbarri Turdor Holiday Park przy 10 Porter St. Za nocleg zapłaciliśmy 44 AUD.

10 lutego. Kalbarri – Billabong, 200 km

Najpierw poszliśmy na miejską plażę, gdzie codziennie dokarmiane są pelikany. Od godz. 8.30 gromadzili się turyści, którzy czekali na przylot pelikanów i mew. Okazało się, że dzieci mogły rzucać ptakom ryby, a te starały się je złapać i zdążyć przed mewami. Następnie pojechaliśmy do Parku Narodowego Kalbarri w regionie Coral Coast, na Loop Walk. Na parking czekał na turystów strażnik parku, który informował, że na

dole w wąwozie jest prawie 50°C i odradzał przejście całego szlaku. Poradził tylko krótki odcinek i nie schodzenie do wąwozu. Mieliśmy wodę i batony, więc w miarę wyposażeni ruszyliśmy w drogę. Początek szlaku rozpoczyna się poniżej parkingu samochodowego od punktu widokowego. Całość to umiarkowany, 9 km Loop Walk. Jest oznaczony znacznikami kierunkowymi, biegnie wzdłuż krawędzi urwiska z widokiem na rzekę Murchison, która wyrzeźbiła spektakularny wąwóz. Szlak prowadzi do cudu natury Natures Window, okna stworzonego przez naturę w skale. Przez okno można zobaczyć olbrzymią rzekę i kanion. Jest to najciekawsze miejsce do robienia zdjęć. Stąd szlak prowadzi do brzegu rzeki. Po drugiej stronie rzeki niektóre klify pokazują wspaniałe odcienie czerwieni i różu. Wewnątrz wąwozu temperatura może wzrosnąć, Mirka zegarek wskazywał 46°C. Po 2 km stwierdziliśmy, że zawracamy, bo upał był potworny. Jarek przeszedł jeszcze kilometr i też zawrócił. Po powrocie na parking strażnik pytał się o samopoczucie oraz warunki na trasie, był bardzo pomocny. Powiedział nam, że w ciągu ostatniego roku trzech turystów zmarło z przegrzania, szlak zbiera spore żniwa w ofiarach ludzkich. Wydaje się być łatwy i przyjemny, bo to tylko 9 km, ale okazuje się, że samo przejście 2 km klifem w taką pogodę było mordercą. Bez wiatru, żadnych osłoniętych miejsc, punktów z zacienieniem do odpoczynku. Na parkingu jest budka telefoniczna, gdzie, wykręcając nr telefonu 000, można uzyskać połączenie z lekarzem i centrum wsparcia. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, to na miejsce może przyjechać ekipa wolontariuszy, coś jak polska ochotnicza straż pożarna wyposażona w niezbędny sprzęt ratunkowy, a potem wsparcie pogotowia. My ruszyliśmy w dalszą drogę na północ. Zatrzymaliśmy się w Billabong Homstead Hotel/Motel za 40 AUD.

11 lutego. Billabong – Denham, 177 km

Od rana przemieszczamy się na północ. Docieramy do Hamelin Pool, gdzie występują stromatolity, czyli mikro struktury skalne należące do najstarszych śladów życia na Ziemi. Po drodze zatrzymujemy się na Shell Beach. Jest to plaża, na której są miliony małych muszelek i ani ziarenka piasku. Miejscami warstwa muszelek sięga nawet 10 m. Kolejne postoje to punkty widokowe Bluff Eagle i Litte Lagoon. Są tu piękne fragmenty australijskiego krajobrazu. Droga prowadzi przez szarpane klifowe wybrzeże. Wokół pustka, dosłownie nic, żadnych domów, niczego co wskazywałoby na ludzką obecność. Tylko popękana ziemia, kolczaste zarośla i turkusowa otchłań oceanu. Dojechaliśmy do NP Francois Peron, gdzie znajdują się gorące źródła i stara farma. Można tu wejść i zażyć kąpieli w 40°C wodzie. Wróciliśmy do Denham, gdzie zatrzymaliśmy się w caravan parku Seaside Tourist Village za 49,5 AUD. Popołudnie spędzamy na plażowaniu, relaksie i spacerowaniu. Miasteczko typowo kurortowe, więc wielu Australijczyków przyjeżdża tutaj na weekendy.

12 lutego. Denham – „Bush Camping”, 504 km (okolica Lyndon River)

Podjeżdżamy 25 km do Monkey Mia (wstęp 12 AUD/os.), jest to miejsce, gdzie od godz. 8.00 można obserwować i dokarmiać dzikie delfiny butlonose, które co rano przypływają do brzegu. Dzieje się tak niezmiennie od kilkudziesięciu lat. Rankiem turyści zbierają się na plaży i wypatrują w oceanie delfinów. Przypływają one coraz śmielej do stojących po kolana w wodzie ludzi. Jest to fenomen na skalę światową, stanowiący dowód bliskiego pokrewieństwa człowieka z tymi sympatycznymi ssakami. Przy oka-

zji można było też zobaczyć pelikany, a w parku zauważyliśmy również strusia australijskiego. Potem pojechaliśmy do Blowholes, gdzie znajdują się otwory w klifie, przez które przepychana jest woda pod naturalnym naporem i ciśnieniem fal. Nagromadzona strzela w górę małymi otworami, tworząc jakby gejzer. Malowniczy spektakl. Dalej jedziemy ponad 400 km w kierunku PN Karijini, ale zapadał już zmierzch, więc zatrzymaliśmy się na dziko na *rest area*, gdzie Cezary przeszedł *outbeckowy* chrzest. Wypróbował patent prysznicowy z zawieszanej na sznurku butelki z dziurką w korku. Okazało się, że to działa, miał prysznic na łonie natury. Kolację przygotowujemy na zewnątrz przy campervanie, gdzieś pośrodku australijskiego pustkowia pod rozgwieżdżonym niebem...

13 lutego. „Bush camping” – PN Karijini, 631 km

Dziś jedziemy z małą przygodą związaną z brakiem paliwa na 3 km przed stacją benzynową. Postanowiliśmy zatem kupić 5-litrowy kanister, i od tego czasu mieliśmy na wszelki wypadek zapas paliwa. Po drodze do PN Karijini zatrzymujemy się przy małym cmentarzu górniczym. Na nagrobkach stoją lampy górnicze, hełmy, łopaty, części z kombajnu... i różne gatunki alkoholi. Tutaj też pierwszy raz widzimy w Australii ciężarówkę, które mają 60 m długości i posiadają 4 naczepy, są to prawdziwe „pociągi” szos. Na nocleg zatrzymujemy się w Auski Tourist Village za 30 AUD. Dziś pierwsza wojna: muchy kontra my!

14 lutego. NP Karijini – Newman, 193 km

Rano jedziemy do National Park Karijini. Do parku prowadzi kilka dróg, w tym wiele jest szutrowych, wyboistych i zalanych wodą. Nasz camper zmienił kolor na rdzawoczerwony, wyglądał jak po rajdzie terenowym, ale dał radę. Dojechaliśmy na parking, skąd rozpoczynał się szlak do Dales Gorge. Trasy do przejścia są dobrze wytyczone i oznaczone. Stopień trudności określa kolor, na tablicy informacyjnej opisany został kilometr i przewidywany czas obejścia trasy. Najpierw podeszliśmy do platform widokowych, z których rozciągała się panorama na kaniony. Piękne miejsce, zieleń i czerwien skał stanowią niesamowity widok. Wysoki płaskowyż jest poprzecinany wąwozami, a kamieniste, zadrzewione ciekły wodne wiją się po zakurzonej równinie. Jest tam wiele wodospadów i wąwozów wypełnionych wodą, które są doskonałym miejscem na relaks, gdzie spacer można połączyć z pływaniem. Są tu odcinki, które trzeba przejść na „pająka”, zapierając się równocześnie nogami i rękami. Wąwozy w parku mogą być niebezpieczne, krawędzie klifu mają około 100 m wysokości.

Potem podjechaliśmy 56 km w miejsce, gdzie znajduje się punkt widokowy Oxers Lookout, a dalej rozpoczyna się Walking Handrail Pool. Poszliśmy żółtym szlakiem w dół kanionu. Ścieżka wiedzie łagodnie, potem schodzi się kamieniami na dno wąwozu. Trasa oznaczona jest żółtymi kropkami, widocznymi z daleka, więc nie można się zgubić. Doszliśmy do miejsca, gdzie szlak kończy się wodą i łączy się z Hancock Trial, szlakiem niebieskim. Postanowiliśmy wyjść do góry. Niedaleko jest zejście na szlak Hancock Gorge, do którego schodzi się 40 m po metalowych drabinach, ale sobie odpuściliśmy, bo chmury burzowe gromadziły się na niebie i lepiej było się ewakuować. Złańanie pogody zapowiadane już było od kilku dni. Tutejszy klimat można określić jako tropikalny z temperaturą często przekraczającą 50°C. Karijini NP jest domem dla

wielu ptaków, kangurów, kolczatek, nietoperzy, gekonów, waranów, jaszczurek, pytonów i węży. Najpiękniejsze miejsca w NP Karijini, które warto odwiedzić to Dales Gorge, Fortescue Falls, Weano Gorge i Hancock Gorge, Hamersley Gorge. My ruszyliśmy w dalszą drogę do Newman, gdzie zatrzymaliśmy się w przydrożnym caravan parku. Nie płaciliśmy, ponieważ po godz. 18.00 nie było nikogo z obsługi, a rano biuro też było zamknięte. Pytaliśmy innych osób, gdzie możemy uiścić opłatę za miejsce, ale tylko machali ręką i mówili swoje magiczne *no worries* typowe tylko dla Australijczyków. Tak więc, *no worries*.

15 lutego. Newman – Dalwallinu, 934 km

Dziś przed nami znowu długi odcinek drogi. Przekraczamy linię Zwrotnika Koziorożca, gdzie robimy sobie pamiątkowe zdjęcia. Przejechaliśmy National Highway 95 do Dalwallinu 934 km, gdzie zatrzymaliśmy się w kolejnym caravan parku za 35 AUD.

16 lutego. Dalwallinu – Nannup, 514 km

Dojechaliśmy do New Norcia. Miasto założone w 1847 roku przez hiszpańskich mnichów benedyktyńskich miało wiele celów: misja, klasztor, dostawca edukacji, a teraz jako miejsce duchowego odosobnienia. My obejrzeliśmy budynki college'u, i internatów, które stanowią kontrast architektoniczny do budynków widzianych do tej pory. Przejechaliśmy już bardzo duży obszar i tutejsza architektura nie wyróżniała się niczym szczególnym. Są to praktyczne budynki z cegły, desek, blachy. Często sprawiają byle jakie wrażenie. Dopiero tutaj pojawiła się perła architektoniczna, przypominająca budynki z Anglii. Dalej pojechaliśmy do Busselton, gdzie znajduje się najdłuższe 1841 m molo świata (wstęp 4 AUD/os.). Trzeba również wspomnieć, że wokół mola odbywa się część zawodów pływackich z serii Ironman. Molo to atrakcja sama w sobie, bo jeździ tutaj kolejka wożąca turystów w dwie strony. Następnie pojechaliśmy w okolice Nannup, gdzie zatrzymaliśmy się w caravan parku w lesie za 33 AUD. Pięknie położone miejsce, w powietrzu unosił się zapach drzew karri. Caravan park utrzymany w formie leśniczówki, niedaleko płynie rzeka, są szlaki, nic tylko wypoczywać.

17 lutego. Nannup – Denmark, 243 km

Pojechaliśmy do PN Gloucester, gdzie są Giant Tingle Tree. To ogromne drzewa karri, w tym jedno z nich ma 53 m wysokości i można na nie wejść po wbitych spiralnie 153 metalowych prętach zabezpieczonych siatką. Na górze jest platforma widokowa, na której maksymalnie może przebywać 9 osób. Mimo bezwietrznej pogody czuć jak korona drzewa odchyła się o co najmniej pół metra od pionu. Kiedyś platforma na tym drzewie służyła do obserwacji i wczesnego sygnalizowania o pożarach, dziś jest niezwyklej dostawcą adrenaliny. Zejście jest zdecydowanie trudniejsze niż wejście (warto mieć z sobą rękawiczki). Ja weszłam tylko kawałek i zrobiło mi się dziwnie. Cezary próbował trzy razy coraz wyżej wchodzić i za każdym razem rezygnował. Jarek i Mirek weszli na szczyt, skąd podziwiali widoki na okolicę. Niedaleko widnieć kilka szlaków, gdzie można zobaczyć ogromne drzewa, z monumentalnymi pniami, przez które może przejechać samochód. Większość z nich ma wypalone wnętrza. Drzewa leżą powalone, połamane, a las ma charakter parku narodowego, więc zostawione są tak jak chce natura.

Następnie pojechaliśmy do Valley of the Giants. Tree Top Walk jest to nazwa największej atrakcji w okolicy, metalowej rampy długości 600 m, zawieszanej na wysokości koron drzew gigantów (40 m). Tam za 21 AUD/os. można spacerować specjalnie zbudowanymi platformami i kładkami w koronach drzew. Bardzo fajne miejsce. My obeszliśmy je dwa razy, więc jak Cezar stwierdził, zapłaciliśmy po 10,5 AUD. Podjechaliśmy jeszcze do zatoki Greens Pool, gdzie znajdują się Elephant Rocks, czyli słoniowe skały wystające z oceanu. Rzeczywiście wyglądają jak olbrzymie słonie. Piękne miejsce. Nocujemy w Denmark w caravan parku za 35 AUD.

18 lutego. Denmark – Stirling NP, 136 km

Po śniadaniu udajemy się do Albany, uroczego miasteczka nad oceanem. Są tam domy przeniesione wprost z XIX w. Anglii, port jachtowy, a na chodnikach jest ręcznie ułożona mozaika. Dalej jedziemy do Porongurup National Park. Tu znajduje się kilka fajnych, kilkugodzinnych szlaków do przejścia. My idziemy „Granite Skywalk Trail” mający 4,4 km szlak, którego atrakcją były granitowe skały, na które wchodziło się po drabinkach. Na szczycie jest platforma widokowa. Szlak jest łatwy, przyjemny i nie wymaga większej sprawności. Warto mieć z sobą kilka litrów wody, bo panuje tu niemiłosierny upał. Potem podjechaliśmy w inne miejsce, gdzie rozpoczynał się „Nancy Peak Walk” 3,7 km, łączący się z „Wansbrough Walk” 1,6 km. Jest to szlak biegnący przez malownicze tereny do punktu widokowego na skałę.

Po południu podjechaliśmy do Mt. Trio Bush Camp and caravan park w okolicy PN Stirling, który znajdował się w polu, daleko od drogi. Tu obowiązywała samoobsługa, nie było office i nikogo, kto by nadzorował to miejsce. Trzeba było wpisać się do zeszytu i uiścić opłatę 30 AUD według powieszonego cennika do „uczciwej” skrzynki na pieniądze. Podobnie jest przy drogach, gdzie mijając osady farmerskie, można było zakupić warzywa i owoce na samoobsługowych straganach. Za odważony i wyceniony towar sami wrzucamy pieniądze do ustawionej obok skrzynki. Szok kulturowy...

19 lutego. Stirling NP – Esperance, 424 km

Podjechaliśmy do NP Stirling, gdzie znajduje się wejście na szczyt góry Bluff Knoll – 1095 m n.p.m. Całość trasy do przejścia to 6,2 km w dwie strony. Szlak nie jest wymagający, są płaskie podejścia, kamienne odcinki, konary, schodki, wszystko to, co fascynaci wędrowek lubią. Trochę wysiłku i po 2 godzinach byliśmy na górze. Szliśmy w trójkę, bo Cezara zniechęcił deszcz i wiatr. Jednak po godzinie wypogodziło się i postanowił podjąć wyzwanie. Kiedy my już schodziliśmy, on dochodził do szczytu, co nas bardzo ucieszyło, bo widok na okolice jest tego wart. Zjedliśmy drobny posiłek regeneracyjny i ruszyliśmy w drogę do Esperance. Tu zatrzymaliśmy się w Arrow caravan parku, za nocleg płaciliśmy 32 AUD.

20 lutego. Esperance – Norseman, 204 km

Od rana pada, potem śiapi deszcz. Jest zimno ok. 15°C. Dojechaliśmy do Cape Le Grande NP, nie stwierdzając malowniczych widoków. Czarek wjechał camperem na plażę, ale w pewnym momencie była wymyta, więc nici z *off roadu*. Dalej pojechaliśmy na kilka punktów widokowych, na plaży Lucky Bay (znajdującej się w top 10 najpiękniejszych plaż świata) pasło się stadko kangurów. Coś fajnego. Zwierzaki w ogóle się nie

bały i można je było pogłaskać. Są miękkie jak pieski. Skubały sobie trawkę, co jakiś czas podskakiwały na swoich sprężystych łapach. Spaliśmy w Noresman w Acclaim Gateway caravan park, płacąc 30 AUD.

21 lutego. Norseman – Kalgoorlie, 187 km

Od rana cały czas leje, mamy nadzieję na wypogodzenie się, ale szanse są nikłe. Ciężkie, stalowe chmury wiszą nad nami. Jedziemy do Kalgoorlie, słynącego z wydobywania złota. Czas jakby się tu zatrzymał. Miasteczko ma iście westernowy charakter, są hotele z werandami ze zdobnymi poręczami, kwiaty w skrzynkach, stare napisy, cudny klimat. Miasteczko jest płaskie w zabudowie, przecinają je drogi równymi siatkami. Weszliśmy do Museum of the Goldfields, gdzie można zobaczyć samorodki oraz wyroby ze złota. Potem przechodzi się do odrestaurowanych budynków, w których mieszkali w XIX w. górnicy. Jest tam typowy dom górnika, przykładowa kamienica z gabinetem dentystycznym, bank, poczta, ogródek. Jest to świetne miejsce, aby zdobyć informacje na temat wczesnej historii górnictwa w tym rejonie. Udaliśmy się do Acclaim Goldminer Caravan Park Kalgoorlie, gdzie za nocleg zapłaciliśmy 35 AUD. Pogoda trochę się poprawiła, więc zrobiliśmy mycie campera i przepierki. Potem podjechaliśmy ponownie do miasta, gdzie zrobiliśmy zakupy w sieci sklepów Coles.

22 lutego. Kalgoorlie – „Bush camping”, 398 km (okolica Narembreen)

Na dzień dobry jedziemy obejrzeć „Questa Casa”, jest to najstarszy dom publiczny w Australii. Potem udajemy się do muzeum Hannans North Tourist Mine, wstęp 14 AUD/os. Zgromadzono tu historyczne maszyny i narzędzia górnicze ze wszystkich zakamków w okolicy kopalń. Warto wspiąć się na potężne ciężarówkę górniczą CAT. Można tu spróbować swoich sił w płukaniu złota i kamieni szlachetnych. Czuliśmy się prawie jak na Śląsku. Podjeżdżamy również w miejsce, gdzie dawniej górnicy uprawiali gry hazardowe. Następnie jedziemy na obrzeża miasta, aby obejrzeć największą odkrywkową w tym rejonie kopalnię złota Pit Stop. Staliśmy kilkanaście minut w punkcie widokowym, patrząc na zjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówkę z urobkiem. W dole wielkiej dziury koparki ładowały kamień i tak cały proces odbywał się od lat 80. Miejsce to zwane jest też „Złotą Miłą”, uważane przez wielu ludzi za „najbogatszą miłą kwadratową” na ziemi. Dziś rozbijamy się na dziko, czyli praktykujemy tzw. „Bush camping”. W Australii spać można praktycznie wszędzie: pod gołym niebem, w buszu, na plaży, na parkingu. Dojechaliśmy do *rest area* z toaletą, gdzie komary chciały nas zeżreć, tak więc kolację przygotowujemy sobie w środku samochodu.

23 lutego. „Bush camping” – Hyden – White Gum Farm, 315 km

Rano podjechaliśmy do miejscowości Hyden, gdzie znajduje się Wave Rock (falująca skała). Granitowy klif ma 110 m długości i 15 m wysokości. To jedyna taka formacja skalna na świecie. Powstała na skutek erozji skał pod wpływem wiatru i wody. Wave Rock ma około 60 mln lat. Obeszliśmy ją wokół, następnie weszliśmy na górę, gdzie wytyczone są krótkie szlaki. Fascynuje swoim wyglądem, jest jakby zastygła w bezruchu olbrzymia fala, natura wciąż nas zaskakuje. Ta „fala” to chyba największe marzenie każdego surfera. Dalej można dojść ścieżką do skały zwanej Ziewnięcie Hipopotama, a potem udać się na 3 km szlak wokół słonych jezior. Jest to malownicze

miejsce. Jeziora są barwy zielonej i żółtej, wokół rosną małe krzewinki i sukulenty, które nadają życia tej wysuszonej krainie. Z Wave Rock pojechaliśmy 18 km do malowideł aborygeńskich. Grota jest pokryta częściowo odbitymi dłońmi. Malowidła Aborygenów powstały w ciągu 18 tys. lat i znajdują się w 7000 różnych miejsc. „Artyści” malowali kangury, emu, diabły tasmańskie, ryby, był to jeden z głównych tematów. Większość wizerunków jest wykonana tzw. „techniką rentgenowską”. Dojechaliśmy do White Gum Farm, nocleg koło York, kosztował 30 AUD. Jest to fajny caravan park położony w pobliżu małego lotniska lub aeroklubu. Droga dojazdowa przecina pas startowy i znak stopu. Niestety przez cały nasz pobyt nie przeleciał ani jeden samolot.

24 lutego. White Gum Farm – York – Fremantle, 140 km

Podjeżdżamy do York, gdzie jest muzeum samochodów. Wstęp 10 AUD/os. Fajne, kameralne miejsce z kilkoma eksponatami samochodów i motocykli. Dalej jedziemy do Fremantle w pobliżu Perth. Tu zatrzymujemy się w Fremantle Village Caravan Park za 51 AUD/noc (20 AUD depozytu za klucz do toalety, zwracane przy wymeldowaniu). Postanowiliśmy do miasteczka podjechać komunikacją miejską. Autobus nr 548 dojeżdża do dworca kolejowego, za przejazd zapłaciliśmy 2,20 AUD/os. Pochodziliśmy kilka godzin po tym uroczym miasteczku, zaglądając do mariny, latarni morskiej, starego miasta, fortu, uliczek handlowych. Ma tu swój pomnik Bon Scott wokalista AC/DC. Atrakcją miasta stanowi Fremantle Markets, gdzie można zrobić zakupy pamiątkarskie i skosztować różnych potraw.

25 lutego. Fremantle – Perth – Fremantle, 40 km

Wykorzystujemy naszego campera i jedziemy do Perth uważanego za najbardziej odizolowane duże miasto na świecie, wszędzie jest ekstremalnie daleko. Zostawiliśmy samochód w pobliżu stacji metra i stąd darmowym autobusem żółtej linii dotarliśmy do centrum miasta z nową i starą zabudową. Tu spędziliśmy kilka godzin, włócząc się po centrum i okolicach. Podeszliśmy do Kings Parku, skąd rozciąga się piękna panorama miasta. Park stanowi miejsce relaksu i wypoczynku, znajdują się tam baobaby, drzewa spotykane na kontynencie afrykańskim. Następnie weszliśmy do ogrodu botanicznego. Wykorzystaliśmy darmowe autobusy w centrum, które objeżdżają najważniejsze rejony miasta. Jest to główny środek transportu w Perth. Wróciliśmy do Fremantle, odwiedzając Markets, gdzie dokonaliśmy zakupów pamiątek. Potem poszliśmy do starego więzienia, które stanowią atrakcję turystyczną. Wieczorem idziemy nad Ocean Indyjski zobaczyć zachód słońca, potem tradycyjnie kolacyjka, Polaków nocne rozmowy i spać.

26 lutego. Fremantle – Rockingham (Penguin Island), 36 km

Jedziemy do Rockingham, gdzie znajduje się Penguin Island Discovery Centre. Najpierw podjechaliśmy do informacji turystycznej, gdzie kupiliśmy bilety za 18 AUD/os. na rejs na wyspę. Okazuje się, że pingwiny rano wyruszają na żer i wracają późnym popołudniem. Tak to jest skonstruowane, że na wyspę nie popłynię się wcześniej, a wracać trzeba ok. godz. 15.00 ostatnim rejsiem. Wizyta u pingwinów to po prostu dziesięć małych ptaków w specjalnej zagrodzie, gdzie trzeba dodatkowo płacić. Trochę lipa, ale

mnie udało się wkręcić z resztą turystów i zobaczyłam, że to małe przegięcie. Na wyspie widzieliśmy samicę wysiadującą w gnieździe jajka. Oprócz pingwinów są tu liczne kolonie ptaków zamieszkujących to malownicze miejsce. Obeszliśmy ją wokół i po dwóch godzinach wróciliśmy do miasta. Jarek z Cezarem poszli do Fremantle do galerii obrazów „Japingka Aboriginal Art”, są tam niesamowite dzieła sztuki Aborygenów, a potem odwiedzili Muzeum Wraków. Ja poszłam na spacer wzdłuż plaży, aż dotarłam do elektrowni. Wzdłuż wiedzy ścieżka rowerowo-biegowa, więc przyjemnie się spacerowało. Łapaliśmy ostatnie promienie słońca, wiedząc, że w Polsce nastąpił kolejny atak zimy i mrozów.

27 lutego. Perth

Rano ostatnia kąpiel w Oceanie Indyjskim, myjemy campera, pakujemy się i jedziemy pod Perth do Frank Treen Park, gdzie znajduje się muzeum kolejowe. Niestety we wtorki jest nieczynne, ale po rozmowie z kierownictwem udało nam się za free obejrzeć interesujące nas ekspozycje. Potem udajemy się do hotelu Aurum Airport, za nocleg zapłaciliśmy 456 PLN (114 PLN/os.). W apartamencie zostawiamy nasze bagaże, a następnie jedziemy do wypożyczalni. Zwrot samochodu przebiegał sprawnie i bez problemów. Po południu udaliśmy się na spacer do okolicznego Garvey Parku, a Cezar pojechał do Perth na zakupy. Wieczorem zjedliśmy ostatnią kolację w Australii, delektując się winem i piwem. Apartament jest bardzo dobrze wyposażony, nowoczesny i czysty. Po prawie miesiącu spania w camperze, teraz każdy mógł wypaść się w swoim łóżku.

28 lutego. Perth – Guangzhou

O godz. 5.00 pobudka, na lotnisko docieramy samochodem zamówionym w recepcji (w cenie noclegu). Odprawiamy się na lot do Guangzhou, wylot mamy o godz. 8.30, po 8 godz. jesteśmy w Chinach i tu czeka nas niemiła niespodzianka. Okazało się, że zmieniły się przepisy wizowe i nie możemy opuścić lotniska bez wizy tranzytowej. Tak więc, przepada nam darmowy nocleg przysługujący w ramach biletu lotniczego. Cierpliwie czekamy kolejne 9 godzin. Dobrze, że na lotnisku są automaty z wrzątkiem, więc robimy sobie herbatę, zupki chińskie, posilaliśmy się kanapkami i wafelkami.

1 marca. Londyn – Katowice – Bytom

O godz. 1.50 mamy wylot, by po 12 godz. wylądować w Londynie Heathrow. Tu poczekaliśmy do odjazdu autobusu National Express. Okazało się, że Anglię sparaliżowały opady śniegu. Część lotów była odwołana, opóźniona, autobusy nie dojeżdżały. Katastrofa. My mieliśmy spory zapas do odlotu z Londynu Luton, ale baliśmy się, że przy takiej pogodzie w ogóle nie polecimy. Dojechaliśmy do Luton i tu na tablicy dominowały czerwone informacje o odwołanych lotach. Na lotnisku zimno jak diabli, kilka godzin czekaliśmy w przeciągach, aż pojawi się odprawa do Katowic. Szybko udaliśmy się do strefy odpraw i tu w cieple doczekaliśmy o godz. 20.30 odlotu do Polski. Samego startu i lotu nikt z nas nie pamięta. Byliśmy tak zmęczeni i zmarznięci, że ciepło nas „rozebrało”. Obudziłam się, jak pilot ogłosił, że zbliżamy się do Katowic. Na lotnisku czekał na nas znajomy, który zawiózł nas do domu, komentując: „ale jesteście zmarnowani”.

PODSUMOWANIE

Przejechaliśmy 7109 km, średnio dziennie 338 km, spalanie naszego „wehikułu przygody” to 11,5 l/100 km. Najtańsze paliwo kosztowało 1,25 AUD, najdroższe 1,77 AUD. W Australii ceny paliwa różnią się znacznie w zależności od dnia tygodnia, np. w piątek może być 20% droższe niż w poniedziałek. Warto zabrać ze sobą nawigację, bo wypożyczenie kosztuje 15 AUD na dzień. Akumulatory w camperze doładowujemy średnio co dwa dni.

Podawane dzienne odległości są według Google Map, my nie zaznaczaliśmy dodatkowych kilometrów na dojazdy, objazdy, parkowania i takie tam, w sumie według stanu licznika przejechaliśmy 7109 km. Ponieważ odległości pomiędzy stacjami benzynowymi bywają spore (nawet 200–300 km), najlepiej jest tankować do pełna przy każdej nadarzającej się okazji. Przemieszczanie się po Australii to sama rozkosz, benzyna jest tania, drogi dobrze oznakowane, a nawierzchnia w dobrym stanie. Gdyby jeszcze nie kangury, które lubią pakować się pod rozpędzone auta. Dlatego jadąc pustkowiem po ciemku, bezpiecznie jest nie przekraczać prędkości powyżej 30–40 km/godz. Tutejsze drogi przypominają obraz po bitwie kangurów z autami... Co kilka kilometrów leżą na poboczu martwe zwierzęta. Ruch na drogach jest tu wręcz usypiający, wszelkie zakazy i nakazy są skrupulatnie przestrzegane. To się normalnie nie opłaca. Kierowca ma do stracenia 12 pkt w ciągu 3 lat. Przekroczenie prędkości o 50% może kosztować nawet 5 pkt. Życie w Australii bez samochodu jest niemal niemożliwe, komunikacja miejska jest szczątkowa. W Australii odległość do najbliższego warsztatu samochodowego wynosi nieraz kilkaset kilometrów, a koszt holowania kilkakrotnie przekroczyłby wartość samochodu, lepiej być samowystarczalnym.

Zachodnia Australia to 2,5255 mln km² lądu, czyli ponad 8 razy tyle, co powierzchnia Polski. Na tej przestrzeni żyje mniej osób niż w Warszawie, bo zaledwie 1,7 mln. Z tego 70% mieszka w Perth stolicy stanu. Jeśli ktoś chce poznać odległe regiony tego stanu, musi mieć samochód.

Australia podzielona jest na trzy strefy czasowe, przez co zależnie od stanu różnica czasu w stosunku do Polski wynosi od 8–11 godz. Kiedy u nas jest południe, w Perth jest godz. 20.00.

Miejscową tradycją jest grill, tak więc warto spróbować mięsa kangura czy emu.

To właściwie Australijczycy wymyślili instytucję BYO, czyli Bring Your Own (przynieś własną butelkę) ulubionego piwa, wina, szampana. Alkohol wręcza się kelnerowi, ten go chłodzi (jeśli potrzeba), otwiera i rozlewa do kieliszków. Za usługę „obsługi butelki” płaci się grosze ok. 2 AUD. Niestety nie wszędzie ta zasada działa. Do licencjonowanych restauracji własnej butelki przynosić nie wolno. Kolejna ciekawostka to sklepy auto-monopol „Bottle Mart”, gdzie wjeżdża się samochodem do takiego przybytku, i nie wychodząc z auta można kupić interesujące nas procenty. W miejscowych marketach można również kupić polskie wyroby: kiełbasę, ogórki, piwo, wódkę, można poczuć się prawie jak u siebie...

Największe wrażenie robią tu kolory. Australia mieni się wszystkimi odcieniami błękitu, zieleni, czerwieni, są to barwy, jakie przybiera ocean, niebo, busz i skały. Jest to miejsce, gdzie można wyraźnie poczuć zależność człowieka od siły natury. Lu-

dzie tu muszą regularnie zmagać się z pożarami, powodzią i cyklonami, które czynią wielkie spustoszenie. Przyroda potrafi być tu nieobliczalna. Jest jednak coś niezwykle pociągającego w tej dzikości, coś co czyni Australię miejscem surowym, ale jednocześnie przyjaznym. Aby poznać Australię, trzeba spędzić co najmniej miesiąc w jej miastach, górach, lasach, parkach, na plażach i pustyniach. Jest to jeden z najłatwiejszych do podróżowania zakątków świata, a jednocześnie najbardziej monotony kontynent.

CEKAWOSTKI

Australia jest jedynym państwem, które jest również kontynentem, stanowi szóste pod względem powierzchni państwo świata. Jego powierzchnia to 7682 km² (24 razy większa od Polski). Australia nie posiada granic lądowych z żadnym państwem, ale ma sąsiadów poprzez morza: od północy są to: Indonezja, Timor Wschodni i Papua Nowa Gwinea, na północnym wschodzie: Wyspy Salomona, Vanuatu oraz Nowa Kaledonia, oraz na południowym wschodzie Nowa Zelandia.

- Z 24 mln Australijczyków, co czwarty mieszkaniec urodził się za granicą. Dla porównania: żyje tu prawie dwa razy więcej kangurów niż ludzi (ponad 40 mln). Aborygeeni stanowią 2,3% populacji. Gęstość zaludnienia to około 3 osoby na km².
- Australia jest trzy razy większa niż największa wyspa na świecie Grenlandia.
- Australia dzieli się na sześć stanów (Zachodnia Australia, Południowa Australia, Queensland, Wiktoria, Tasmania, Nowa Południowa Walia), i dwa terytoria (Stołeczne i Północne), każdy z tych stanów zachowuje wielką autonomię.
- Didgeridoo to unikalny instrument dęty znany od 1500 lat. Oryginalny robiony jest z lokalnych odmian drzewa eukaliptusa. Powstał dzięki australijskiej naturze, a dokładnie termitom. Te drzewożerne mrówki, które gałęzie zamieniają w słomki, drążą wewnątrz drzew tunele, wydając tkankę, a zostawiają korę i milimetrową ściankę. Aborygeeni nazywają ten instrument Yidaki. Niestety punkty turystyczne oferują nędzne kopie tych instrumentów turystycznych gadżetów Made in Indonezja.
- Bumerang – istnieją dwa typy bumerangów. Powszechnie znana wersja myśliwska powraca do rzucającego, natomiast tzw. bumerang bojowy został tak zaprojektowany, by zagłębił się w ciele przeciwnika.
- Warto pamiętać, planując trasę swego przejazdu, że na południowej półkuli słońce świeci od strony północnej.
- Nasłonecznienie jest tu tak silne, że kraj ten zajmuje pierwsze miejsce w liczbie zachorowań na raka skóry. Warto więc stosować kremy z dużym filtrem, a także nakrycia głowy.
- Najbardziej fotografowane są tu znaki drogowe, ostrzegające przed zwierzętami na drodze.
- Surfing to sport narodowy Australijczyków, jest niezwykle popularny, 80% populacji tego kraju mieszka nie więcej niż 50 km od oceanu. Mówi się nawet o plażowym stylu życia.
- Prawo wyborcze przysługuje obywatelom, którzy ukończyli 18 lat, wybory są tu obowiązkowe dla wszystkich obywateli. Kara za nieoddanie głosu wynosi 50 AUD.

- Znajduje się tu też najdłuższy prosty odcinek torów kolejowych na świecie o długości 477 km.
- 146 km odcinek pomiędzy Beladonia a Caigunia, to najdłuższa w Australii droga w linii prostej.
- Najdłuższy płot świata „Dog Fence” biegnie ze stanu Queensland do stanu Australii Południowej, ma 5331 km długości i ma chronić farmy oraz osiedla ludzkie przed dingo.
- Dominują tu endemity, czyli gatunki niespotykane nigdzie indziej. Wśród zwierząt jest ich około 80%, wśród roślin 75%. Obszar Australii stanowi 75% powierzchni Starego Kontynentu.
- Australijskie ciężarówki (Road Train) mają maksymalną długość z naczepami 54 m, ładowność 200 ton, zbiornik mieści około 1500 litrów paliwa, na zachodzie kraju ciężarówki mają po 60 m długości.
- Australijskie strusie emu to drugie pod względem wielkości ptaki naszej planety (większe są tylko strusie afrykańskie), choć z pozoru ciężkie są świetnymi biegaczami (mogą biec z prędkością 50 km/godz.).
- W Australii są dwa gatunki krokodyli: słonowodne (*saltes*) osiągające 4–7 m długości, i słodkowodne (*freshies*) „maluchy” dorastające do 1,5 m.
- W Australii są dwie podgrupy zwierząt: podgrupa „urocza” – koala, emu, dziobaki, kangury, wombaty, diabły tasmańskie i inne przesympatyczne pluszaki. „Podgrupa uciążliwa” to rekiny, krokodyle, pająki, komary, muchy...
- Ze 140 gatunków węży, jakie tu żyją, 100 jest jadowitych.
- W Australii dystansu drogi nie liczy się w kilometrach, tylko mówi się, że za „czteropak lub sześciopak piwa” będziemy w danym miejscu lub miejscowości. Odległość 500 kilometrów, to „tuż obok”...
- Do Australii nie wolno wwozić żywności, zwłaszcza owoców, warzyw, miodu, serów, wędlin oraz nasion. Na lotnisku są ustawiane kontenery, do których można wyrzucać te produkty. Należy je obowiązkowo zgłosić, w przeciwnym razie ryzykuje się poważną karą finansową.
- Izolacja wychodzi Australii na dobre, jak na razie nie dotarła tu wścieklizna, o przenoszona przez komary malarii nikt nie słyszał. Warto spędzić noc w buszu, który chrzęści, wyje, posapuje, szumi, przy ognisku na ziemi, z całym kosmosem nad głową. Tego się nigdy nie zapomina.
- W tym kraju jest wszystko: pustynia, tropik, ośnieżone stoki gór, rafy koralowe.
- Religia – 64 % chrześcijan, Aborygeni wyznają totemizm i animizm.

Przez środek Australii. Z Melbourne do Darwin



Termin: 6–28 października 2018

Uczestnicy: trzy osoby

Podróż z południa na północ Australii oznacza przejazd przez tzw. *outback*, czyli interior, tj. pustkę, pustynie i busz. Prawie przez całą tę trasę będzie jedyna i główna, dobra droga asfaltowa Stuart Highway. Ile tylko się dało, wybieraliśmy szlaki alternatywne, terenowe.

Doświadczaliśmy prawie wszystkiego, co ważne w Australii: były duże miasta, *outback*, przepiękne krajobrazy, cudna natura i dzikie zwierzęta (kangury, krokodyle!). Spotkaliśmy uprzejmych Australijczyków (typowe powitanie Aussies: G'day Mate! How you going?) i mieliśmy szansę dotknąć bardzo ważnego tematu: pierwsi Australijczycy, czyli Aborygeni i ich kultura. Była to intensywna i niezwykle ciekawa podróż: przejazd przez 3 stany, 3 strefy czasowe, duże zmiany klimatu i 6500 przejechanych kilometrów.

Czas podróży i klimat

Kiedy startowaliśmy w Melbourne, była wczesna wiosna i temperatury nocą spadały do 6–8°C, w dzień bywało nawet 20°C, czasami padał deszcz. Nocki w namiotach były chłodne i przydał się ciepły śpiwór. Z każdym dniem i przejechanymi kilometrami na północ robiło się cieplej. Od Alice Springs było już wyraźnie ciepło, a od Tennant Creek bywało bardzo ciepło – 43°C. Najlepszy czas na przejechanie tej trasy jest okres od kwietnia/maja (jesień) do września/października (wiosna). I choć na południu może być nieprzyjemnie chłodno, również w centrum nocki chłodne, to omijamy wielkie upały i porę deszczową na północy. W tym czasie odbywają się festiwale kultury aborygeńskiej m.in.: Darwin Aboriginal Art Fair 9–11.08.2019, „Parrtjima” Alice Springs – Mparntwe 4.2020 lub Barunga Festival 7–9.06.2019. Wiosną można podziwiać dzikie kwiaty na pustyni. Natomiast w czasie pory deszczowej niektóre odcinki dróg mogą być zalane, a pewne części parków lub nawet całe parki zostają zamknięte.

Trasa

Trasę z Melbourne do Darwin zrobiliśmy w 3 tygodnie

Praktyczne informacje

Loty do Melbourne: wygodniejszy jest np. z Qatar Airlines – krótszy lot, tylko jed-
na przesiadka ok. 4000 zł. Tańsze loty z np. Scoot Airline z Berlina za ok. 3000 zł

Wiśe otrzymuje się online bezpłatnie

Waluta: AUD, czyli dolar australijski 1 AUD=1,65 PLN

Czas: 4 strefy czasowe i dodatkowo niektóre stany zmieniają czas na letni, a nie-
które nie. Różnica czasu zimą (naszą) między Polską a Melbourne wynosi +10 godz.,
latem +8 godz.

Wtyczki australijskie z trzema bolcami, konieczne adaptory

Nie przejmuj się, jeśli ci się wydaje, że nie znasz angielskiego, jak poduczysz się au-
stralijskiego slangu, będzie dobrze.

Noclegi: spaliśmy w namiotach, na cempingach i na dziko.

Ceny: Im dalej od cywilizacji, tym wyższe ceny, szczególnie benzyny.

Często miałam wrażenie, że ceny są podobne do polskich tylko razy 2,65.

Przykładowe ceny: kempingi dla 3 osób: Mataranka: 36 AUD, Katherine Gorge 45
AUD, Kakadu 15 AUD/osoba/noc, Litchfield 5,6 AUD/osoba/noc; rejs łodzią Border Ri-
ver 79 AUD; Uluru i Olgas 25 AUD; benzyna: Melbourne ok. 1,40 AUD, w *outbacku* do
2 AUD, najwyższa cena, jaką zapłaciłam 2,60 AUD, najlepiej robić zakupy w supermar-
ketach Coles i Woolworths, tam też z paragonem otrzymasz zniżkę na benzynę, np.
10 centów/l; żywność: ceny zależą od sklepu, sezonu i ilości, zawsze są jakieś okazje:
2 l mleka 2 AUD, chleb 2–4 AUD, masło kostka ok. 4 AUD, jajka (wolny wybieg) 12
za ok. 4 AUD, 2 l coca ok. 3,5 AUD, 1 kg ziemniaków 2–3 AUD, wodę piliśmy z kranu;
napełnienie gazu 7 AUD; używane koło do Subaru Outback z przesyłką 240 AUD.

Nawet na pustych drogach, dobrze jest trzymać limity prędkości, bo policja poja-
wia się nie wiadomo skąd, a kary są dotkliwe.

Lepiej unikać jazdy po ciemku, nierozgarnięte kangury lubią wskakiwać prosto pod
koła samochodu.

W *outbacku* pamiętać o dostatecznej ilości wody i paliwa. Odległości między kolej-
nymi stacjami benzynowymi mogą być liczone w setkach kilometrów.

W wielu turystycznych miejscach, również na kempingach, śmieci zabiera się ze sobą.

Na wjazd na tereny aborygeńskie potrzebne są zezwolenia.

Wiele miejsc ma podwójne nazwy, „australijskie” i przywrócone aborygeńskie, np.
Ayers Rock i Uluru.

Oprócz krokodylii, węży, pajaków, rekinów i meduz, Australia jest naprawdę bez-
piecznym krajem. A na serio, warto w *outbacku* wykazać czujność na węże, a na pół-
nocy na krokodyle.

RELACJA Z PODRÓŻY

6–7 października. Melbourne

Melbourne, pomimo zimnego klimatu i wielkości (5 mln mieszkańców), jest zdecy-
dowanie moim faworytem wśród australijskich miast. Ma wyjątkową kulturalną i multi-

-kulti atmosferę, morze, góry, kangury i pingwiny, knajpki z jedzeniem ze wszystkich stron świata i smakowitą kawę. Uwielbiam tamtejsze biblioteki i galerie (do wielu wstęp *free*).

8 października. Melbourne-Mildura

Wokół Mildura uprawia się winogrona i dlatego trudno znaleźć miejsce w hostelach – są okupowane przez *backpackersów* pracujących w winnicach. Dla mnie był to sentymentalny nocleg na kempingu nad rzeką Murray (najdłuższa w Australii, dzika i uroczą), wspominając własne zmagania z winogronami (Płacili 2,5 AUD za 10 kg! W Australii też funkcjonuje praca na czarno i wyzysk. Ale przynajmniej najadłam się smacznych winogron na całe życie).

9 października. Mildura, przez Renmark, Mt. Bryan do Wilpena w Flinders Ranges

100 km za Mildurą mieliśmy zmienić stan, opuścić Victorię i wjechać do Południowej Australii. Całkiem zapomnieliśmy o tym i na *check point* świeżo zakupione owoce i warzywa poszły do kosza. Trzeba sprawdzać aktualne przepisy związane z przewozem owoców i warzyw między stanami. Zapomnieliśmy też o zmianie czasu, zyskałiśmy pół godziny.

Tego dnia, w jakiejś zapadłej dziurze i w deszczu obiad w australijskim stylu – *barbecue* (barbie). Trzeba było pilnować, żeby kiełbasek nie wywiało. Na szczęście na kempingu w Wilpena mogliśmy ogrzać się przy ogniskach (na wielu kempingach wolno palić ogniska).

10 października. Flinders Ranges. Wejście na St. Mary

Wjechaliśmy w tzw. *outback*, w interior, czyli „na zadupie”. Tu trzeba już pilnować zapasów wody i paliwa. Wokół starych gór Flinders Ranges atmosfera jak na Marsie, tylko kangury i emu przypominają, że to Australia. Weszliśmy na najwyższą górę St. Mary (trasa na 7 godz.), a tam widoki grzbietów górskich niczym zęby starożytnych potworów. Kwitły dzikie kwiaty.

11 października. Przez Marree do Lake Eyre South

Po to jedzie się do Australii, *outback* w całej krasie, czyli pustynia, przestrzenie, kolory czerwono-żółto-brunatne i całe niebo gwiazd nocą. Jeden z najlepszych dni. Miejscowości na mapie okazują się być zaledwie hotelem, pubem lub kilkoma domami. W Lymhurst tablice kuszą, aby odbić na Strzelecki Track, w jeszcze bardziej dziką trasę. Należy zwracać uwagę na informacje o przejezdności tras. Tuż przed Marree miraż – galeria na wolnym powietrzu, czyli Mutton Sculptsure Park. A w samym miasteczku można zobaczyć resztki po 19-wiecznym osiedlu Afgańczyków. Tu kończy się solidna droga i rozpoczyna się Oodnadatta Track, jeden z najstarszych *outbackowych* szlaków. Droga terenowa, „tarka”, kamienie, ale generalnie przyzwoita. Przed zachodem słońca dotarliśmy nad wyschnięte, pokryte cienką warstwą soli Jezioro Eyre. Spełniłam swoje marzenie z lekcji geografii w piątej klasie podstawówki. Uczta dla oczu i ducha. I tu zostaliśmy na noc.

12–15 października. Przez William Creek do Coober Pedy

Wschód słońca równie piękny co zachód. Już od kilku dni jedziemy wzdłuż dawno nieczynnej linii kolejowej Old Ghan, mijamy stare stacje i resztki torów. Fajną atmosferę miała stacja Curdimurka, gdzie tylko piasek i wiatr hulał. Podobno organizuje

się tu bale pustynne. W innym klimatycznym miejscu, w pubie w William Creek, decydujemy się zjechać z Oodnadatta i pojechać do Coober Pedy, górniczego miasteczka, centrum australijskich opali. Zbyt duża prędkość, zbyt duże kamienie i konsekwencje: guma. Australijczycy zazwyczaj są uprzejmi i uczynni i jeszcze zanim wyjeśliśmy zapasowe koło, zatrzymali się doświadczeni lokalsi i pomogli wymienić koło w 3 minuty. Na szczęście do Coober Pedy było tylko 50 km i choć miejscowość niewielka, to ma kilka warsztatów. Niestety, okazało się, że całe koło jest do wymiany, podobnego tutaj nie dostaniemy i na dodatek podczas odkręcania koła majster urwał śrubę. Był piątek wieczór i nic innego nie pozostało, jak tylko czekać do wtorku rano na autobus z Adelaidy, który dowiezie zamówione przez Internet koło. Jeśli ktoś nie ma zamiaru szukać opali, to do Coober Pedy wpada na kilka godzin. My musieliśmy spędzić tu 4 dni. Rozbiliśmy się na kempingu, który oferował pole namiotowe na i pod ziemią! Wybraliśmy świeże powietrze i gwiazdy, ale kiedy następnej nocy zerwał się wiatr i namioty zaczęły fruwać wraz z piaskiem z pustyni, szybko uciekliśmy pod ziemię. Jedyna taka okazja, kampać w namiocie pod ziemią! Niefortunna konieczność pozostania kilku dni w Coober Pedy okazała się całkiem przyjemnym przypadkiem. Mogliśmy poprzyglądać się codzienności w tej małej zaspanej dziurze, zeksplorować kopalnie opali i podziemne domy, hotele, kościoły i sklepy, będące efektem ubocznym działania kopalni. I najważniejsze, wybraliśmy się do Breakways Conservation Park, który o zachodzie czaruje fantastycznymi kolorami i formami. Po drodze najdłuższy na świecie słynny Dog Fence, psi płot, 5600 km, który chronił południowo-wschodnią część Australii przed dingo.

16 października. Coober Pedy – Uluru

Koło dotarło z samego rana we wtorek, ale nasze koło zapasowe okazało się również w kiepskim stanie. Na szczęście w Coober Pedy wskoczyliśmy na Stuart Highway. Tego dnia wjechaliśmy do następnego stanu, do Terytorium Północnego. Tym razem nie było kontroli, tylko informacja o tym, czego nie wolno wwozić. Znowu zmiana czasu – zyskałmy godzinę. Dobra wiadomość: w NT tylko dwa parki są płatne: Uluru i Kakadu, reszta za darmo. Po drodze spotykaliśmy kangury, emu i dingo. 100 km przed Yalara nie wolno przegapić Mount Conner, który niejednokrotnie jest mylony z Uluru. Nie zdążyliśmy dojechać do Uluru na zachód słońca. 40 km przed rozbiliśmy się w buszu. Ziemia i niebo nabrały krwistoczerwonego koloru. Nic dziwnego, że o tej okolicy mówi się Red Center.

17 października. Uluru, Olgas

Jedno z najbardziej turystycznych miejsc w Australii i na świecie, jednak warto tu być (25 AUD). Ja miałam to szczęście, że już po raz trzeci zachwyciałam się Uluru. Jest to wyjątkowe miejsce, emanuje czymś niezwykłym. Nie do końca jednak rozumiem prośbę o niewspinanie się na Uluru. Aborygeni są ponownie właścicielami ziemi i współgospodarzą parkiem. Dlaczego po prostu nie zamknęli wejścia na swoją świętą górę? Ale uwaga, podobno definitywnie w 2019 roku. 26 października wejście na Uluru zostanie zamknięte.

Tego dnia rano byliśmy przy Uluru, po południu obeszliliśmy Olgas i na zachód wróciliśmy do Uluru (turystyczny mus!). Niewątpliwie spektakularna gra kolorów, ale turystyczny tłum i szampany, żałosne. Nocleg znowu w krzakach, pod cudnie rozgwieżdżonym niebem.

18 października. Uluru-Alice Springs – West MacDonnell National Park

Od Alice Springs wreszcie naprawdę ciepło!

Po drodze do Alice warto zatrzymać się na stacji w Erlunda Roadhouse, aby odświeżyć się i przyjrzeć z bliska emu (przypominam, emu to nie strusie). Krótki postój, bo śpieszyliśmy się do Alice Springs, aby naprawić śrubę i zakupić drugie zapasowe koło. Po Alice mieliśmy w planie ruszyć przez Tanami Road do Purnululu National Park. Śrubę naprawiliśmy, ale ani nowego, ani używanego koła nie znaleźliśmy. Zapamiętaliśmy na następny raz: w *outbacku* wszyscy jeżdżą Toyotami! My niestety mieliśmy Subaru, to że Subaru Outback nie pomogło. Mając tylko jedno i to kiepskie koło zapasowe, z zalem zrezygnowaliśmy z Tanami i Purnululu i na pocieszenie pojechaliśmy do parku West MacDonell. O parku nic nie wiedzieliśmy, a na kemping Elery Creek dojechaliśmy przy niesmowitym świetle w czasie zachodu (czyżbym powtarzała się?).

19 października. West MacDonnell Ranges

Piękne widoki, trasy wycieczkowe, ale największą i niespodziewaną atrakcją parku były *water holes*, nareszcie pływanie! Dla przyzwoitości zrobiliśmy małą acz widowiskową wycieczkę: Ormiston Pound Walk (ok. 3 godz.), poza tym pływaliśmy i wylegiwaliśmy się w słońcu.

Pomimo przeciwwskazań, już po ciemku, dojechaliśmy na kemping do Aileron Roadhouse.

20 października. Aileron R. – Mataranka Thermal Pools

Był to dzień jazdy, zrobiliśmy 1000 km. Czasu coraz mniej, a przed nami jeszcze dużo atrakcji. W Northern Territory drogi są puste, a dopuszczalna prędkość wynosi 130 km (najwyższa w Australii), można przygazować.

Mimo perspektywy długiej jazdy zatrzymywaliśmy się, aby obejrzeć termitiery, spalony las albo Devils Marbles – ciekawe formacje skalne, ważne miejsce kultowe Aborygenów. W Tennant Creek dopadł nas australijski upał, uliczny termometr pokazywał 43°C. Czas, żeby pożegnać się z dodatkowym kocem. Tu napełniliśmy też naszą butlę gazową. Żeby urozmaicić długie, męczące trasy, Australijczycy wymyślają cudaczne puby, jak ten w Daily Waters (m.in. majtki i biustonosze na ścianach), warto zajrzeć. Na kemping przy gorących źródłach w Matarance dojechaliśmy ok. 22. Wyczerpani poszliśmy zrelaksować się do gorących źródeł. Rajska przyjemność przy świetle księżyca.

21 października. Mataranka-Bitter Springs – Nitmiluk (Katherine Gorge) National Park

Tego dnia pływaliśmy i w Thermal Pools, i w ciepłej rzeczce w niedalekich Bitter Springs. Polecam. W ciągu dnia ogromne zaskoczenie, temperatura powietrza (40°C albo więcej) przewyższała temperaturę wody (34°C), chłodziliśmy się więc w wodach termalnych! *Be crocweise!* Innym zaskoczeniem były tablice z tym napisem, ostrzegające przed krokodylami. Od tego miejsca pojawiały się regularnie, przy każdej wodzie. Mataranka ma jeszcze jedną fascynującą, choć śmierdzącą atrakcję: tysiące, raczej setki tysięcy *flying foxes* (latające lisy). W ciągu dnia nietoperze uczepione gałęzi palm, rosnących wokół wód termalnych, zwisają głową w dół. O zachodzie słońca niebo pokrywa ciemna chmura, to nietoperze wylatują na żer. Dla miłośników natury interesu-

jąca kombinacja: pływanie w krystalicznej wodzie termalnej połączone z obserwacją tych dziwnych latających ssaków. O wschodzie i zachodzie słońca w obok płynącej rzece Roper rozgrywa się krwawy spektakl. Nietoperze lecą napić się wody, a tam czają się krokodyle i tylko słyszać kłapanie szczęk.

Mataranka stała się dla mnie jednym z turystycznych hitów Australii.

Wieczorem wyjazd do Katherine Gorge. Tam jeszcze zdołaliśmy przed zmrokiem dojść do *lookout* (punkt widokowy) z widokiem na kanion rzeki Katherine. Nocleg na parkowym kempingu.

22 października. Katherine Gorge N.P. – Edith Falls – Kakadu NP Gunlom Campground

Obudziły nas ptaki. Kempingi (*caravan parks*) są dobrym miejscem do obserwacji zwierząt i ptaków, które znajdują tu wodę, drzewa i zieloną trawę. Szczególnie głośno wrzeszczała kookaburra (miejscowi mówią, że kookaburra się śmieje), legendarny australijski ptaszek.

Nie zdecydowaliśmy się na wycieczkę łodzią w Katherine Gorge – 120 AUD za dwie godziny, a poziom wody w rzece podobno niski. Zrobiliśmy za to mały trekking (ok. 12 km) górą wąwozu Katherine. Nie była to najlepsza wycieczka: mało widoków, bardzo sucho i bardzo gorąco. Ale wizyta w Edith Falls wszystko wynagrodziła. Piękne miejsce, widok na wodospad i jeziorko, które tworzy rzeka Edith. Cudne pływanie, choć z szeroko otwartymi oczyma. W wodzie żyją *freshies*, czyli słodkowodne krokodyle i zapewnienia, że nie są groźne, przyjąłam z dużą dozą... wyobraźni.

Świetne miejsce na kempowanie, ale śpieszyło nam się do Kakadu National Park, chyba najbardziej znanego parku na kontynencie. W Australii nawet w małych miejscach znajdziemy informacje turystyczne. Są one zazwyczaj prowadzone przez wolontariuszy i jakość informacji zależy od ich zaangażowania. W miasteczku Katherine warto wstąpić do informacji, jest świetna. Tu zakupiliśmy bilety wstępu do Kakadu (40 AUD w sezonie, poza od 01.11 do 14.05 25 AUD). Wskazane, jeśli wjeżdżacie do Kakadu od Pine Creek.

Większa część parku jest dostępna dla „normalnych” samochodów, ale są odcinki tylko dla samochodów terenowych, szczególnie w porze deszczowej. Pora deszczowa jest dla „smakoszy”. Zresztą większa część parku może być zamknięta, a krokodyle więcej i bardziej aktywne!

Dojechaliśmy do Gunlom Campground (częściowo droga terenowa) w Kakadu. Kemping dziki, ale nawet z prysznicami. Pieniądze uiszcza się uprzejmie do puszk.

23 października. Kakadu NP-Gunlom, Yellow Waters, Mirrai – Merl Camping Area

Gunlom znane jest z pięknych miejsc do pływania. Dolne jeziorko z wodospadem (ze względu na suchą porę raczej ze śladem po wodospadzie) wyglądało bardzo zachęcająco, ale jak wypatrzyłam na wodzie „kreskę”, a powiększone zdjęcie wyraźnie pokazało krokodyla, zrezygnowałam z pływania, nawet jeśli był to tylko krokodyl słodkowodny. Wyżej w skałach można pływać w jeziorku bez krokodyli i z fantastycznymi widokami na park. Tego dnia odwiedziliśmy inne miejsca w Kakadu: Yellow Water – fajny rejs po rozlewiskach (*billabong*) rzeki South Alligator (ok. 90 AUD), okolicę Mirray Lookout i ostatecznie dotarliśmy do Merl Campground.

24 października. Kakadu NP. – Ubir, Border River, Nourlangie, Aurora Caravan Park

Na wjeździe do Kakadu nie ma bramek, a na kempingach nie ma recepcji, ale dziś na kempingu przy śniadaniu uprzejma pani ranger sprawdziła nasze bilety. W Australii zdecydowanie wolę dzikie szlaki od parków narodowych (za dobrze zorganizowane), ale Kakadu oferuje jedną wyjątkową atrakcję: aborygeńskie malunki naskalne. Koniecznie trzeba je obejrzeć, tym bardziej że niektóre mają ponoć 20 tys. lat. Zarówno w Ubir, jak i w Burrungkuy (Nourlangie) malunki są fantastyczne. Rejs łodzią po Border River, który zrobiliśmy w międzyczasie był też nie lada atrakcją. W rzece roiło się od słonowodnych krokodyli (*salties*), tych naprawdę niebezpiecznych, a aborygeński przewodnik opowiadał ciekawe historie. Na koniec dnia był tradycyjny zachód słońca na Nawurlandja Lookout. Jedno jest pewne, na dzisiejszy program powinniśmy przeznaczyć dwa dni, co najmniej!

Jeszcze tylko w Jabiru zrobiliśmy zakupy i około 22 dojechaliśmy na Aurora Caravan Park.

25 października. Aurora – Darwin – Litchfield NP – Florence Falls

W drodze do Darwin można zatrzymać się na rejs po Adelaide River, krórego wielką atrakcją są krokodyle skaczące do przynęty na wędce (45 AUD). Ja już kiedyś taką atrakcję zaliczyłam, a moi kompani zrezygnowali. Przed Darwin znowu złapaliśmy gumę, tym razem bardzo szybko nastąpiła naprawa i na wieczór dojechaliśmy do Litchfield National Park, na Florence Fall campground. Park jest prawie miejskim parkiem Darwin. Ale jak się ma dwa dni wolne, jest bardzo przyjemnym miejscem na zrelaksowanie się po długiej podróży.

26 października. Litchfield NP – Wangi Falls

Zowu piękne krajobrazy, las deszczowy, góry, rzeczki, jeziora do pływania i wodospady. Park interesujący dla amatorów botaników. Bardzo ciekawe formy termitier. Można zrobić piesze wycieczki, urozmaicone pływaniem w krystalicznych wodach.

Rano pływanie w Florence Falls. Po południu hit tego parku: Wangi Falls. Jezioro u podnóża gór, z wodospadami oczywiście.

27 października. Litchfield Wangi Falls – Dandee Beach – Darwin

Chcieliśmy zobaczyć otwarte morze, dlatego terenową drogą pojechaliśmy do Dandee beach. Po drodze ciekawe termitiery. Tym samym zakończyliśmy podróż od morza do morza, czyli od Oceanu Południowego do Morza Timor, będącego częścią Oceanu Indyjskiego. Morze i plaża piękne, ale nie ma mowy o pływaniu – krokodyle i meduzy!!

No to jeszcze zostało tylko Darwin. Stolica Northern Territory jest niewielkim miastem 150 tys. mieszkańców, gorącym i mokrym, i ma niewiele do zaoferowania. Jest na pewno dobrym punktem wypadowym do opisywanych wcześniej atrakcji. Ale ma małą ogrodzoną siatką plażę w centrum i piękny ogród botaniczny.

28 października. Darwin

Moi przyjaciele odlecieli do Europy, a ja kontynuowałam podróż na wschód do kolejnego „morza”, czyli do Oceanu Spokojnego.

Maciej Czerski, Renata Czerska

Szlak TE ARAROA – 3000 km pieszo przez Nową Zelandię



Termin: 28 października 2018 – 21 marca 2019

PRZELOT

Tam

Praga – Monachium; Lufthansa; Bombardier CRJ900

Monachium – Szanghaj; Lufthansa; Airbus A350

Szanghaj – Auckland; Air New Zealand; Boeing 787 Dreamliner

Powrót

Christchurch – Auckland; Air New Zealand; Boeing 737

Auckland – Szanghaj; Air New Zealand; Boeing 787 Dreamliner

Szanghaj – Zurych; Swiss; Airbus A330

Zurych – Praga; Swiss; Airbus A320

Cena biletów: około 3600 PLN za bilet powrotny. Jest to cena, którą można uznać za promocyjną, zważywszy na to, że powrót nastąpił ponad 5 miesięcy po wylocie.

PRZEJŚCIE

Dystans: 3082 km

Te Araroa Trail to pieszy szlak biegnący przez całą Nową Zelandię. Zaczyna się na Wyspie Północnej, na najbardziej na północ wysuniętym przylądku – Cape Reinga, a kończy na południu Wyspy Południowej w miejscowości Bluff.

Trasę szlaku Te Araroa pokonaliśmy w całości pieszo, z wyjątkiem liczącego 170 odcinka rzeki Whanganui, który pokonaliśmy w canoe. Szlak biegnie w tym miejscu rzeką i nie ma dla niego oficjalnej alternatywy. Podczas marszu nie pominęliśmy żadnych odcinków. Nie podjeżdżaliśmy również samochodem, autostopem, ani żadnym innym środkiem transportu. Gdy warunki zmuszały nas do modyfikacji trasy, na przykład w sytuacji gdy odcinek szlaku był zalany w czasie przyływu, obchodziliśmy go na nogach, nakładając drogi. Stąd też dystans, który podajemy – 3082 km odnosi się do całości pokonanej przez nas odległości, a nie do oficjalnej długości szlaku w danym

roku kalendarzowym. Ten, według map publikowanych przez Te Araroa Trust – fundacji opiekującej się szlakiem, wynosił w sezonie 2018/2019 2296 km. Warto w tym miejscu podkreślić, że szlak każdego roku (a nawet w trakcie trwania sezonu) jest modyfikowany i jego przebieg się zmienia. Powody zmian przebiegu trasy są różne. Często bywają to decyzje właścicieli farm, przez które się przechodzi. Zdarza się, że z różnych przyczyn cofają oni swoją zgodę na przejście szlaku przez ich ziemie. Niekiedy ze względu na zmianę charakteru farmy (np. wprowadzenie byków) lub nagminne naruszanie ustalonych zasad przez osoby idące szlak. Innymi powodami czasowej lub stałej zmiany przebiegu szlaku są uszkodzenia związane z katastrofami naturalnymi (np. powodzią i osuwiskami). Ponadto Te Araroa Trust od czasu otwarcia szlaku w roku 2011 stara się stopniowo redukować odcinki biegnące drogami asfaltowymi, których, zwłaszcza na Wyspie Północnej, wciąż jest sporo.

Szlak rozpoczęliśmy 28 października 2018 roku, a skończyliśmy 21 marca 2019. Daje to łącznie 145 dni. W czasie pomiędzy rozpoczęciem szlaku a jego zakończeniem odbyliśmy kilka dodatkowych wycieczek, wychodząc z założenia, że do odległej Nowej Zelandii możemy już nie wrócić. Pomimo że nie pokonywaliśmy wtedy żadnego dystansu, liczymy je do 145 dni podróży. Mieliliśmy także kilka dni regeneracyjnych, w czasie których po prostu odpoczywaliśmy.

Najdłuższy dystans pokonany jednego dnia to 41,5 km, natomiast najkrótszy to 2,5 km. Nie licząc dni, w których odbywaliśmy inne wycieczki, pokonywaliśmy średnio 25 km dziennie.

Te Araroa można przejść z północy na południe tak jak my, ale można też na odwrót, zaczynając około stycznia, a kończąc na przełomie kwietnia i maja. Z naszych obserwacji wynika, że kierunek marszu przyjęliśmy słuszny i mamy na podparcie tej tezy kilka argumentów.

Po pierwsze ma to uzasadnienie klimatyczne. Zaczęliśmy szlak w październiku, gdy na północy już zaczynało się robić ciepło, a skończyliśmy na południu, gdy czuć było przenikliwie zimno znad Antarktydy, ale dało się jeszcze wytrzymać. Co ważne, większość górskich odcinków pokonaliśmy w lecie. Idąc w przeciwnym kierunku, zaczyna się, gdy śniegi w górach dopiero topnieją, co znacząco utrudnia przekraczanie licznych rzek.

Klimat to nie wszystko, są również inne powody, dla których lepiej iść SOBO (*Southbound* – w kierunku południowym) niż NOBO (*Northbound* – na północ). Wyspa Północna miała swoje oszałamiające momenty. Krajobrazem rodem ze Śródziemia lub lasem wyjętym z epoki dinozaurów potrafiła rzucić na kolana. Były to jednak momenty. Wyspa Południowa była oszałamiająca na całej długości. Żeby docenić Wyspę Północną, trzeba ją zobaczyć wcześniej i, co ważne, nie próbować porównywać.

Na różnych etapach mijaliśmy wiele osób idących szlak w kierunku przeciwnym do naszego. Były to miłe spotkania, ale zawsze warto było pamiętać o podstawowej zasadzie: „Nigdy nie ufaj NOBO”. Oczywiście nie dlatego, że osoba, z którą się mijamy, chce nas wprowadzić w błąd! Zazwyczaj ma dobre chęci, ale już sam fakt, że szła danym odcinkiem chwilę wcześniej, zmienia wiele. Pewnego dnia spotkaliśmy Francuza, który doradził nam, żeby zamiast ścieżką przez las iść korytem rzeki, uniknie się wtedy

kilku niepotrzebnych podejść. Nie zastosowaliśmy się do tego, szliśmy sobie góra-dół, ale nie były to wielkie przewyższenia. Pozostałe osoby idące tego dnia za nami posłuchały rady. Nie pomyśleli jednak o tym, że NOBO szedł odkrytym dnem doliny rano, gdy było chłodno. W samo południe, w pełnym słońcu dużo wygodniejsza okazała się opcja z przejściem przez zacieniony las. Innym razem zostaliśmy nastraszeni przez kolegę Amerykanina, który oznajmił nam, że odcinek, który czeka nas na następny dzień, jest zdecydowanie najgorszy na całym szlaku. Co możemy powiedzieć? Zdecydowanie nie był najgorszy. Jeden dzień dobrej pogody sprawił, że było znacznie mniej ślisko niż wynikało z jego opowieści.

Okazuje się że pogoda ma kluczowy wpływ na percepcję poszczególnych odcinków. Gdy wspominaliśmy innym „szlakowiczom”, jaki fragment był dla nas najgorszy, spotykaliśmy skrajne reakcje. Jedni podzielali naszą opinię, że istotnie był koszmarny, natomiast inni byli autentycznie zdziwieni, bo według nich odcinek ten nie przedstawiał żadnych technicznych trudności. Po dogłębniejszych wywiadach okazało się, że działa to w dwie strony. Dla nas odcinki uznawane przez niektórych za najgorsze były całkiem łatwe i przyjemne. Wszystko zależało od warunków, w jakich przyszło nam iść.

Gdyby ktoś chciał zadać pytanie, który odcinek szlaku jest obiektywnie najtrudniejszy – odmawiamy odpowiedzi. Zależy to od zbyt wielu czynników, które lubią się dynamicznie zmieniać. Natomiast największą trudnością jest po prostu pogoda. Nawet największa rzeka może być łatwa do przekroczenia, gdy jest sucho, a mały potok potrafi zamienić w przeszkodę nie do pokonania po porządnej nawałnicy.

NOCLEGI

Namiot – 99 noclegów

Campingi płatne – 48 noclegów

Campingi bezpłatne – 20 noclegów

Namiot „na dziko” – 31 noclegów

Noclegi pod dachem – 46 noclegów

Chatka DOC – 30 noclegów

Hostele i inne płatne noclegi pod dachem – 4 noclegi

Noclegi w domach (u znajomych lub u ludzi, którzy nas zaprosili) – 10 noclegów.

Najwięcej nocy spędziliśmy w namiocie. Jako camping płatny klasyfikowaliśmy każde miejsce, w którym pobierana była opłata za rozbicie namiotu. Czasem były to kawałki prywatnej ziemi z prostą infrastrukturą, gdzie właściciel zbiera dobrowolne opłaty do pozostawionej na miejscu skrzynki. Często spaliśmy też na zorganizowanych campingach, z których wiele było nastawionych na turystów podróżujących samochodami i kamperami. Były wyposażone między innymi w łazienki, kuchnie, pralnie. Z tego typu miejsc korzystaliśmy najczęściej w miastach i ich okolicach, a także w miejscach turystycznych, gdzie nie było alternatywy. Prawie zawsze spaliśmy na tego typu campingach podczas dni odpoczynku lub dodatkowych wycieczek w przerwie od szlaku. Wybór odpowiedniego campingu nie jest tak oczywisty, jak mogłoby się wydawać. Kryterium ceny i lokalizacji nie zawsze jest decydujące, czasami warto sprawdzić, co w danym miejscu jest dozwolone, a co zabronione. Nie chodzi tu o jakiś zakaz picia alkoholu czy inne przyziemne kwestie, do których w ostateczności można się zastoso-

wać. Czasami zakazy sięgają znacznie głębiej, chciałoby się powiedzieć, dotyczą kwestii doktrynalnych. Tak się składa, że na wielu campingach nie wolno spać w namiocie! Camping jest w Nowej Zelandii słowem zarezerwowanym dla kamperów. Spanie w namiocie ma swoje osobne słowo: „tenting”. Na standardowych campingach z reguły nie ma problemu i nawet jak nikt nie przewidział miejsca na sam „tent”, to gdzieś nas upchną. Są jednak takie miejsca, gdzie kampery i vany bądź samochody osobowe przerobione na kampery są mile widziane. Bywa nawet, że za darmo, w ładnym parku lub koło plaży. Rozbicie namiotu wiąże się jednak z opłatą w wysokości 200 NZD, gdy zauważy nas osoba dysponująca władzą wystawiania mandatów. Dyskryminacja namiotów wynika z tego, że nie mają one, w przeciwieństwie do kamperów, wbudowanych toalet.

Jako camping bezpłatny klasyfikowaliśmy miejsce, w którym legalne było rozbicie namiotu, jednak nie pobierana była za to żadna opłata. Najczęściej jedyną infrastrukturą był prosty wychodek, którego obecność najczęściej „legalizowała” namiot.

Namiot „na dziko” to każde inne miejsce, w którym spaliliśmy w namiocie. Staraliśmy się nie rozbijać w miejscach, które były nielegalne, ale nie zawsze było to możliwe. Zabrania się biwakowania na farmach i na terenach prywatnych bez zgody właścicieli. To bardzo ogranicza możliwości, zwłaszcza na Wyspie Północnej. Stąd też duża liczba noclegów na campingach płatnych.

Gdy mowa o noclegach pod dachem, korzystaliśmy głównie z chatek oferowanych przez DOC – Department of Conservation. W Nowej Zelandii działa sieć ponad 900 chatek dostępnych dla turystów na terenie całego kraju (zdecydowana większość z nich znajduje się na Wyspie Południowej). Większość z nich jest otwarta, nie posiada rezydującego w nich gospodarza. Jedynie czasami odwiedzana jest przez pracowników DOC. Większość chatek jest płatna. Obowiązują opłaty od 5 do 15 NZD za nocleg (wyjątkiem od tego przedziału cenowego są chatki na najbardziej turystycznych szlakach, gdzie opłaty dla zagranicznych turystów sięgają około 150 NZD). Zamiast płacić za każdy nocleg z osobna, można zakupić Hut Pass, który uprawnia do nielimitowanego używania chatek przez pół roku lub rok. Jedynym obostrzeniem jest maksymalna liczba trzech dni pod rząd, które można spędzić w jednej chacie. Takie pozwolenie kosztuje 96 NZD za 6 miesięcy. Wymienione wyżej najbardziej turystyczne chaty nie są objęte omawianym abonamentem. Każda osoba przychodząca do chaty ma obowiązek wpisać się do książki i podać numer karty. Choć pracownicy DOC zazwyczaj nie są obecni w chatach i bardzo rzadko weryfikują, czy ktoś zapłacił, czy nie, omijanie opłat w chatach jest w bardzo złym tonie i może spotkać się z negatywną reakcją ze strony innych turystów.

Chatki DOC nie mają jednego określonego standardu. Niektóre są nowe lub niedawno remontowane, inne są w znacznie gorszym stanie.

Spaliliśmy 10 razy w domu, 4 noce spośród tego spędziliśmy u naszych znajomych. Na pozostałe noclegi zostaliśmy zaproszeni przez przypadkowych ludzi, którzy spotkali nas na szlaku. W społeczności szlakowej ludzi bezinteresownie pomagającym osobom przemierzającym Te Araroa nazywa się *trail angels*, czyli po prostu aniołami. W Nowej Zelandii mieszkają bardzo mili i pomocni ludzie i mieliśmy wiele bardzo

dobrych wspomnień z lokalnymi mieszkańcami. Najczęściej oferowano nam nocleg w wyjątkowo niesprzyjających warunkach pogodowych, prawdopodobnie dlatego, że będąc przemoczeni i przemarznięci, wzbudzaliśmy litość.

NAWIGACJA

Te Araroa Trust udostępnia na swojej stronie internetowej nieodpłatną mapę całego szlaku. Początkowo mieliśmy w planach drukowanie poszczególnych odcinków i korzystanie z map papierowych, ale rzeczywistość bardzo szybko zrewidowała nasze plany. Noszenie wielu map to ciężar, który staraliśmy się redukować. Ponadto ciężko jest uchronić mapy przed zamoknięciem. Jakby tego było mało, nie zawsze łatwo było znaleźć miejsca, w których można by dodrukować fragment mapy na kolejny odcinek. Dostyc szybko przerzuciliśmy się na nawigację w telefonie. Pobraliśmy mapę w aplikacji Guthook. Kosztowała ona ok. 150 NZD i zawierała dokładną mapę całego szlaku oraz zaznaczone miejsca takie jak: źródła wody, campingi, sklepy i wiele innych. Ponadto użytkownicy mogli dodawać własne komentarze, co było prawdziwą skarbnicą wiedzy na temat tego, co może nas spotkać na dalszych fragmentach szlaku.

SPRZĘT

Staraliśmy się wziąć jak najmniej. Na tak długim szlaku waga plecaka ma kluczowe znaczenie. Spakowaliśmy się w plecaki o pojemności 40 i 45 litrów. W naszym standardowym wyposażeniu dla dwóch osób znalazły się:

Namiot

2x pompowana karimata

2x śpiwór

1x palnik

1x kartusz z gazem (wielokrotnie wymieniany, łatwo dostępny w Nowej Zelandii i stosunkowo tani)

2x widelec

2 pary kijków trekkingowych

Ubrania (kurtki przeciwdeszczowe, polary, koszulki, bielizna, wełniane skarpetki)

Szczyryk

Zapalniczka

Notatnik do zapisywania praktycznych informacji do tego artykułu

Taśma PCV

GPS

Telefony komórkowe, ładowarki i przełączki do kontaktów

Kosmetyczka (mydło, szampon, pasta i szczoteczki do zębów)

Apteczka

Repelent na meszki (i na komary)

Krem z filtrem UV

Ludzie na szlaku mają różne pomysły, aby odchudzić wagę swojego plecaka. Dla niektórych zbijanie kilogramów jest czymś w postaci sportu lub swego rodzaju filozofii szlakowej. Mają lekkie namioty, które zamiast stelaża mają kijek trekkingowy, ucinają w połowie karimaty i szczoteczki do zębów, bo zawsze to kilka zbędnych gramów. Oczywiście kupują najlżejszy dostępny sprzęt na rynku za cenę, która bardzo skutecz-

nie odciąża portfel z nadmiaru gotówki. Im mniej na plecach, tym lepiej się idzie, to pewne. Są jednak takie elementy standardowego wyposażenia, bez których idzie się lżej, ale rezygnując z nich, zdecydowanie ciężiej się żyje. Takimi rzeczami są gaz i palnik. Rezygnowanie z ciepłego jedzenia to ekstremalne wyrzeczenie. Spotykaliśmy osoby, które w ramach redukcji wagi plecaków żyli wyłącznie na zimno. My do nich zdecydowanie nie należeliśmy.

ŻYWNOSĆ

Chcąc mieć jak najlżejsze plecaki, musieliśmy pakować jak najlżejsze jedzenie. Robienie zakupów w taki sposób, aby jedzenia starczyło na odpowiednio długo, było skomplikowaną operacją logistyczną. W sklepach spędzaliśmy dużo czasu, ale warto było dobrze zaplanować żywienie, tak aby niczego nam nie zabrakło.

Głodni owszem bywaliśmy. Funkcjonuje wśród szlakowej społeczności termin *hiker hunger*. Jest to taki rodzaj głodu, który ciężko powstrzymać. Jedliśmy bardzo dużo, zwłaszcza gdy schodziliśmy do miast. W zasadzie nasz rozkład dnia zawierał dwa podstawowe punkty: chodzenie i jedzenie.

Śniadania opierają się na owsie. Nasze owsianki przeszły od początku szlaku prawdziwe menażkowe rewolucje. Zaczynaliśmy, jedząc praktycznie czystą owsiankę. Dorzucaliśmy kilka wiórek kokosowych, które były raczej bez smaku, i kilka energetycznych orzechów, zamykaliśmy oczy i – wykorzystując poranne przytłumienie zmysłów – pochłanialiśmy miksturę. Z czasem odkryliśmy mleko w proszku, które polepszyło walory smakowe naszych śniadań. Magicznym składnikiem, który uczynił szlakową owsiankę potrawą godną królowej angielskiej, była czekolada w proszku. Najlepsze poranne uczyty urządaliśmy tam, gdzie nie trzeba było liczyć się z wagą, czyli w pobliżu sklepu. Odstawialiśmy wówczas owies i raczyliśmy się pieczywem, jajecznicą, świeżymi owocami i warzywami. Wiem, że brzmi to jak codzienność, ale gdy wychodzi się z lasu lub schodzi z gór, ta codzienność urasta do luksusu, o jakim nie śniło się najbogatszym arabskim szejkom.

W ciągu dnia podjadaliśmy sobie orzechy, daktyle, suszone morele i podobne produkty. Podczas głównej przerwy w ciągu dnia staraliśmy się zjeść coś więcej. Czasem był to po prostu batonik, a w dni wymagające więcej wysiłku jedliśmy wrapy z masłem orzechowym i jakimś słodkim wypełniaczem, takim jak na przykład dżem, miód lub zmiażdżone w pył ciasteczka z kawałkami czekolady i lentikami na wagę. Co się tyczy masła orzechowego, konsumowaliśmy je w wielkich ilościach. Tygodniowo jadaliliśmy go mniej więcej tyle, ile przez całe życie do czasu rozpoczęcia szlaku. Nie było dnia bez zanurzenia łyżki w słoiku i wciągnięciu jej dla zabicia głodu. Zapycha jak należy, a waży tak niewiele.

Po całym dniu marszu należał się porządny obiad. Byliśmy całkiem kreatywni, bo przez te wszystkie dni nie mieliśmy dwóch identycznych obiadów. Uczciwość nakazuje dodać, że bywały one bardzo podobne, czasem w miejsce kuskusa wskakuje makaron i już mamy inny posiłek. Patrząc na menu innych osób na szlaku, ograniczające się do 2–3 wymiennie stosowanych potraw, u nas w menażce było naprawdę ciekawie. Najczęściej bazowaliśmy na kuskusie, szybko gotującym się makaronie i puree ziemniaczanym w proszku. Rzadziej, z racji wagi, stosowaliśmy ugotowany ryż w saszetkach

i soczewicę, która trochę za długo się gotuje, a jak wiadomo gaz to pieniądź. Lubiliśmy dodać do jedzenia jakieś mięso, niestety wybór konserw w Nowej Zelandii jest wyjątkowo ubogi. Trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę dostępność świeżego mięsa. Wołowina w puszcze kosztuje tyle co stek na promocji i sprawia wrażenie jakby ktoś zapuszkował padlinę. Akceptowalne są kurczaki i tuńczyki w puszcze, ale na dłuższe dystanse woleliśmy unikać metalu w plecaku. Sensowną, aczkolwiek nie najtańszą alternatywą było liofilizowane mięso. Nie trzeba kupować gotowych posiłków, w Nowej Zelandii można dostać liofy na części. Na różnych supermarketowych stoiskach dobieraliśmy trochę suszonych warzyw i obiad gotowy. Tylko doprawić saszetką zupy lub sosem w proszku i menażkę lizać!

KOSZTY

Średni kurs dolara nowozelandzkiego do złotówki w czasie trwania wyprawy – 1 NZD = 2,5 PLN

Według informacji podanych na stronie internetowej Te Araroa Trust przeciętna osoba wydaje na szlaku od 7000 do 10 000 NZD. Osobom dysponującym budżetem poniżej 5000 NZD odradza się rozpoczynanie szlaku.

Odcinając bilety lotnicze oraz wydatki poniesione przed rozpoczęciem szlaku (w tym między innymi zakup brakującego sprzętu), wydawaliśmy średnio 54 NZD dziennie na dwie osoby. Łącznie przez 145 dni wydaliśmy więc mniej niż 5000 NZD na osobę. Mieliśmy jednak szczęście, ponieważ nie zużyliśmy bardzo dużo sprzętu. Nie było konieczności dokupowania namiotu, śpiworów czy plecaków. Zużyliśmy także po dwie pary butów, co jak na 3000 km w trudnym terenie jest bardzo dobrym wynikiem. Idąc w parze i gotując wspólne posiłki, też oszczędzaliśmy, mogąc kupować większe opakowania jedzenia.

Warto jednak podkreślić, że szacunki Te Araroa Trust odnośnie do przewidywanego budżetu wydają się być rozsądne. Faktycznie przeciętna osoba wydaje ok. 7000 NZD, a posiadanie poniżej 5000 NZD to stanowczo za mało. Dobrze mieć zapas niż skończyć w połowie szlaku bez pieniędzy.

Struktura naszych wydatków przedstawiała się następująco:

Noclegi – ok. 23% wydatków

Jedzenie – ok. 52% wydatków

Sprzęt – ok. 12% wydatków

Inne – ok. 13% wydatków.

W kategorii „inne” sklasyfikowaliśmy m.in. bilety na prom pomiędzy wyspami, komunikację miejską w czasie pobytów w miastach, opłaty za Internet (które w Nowej Zelandii potrafią być bardzo wysokie) i wynajęcie canoe na odcinek pokonany rzeką.

Walenty Zajkowski

Dookoła świata – na wschód



Termin: 1–30 września 2018

Uczestnicy: Joanna i Walenty Zajkowsky

Trasa (loty)

1.09.2018 Warszawa – Paryż – Hongkong – Auckland; 6.09.2018 Auckland – Papeete (przylot 5.09.2018); 7.09.2018 Papeete – Bora Bora; 9.09.2018 Bora Bora – Papeete; 11.09.2018 Papeete – Wyspa Wielkanocna; 13.09.2018 Wyspa Wielkanocna – Santiago; 16.09.2018 Santiago – Bogota; 18.09.2018 Bogota – Quito; 24.09.2018 Quito – Houston – Calgary; 29.09.2018 Calgary – Londyn; 30.09.2018 Londyn – Warszawa

Koszt wyjazdu: ok. 20 tys. zł/os. (bilety lotnicze ok. 10 tys. zł/os.)

Przygotowania do podróży

Każdy, kogo pasjonują podróże, w pewnym momencie dochodzi do ściany, za którą jest już tylko podróż dookoła świata. Plany kielkowały powoli i nieśmiało, ale od kilku lat było wiadomo, że musi to nastąpić. Najpierw udawaliśmy że jedziemy na wyspy Pacyfiku, ale i tak wiedzieliśmy, że wrócimy w drugą stronę. Dodatkowym smaczkiem było przekroczenie liczby 100 odwiedzonych krajów właśnie w czasie tej podróży.

Planowanie rozpoczęliśmy z prawie rocznym wyprzedzeniem. Trasa oczywiście uwarunkowana naszymi wcześniejszymi wyjazdami. O tak dużym wyprzedzeniu zdecydował nocleg na Bora Bora i lot na trasie Papeete – Wyspa Wielkanocna, co było najsłabszym ogniwem całej trasy. Na Bora Bora noc w domkach na palach na oceanie to

wydatek od 2000 zł wzwyż i tylko Oa Oa kosztuje 880 zł. Natomiast tylko we wtorki bilet na trasie Papeete – Wyspa Wielkanocna powrotny (1700 zł/os.), jest dwa razy tańszy od biletu w jedną stronę w każdy inny dzień. Ale to już wiedziałem dużo wcześniej.

Noclegi rezerwowaliśmy na Booking.com. Szczególnie ważne duże wyprzedzenie w Kanadzie. Noclegi w Górach Skalistych znikają błyskawicznie. Ceny noclegów bardzo zróżnicowane. My przyjęliśmy standard łazienki w pokoju 2-osobowym. Wiek określa komfort podróżowania. W Ameryce Południowej nie płaciliśmy drożej jak 80 złotych za noc, a w Kanadzie sztuką było znaleźć nocleg poniżej 100 dolarów kanadyjskich. Auto przez sprawdzoną Rentalcars z pełnym ubezpieczeniem. Bilety lotnicze w terminach rekomendowanych przez wyszukiwarki. Chociaż spotkałem się z sytuacją, że podawana cena dotyczyła tylko jednego biletu. Drugi był już w innej cenie. Wejście do innej wyszukiwarki i powrót do poprzedniej powodował również zwiększoną cenę. Co prawda wiedziałem o takich praktykach, ale boli. Cała trasa bezwizowa, ale lecąc do Kanady trzeba dokonać elektronicznego potwierdzenia podróży (eTA) na oficjalnej stronie rządu kanadyjskiego (adres na stronie polskiego MSZ – Polak za granicą).

Dodatkowo przez Internet zarezerwowaliśmy przejazd autobusem na trasie Auckland – Rotorua – Auckland (38 USD/os. – InterCity), półdniową wycieczkę w Rotorua (109 USD/os. – Viator) i autobus między lotniskami Gatwick i Luton w Londynie (99 zł/os. – National Express).

Po raz pierwszy również spisałem w podręcznym notesie całą trasę (duplikat w telefonie) z godzinami wylotów, lądowań, przesunięć czasu, nazwami hoteli z cenami, krótkie info o oczekiwanych cenach na trasie wyłuskane na forach podróżniczych.

Potwierdzam, aplikację maps.me i przejściówkę do gniazdek z rozdzielaczem należy traktować jak niezbędny w wojsku. Okazały się niezastąpione wielokrotnie.

Chyba większą treść mieliśmy przed wyjazdem na Mazury. Wyjazd był spełnieniem marzeń i nic nie mogło pójść nie tak. Dopracowany w każdym szczególe perfekcyjnie. Takie podsumowanie wszystkich doświadczeń podróżniczych.

RELACJA Z PODRÓŻY

1 września

Pierwsze loty to od razu Auckland. Odprawa on-line niestety załatwia tylko odcinek Warszawa – Paryż, a na trasę Paryż – Hongkong – Auckland trzeba się odprawić osobno. A co z bagażem? Czy przy takiej odprawie bagaż poleci od razu do Nowej Zelandii? Jeśli są jakieś wątpliwości, to od czego jest infolinia? Już teraz wiem od czego. Od wprowadzania ludzi w błąd. Przynajmniej ta lotowska. Za radą, zresztą sympatycznej, pani z infolinii Lotu nie skorzystaliśmy z odprawy on-line, a mieliśmy wszystko załatwić w Warszawie na lotnisku. Tam niestety znów tylko *check-in* do Paryża, ale bagaże do Auckland. Podzieliliśmy się naszą opinią na temat infolinii Lotu w czasie odprawy i uszykszyliśmy pełne zrozumienie i..., jeszcze mniej pochlebną (szczegóły zachowam sobie).

Nerwowy *check-in* w telefonie na stronie Cathay Pacific i udało się. Mamy miejsca razem i przy oknie. W Paryżu zmiana terminalu (kolejka lotniskowa) i odprawa bezpieczeństwa bagażu podręcznego. W końcu siedzimy w nowiutkim Airbusie A350. Jeśli to miała być odpowiedź Airbusa na Dreamlinera, to bardzo udana.

2 września

Lot 12 godzin + 11 godzin z krótką przerwą w Hongkongu budził pewne obawy zdrowotne, dlatego zdecydowaliśmy się profilaktycznie na zastrzyki z Clexane. Przewożone w bagażu podręcznym nie budziły najmniejszych zastrzeżeń na odprawie bezpieczeństwa.

3 września

W samolocie wypełniamy deklarację celną. Wiemy, że trzeba to zrobić starannie, gdyż nieścisłości mogą kosztować 200 dolarów nowozelandzkich. Największą uwagę zwracają na żywność (przede wszystkim zakaz owoców, warzyw i żywności świeżej), sprzęt trekkingowy (czyste buty) i leki. Jeśli mamy wątpliwości, to najlepiej pokazać rzeczy wątpliwe. Czytałem na forach o dużych problemach niektórych podróżnych.

Nasza odprawa trwała 15 minut, razem ze staniem w kolejce. Pan celnik tylko raz zaprezentował grymas niezadowolenia, jak chciałem otworzyć plecak. Zdecydowany gest odwiódł mnie jednak od tego zamiaru. A chciałem pokazać tylko nasz „żelazny zapas nienaruszalny”, jaki zawsze wożę ze sobą, batoniki, słodczyce i mielonkę. Trauma z Afryki, gdzie nie jedliśmy przez 2 dni.

Przystanek InterCity znajduje się przy wyjściu z hali przylotów (jeden dla kilku linii, ale na przystanku jest zielony znaczek naszego przewoźnika). 2 godziny do Hamilton, przesiadka i 1,5 godziny do Rotorua. Mogą być podstawione autobusy innej firmy, współpracującej z InterCity. Taki przypadek mieliśmy w Hamilton. Staliśmy na przystanku InterCity, a autobus podjechał obok i w innym kolorze z małym znaczkiem naszego przewoźnika na drzwiach. Czujność popłaca. Potwierdzamy jeszcze SMS-em nasz udział w jutrzejszej wycieczce i dostajemy zwrotnego z godziną odjazdu spod naszego hotelu.

Temperatura 6°C, grad na zmianę z deszczem. Lekki szok. *Jet lack* daje znać o sobie. W nocy czuwamy, a nie śpimy. W dzień snujemy się półprzytomni. Na aklimatyzację niestety nie będzie czasu. Przekonamy się później, że będzie to stan permanentny.

4 września

Punktualnie o 8.30 podjeżdża bus. W sumie grupa 7-osobowa. Przemiła pani przewodnik wita się z nami jak ze starymi przyjaciółmi i w takiej atmosferze upływa cała impreza. Cena 109 USD/os. nie jest wygórowana. Bilety wstępu do Wai-O-Tapu i Waikamau Valley są po 40 dolarów nowozelandzkich/os. (1 USD – ok. 1,5 dolara NZ) dla turystów indywidualnych. A do tego transport. Chyba jedyna opcja na krótki pobyt dla tych, którzy nie czują się pewnie w ruchu lewostronnym. Roślinność to Park Jurajski. Pewne gdzieś w gęstwinie biegają jeszcze dinozaury.

Te Puia, park na obrzeżach Rotorua, to niestety 56 dolarów NZ. Co prawda z oglądaniem kiwi, ale nie ma tańszej opcji. Warto jeszcze odwiedzić park miejski. Liczne gorące źródła, alejki i bajkowe kolory kwitnących wiosennych drzew. Stały punkt zwiedzania parku – moczenie nóg w basenie z wodą termalną. Oblegany, ale duża rotacja.

5 września

Powrót z Rotorua do Auckland jest dużo tańszy, jak w odwrotnym kierunku. Bilet na tej trasie to 11 dolarów NZ (4 godziny). Jest kilka linii. Autobusy odjeżdżają spod

ratusza w centrum. Jest tam informacja turystyczna i można kupić bilety na autobus i liczne imprezy turystyczne w okolicy. Bardzo chcieliśmy pojechać do PN Tongariro, ale niestety nie ta pora roku i trasy, nawet jeśli są otwarte, to po prostu niebezpieczne, a jaskinia Waitomo zniechęciła nas ceną z Rotorua – 180 dolarów NZ. Hobbity to nie nasza bajka.

Nowa Zelandia jest droga. Produkty spożywcze – ceny w Polsce X 3. Akceptowalna tylko cena wina, od 8 dolarów NZ wzwyż. Wjazd na wieżę widokową 29 dolarów NZ za osobę dorosłą. Seniorzy 23 dolary. Ceny zachwalanych, wełnianych skarpet – nieprzyzwoite.

Port i nabrzeże w Auckland, cudowne miejsce. Nawet we wrześniu przy pięknej, słonecznej pogodzie zatłoczone.

6 września

Ranek, niestety deszczowy. Spacer po mieście zamieniamy na leniuchowanie. Przetestujemy najtańsze połączenie z centrum na lotnisko. Pociągiem z dworca Britomart (jedna przecznica od promenady nadmorskiej) do stacji Papatoetoe (7 dolarów NZ w automacie lub w okienku). Następnie kładką dla pieszych przechodzimy na autobus nr 380 (ta sama strona co tory, bilet u kierowcy – 3,5 dolara NZ). Sprawdziliśmy, działa, polecamy.

Mimo że wylatujemy po południu, tę samą noc kalendarzową spędzimy również w Papeete. Przekraczamy linię zmiany daty. Trochę pogubiliśmy się, czy w Polsce już jutro, czy jeszcze dzisiaj. O godz. 23.30 już nie ma busa z lotniska do centrum Papeete (kursują od 5.00 do 18.00). Jesteśmy skazani na taksówkę. Ceny są stałe wywieszone na tablicy i zależą od długości kursu. Nasz kosztował 2700 CFP (ok. 27 USD). Autobus, to stała opłata 250 CFP, na większości tras.

Czas zacząć jeszcze raz ten sam dzień.

Muzeum Paula Gauguina, niestety nieczynne, Muzeum Tahiti, mieści się w Tamanu i nie jest warte kilkugodzinnej wyprawy za miasto. Wstęp 600 CFP, a z czasowymi ekspozycjami 1000. Natomiast warto wybrać się z Papeete na punkt widokowy przy krzyżu. Miasto i wybrzeże w pełnej krasie. Maps.me na pewno przydatne, szczególnie jeśli chcemy wrócić inną drogą niż weszliśmy.

Jeśli Polinezja, to oczywiście perły i koniecznie czarne. W salonach oprawione od 5000 franków polinezyjskich (CFP)/szt., zależnie od wielkości, barwy i regularności kształtu. Te, które wzbudzą zazdrość po powrocie, to już wydatek ponad 200 USD. Ale są również okazy, których zakup jest po prostu niemoralny, z dużą liczbą zer na końcu. Dla tych klientów polecam salon Robert Wan, a przy okazji można obejrzeć Muzeum Pereł. Na bazarze, wersja dla ubogich, już od 1000 CFP, ale małe i koślawe.

Ceny w sklepach spożywczych przystępne. Bagietka 50, duża woda 100–150, mała cola 160–200, a wino od 1400 CFP.

Market (bazar) w centrum, według niektórych kwintesencja Polinezji, wprowadza w miły nastrój. Pełno różnorodnych towarów, miła atmosfera. Najatrakcyjniej prezentuje się wczesnym rankiem, gdy na stoiska trafiają ryby.

O godz. 17.00 życie w mieście powoli zamiera.

Od 18.00 na placu w centrum przy promenadzie nadmorskiej królestwo *food trucków*. Szaszłyki od 250 do 3500 CFP za porcję raczej dwuosobową. Porcje obiadowe od 1300 CFP.

7 września

Dzisiaj lot do raju. Z perspektywy czasu stwierdzę, że tylko na 2 dni. Słodkie, luksusowe lenistwo nie nudzi się. Nie posądzałem siebie o takie stwierdzenie, ale i nigdy nie planowałem znaleźć się w raju. Niech nikt nie mówi, że Bora Bora jest przereklamowana. Jest troszeczkę lepiej niż w reklamach.

Pilot w hawajskiej koszuli, bermudach i klapkach nie wzbudzał szacunku, ale to co miał zrobić, wykonał perfekcyjnie. Widok Bora Bora z samolotu jest wart każdych pieniędzy. Turkus laguny jest jak kiczowaty obraz. Ale to istnieje naprawdę.

Z lotniska łódki odbierają turystów do hoteli na lagunie, a pozostali płyną lotniskowym promem do Vaitape. Tam hotelowe auta zabierają do hoteli na wyspie. Ceny zbliżone do Papeete, a hotele od 100 do 1000 USD.

W sobotę i niedzielę handel bardzo ograniczony. Otwarte tylko kilka salonów z perłami i sklep spożywczy u Chińczyka, niedaleko portu. Jeśli mamy upolować perłę, to tylko dzisiaj. Miejsce, pogoda, atmosfera, instynkt samozachowawczy, czujność. Tak to działa o perła z certyfikatem łąduje w plecaku.

8 września

Naokoło wyspy jest 35 kilometrów. Droga asfaltowa, jedno większe wzniesienie, a poza stolicą ruch znikomy. W spacerowym tempie, razem z kąpielą na słynnej plaży Matira, zajmuje to 6 godzin. Rowery można wypożyczyć w porcie, w firmie Avis. Pół dnia 1700, a cały dzień 1900 CFP.

9 września

Z Vaitape jest kilka tras w góry. Wszystkie zapewniają piękne widoki na ocean i lagunę, ale ciężki sprzęt do robót ziemnych systematycznie je niszczy. Jest to związane z pozyskiwaniem nowych terenów budowlanych.

Bezpłatne promy z Vaitape na lotnisko są dopasowane do lotów. Transfer do portu hotele zapewniają bezpłatnie.

W niedzielę nie kursują autobusy w Papeete. Nie wiedzieliśmy o tym i staliśmy beztroško na przystanku. Złitowała się nad nami dopiero para przemitych Polinezyjczyków i zabrała nas pikapem do centrum i do tego bez pieniędzy. Opcją standardową w niedzielę jest taksówka.

W niedzielę zakupy możliwe tylko na stacji benzynowej. Dobrze zaopatrzony sklep jest na stacji benzynowej Total w centrum.

10 września

Rano ponownie bazar w Papeete. Od piątej już funkcjonuje i wtedy jest najciekawiej, bo najwięcej produktów i miejscowi robią zakupy na swoje potrzeby.

Kantor na lotnisku jest czynny w godzinach 8.30 – 11.30 i 3 godziny po każdym międzynarodowym przylocie.

Na Polinezję Francuską trzeba mieć euro. Kurs kupna i sprzedaż jest identyczny, natomiast każda transakcja w kantorze, to opłata manipulacyjna w wysokości

700 CFP. Na pozostałych walutach różnica kursowa kupna i sprzedaży przekracza 10 procent.

11 września

Następny etap Wyspa Wielkanocna. Na lotnisku kupiliśmy bilety wstępu do Parku Narodowego, który obejmuje praktycznie całą wyspę poza Hanga Roa (80 USD/os.). Czytaliśmy różne opinie na temat zasadności zakupu. Można przebywać praktycznie na terenie całej wyspy bez biletów wstępu. Ale tylko przebywanie w takim miejscu to za mało. Wchodząc do wszystkich ważniejszych miejsc, przede wszystkim Rano Raraku i Tongariki, trzeba jednak okazać bilet. Być może kiedyś było inaczej. Czyli można uniknąć płacenia, ale jednak trzeba.

Na lotnisku drobiazgowe sprawdzanie. Bilet powrotny, rezerwacja noclegów. A po odprawie przywitanie po polinezyjsku sznurem kwiatów. Wszystkie hotele zapewniają bezpłatny transfer z lotniska, ale do najdalszego nie ma więcej jak 5 kilometrów.

W hotelu zarezerwowaliśmy rower na następny dzień (16 USD/os.). Bardzo popularne jest płacenie w dolarach amerykańskich i ceny niejednokrotnie niższe jak w peso, ale na zakupy czy drobne posiłki trzeba mieć lokalną walutę. Bankomat przy Tu'u Mahake otwarty tylko do 16.00, ale po nieco mniej korzystnym kursie można dokonać wymiany w Mall Oceanic, w sklepie komputerowym. W mieście jest kilka sklepów spożywczych, sporo restauracji i piekarni z pieczywem i empanadą. Cena w zależności od dodatków 2300–3000 CLP (1 USD – ok. 600 CLP). Ogólnie ceny ponad dwukrotnie wyższe jak na kontynencie.

Po południu udaliśmy się do Pea, gdzie w porcie często przyplływają duże żółwie oceaniczne, a wieczorem za miasto na platformę Tahai na spektakularny zachód słońca. Miejsce zbiórki chyba wszystkich turystów na wyspie.

12 września

Klasyczna pętla naokoło Wyspy Wielkanocnej ma 40 kilometrów. Mam na myśli drogę asfaltową, która do platformy Tongariki prowadzi wybrzeżem, a powrót środkiem wyspy. Ale w drodze powrotnej jest niezła góрка, a wybrzeże jest w miarę płaskie. Zmienne warunki pogodowe, deszcz na zmianę ze słońcem sprawiły, że drogę w obie strony pokonałismy wybrzeżem. Cała nasza wyprawa ze zwiedzaniem zajęła ok. 8 godzin (35 km). Nie było sensu, przy takiej pogodzie, jechać na plażę Anakena. I tak wróciliśmy przemoknięci.

13 września

Dzisiaj lot do Santiago i dalsza podróż z południa na północ. Przez dwa tygodnie nie będzie znaczącej zmiany strefy czasowej. Ze względu na późną porę przylotu wykupiliśmy za pośrednictwem hotelu transfer z lotniska za 30 USD.

14 września

Ceny w Santiago, podobnie jak w całej Ameryce Południowej przystępne nawet dla turystów niskobudżetowych. Wino od 1500 CLP (bardzo dobre), woda 100 CLP/1 litr, kupiłyśmy 1500 CLP/kg, empanada od 1100.

Plaza de Armas tętni życiem od samego rana. Deptaki pełne ludzi (dlaczego oni nie są w pracy). Występom zespołów na żywo towarzyszy spontaniczny taniec. Pary two-

rzą się z przypadkowych gapiów. Tego nie było nawet w Buenos Aires. Polecane Muzeum Prekolumbijskie – 6000 CLP/os. Na sobotę zaplanowaliśmy wypad jednodniowy do Valparaíso. Bilet powrotny 10 900 CLP/os. Linią Alameda Turbus z centrum. Inne troszeczkę tańsze. Mimo weekendu nie ma problemu z biletami. Okolice dworca to nieprzebrany tłum. Handel kwitnie na każdym skrawku chodnika. Totalny chaos.

15 września

Podróż do Valparaíso trwa 1 godz. 45 minut. Godziny odjazdu i powrotu można zmieniać dowolnie za niewielką opłatą. Jest takie zagęszczenie połączeń, że nie stanowi to problemu. Okolice dworca autobusowego w Valparaíso trochę szemrana. Rano sąsiednie ulice to jeden wielki targ owocowo-warzywny. Nie sposób przecisnąć się chodnikiem. Handel odbywa się również na ulicach. Wszędzie bezpańskie psy. Sporo bezdomnych.

Największą atrakcją Valparaíso są kolejki szynowe zamiast schodów. To symbol miasta. Jednorazowy przejazd 100 CLP. Ale turystów przyciągają również graffiti. Całe dzielnice na wzgórzach są od nich kolorowe i pięknie komponują się z kolorową zabudową. Mimo widocznego upływu czasu robią wrażenie. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie. To nie graffiti w naszym pojęciu, to dzieła sztuki.

16 września

Z hotelu na lotnisko znów hotelowy transport. Lot do Bogoty po 7.00, więc o kolejne 30 USD zostaje uszczuplony portfel. Kurs wymiany na lotnisku w Santiago niekorzystny. Podobnie zresztą w Bogocie, ale wymiana jest konieczna ze względu na opłatę za taksówkę. Wymiana na lotnisku w Bogocie to jak wizyta na policji. Paszport, odcisk palca, pokwitowanie z wymiany wielkości protokołu z przesłuchania.

Cena żółtej taksówki (stanowiska przed halą przylotów) do dzielnicy La Candelaria 30 000 COP, jazda na licznik (1 USD – ok. 2800 COP). Nasz kierowca okazał się jednak oszustem i skasował dodatkowe 5000 za bagaż. Umawialiśmy się tylko na jazdę na licznik. Niech ma – okup dla losu.

Jest niedziela, więc zaliczamy jeszcze Muzeum Złota za *free*, 8000 COP/2 os. w kieszeni. Odbiliśmy za nieuczciwego kierowcę. Obok uliczny targ z wszelakim dobrem i jedzeniem.

17 września

Kolorowa dzielnica La Candelaria wydaje się być bezpieczna. Liczne patrole policji stwarzają takie wrażenie, ale turystów bardzo mało i to raczej z sąsiednich krajów. Hotel w La Candelarii trochę szemrany. Szefem białas, widać, że po przejściach. Całą noc zachowanie obsługi jakieś dziwne. Na wszelki wypadek przed wykwaterowaniem sprawdziliśmy bardzo starannie zawartość naszych plecaków. Główna ulica ciągle zatłoczona i podobnie jak w Chile nasuwa się pytanie, czy oni nie powinni być w pracy?

W Bogocie koniecznie trzeba odwiedzić Muzeum Botero. Mój ulubiony artysta jest Kolumbijczykiem. Wstęp bezpłatny. W różnych miejscach na świecie trafialiśmy na jego prace, więc wizyta tutaj była punktem obowiązkowym. Kto widział prace Botero, ten wie, dlaczego jest wyjątkowy. Poza tym są tam dzieła Dali, Moneta, Renoira, Picassa.

Katedra, Iglesia de Concepcion, Muzeum Złota, są zamknięte w poniedziałki, a Muzeum Botero we wtorki.

18 września

Na lotnisko jest dobry dojazd z centrum autobusem. Z przystanku Museo Nacional, w północnej części centrum najpierw nr 1 na końcowy przystanek Portal El Dorado, a następnie K86 na lotnisko. Bilet na całą trasę kosztuje 2300 COP/os. Dodatkowo trzeba dokupić wejściówkę na peron za 5000 COP, ale może być jedna na 2 osoby (można ją teoretycznie później odsprzedać).

Taksówka z lotniska w Quito do Centro Historico kosztuje 26 USD (oficjalną walutą w Ekwadorze jest dolar amerykański), ale to ponad 40 kilometrów.

19 września

Dzisiaj wizyta w Zoologico Guayllabamba i Mitad del Mundo. Na końcu ulicy Chile z centrum odjeżdża niebieski autobus do Mitad del Mundo za 0,25 USD. Po drodze zatrzymuje się na dworcu Ofelia, skąd za 0,55 USD zielony autobus jedzie do Guayllabamby. Do zoo pozostaje jeszcze 2 kilometry, które można przejechać taksówką za 2 USD. Warto umówić się na drogę powrotną, bo powrót jest kłopotliwy. Nie ma ani transportu publicznego, ani oczekujących taksówek. Zoo warte odwiedzenia przede wszystkim ze względu na żółwie z Galapagos.

Powrót znów na dworzec Ofelia i niebieski autobus na równik. Sprawdziliśmy błąd w wytyczeniu równika, o którym już chyba wszyscy wiedzą. W moim telefonie było to 8", w terenie ok. 250 metrów na północ. Obsługa oczywiście udaje, że nie wie, o co chodzi. Koniecznie trzeba pobawić się doświadczeniami równikowymi, schodząc z wieży widokowej. Chociaż nie mogę zrozumieć, jak to działa, skoro to nie jest faktyczny równik? Prawdziwa równikowa zabawa jest obok na prywatnej działce.

20 września

Quito w mojej opinii to najpiękniejsze miasto Ameryki Południowej. Centro Historico nietknięte, przez to urokliwe. Wstęp do wieży w bazylice na wzgórzu 2 USD, kawa na dziedzińcu 1,5 USD. Wejście do La Compania de Jesus 5 USD (najbogatszy kościół w Quito, czytaj: najbardziej złocony). Ale największe wrażenie zrobił na nas Monasterio de San Francisco. Bezwzględnie wyjątkowy, ale nabożeństwo, na jakie trafiliśmy (mimo że po hiszpańsku), wzruszyło nas do łez, co nie zdarzyło się nigdy dotychczas. Jeśli ktoś trafi do Quito, to ta jedna msza jest ważniejsza niż wszystkie zabytki miasta. Niezrównane przeżycie duchowe. Pamiątka w sercu na całe życie.

Ceny w Quito w sklepach i w restauracjach niższe jak w Polsce.

21 września

Jutro sobota, więc największy targ w Ameryce Południowej w Otavalo. Autobusy odjeżdżają z dworca Carcelen, na północnych obrzeżach miasta. Z Centro Historico można tam dojechać taksówką za 10 USD lub autobusem C1 z placu Santo Domingo do Parada el Esido i dalej C5 do Carcelen w cenie 2X0,25 USD, ale rano jest duży tłok. Podróż do Otavalo zajmuje 2 godziny, koszt 3 USD/os. Obsługa sama wyłowiła nas z tłumy, więc nie ma problemu z szukaniem autobusu. Zresztą kursy są co 10 minut. Na długich odcinkach droga jest nowa, 2-jezdniowa.

22 września

Sobota w Otavalo jest dniem szczególnym dla całej okolicy, a dla turystów niezłą gratką. Dzień pełen wrażeń zaczyna się skoro świt. Na północnych obrzeżach miasta, za Panamericaną odbywa się targ zwierząt. Królują świnie, krowy, owce, alpaki, konie, króliki, świnki morskie i przeróżny drób. Naokoło kwitnie handel wszelkiej maści. Pełen folklor. Około 8.00 handel zamiera.

Rozpoczyna się główny targ miejski. Planowany był na Plaza de Ponchos, głównym placu miejskim, ale dawno rozlał się na sąsiednie ulice i teraz to zajmuje pół miasta. Dodatkowo przeplata się z targiem warzywnym, gdyż stary targ spożywczy został zlikwidowany. Ok 16.00 powoli stoiska są zwijane. W ograniczonym zakresie, tylko na placu, targ odbywa się również w pozostałe dni tygodnia, ale w sobotę następuje prawdziwa eksplozja handlu, a sprzedawcy ściągają z całej okolicy. Wybór wyrobów ogromny. Ceny przystępne, ale odpowiednie targowanie się pozwala uzyskać nawet 20% zniżkę.

Ostatnim punktem sobotnich atrakcji w Otavalo są walki kogutów od ok. 16.00. Jest specjalna arena, przy 31 de Octubre, a wstęp kosztuje 2 USD.

23 września

Autobus z Otavalo na terminal Carcelen, tak jak poprzednio 3 USD. Z terminala można jechać na lotnisko taksówką za 15 USD, ale autobus lotniskowy z napisem AEROPORTO (szary) zawiezie za 2 USD/os. Czas przejazdu to niecała godzina. Z Otavalo na lotnisko można też dostać się taksówką, ale ta przyjemność kosztuje 60 USD.

24 września

Trochę obawialiśmy się lotu na trasie Quito-Houston-Calgary (konieczna wiza USA). Rezerwując lot miałem w Houston 2 godziny na przesiadkę, ze zmianą terminala, gdyż pierwszy odcinek obsługiwał United, a dalszą trasę Air Canada. W międzyczasie dwukrotnie zmieniono lot Air Canady na wcześniejszą godzinę. Z bezpiecznych 2 godzin zrobiło się niecałe 1,5. Na amerykańskie realia to niedużo. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w czasie odprawy okazało się, że na całej trasie lecimy United, a przez zmianę linii, nie musimy zmieniać terminala. I bardzo dobrze, bo nawet na tranzyt, w USA trzeba zarezerwować 1 godzinę z tą ich pełną procedurą bezpieczeństwa. Zmiana lotu to pewnie wewnętrzna sprawa linii lotniczych z tego samego alianцу, które zadbały o naszą bezproblemową przesiadkę.

W Calgary sprytny Hindus wcisnął nam jeszcze dodatkowe ubezpieczenie do i tak już pełnego ubezpieczenia auta, i kierunek Canmore.

25 września

Rano niespodzianka. Szron na szybach. Od października w Kanadzie niektóre trasy mogą być już zamknięte. Całkiem prawdopodobne, bo 3 dni po naszym powrocie, Calgary zasypała 30-centymetrowa warstwa śniegu. Przy letnich oponach wyzwanie byłoby ekstremalne.

Do Lake Louise i Moraine Lake za dnia nie ma sensu próbować się dostać. Wszystkie miejsca na parkingach zajęte i to praktycznie z zerową rotacją. Nawet pod koniec września. Kanadyjczycy poradzili sobie jednak z tym problemem znakomicie. Dwa ki-

lometry przed zjazdem na Lake Louis od strony Calgary, po lewej stronie zorganizowali duży parking, z którego bezpłatne wahadłowe autobusy dowożą turystów do obu atrakcji. Nie ma autobusu między Lake Louise i Moraine Lake, dlatego trzeba wrócić na parking i zająć miejsce w drugiej kolejce. Im wcześniej, tym kolejki mniejsze. Autobusy kursują co 15 minut. Jest też autobus do Lake Louise Village. Jeziora są obłędnie wyjątkowe. Być może najładniejsze miejsce w Górach Skalistych z miejsc dostępnych dla masowej turystyki. Celowo użyłem zwrotu masowej, gdyż tę masę tworzą Chińczycy. Ja wiem, że mieszka ich dużo w Kanadzie, dużo przyjeżdża, ale po wizycie w parkach mam wrażenie że stanowią 90% ogółu. Hałaśliwi, niegrzeczni, zarozumiali. Duży kontrast z wyszukaną kanadyjską uprzejmością.

O godzinie 14.00 byliśmy już po obu atrakcjach, a w planach mieliśmy jeszcze Glacier Skywalk. Bilety w Glacier Discovery Centre, przy lodowcu Columbia w cenie 34 CAD/os. (1 USD – ok. 1,3 CAD), po prawej stronie drogi. Autobusy dowożą wahadłowo do kładki ok. 3 km. Ciekawostka, ale jest ich na świecie już coraz więcej. Za 109 CAD/os. można się udać na cały lodowy tour, z wejściem na lodowiec.

Na nocleg udajemy się do Jasper. Właściwie to 8 km przed Jasper przy drodze Whistlers Trail, obok Jasper Sky Tram, górskiej kolejki, gdzie z góry jest piękny widok na okolicę i startuje kilka tras trekkingowych. Kolejka nie jest tania, podobnie jak wszędzie w Kanadzie – 46 CAD/os.

26 września

Jasper, to małe, miłe górskie miasteczko. W okolicy polecana jest trasa do Maligne Lake. Praktycznie 100% pewności spotkania dzikich zwierząt. Nam trafiło się 3-krotne spotkanie z karibiu, w tym 10-minutowa blokada drogi. W drodze powrotnej jeszcze obowiązkowo Maligne Canyon, z ciekawą ścieżką przez 5 mostków nad wąwozem. Trasa długości 6 km, bezpłatnie.

27 września

Trasa powrotna do Banff. Większość punktów widokowych na Góry Skaliste, lodowce, jeziora, będzie teraz po prawej stronie. Zaliczamy prawie wszystkie (Athabasca Falls, Sunwapta Falls, jezioro Peyto – koniecznie, jezioro Bow). No i pora zapłacić haracz za piękne widoki i za wszystko, co wydawało się nam do tej pory, że jest za darmo. Stawka 19,60 CAD/auto/dzień. Opłata jest pobierana jak na rogatek na autostradzie.

Nocleg w Banff. Takie kanadyjskie Zakopane.

28 września

W zasięgu kilkudziesięciu kilometrów jest sporo super atrakcyjnych miejsc. Każde godne polecenia i każde „za darmo”. Po południu jednak już nie mieliśmy sił na nic. Myśłami byliśmy już w kraju.

29 września

Mimo pesymistycznych zapowiedzi, pogoda nas jednak oszczędziła. Prognozy mówiły o nawet 10-stopniowych mrozach. Na takie ekstremum to nie byliśmy przygotowani.

Zwrot auta i całonocny lot do Londynu.

30 września

Przejazd z Gatwick na Luton, zarezerwowanym jeszcze w kraju National Express i o 20.40 lądowanie na Okęciu. Koło zamknięte.

Wiem, że pominęliśmy dużo super miejsc. Ale tak musiało być. To tylko 30 dni. Poza tym musi pozostać niedosyt.

A może teraz w odwrotną stronę. Przecież musimy oddać ten dzień, który zyskałimy po drodze, gdzieś nad Pacyfikiem. No właśnie. Właściwie to nie mamy wyjścia.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl	4
W świecie globtroterów	5
Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów – OSOTT www.travelbit.pl/osott	7
Konkurs na relację z wypraw	12
Tomasz Cukiernik	
Islandia i Grenlandia jachtem	13
Agnieszka Dąbrowska, Krzysztof Batycki	
Inflanty estońskie, łotewskie i polskie	21
Milena Dąbrowska, Agnieszka Dąbrowska, Krzysztof Batycki	
Skrzydlate Azory	28
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Zanzibar wyspa zapachów	33
Anna i Tomasz Szymkiewicz	
Korea Południowa – Japonia 2018	45
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi), Jan i Basia Robak	
Kalifornia północna i Oregon południowy	54
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi), Jan i Basia Robak	
Colorado jesienią	109
Radomir i Anna Kolmas (z Pawłem i Antoniną Kolmas)	
Stany Zjednoczone – Zachodnie Wybrzeże	132

Beata Rujner, Tomasz Cukiernik	
Ślub na Kubie	142
Piotr Wiland	
Samoa i Fidži – pomiędzy Polinezją a Melanezją	151
Jagoda Watrak	
Fidži, Nowa Kaledonia, Vanuatu – ekspresowo, ale w dobrym towa- rzystwie	162
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Australia Zachodnia – gdzie wszędzie daleko... ..	170
tekst przesłany bez podanego nazwiska autora	
Przez środek Australii. Z Melbourne do Darwin	183
Maciej Czerski, Renata Czerska	
Szlak TE ARAROA – 3000 km pieszo przez Nową Zelandię	190
Walenty Zajkowski	
Dookoła świata – na wschód	197